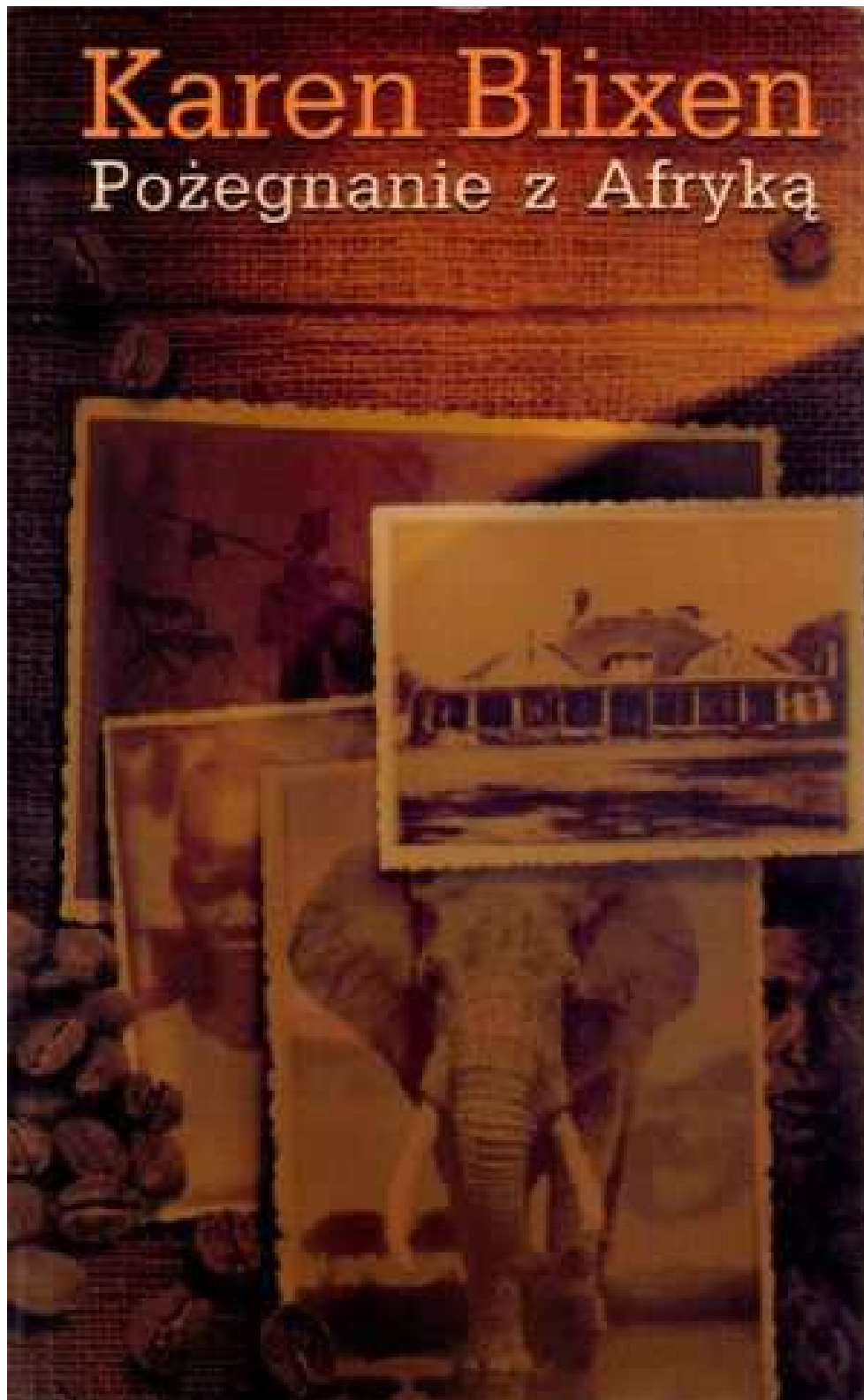


Karen Blixen

Pożegnanie z Afryką



KAREN BLIXEN

POŻEGNANIE Z AFRYKĄ

Przekład Jerzy Giebułtowicz

KAMANTE I LULU

Farma Ngong

Miałam w Afryce farmę u stóp gór Ngong. Sto sześćdziesiąt kilometrów bardziej na północ wyżynę przecinała linia równika, farma zaś leżała prawie dwa tysiące metrów nad poziomem morza. W południe odczuwało się tę wysokość tak, jak gdyby człowiek znalazł się blisko słońca. Ranki i wieczory były jednak przejrzyste i orzeźwiające, a noce chłodne.

Położenie wysokości z położeniem geograficznym sprawiało, iż krajobraz nie miał sobie równego na całym świecie. Był surowy, pozbawiony bujnej roślinności – Afryka przedestylowana przez dwa tysiące metrów atmosfery, mocno skoncentrowana treść kontynentu. Mdłe, przypalone kolory przypominały barwę ceramiki. Listowie drzew, lekkie i delikatne, rosło zupełnie inaczej niż na europejskich drzewach. Nie tworzyło okrągławych kopuł, lecz układało się w poziome i równoległe do siebie warstwy, dzięki czemu pojedyncze drzewa przypominały palmy albo sylwetki romantycznych okrętów bohatersko płynących pod pełnymi żaglami. Z tego też powodu kraj lasu sprawiał takie wrażenie, jakby się nieustannie lekko kołysał. Na rozległych równinach tu i tam sterczały stare, powykręcane kikuty cierniowców, trawa wyglądała jak posypana tymiankiem i mirtem; miejscami zapach był tak silny, że aż kręciło w nosie. Kwiaty spotykane na stepie lub na pnączach i lianach w dziewiczych lasach były drobnutki; tylko na początku pory deszczowej stepy pokrywały się dużymi, ciężkimi i mocno pachnącymi liliami. Widoki roztaczały się niezmiernie daleko. Wszystko przed oczyma świadczyło o wielkości, wolności i niezrównanej szlachetności.

Najważniejsze było powietrze – i dla krajobrazu, i dla człowieka. W moich wspomnieniach z pobytu na afrykańskim płaskowyżu dominuje zawsze wrażenie, iż przez jakiś czas życie toczyło się jak gdyby wysoko w powietrzu. Niebo było zwykle jasnoniebieskie lub bladoliliowe, bardzo rzadko nieco ciemniejsze, pełne potężnych i nieważkich chmur, zmieniających się ciągle i żeglujących, we wszystkich kierunkach. Posiadało jednak ukrytą moc błękitu, którego głęboki, świeży odcień nakładało na pasma wzgórz i na lasy. W południe powietrze nad ziemią ożywało jak płonący ogień: iskrzyło się, falowało i błyszczało jak wodne kaskady, na kształt zwierciadła odbijało i podwajało wszystkie przedmioty, tworzyło przeróżne fatamorgana. Na tej wysokości oddychało się łatwo, płuca wciągały ożywczą lekkość, tchnienie optymizmu. Na tej wysokości człowiek budził się rankiem i myślał: „Jestem tu, gdzie powinienem być”.

Długie pasmo gór Ngong ciągnie się z północy na południe ukoronowane czterema szlachetnymi szczytami, które jak znieruchomiałe fale odcinają się głębszym błękitem od tła nieba. Góry wznoszą się blisko dwa tysiące siedemset metrów ponad poziom morza, po wschodniej stronie ich krawędź piętrzy się sześćset metrów nad okolicą. Zachodnia krawędź jest wyższa i bardziej stroma – opada pionowo do rozległej doliny zwanej Wielkim Rowem, Great Rift Valley.

Na wyżynie wiatr wieje zawsze i niezmiennie z kierunku północno – wschodniego. Jest to ten sam wiatr, który na wybrzeżu Afryki i Arabii nazywają monsunem, Wschodnim Wiatrem, tak jak zwał się ulubiony koń króla Salomona. Tutaj odczuwa się go tak, jakby był tylko oporem powietrza przy ruchu Ziemi w przestrzeni. Wiatr uderza wprost na zbocze gór Ngong, dzięki czemu byłby tam prawdziwy raj dla szybowców, które prąd powietrza lekko

przenosiłby ponad szczytem. Chmury wędrujące z tym wiatrem przylepiały się do zboczy albo zaczepiały o szczyty i opadały deszczem. Te zaś, które żeglowały wyżej i omijały grzbiet, znikają za górami Ngong nad spaloną pustynią Wielkiego Rowu. Z mego domu często obserwowałam potężne procesje nadciągających chmur i widziałam, jak ich głębokie i groźne pokłady, zaledwie przemknęły ponad górami, zaraz gwałtownie rzedniały i rozplywały się bez śladu w błękitnym powietrzu.

Góry widziane z farmy zmieniały charakter kilkakrotnie w ciągu jednego dnia, czasem wydawały się bardzo bliskie, czasem bardzo odległe. Wieczorem, gdy patrzyło się na nie o zmierzchu, widziało się srebrną linię obramiającą sylwetkę całego ciemnego pasma; potem, po zapadnięciu nocy, cztery szczyty wydawały się spłaszczone i wygładzone, jakby pasmo górskie rozciągnęło się i ułożyło wygodnie.

Niezrównany jest widok z gór Ngong. Na południu rozległe równiny, królestwo zwierzyny, sięgające aż po Kilimandżaro; na wschodzie i na północy podgórski krajobraz podobny do olbrzymiego parku, za nim lasy, a jeszcze dalej falisty teren rezerwatu Kikujusów ciągnący się aż do góry Kenii, odległej o prawie sto pięćdziesiąt kilometrów. Ten teren stanowi prawdziwą mozaikę poletek kukurydzy, gajów bananowych i łąk; gdzieniegdzie widać niebieską smużkę dymu nad tubylczą wioską, skupieniem stożkowatych kretowisk. Na zachodzie, głęboko w dole, leży wysuszona, księżycowa kraina – afrykański niż. Brązowa pustynia jest nieregularnie nakrapiana pękami kolczastych krzaków, kręte koryta rzek podążają za nierównymi pasami ciemnej zieleni. To lasy mimozowe, złożone z potężnych drzew o rozległych konarach i kolcach jak gwoździe. Tutaj rosną kaktusy, tutaj mieszkają żyrafy i nosorożce.

Góry Ngong, gdy dotrze się do ich serca, są ogromne, malownicze i tajemnicze, urozmaicone długimi dolinami, gęstymi chaszczami, zielonymi zboczami i skalistymi urwiskami. Wysoko pod jednym ze szczytów rośnie nawet bambusowy gaj. Źródeł i strumieni nie brakuje, nieraz przy nich obozowałam.

Za moich czasów żyły w górach Ngong bawoły, elandy i nosorożce – bardzo starzy tubylcy pamiętali tam nawet słonie. Zawsze żałowałam, że tego całego obszaru nie włączono do rezerwatu zwierzęcego. Tylko niewielka część Ngong należała do rezerwatu, jego granicę znaczył wierzchołek Południowego Szczytu. Dla rozwijającej się kolonii i dla jej stolicy Nairobi, rozrastającej się do rozmiarów dużego miasta, góry Ngong mogłyby stanowić wspaniały park zoologiczny. Zamiast tego w ostatnich latach mego pobytu w Afryce wielu młodych mieszczuchów, kupców, przedsiębiorców i urzędników przyjeżdżano w niedziele na motocyklach w góry i strzelało do wszystkiego, co znalazło się na muszce. Jestem pewna, że zwierzyna opuściła góry i przez kolczaste gąszcze i pustynie powędrowała na południe.

Łatwo było chodzić grzbietem całego łańcucha górskiego, nawet po czterech szczytach. Trawa rosła tak nisko jak na strzyżonych trawnikach, a gdzieniegdzie spod murawy przebierał szary kamień. Wzdłuż całego grzbietu biegła wąska ścieżka wydeptana przez zwierzynę; gdy wiodła w górę po zboczach szczytów albo prowadziła w dół, wiła się łagodną serpentyną. Pewnego ranka, w czasie obozowania w górach, szłam po tej ścieżce i znalazłam na niej świeże tropy stada elandów i świeże łajno. Potężne, spokojne zwierzęta musiały odwiedzić szczyt o samym świcie, a szły długim rzędem. Trudno oprzeć się wrażeniu, iż wędrują jedynie po to, aby popatrzeć na krainę rozciągającą się po obu stronach u stóp gór.

Na farmie uprawialiśmy kawę. Mówiąc prawdę, teren leżał zbyt wysoko dla drzew kawowych, wobec czego uprawa wymagała ciężkiej pracy. Nigdyśmy się na tym nie wzbogacili. Plantacja kawy ma jednak to do siebie, że człowiek mocno się do niej przywiązuje i nie potrafi z nią zerwać. Zawsze zaś trzeba się koło niej krzątać, a przeważnie nie nadają się nigdy z robotą.

Taki kawał pola, rozplanowany i zagospodarowany według wszelkich reguł, sprawiał

wrażenie na tle dzikiego otoczenia, ukształtowanego tylko przez naturę. Później, gdy latałam nad Afryką samolotem i poznałam swoją farmę z powietrza, byłam pełna podziwu i zachwytu nad moją plantacją kawy. Odcinała się jasną zielenią od szarozielonego krajobrazu, a jej kontury pozwoliły mi zrozumieć, jak bardzo umysł ludzki lubuje się w figurach geometrycznych. Cała okolica Nairobi, szczególnie na północ od miasta, jest podobnie zagospodarowana i ludzie tam mieszkający nieustannie myślą i mówią o uprawie, o przycinaniu drzewek i o zbiorze kawy, nocami zaś leżą i medytują nad ulepszeniami w tych swoich fabrykach kawowych ziaren.

Uprawa kawy wymaga mozolnej pracy. Nie wszystko układa się tak, jak to sobie wyobraża młody zapaleniec, gdy pełen nadziei dźwiga w ulewnym deszczu skrzynki młodych, błyszczących sadzonek z inspektów i potem patrzy, jak robotnicy – a w takim dniu wszyscy wychodzą na pola – sadzą nikłe roślinki w dołkach wykopanych równymi rzędami w wilgotnej ziemi, w której mają rosnąć, i osłaniają je dokładnie przed słońcem gałęziami wyłamanymi z buszu, bo przywilejem młodości jest prawo do cienia. Cztery lub pięć lat upływa, zanim drzewka zaczną owocować, tymczasem zaś plantację może nawiedzić posucha albo choroba, a uparte afrykańskie chwasty wytrwale atakują pole: szczególnie oset z długimi, drapiącymi owocnikami, które przyczepiają się do odzieży i pończoch. Niektóre drzewka posadzono źle, z zagiętymi korzeniami; te zginą, gdy tylko zaczną kwitnąć. Na jednym hektarze sadi się ponad tysiąc pięćset drzewek, moja zaś plantacja kawy obejmowała dwieście czterdzieści hektarów. Woły ciągnęły kultywatory między drzewkami tam i z powrotem po całym polu, robiły tysiące kilometrów, zawsze cierpliwie, tak jak my cierpliwie czekaliśmy na pokaźne zbiory.

Czasami plantacja kawy przedstawiała przepiękny widok. Gdy okryła się kwieciami na początku pory deszczowej, zdawało się, że to kredowa chmura osiadła wśród mgły i deszczu na dwustu czterdziestu hektarach ziemi. Kwiat drzewa kawowego ma delikatny, gorzkawy zapach, przypominający tarninę. Skoro pole zacerwieniło się od dojrzałych owoców, wszystkie kobiety i dzieci zwane toto stawały obok mężczyzn do zbioru; mniejsze i większe wozy zwoziły zbiory do łuszcarni nad rzeką. Maszyny i inne urządzenia tej łuszcarni nigdy nie stały na poziomie, lecz wszystko zaplanowaliśmy i zbudowaliśmy sami, bardzo więc byliśmy z niej dumni. Raz nasza „fabryka” spłonęła i trzeba ją było budować na nowo. Wielki bęben do suszenia owoców obracał się bez przerwy, ziarna wydawały w jego brzuchu taki chrzęst jak kamyczki podrzucane falą na brzegu morza. Czasami ziarno było suche i gotowe do wyjęcia z bębna w środku nocy, musieliśmy się wtedy bez zwłoki zabierać do roboty. Wyglądało to bardzo malowniczo. Mnóstwo latarni paliło się w ciemnym pomieszczeniu suszarni, pajęczyna obsypana łuskami ziaren kawowych tworzyła na ścianach tajemnicze ornamenty, wokół bębna skupiały się podniecone, czarne twarze, błyszczące w świetle latarni. Nasza „fabryka”, takie miało się uczucie, tkwiła w wielkiej afrykańskiej nocy jak błyszczący klejnot w uchu mieszkańca Czarnego Łądu. Później wyłuszczoną kawę sortowało się według jakości i pakowało w worki zaszywane rymarską igłą.

Wreszcie wczesnym rankiem, gdy jeszcze panował mrok, leżąc w łóżku słyszałam, jak wozy wyładowane worami kawy ruszały na stację kolejową w Nairobi. Każdy wóz zaprzężony był w szesnaście wołów i zabierał pięć ton ładunku. Pierwszy odcinek drogi, tuż obok łuszcarni, wiódł pod górę; rozległy się więc głośnie pokrzykiwania woźniców biegnących przy zaprzęgach. Z przyjemnością myślałam, że to jest jedyne wzniesienie na całej drodze, bo farma leżała tysiąc metrów wyżej niż miasto. Wieczorem wychodziłam na spotkanie wracającej procesji. Zmęczone woły, prowadzone przez równie zmęczonych małych toto, kroczyły z opuszczonymi łbami, a znużeni woźnice wlekli biczyska tak, że złobili ślady w kurzu drogi. Zrobiliśmy wszystko, cośmy mogli. Za dwa lub trzy dni kawa miała się znaleźć na morzu, nam pozostawało tylko cieszyć się nadzieją, że szczęście dopisze i uzyskamy dobre ceny na giełdzie towarowej w Londynie.

Miałam dwa tysiące czterysta hektarów ziemi, znacznie więcej, niż pokrywała plantacja kawy. Na części posiadłości rósł dziewiczy las, a czterysta hektarów zajmowali skwatterzy, miejscowi osadnicy, którzy swoje poletka nazywali szamba. Zwykle tacy osadnicy, tubylcy pochodzący z okolicy, siedzą z rodzinami na niewielkich działkach w obrębie farmy białego właściciela i za to odrabiają określoną liczbę dni w roku. Osadnicy na mojej farmie, jak mi się zdaje, zapatrywali się na ten wzajemny stosunek zupełnie odwrotnie. Wielu z nich urodziło się na farmie, a przedtem ich ojcowie tu się urodzili, wskutek czego skłonni byli do uważania mnie za coś w rodzaju osadnika wyższego rzędu na ich własnych włościach. Na działkach widziało się znacznie więcej życia niż na reszcie farmy, ich wygląd zmieniał się też wraz z porami roku. Kukurydza przewyższała wzrostem człowieka, a idąc wąskimi ścieżkami wydeptanymi między jej łanami miało się takie uczucie, jak gdyby z obu stron stały na baczność zielone szeregi wojska. Potem zbierano kukurydzę. Dojrzałą fasolę kobiety młóciły na polach, a stopy łodyg i strąków palono na miejscu, tak że w pewnej porze roku wszędzie unosiły się cienkie smużki dymu. Kikujusi uprawiali też słodkie ziemniaki, które miały liście podobne do liści winnej latorośli i pokrywały ziemię jak gęsto pleciona mata, oraz przeróżne odmiany żółto i zielono nakrapianej dyni.

Gdy chodzi się po szambach Kikujusów, co krok widzi się tylną część ciała jakiejś staruszki, która kopie motyką ziemię i sprawia wrażenie strusia z głową zagrzebaną w piasku. Każda kikujuska rodzina posiadała kilka małych, okrągłych i stożkowatych chat mieszkalnych oraz szop przeznaczonych na składy rozmaitych rzeczy. Przestrzeń między chatami, gdzie twardo ubita ziemia przypominała beton, była zawsze pełna ruchu. Tu mielono kukurydzę, tu dojono kozy, tu roiło się też od dzieci i kur. Przedwieczorną porą, przy sinawym zmierzchu, miałam zwyczaj polować na ostrożaste przepiórki na zagonach słodkich ziemniaków wokół chat osadników. Dzikie gołębie gruchały wtedy gdzieś pod niebem na wysokich, jakby obwieszonych frędzlami drzewach, które tu i ówdzie samotnie stały na szambach jako pozostałość dziewiczego lasu pokrywającego niegdyś teren całej farmy.

Do mojej farmy należało też ponad tysiąc hektarów łąk. Wysoka trawa naśladowała ruch fal morskich pędzonych silnym wiatrem, wśród niej mali kikujuscy pastuszkowie pilnowali krów. W chłodnej porze roku przynosili ze sobą wiklinowe koszyczki z rozżarzonymi węglami, co nieraz stawało się źródłem pożaru niszczącego pastwiska. W latach posuchy także zebry i elandy odwiedzały łąki przy farmie.

Naszą stolicą było Nairobi, odległe o niespełna dwadzieścia kilometrów i położone na równinie wciśniętej między kilka wzgórz. Tam mieściła się siedziba rządu kolonii i różne centralne urzędy.

Nigdy nie jest tak, aby sąsiednie miasto nie odgrywało roli w życiu człowieka. Niezależnie od tego, czy się je lubi, czy nie, siłą jakiegoś własnego prawa ciężenia miasto przyciąga do siebie myśli. Świetlna łuna nad Nairobi, widziana nocami z niektórych miejsc na farmie, pobudzała moją wyobraźnię i narzucała mi wspomnienia wielkich miast w Europie.

Gdy pierwszy raz przybyłam do Afryki, w Kenii nie było jeszcze samochodów. Do Nairobi jeździliśmy albo konno, albo wozami zaprzężonymi w sześć mułów, które zostawiało się w stajniach należących do przedsiębiorstwa The Highland Transport. Przez cały czas mego kontaktu z miastem Nairobi cechowała pstrokacizna. Wspaniałe, nowe, kamienne budynki, całe dzielnice sklepów i warsztatów z falistej blachy, urzędy i bungalowy – wszystko to ciągnęło się wzdłuż ulic pokrytych kurzem i obsadzonych rzędami drzew eukaliptusowych. Biura Sądu Najwyższego, Departamentu do Spraw Tubylców i Departamentu Weterynarii mieściły się w tak podłych warunkach, iż byłam pełna podziwu dla urzędników, którzy mogli pracować w gorących klinkach.

Mimo wszystko Nairobi było miastem. Tu można było kupić różne rzeczy, posłuchać wiadomości, zjeść śniadanie lub obiad i zatańczyć w klubie. Życie biegło wartkim

strumieniem, Nairobi miało młodzieńczą prężność i zmieniało się z roku na rok. Gdy ktoś wyjechał na safari, to po powrocie z myśliwskiej włóczęgi dostrzegał zmiany, które tymczasem zaszły. Wzniesiono gmach rządu kolonii dostojny, chłodny budynek z wytworną salą balową i pięknym ogrodem. Jak grzyby po deszczu rosły duże hotele, urządzano imponujące wystawy rolnicze i ogrodnicze, a „sfery towarzyskie” od czasu do czasu urozmaicały życie miasta szeregiem melodramatów. Nairobi mówiło: „Korzystaj ze mnie i z czasu. Nie spotkamy się już nigdy tak rozbrykani i zaborczy”. Żyłam w najlepszej zgodzie z miastem, a raz nawet, jadąc jego ulicami, pomyślałam, że chyba nie wyobrażam sobie świata bez Nairobi.

Dzielnice zamieszkałe przez miejscową ludność i przybyszów z innych stron Afryki były znacznie rozleglejsze od części miasta zajętej przez Europejczyków.

Dzielnica Suahili, leżąca przy drodze do klubu Muthaiga, nie cieszyła się dobrą opinią, lecz chociaż brudna, zawsze tętniła wesołym życiem i zawsze coś się tam działo. Stały tam przeważnie chaty sklecone ze starych puszek na naftę, wyklepanych na płask i przeżartych rdzą. Przypominało to rafę koralową, jakąś zaskorupiałą formację, z której bezustannie ulatniał się duch postępującej cywilizacji.

Dzielnica Somali leżała nieco poza Nairobi; z tego powodu, jak mi się zdaje, że Somalijczycy przestrzegali zasady odosobnienia kobiet. W moich czasach kilka pięknych somalijskich dziewcząt, znanych po imieniu całemu miastu, usamodzielniało się i mieszkało na bazarze, wodząc za nos miejską policję; były to inteligentne i urzekające stworzenia. W mieście jednak nie spotkałam szanujących się kobiet tej narodowości. Dzielnica Somali, niczym nie chroniona przed wiatrem, niczym nie ocieniona i niemiłosiernie zakurzona, musiała przypominać mieszkańcom ich ojczyste, pustynne strony. Żyjąc przez długi czas, a nawet przez kilka pokoleń, na jednym miejscu, Europejczycy nie potrafili się przyzwyczaić do zupełnej obojętności, z jaką ludy koczownicze traktują otoczenie swych domostw. Chaty w dzielnicy Somali były porozrzucane bez ładu i składu na nagiej ziemi i sprawiały takie wrażenie, jakby żałowano na nie nawet gwoździ i obliczano ich trwanie najwyżej na tydzień. Ale po wejściu do takiej chaty oczekiwała gościa niespodzianka w postaci schludnego wnętrza, urządzonego z rozmysłem i smakiem. Czuło się zapach arabskich wonności, wszędzie widziało się dywany i zasłony, srebrne i miedziane naczynia, miecze o szlachetnych klingach i rękojeściach z kości słoniowej. Somalijskie kobiety odznaczały się godnym i uprzejmym sposobem bycia, gościnnością i wesołością, którą wyrażały śmiechem przypominającym głos srebrnych dzwonek. Ja czułam się w dzielnicy Somali prawie jak u siebie w domu, bo Farah Aden, mój służący w okresie całego mego pobytu w Afryce, był Somalijczykiem; dlatego też często uczestniczyłam w różnych uroczystościach w tej dzielnicy. U Somalijczyków obrządek weselny odbywa się według wspaniałego, tradycyjnego ceremoniału. Raz jako honorowego gościa zaprowadzono mnie do komnaty małżeńskiej, gdzie ściany i łożnicę pokrywały stare, mieniące się delikatnie tkaniny i hafty. Ciemnonoka panna młoda przypominała sztywną laleczkę w stroju z ciężkiego jedwabiu, złota i bursztynu.

Somalijczycy zajmowali się handlem bydła i handlem różnymi towarami na terenie całego kraju. Do transportu towarów trzymali masę szarych osiołków, ale nieraz widywałam też u nich wielbłąda – wyniosły, zahartowany produkt pustyni, tak wytrzymały na ziemskie trudy jak kaktus lub Somalijczyk.

Zacięte właśnie rodowe przynoszą Somalijczykom wiele kłopotów i nieszczęść. W tych jednak sprawach czują oni i rozumują inaczej niż pozostali ludzie. Farah należał do rodu Habr Yunis, ja więc stałam po stronie tego rodu. Pewnego razu w dzielnicy Somali doszło do prawdziwej wojny między dwoma rodami, Dulba Hantis i Habr Chaolo. Strzelano gęsto i podpalano sobie chaty, zginęło dziesięciu lub dwunastu ludzi, dopiero interwencja władz położyła kres krwawej rozprawie. W tych czasach Farah miał przyjaciela z własnego rodu, młodego człowieka imieniem Sayid, który bywał częstym gościem na farmie. Był to miły

chłopiec, toteż zmartwiłam się wiadomością przyniesioną raz przez moich boyów, że gdy Sayid bawił z wizytą w chacie pewnej rodziny Habr Chaolo, przechodzący obok wojowniczy członek rodu Dulba Hantis wystrzelił dwa razy w stronę tej chaty i kulą zmiażdżył biedakowi nogę. Wyraziłam Farahowi współczucie wobec nieszczęścia jego przyjaciela.

– Co? Sayid? – krzyknął Farah z gniewem. – Dobrze mu tak! Po co łąził pić herbatę w domu Habr Chaolo!

W wielkiej dzielnicy handlowej Nairobi zwanej bazarem prym wiedli Hindusi. Bogaci hinduscy przedsiębiorcy, tacy jak Jevanjee, Suleiman Virjee i Allidina Visram, mieszkali w willach tuż za miastem. Mieli zamurowanie do kamiennych schodów, balustrad i waz dość niezgrabnie wykutych z miękkiego miejscowego kamienia. Wszystko razem wyglądało na dziecinne budowle z różnokolorowych klocków. Ci bogaci Hindusi byli ludźmi zdolnymi, obytymi i bardzo uprzejmymi. W swoich ogrodach urządzali przyjęcia, na których podawano hinduskie ciasteczka – stylem zupełnie odpowiadające willom. Tak głęboko tkwili w interesach, że w rozmowie trudno było rozróżnić, czy ma się do czynienia ze znajomym, czy tylko z głową firmy. Bywałam w domu Suleimana Virjee, gdy więc pewnego dnia zobaczyłam nad budynkami jego przedsiębiorstwa flagę opuszczoną do połowy masztu, spytałam Faraha:

– Czy Suleiman Virjee umarł?

– W połowie umarł – odpowiedział Farah.

– Czy flagę opuszczają do pół masztu, gdy on jest w połowie umarły? – indagowałam dalej.

– Suleiman umarł, ale Virjee żyje – brzmiała odpowiedź.

Przed objęciem zarządu farmy polowałam z wielkim zapałem i odbyłam wiele safari. Odkąd jednak zajęłam się gospodarstwem, odłożyłam broń myśliwską na bok.

Sąsiadami farmy byli żyjący po drugiej stronie rzeki Masaje, koczownicze plemię pasterskie. Czasami niektórzy z nich przychodzili do mnie ze skargami na lwa, który porwał im krowy. Prosiłi, żebym go zastrzeliła. Jeżeli mogłam, spełniałam te prośby. W niektóre soboty chodziłam na równinę Orungi upolować jedną albo dwie zebry na mięso dla robotników zatrudnionych na farmie; zwykle towarzyszył mi długi ogon optymistycznie nastrojonej młodzieży kikujuskiej. Na terenie samej farmy polowałam na ptaki, ostrożaste przepiórki i perliczki o bardzo smacznym mięsie. Przez wiele lat nie podejmowałam jednak żadnej wyprawy myśliwskiej, prawdziwej safari.

Często zaś rozmawialiśmy o tych safari, w których brałam udział. Miejsca różnych obozowisk tak potrafią człowiekowi utkwic w pamięci, jakby spędził w nich kawał życia. Ostry zakręt śladu wyciśniętego na trawie przez koło wozu pamięta się tak jak rysy twarzy przyjaciół.

W czasie jednej safari widziałam stado bawołów liczące dwadzieścia dziewięć sztuk. Niebo miało wtedy miedziany kolor, pod nim zaś wszystko okrywała poranna mgła. Masywne zwierzęta, z potężnymi rogami zagiętymi poziomo do tyłu, wynurzały się z tej mgły jedno po drugim tak, jakby nie nadchodziły, lecz tu na miejscu, przed moimi oczyma ktoś je tworzył i wypuszczał w miarę ukończenia kolejnej sztuki. Widziałam stado słońi przedzierające się przez gęstą dżunglę, gdzie słońce prześwieca tylko małymi plamkami poprzez splątane gałęzie – kroczyły tak, jakby szły na umówione spotkanie, gdzieś na końcu świata. Zdawało mi się, że patrzę na kraj starego, przepięknego perskiego dywanu nadnaturalnej wielkości, nasyczonego zielonymi, żółtymi i czarnobrazowymi barwnikami. Bardzo często obserwowałam na równinie żyrafy o przedziwnej, nie dającej się naśladować gracji. Sprawiały wrażenie nie stada zwierząt, lecz kępy rzadkich, olbrzymich kwiatów na długich łodygach, powoli zbliżającej się do widza. Towarzyszyłam dwu nosorożcom w ich porannym spacerze, gdy kichały i prychały wdychając powietrze, które o świcie jest tak zimne, że aż wywołuje ból w nosie. Olbrzymy wyglądały na dwa kanciaste kamienie toczące

się po długiej dolinie i zachwycone własnym towarzystwem. Królewskiego lwa oglądałam tuż przed wschodem słońca, gdy wracając do domu z polowania, jeszcze z pyskiem czerwonym – po same uszy, przy nękającej poświacie księżyca zostawiał za sobą szeroki ślad w srebrzystej trawie. Widziałam go też w czasie południowej sjeisty, wygodnie spoczywającego wśród rodziny na niskiej trawie w delikatnym cieniu rozłożystych akacji, które upiększają park króla zwierząt w Afryce.

Gdy na farmie rozpoczynał się nudny okres, przyjemnie było wracać myślami do tych wspomnień. Zwierzęta przebywały jeszcze tam, w swoich własnych stronach; gdybym chciała, mogłabym znów tam pójść i zobaczyć je wszystkie. Ich bliskość ożywiała atmosferę farmy. Farah – choć z czasem nabrał zainteresowania do gospodarki – choć moi dawni boye z wypraw myśliwskich wciąż żyli nadzieją nowej safari.

Przebywanie z naturą nauczyło mnie wystrzegać się gwałtownych ruchów. Wszystkie dzikie stworzenia, z którymi ma się do czynienia, są płochliwe i czujne, potrafią wymknąć się człowiekowi w momencie, kiedy się najmniej tego spodziewa. Żadne zwierzę domowe nie umie zachować się tak cicho jak dzikie. Ludzie cywilizowani też utracili zdolność zachowywania ciszy, muszą się tego uczyć od natury, zanim zostaną dopuszczeni do obcowania z nią. Pierwszą rzeczą, do której myśliwy musi się dostosować” jest sztuka cichego posuwania się, bez nagłych ruchów – a dotyczy to tym bardziej myśliwego z aparatem fotograficznym. Myśliwi nie mogą chodzić według własnego widzimisię, muszą się stosować do wiatru, do barw i woni terenu, muszą też przybrać tempo takie samo jak całe otoczenie. Jeśli otoczenie, jak orkiestra, powtarza jakiś takt, myśliwy musi robić to samo.

Gdy człowiek raz uchwyci rytm Afryki, stwierdza potem, że powtarza się on w całej muzyce kontynentu. To, czego się nauczyłam od zwierzyny, przydało mi się także wtedy, gdy miałam do czynienia z miejscowymi ludźmi.

Miłość do kobiety i uwielbienie kobiecości jest rysem męskiego charakteru, miłość do mężczyzny i adoracja męskości jest czymś naturalnym dla kobiety; cechą zaś wyróżniającą mieszkańców krajów północnych jest uczucie, które żywią dla krajów południowych i południowych ludów. Owi starzy lordowie, znani z historii i powieści osiemnastowiecznych jako niestrudzeni podróżnicy po Włoszech, Grecji i Hiszpanii, nie mieli w swej naturze ani jednego rysu południowego, lecz pozostawali pod urokiem rzeczy zupełnie różnych od tego, co stanowiło ich właściwe środowisko. Starzy malarze niemieccy i skandynawscy, filozofowie i poeci z tych krajów po przybyciu do Rzymu lub Florencji padali na kolana i adorowali Południe.

Dziwna, nielogiczna cierpliwość wobec obcego świata rodziła się w tych niecierpliwych ludziach. Tak jak jest czymś właściwie niemożliwym, aby prawdziwy mężczyzna rozgniewał się na kobietę, a kobieta nigdy nie potrafi naprawdę lekceważyć mężczyzny i wyrzec się go, jak długo pozostaje on mężczyzną, podobnie twardzi i porywczy jasnowłosi ludzie z Północy wykazywali bezgraniczną wyrozumiałość wobec krajów tropikalnych i ludów je zamieszkujących. We własnych stronach i we własnym środowisku nie znieśliby przeciwności i oporów, ale ze stoickim spokojem i pokorną rezygnacją godzili się z afrykańską suszą, z porażeniem słonecznym, z zarazą bydłą i z niedołęstwem miejscowej służby. Ich własne poczucie indywidualności zniknęło w obliczu wielkich możliwości, jakie otwiera współdziałanie tych, którzy są zdolni tworzyć jedną siłę właśnie ze względu na, dzielące ich różnice. Mieszkańcy południowej Europy i ludzie mieszanej krwi nie posiadają tej charakterystycznej cechy; nie doceniają jej zresztą i traktują pogardliwie, podobnie jak pewni siebie mężczyźni gardzą wzdychającym kochankiem, a trzeźwe kobiety, nie mające dosyć cierpliwości dla swoich mężczyzn, obruszają się na cierpliwą Gryzeldę.

Co do mnie, już od pierwszych tygodni pobytu w Afryce poczułam wielką przyjaźń i sentyment dla miejscowej ludności. Było to silne uczucie obejmujące wszystkich – bez

względu na wiek i płeć. Odkrycie ludzi o ciemnej skórze wspaniale powiększyło cały mój świat. Jeżeli ktoś urodził się miłośnikiem zwierząt, lecz wyrósł w środowisku pozbawionym czworonogich przyjaciół i nawiązał z nimi kontakt dopiero w późniejszym życiu; jeżeli jakaś osoba instynktownie lubiąca drzewa i lasy pierwszy raz znajdzie się w zielonym borze w wieku dwudziestu lat; albo jeżeli ktoś z muzycznym uchem już jako dorosły człowiek po raz pierwszy słyszy muzykę – wszystkie te przykłady przypominają moje własne przeżycie. Po zetknięciu się z rodowitymi mieszkańcami Afryki dostosowałam rytm swego codziennego życia do taktu afrykańskiej orkiestry.

Mój ojciec, który służył w duńskiej i francuskiej armii, jako młody porucznik tak pisał z Dybbol do domu: „W drodze do Dybbol pełniłem służbę oficerską na końcu długiej kolumny wojska. Trudne zadanie, ale wspaniałe. Zamiłowanie do wojaczki jest namiętnością, żołnierzy można kochać tak jak młode kobiety – do szaleństwa, a jak wiedzą dziewczyny, jedna miłość nie wyklucza drugiej. Różnica polega tylko na tym, że miłość do kobiet może dotyczyć równocześnie tylko jednej osoby, podczas gdy miłością do żołnierzy da się objąć cały pułk, i to tak, że chciałoby się ten pułk jeszcze powiększyć, gdyby to było możliwe”. Podobnie było ze mną i krajowcami.

Niełatwo przychodziło poznać krajowców. Byli płochliwi i mieli wyostrzony słuch; przestraszeni, potrafili w mgnieniu oka ukryć się w swym własnym świecie jak dzikie zwierzęta, które uciekają widząc lub słysząc nagły ruch człowieka, po prostu znikają. Dopóki nie poznało się dobrze krajowca, żadnym sposobem nie udawało się uzyskać od niego jakiegokolwiek jasnej odpowiedzi. Na bezpośrednio zadane pytanie: „ile masz krów?”, odpowiadał wymijająco: „tyle samo, ile wczoraj”. Europejczyka drażni taka odpowiedź, lecz prawdopodobnie samo pytanie tym bardziej drażni krajowców. Gdy staraliśmy się przyciskaniem do muru uzyskać wyjaśnienie jakiegoś postępowania, wykręcali się tak długo, jak mogli, potem zaś uciekali się do swej groteskowo – żartobliwej fantazji, aby nas naprowadzić na fałszywy ślad. Nawet małe dzieci wykazywały w podobnych sytuacjach chytrych starożytności gracza w pokera, któremu jest obojętne, czy nie doceniasz, czy przeceniasz jego karty, bylebyś tylko nie znał ich prawdziwego składu. Jeżeli kiedyś udało się nam wdrzeć w życie krajowców, ci zachowywali się jak mrówki, gdy ktoś wetknie kij w mrowisko; z niestrudzoną energią naprawiali szkody, czynili to szybko i w milczeniu – jakby zacierali ślady po czymś, co wywołuje zgorszenie.

Nie mogliśmy wiedzieć ani wyobrazić sobie, jakiego niebezpieczeństwa obawiali się z naszej strony. Mnie osobiście zdaje się, iż obawiali się nas tak, jak ktoś obawia się nagłego, piekielnego hałasu, a nie tak, jak ktoś obawia się cierpienia i śmierci. Trudno było jednak rozróżnić te rzeczy, bo krajowcy są mistrzami w sztuce udawania i mimikry. W czasie porannych przejażdżek po polach trafiałam niekiedy na przepiórkę, która biegła przed koniem, tak jakby miała złamane skrzydło, i umierała ze strachu przed psami. Nie miała jednak złamanego skrzydła, nie bała się również psów – w każdej chwili potrafiła frunąć im sprzed nosa – tylko gdzieś w pobliżu znajdowała się gromada jej piskląt i matka chciała odwrócić uwagę od tego miejsca. Podobnie jak przepiórka krajowcy tylko udawali strach przed nami, aby nim pokryć jakąś znacznie głębszą obawę, której natury nie mogliśmy się domyślić. A może wreszcie ich zachowanie się wobec nas było nieznany rodzajem żartu, może ci zamknięci w sobie ludzie w ogóle nie obawiali się nas. Mieszkańcy Afryki znacznie mniej niż biali ludzie zdają sobie sprawę z ryzyka w codziennym życiu. Czasami na safari albo na farmie, w chwili szczególnego napięcia, moje oczy spotykały się z oczyma otaczających mnie krajowców i wtedy odczuwałam, że dzieli nas jakaś ogromna odległość i że oni dziwią się memu niepokoju i obawie ryzyka. Przychodziło mi wtedy na myśl, że może oni czują się w życiu jak we właściwym żywiole – czego my nigdy nie potrafimy osiągnąć – jak ryby w głębokiej wodzie, które nie potrafią zrozumieć naszej obawy przed utonięciem. Tę pewność siebie, tę sztukę pływania posiadają – tak myślałam – dlatego, że

przechowali wiedzę, którą my utraciliśmy jeszcze za pierwszych rodziców; ze wszystkich części świata szczególnie Afryka uczy nas tego, że Bóg i Szatan są jednym” majestat obu jest równie odwieczny, nie ma dwu nie mających początku, lecz jest jeden tylko – mieszkańcy Afryki nie mieszały osób ani nie dzielili substancji.

W czasie safari i na farmie moja znajomość z krajowcami przerodziła się w trwały osobisty kontakt. Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Pogodziłam się z faktem, że chociaż sama nigdy nie poznałam ich i nie potrafiłam w pełni zrozumieć, oni przejrżeli mnie na wskroś i zawsze wiedzieli, jaką podejmę decyzję; wiedzieli już wtedy, kiedy ja sama nie byłam jeszcze pewna, co postanowię. Przez pewien czas miałam małą farmę: w Gil – Gil, mieszkałam tam w namiocie i jeździłam koleją między Gil – Gil a Ngong. Gdy w Gil – Gil rozpadał się deszcz, często decydowałam się nagle na powrót do domu. Po przybyciu do Kikuju, stacji kolejowej leżącej piętnaście kilometrów od Ngong, zastawałam tam kogoś z moich ludzi czekającego na mnie z osiodłanym mułem. Na moje pytanie skąd wiedzieli o moim powrocie, ludzie odwracali wzrok i wyglądali na zakłopotanych, a może przestraszonych albo znudzonych. Każdy z nas czułby się tak samo wtedy, gdyby ktoś głuchy jak pień żądał wyjaśnienia mu muzyki symfonicznej.

Gdy krajowcy czuli się bezpieczni, nie obawiając się z naszej strony żadnych nagłych ruchów lub hałasów, rozmawiali z nami szczerzej niż Europejczycy między sobą. Mimo tej wspaniałomyślnej szczerości nie można było jednak polegać na ich słowach. Dobre imię – to, co się nazywa prestiżem – znaczy wiele w świecie krajowców. Odnosiło się wrażenie, że po pewnym czasie formowali sobie zbiorową opinię o człowieku, a tej opinii nikt z nich już potem nie zmieniał.

Chwilami odczuwałam na farmie wielką samotność. Gdy w ciszy wieczora tykanie zegara przepędzało minutę za minutą, człowiek miał wrażenie, jakby z niego kroplami uciekało życie – ze zwykłej tęsknoty za rozmową z białymi ludźmi. Zawsze jednak wyczuwałam milczącą, ukrytą w cieniu obecność krajowców, równoległą do mego własnego życia, tylko na innej płaszczyźnie. Echo odbijało się między obu płaszczyznami. Razem tworzyliśmy farmę.

Krajowcy byli Afryką z krwi i kości. Wyniosły stożek wulkanu Lungonot, który wznosi się nad Rift Valley, rozłożyste drzewa mimozy wzdłuż brzegów rzek, słonie, żyrafy – to nie było bardziej Afryką niż krajowcy, małe figurki na olbrzymiej scenie. Wszystko razem stanowiło różne wyrazy tej samej idei, różne wariacje na ten sam temat. To nie było ujednostajnionym zestawem różnorodnych atomów, lecz różnorodnym zestawem jednorodnych atomów, tak jak w wypadku dębowego liścia, dębowego żołądka i jakiegoś przedmiotu z dębowego drzewa. My biali, w butach i z naszym wiecznym pośpiechem, kontrastowaliśmy z krajobrazem. Krajowcy zgadzali się z nim, a gdy wysocy, szczupli” ciemni ludzie z ciemnymi oczyma podróżują – zawsze jeden za drugim, tak że nawet najważniejsze arterie komunikacyjne w Afryce stanowią wąskie ścieżki – albo pracują na roli, albo pasą bydło, albo tworzą wielki krąg taneczny, albo opowiadają historie, wtedy sama Afryka podróżuje, tańczy lub zabawia przybysza. Na płaskowyżu wspominałam słowa poety:

*Krajowiec
zawsze wydawał mi się szlachetnym,
przybysz
zawsze biednym*^[1]

W Kenii wszystko się zmienia i wiele zmieniło się od tego czasu, kiedy tam mieszkałam. Spisując teraz możliwie dokładnie swe wspomnienia z życia na farmie, notując z pamięci obraz kraju i mieszkańców tamtejszych pól i lasów, czynię to z myślą, że mogą one posłużyć jako przyczynek do historii minionych czasów.

[1] Johannes V. Jensen (1873 – 1950), duński poeta i powieściopisarz.. Laureat Nobla w r. 1944.

Kamante

Kamante był małym kikujuskim chłopcem, synem jednego z osadników. Dobrze znałam wszystkie dzieci skwaterów, bo po pierwsze pracowały na farmie, a poza tym stale kręciły się wokół mojego domu; zwykle pasły kozy na otaczających dom trawnikach i czekały na jakieś interesujące wydarzenie. Kamante stanowił jednak pod tym względem wyjątek; musiał już kilka lat mieszkać na farmie, zanim go poznałam. Przypuszczam, że żył w odosobnieniu jak chore zwierzę.

Pierwszy raz zobaczyłam go na równinie niedaleko farmy. Odbywałam wtedy konną przejażdżkę, on zaś pasł tam kozy. Przedstawiał bardzo smutny widok – miał dużą głowę nad małym i chudym ciałem, łokcie i kolana sterczały mu jak sęki u kija, a obie nogi od ud aż do pięt pokrywały głębokie, ropiejące rany. Na tle rozległej równiny chłopiec sprawiał wrażenie jeszcze drobniejszego, nie chciało się wprost wierzyć, iż tyle cierpienia mogło się skoncentrować w tak małej istotce, na tak nikłym ciele. Gdy zatrzymałam konia i zagadnęłam chłopca, nie odpowiedział, jakby mnie nie widział. Z płaskiej, kanciastej twarzy, bardzo znękanej, lecz równocześnie zdradzającej bezgraniczną cierpliwość, patrzyły oczy pozbawione blasku i przygaszone jak oczy nieboszczyka. Chłopiec wyglądał tak, jakby mu nie zostało więcej niż kilka tygodni życia, jakby w rozpalonym powietrzu nad jego głową krążyły już sępy, zawsze czujnie wypatrujące na stepie każdego znaku śmierci. Kazałam mu przyjść do siebie nazajutrz, żeby spróbować go leczyć.

Niemal codziennie od dziewiątej do dziesiątej rano pełniłam funkcje lekarza. Jak wszyscy wielcy znachorzy, miałam szeroki krąg pacjentów. W godzinach przyjęć zbierało się przed domem do tuzina osób.

Kikujusi są z góry przygotowani na rzeczy nieprzewidziane i przyzwyczajeni do niespodzianek. Tym różnią się od białych ludzi, którzy w większości starają się zabezpieczyć przed nieznanym i przed ciosami losu. Afrykanin żyje na dobrej stopie z przeznaczeniem będąc przez całe życie na jego łasce: przeznaczenie jest, można powiedzieć, jego domem, dobrze mu znanym mrokiem chaty, glebą dla jego korzeni. Każdą zmianę w życiu przyjmuje z wielkim spokojem. Wśród cech, które chciałby widzieć u pracodawcy, lekarza albo Boga, jedno z pierwszych miejsc, jak mi się zdaje, zajmuje wyobraźnia. Prawdopodobnie dlatego kalif Harun al Raszyd jeszcze ciągle jest uważany w sercu Afryki i Arabii za wzór idealnego władcy; nikt nie wiedział, czego można się po nim następnym razem spodziewać ani jak do niego podejść. Gdy mieszkańcy Afryki mówią o przymiotach Boga, brzmi to *jak Bajki z tysiąca i jednej nocy* albo ostatnie rozdziały *Księgi Joba*; są zawsze pod wrażeniem tej samej cechy: bezgranicznej siły wyobraźni.

Swą popularność i sławę jako lekarz zawdzięczałam temu właśnie charakterystycznemu rysowi u ludzi, którzy stanowili moje otoczenie. W czasie mojej pierwszej podróży do Afryki płynęłam na statku razem z pewnym Niemcem, wielkim uczonym, który po raz dwudziesty dziewiąty wybierał się prowadzić doświadczenia z lekiem przeciw śpiączce i miał ze sobą ponad sto szczurów i świnek morskich. Opowiadał mi on, że kłopoty z afrykańskimi pacjentami nigdy nie polegały na ich braku odwagi – bardzo rzadko odczuwali strach przed bólem albo większą operacją – lecz na ich niechęci do regularnego i systematycznego powtarzania zabiegów, do systematyczności w ogóle, czego wielki niemiecki lekarz nie mógł zrozumieć. Kiedy zaś sama poznałam krajowców, ten właśnie rys ich charakteru najbardziej przypadł mi do gustu. Wykazywali rzeczywistą odwagę: nie fałszowane zamiłowanie do niebezpieczeństwa – prawdziwą odpowiedź stworzenia na decyzję losu, echo z ziemi po tym, gdy przemówiły niebiosy. Czasami przychodziło mi na myśl, że oni w głębi serc najbardziej obawiali się z naszej strony pedanterii. Znalazłszy się w ręku pedanta, umierali ze zgryzoty.

Moi pacjenci czekali na brukowanym tarasie przed domem. Siedzieli tam w kucki – szkielety starych mężczyzn, rozdzierane suchym kaszlem, z kaprawymi oczyma: młodzi,

szczupli i zgrabni awanturnicy z czarnymi oczyma i pokiereszowanymi gębami; wreszcie kobiety trzymające na rękach gorączkujące dzieci, które wisiały na matczynych szyjach jak małe zasuszone kwiaty. Często musiałam opatrywać oparzenia, bo Kikujusi śpią w nocy wokół ognia palącego się na środku chaty i padają ofiarą pryskających z ognia kawałków węgla, gdy zawala się stos wypalonego drzewa. Po wyczerpaniu się mego zapasu lekarstw stwierdziłam, że miód wcale nie najgorzej zastępuje maść na oparzenia. Na tarasie panowała ożywiona atmosfera naładowana elektrycznością jak w europejskich kasynach gry. Z chwilą mego ukazania się cichły ożywione szepty i następowało milczenie brzemienne w możliwości, bo od tego momentu należało się spodziewać różnych wydarzeń. Zawsze czekali, abym sama wybrała pierwszego pacjenta.

Niewiele wiedziałam o leczeniu, tylko tyle, ile się człowiek uczy na kursie pierwszej pomocy. Moja sława lekarska opierała się na tym, że udało mi się szczęśliwie wyleczyć kilka wypadków. Nie potrafiły jej osłabić nawet katastrofalne omyłki, które mi się zdarzały.

Gdybym mogła zagwarantować każdemu pacjentowi pomyślny wynik leczenia, to kto wie, czy ich szeregi nie zrzedłyby znacznie. Osiągnęłabym wprawdzie wtedy pełnię zawodowego prestiżu – oto niezwykle uczony doktor z Volaiia – lecz czy moi pacjenci mieliby nadal pewność, że Pan Bóg stoi po mojej stronie? Pana Boga znali bowiem po latach suszy, po nocach, kiedy lwy buszowały na równinie, po śladach lampartów krążących wokół chat wtedy, gdy dzieci były same, po chmurach szarańczy opadającej nie wiadomo skąd na pola i nie zostawiającej po sobie ani jednego źdźbła trawy. Znali Go też z tych chwil niewiarygodnego szczęścia, kiedy chmura szarańczy przeleciała nad polem kukurydzy, ale nie siadła na nim, albo kiedy na wiosnę nadeszły wczesne i obfite deszcze powodujące rozkwit pól i łąk, zapowiadające bogate zbiory. Dlatego więc ten wielce uczony doktor z Volaiia może okazać się ostatecznie, gdy idzie o sprawy w życiu istotnie najważniejsze, człowiekiem zupełnie nie wtajemniczonym.

Ku memu zdziwieniu Kamante zjawił się przed domem nazajutrz po naszym spotkaniu na pastwisku. Stał nieco na uboczu, z dala od innych trzech lub czterech chorych, wyprostowany, z takim wyrazem na półmartwej twarzy, jakby chciał powiedzieć, że w końcu jest trochę przywiązany do życia i zdecydował się spróbować jeszcze tej ostatniej szansy utrzymania się przy nim.

Z biegiem czasu okazał się bardzo dobrym pacjentem. Przychodził wtedy, kiedy mu kazałam przyjść, nigdy nie robił zawodu, umiał nawet zachować rachubę czasu i zgodnie z poleceniem zjawiał się co drugi lub co trzeci dzień – rzecz niezwykła u krajowców. Bolesne zabiegi znosił z takim stoicyzmem, jakiego poza tym nigdy nie spotkałam. Biorąc to wszystko pod uwagę, mogłabym stawiać go za wzór innym, nie czyniłam jednak tego, gdyż chłopiec budził we mnie jakiś niepokój.

Rzadko, niezwykle rzadko miałam do czynienia z tak dzikim stworzeniem, z jednostką zupełnie odizolowaną od reszty świata i odciętą od otaczającego ją życia przez coś w rodzaju śmiertelnej rezygnacji. Potrafiłam wydusić z niego odpowiedź na moje pytania, nigdy jednak z własnej inicjatywy nie wypowiedział ani słowa, nigdy też nie spojrzął na mnie. Nie miał w sobie ani śladu uczucia litości; na łzy innych chorych dzieci, które płakały podczas opatrunków, reagował pogardliwym śmiechem pełnym wyższości, nigdy jednak nie patrzył i na tych małych pacjentów. Nie zdradzał ochoty na żadne kontakty z otaczającym go światem, gdyż te kontakty, które miał, pozostawiły zbyt okrutne wspomnienia. Jego hart ducha w obliczu zadawanego bólu był hartem starego wiarusa. Nie istniało nic tak złego, co by go potrafiło zaskoczyć, dzięki swemu doświadczeniu i filozofii był zawsze przygotowany na najgorsze.

To wszystko było w wielkim stylu i przypominało wyznanie wiary Prometeusza:

„Męka – to żywioł mój,

*jak twój – nienawiść.
Już teraz wy mię szarpiecie,
a jednak się nie skarzę”
Brnij w złem (...) Podałem ci
pod dłoń wszechwładną wszystko”*^[2]

U dziecka w jego wieku sprawiało to jednak nienaturalne wrażenie i jakoś ciężko mi leżało na sercu. I cóż sobie Bóg pomyśli – zastanawiałam się – widząc tego rodzaju postawę u tej małej istotki?

Doskonale pamiętam chwilę, kiedy Kamante pierwszy raz spojrzął na mnie i przemówił z własnej inicjatywy. Musiało się to zdarzyć po dłuższej znajomości, bo zmieniał już wtedy pierwotny sposób leczenia na inny – gorące okłady, które doradzano w książce. Chcąc jak najlepiej, przygotowałam raz okład zbyt gorący, a gdy go położyłam mu na nodze i obwiązałam bandażem, Kamante powiedział: „Msabu” i spojrzął na mnie bardzo wymownie. Mieszkańcy Afryki używają tego hinduskiego słowa wobec białych kobiet, wymawiają je jednak nieco inaczej i tworzą z niego afrykański wyraz o swoistym brzmieniu. W ustach mego małego pacjenta było to wołaniem o pomoc, a równocześnie ostrzeżeniem; takim ostrzeżeniem, jakie daje ci wierny przyjaciel, aby cię powstrzymać od jakiegoś niegodnego postępowania. Wiele myślałam o tym pierwszym słowie. Miałam duże ambicje co do swego sposobu leczenia, przykro mi więc było z powodu tego zbyt gorącego okładu, ale z drugiej strony cieszyłam się, gdyż w ten sposób doszło do pierwszego przebłysku porozumienia między mną i dzikim dzieckiem. Pośepny chłopiec, który w życiu nie oczekiwał niczego poza cierpieniem, nie spodziewał się jednak doznać cierpienia z mojej ręki.

Co do samego leczenia, sprawa nie wyglądała, niestety, obiecująco. Przez długi czas przemyślałam i bandażowałam nogi chłopca, nie mogłam jednak zwalczyć choroby. Okresami widać było poprawę, potem jednak otwierały się nowe rany w innych miejscach. W końcu zdecydowałam się zawieźć go do szpitala szkockiej misji.

Była to decyzja na tyle dramatyczna i otwierająca tak wiele nowych możliwości, że zrobiła wrażenie nawet na chłopcu – Kamante nie chciał iść do szpitala. Jego doświadczenie życiowe i filozofia nie pozwalały mu protestować przeciw cemukolwiek, gdy go jednak zawiozłam do misji i zostawiłam w długim budynku szpitalnym, w otoczeniu zupełnie dla niego obcym i tajemniczym, biedak drżał ze strachu.

Misja kościoła szkockiego leżała w sąsiedztwie mojej farmy, około dwudziestu kilometrów na północny zachód i jeszcze pięćset metrów wyżej nad poziomem morza. A piętnaście kilometrów na wschód, na odmianę pięćset metrów niżej niż farma, na bardziej płaskim terenie, znajdowała się katolicka misja francuska. Nie sympatyzowałam z misjami, lecz osobiście żyłam w przyjaznych stosunkach z obu i żałowałam, że między sobą były na wrogiej stopie.

Moimi najlepszymi przyjaciółmi byli francuscy misjonarze. W niedzielę jeździłam do nich z Farahem na ranną mszę, po części dlatego, żeby mieć okazję porozmawiania po francusku, a po części ze względu na piękną drogę do misji. Długo jechało się przez starą plantację drzew garbnikowej akacji należącej do zarządu lasów. Balsamiczny zapach przyjemnie drażnił nozdrza.

Warto było popatrzeć na to, jak kościół rzymski, gdziekolwiek działał, zawsze wносił swoją własną atmosferę. Misjonarze zaplanowali kościół sami i zbudowali go własnymi rękoma przy pomocy miejscowych wiernych, mieli zaś prawo do dumy ze swego dzieła. Ładny, duży, szary kościół z górującą nad nim dzwonnica stał na obszernym dziedzińcu, do którego prowadziły tarasy i schody. Wszystko mieściło się w samym środku należącej do

^[2] P. B. Shelley. *Prometeusz rozpięty*. Tłum. F. Jezierskiego.

misji plantacji kawy, najstarszej w całej Kenii i bardzo umiejętnie prowadzonej. Z tyłu za kościołem stały dwa budynki: refektarz z arkadami i właściwy klasztor. Szkoła i suszarnia kawy mieściły się poniżej przy rzece, nad którą rozpięty był łuk mostu na drodze prowadzącej do kościoła. Wszystkie budynki wzniesiono z szarego kamienia, na tle miejscowego krajobrazu całość wyglądała schludnie i imponująco. Mogła równie dobrze leżeć w jednym, z południowych kantonów szwajcarskich lub w północnych Włoszech.

Po mszy uprzejmi ojcowie czekali przy drzwiach kościoła, aby mnie zaprosić na *un petit verre du vin* – szklaneczkę wina w obszernym i chłodnym refektarzu po drugiej stronie dziedzińca. Z podziwem stwierdzałam, jak doskonale wiedzieli o wszystkim, co się działo w całej kolonii, nawet w najodleglejszych zakątkach. Zresztą pod pozorem uprzejmej i dobrodusznej rozmowy potrafili wyciągnąć z gościa każdą wiadomość, jaką posiadał, a wyglądali przy tym jak rój brązowych, kosmatych pszczoł obsiadających kwiat w poszukiwaniu miodu – bo wszyscy nosili długie, gęste brody. Chociaż zdradzali tak wielkie zainteresowanie życiem Kenii, byli jednak na swój własny, typowo francuski sposób wygnańcami, cierpliwymi i radosnymi wykonawcami jakichś wyższych rozkazów tajemniczej natury. Odczuwało się, że gdyby nie trzymała ich tu na miejscu jakaś nieznana władza, loby ich tu nie było, ani nie byłoby kościoła z wyniosłą dzwonnica, ani arkad, ani szkoły, ani żadnego innego elementu misji i porządnej plantacji. Gdyby tylko padło słowo zwalniające ich z obowiązków, wszyscy zostawiliby sprawy kolonii własnemu losowi i lotem ptaka pomknęliby z powrotem do Paryża.

Farah, który w czasie mego pobytu w kościele i w refektarzu trzymał obydwie konie, w drodze powrotnej dostrzegł, że byłam w bardzo dobrym humorze. Jako pobożny mahometanin, Farah sam nie tykał wina, natomiast uważał je, łącznie z mszą, za dwa współrzędne obrządki mojej religii.

Francuscy misjonarze przyjeżdżali czasami na motocyklach do mnie na farmę. Podejmowałam ich obiadem, w czasie którego deklamowali mi bajki La Fontaine'a i udzielali dobrych rad w sprawie mojej plantacji kawy.

Szkockiej misji nie znałam tak dobrze. Wspaniały widok roztaczał się z niej na leżącą wokół krainę Kikujusów, lecz mimo to misja sprawiała na mnie takie wrażenie, jakby była dotknięta ślepotą i nikt z niej niczego nie dostrzegał. Kościół szkocki ciężko pracował nad tym, aby ubrać krajowców w europejską odzież, co – moim zdaniem – nie przynosiło; im pożytku pod żadnym względem. Misja posiadała natomiast bardzo dobry szpital, którym za moich czasów kierował bardzo zdolny i filantropijnie nastawiony lekarz naczelny, dr Arthur. W tym szpitalu uratowano życie wielu ludziom, z mojej farmy.

Kamante spędził w szkockiej misji trzy miesiące. W tym okresie widziałam go tylko raz. Przejeżdżałam wtedy konno obok misji w drodze do stacji kolejowej Kikuju, droga zaś biegła na pewnym odcinku tuż obok terenu szpitala. Na podwórzu dostrzegłam znajomą postać – Kamante stał samotnie, z dala od grupy innych rekonwalescentów. Był już wówczas tak podleczone, że mógł biegać. Gdy mnie dojrzał, podszedł do ogrodzenia, a potem biegł wzdłuż całego odcinka przylegającego do drogi. Kłusował po swojej stronie płotu jak żreback kłusuje po wybiegu na widok przejeżdżającego obok jeźdźca. Nie spuszczał oczu z mego konia, ale nie wyrzekł ani słowa. Przy końcu szpitalnego ogrodzenia musiał się zatrzymać. Minąwszy to miejsce obejrzałam się i zobaczyłam go stojącego bez ruchu, patrzącego na mnie z głową zadartą do góry; w tej postawie jeszcze bardziej przypominał żrebaka, którego zostawiono samego. Kilkakrotnie pomachałam do niego ręką. Za pierwszym razem w ogóle nie zareagował, potem nagle jego ramię wystrzeliło w górę jak dźwignia pompy, ale tylko jeden jedyny raz.

Kamante wrócił do mego domu rankiem w niedzielę wielkanocną i wręczył mi list ze szpitala, w którym świadczone, że stan jego zdrowia uległ znacznej poprawie i można go

uważać za wyleczonego. Musiał mniej więcej znać treść listu, gdyż w czasie czytania obserwował moją twarz z wielkim napięciem; nie wdał się jednak w dyskusję, był zaprzątnięty ważniejszymi rzeczami. Kamante zawsze nosił się z wielką godnością, lecz tym razem bił od niego również nastrój wielkiego triumfu.

Wszyscy tubylcy mają silnie rozwinięte poczucie efektu dramatycznego. Kamante, aby zgotować mi niespodziankę, obwiązał sobie nogi aż po kolana starymi bandażami. Było rzeczą oczywistą, że za najważniejszą sprawę uważał nie własne wyleczenie, lecz – bez cienia egoizmu – przyjemność, którą miałam przeżyć. Prawdopodobnie pamiętał moją zmartwioną minę wobec ciągłych niepowodzeń tych metod, które stosowałam, i wiedział również, że leczenie szpitalne przyniosło nadzwyczajny rezultat. Gdy powoli, bardzo wolniutko odwinął bandaże od kolan aż do pięt, pod spodem ukazała się para gładkich nóg ze skórą tylko lekko poznaczoną szarymi bliznami.

Nacieszywszy się na swój spokojny sposób widokiem mego zaskoczenia i radości, Kamante jeszcze raz użył dramatycznego efektu oświadczając, że został chrześcijaninem...Jestem taki jak ty” – powiedział. W końcu dodał, że jego zdaniem miałabym pewno ochotę dać mu rupię, bo tego dnia Chrystus zmartwychwstał.

Potem poszedł odwiedzić swoich najbliższych. Jego matka była wdową i mieszkała w najodleglejszym zakątku farmy. Z tego, co mi później opowiadała, wywnioskowałam, że w ten dzień Kamante pozbył się swojej normalnej rezerwy i otworzywszy serce przed matką, zwierzył się jej ze swych wrażeń ze spotkania obcych ludzi i z przeżyć w szpitalu. Lecz po tej wizycie w matczynej chacie wrócił znów do mego domu, jakby uważał to za zupełnie naturalne, że tu jest jego miejsce. A więc został u mnie na służbie aż do czasu, kiedy wyjechałam z Afryki – przez blisko dwanaście lat.

Gdy go pierwszy raz spotkałam, Kamante wyglądał na sześć lat. Miał jednak brata wyglądającego na osiem lat, obaj zaś bracia zgodnie twierdzili, że Kamante jest starszy. Przypuszczam, że to długa choroba wpłynęła na upośledzenie wzrostu; miał wtedy chyba dziewięć lat. Teraz zaczął rosnąć, zawsze jednak przypominał karła albo osobnika w jakiś sposób zdeformowanego, chociaż trudno było dokładnie określić, co powodowało takie wrażenie. Kanciasta twarz zaokrągliła mu się z czasem, chodził i poruszał się z łatwością; wcale nie uważałam go za brzydkiego chłopca, chociaż trzeba dodać, że ja patrzyłam na niego jakby oczyma stwórcy. Nogi pozostały na zawsze cienkie jak patyki. Zawsze też był fantastyczną figurą, na pół śmieszną, na pół diaboliczną. Po niewielkich przeróbkach mógłby siedzieć na dachu katedry Notre – Dame w Paryżu i wytrzeszczać stamtąd oczy. Biło od niego coś promiennego i żywego; na obrazie stanowiłby płamę o szczególnie mocnym kolorycie. Dzięki temu dodawał malowniczości memu domowi. Nigdy nie miał zupełnie dobrze w głowie albo mówiąc inaczej zawsze był ekscentrykiem.

Był osobą myślącą. Może te długie lata cierpień, które znosił, wyrobiły u niego skłonność do zastanawiania się nad różnymi rzeczami i do wysnuwania własnych wniosków ze wszystkiego, co obserwował. Przez całe życie był na swój sposób jednostką odseparowaną. Nawet gdy robił to samo co inni ludzie, robił to jakoś inaczej.

Dla ludzi na mojej farmie utrzymywałam – wieczorową szkołę, w której uczył miejscowy nauczyciel. Tych nauczycieli dostarczały mi misje, miałam więc w czasie swego pobytu przedstawicieli wszystkich wyznań – nauczyciela katolickiego, anglikańskiego i wyznawcę kościoła szkockiego. Sprawy oświaty dla tubylców traktowane są w Kenii ściśle w ramach religijnych; o ile mi wiadomo, poza Biblią i Księgą Psalmów żadnej innej książki nie przetłumaczono na język suahili. Ja sama przez cały okres pobytu w Afryce nosiłam się z zamiarem przetłumaczenia dla krajowców bajek Ezopa, nigdy jednak nie znalazłam dość czasu na zrealizowanie tej myśli. Mimo wszystko darzyłam swą szkołę na farmie, taką, jaka była, szczególnym uczuciem; był to ośrodek życia duchowego w naszym skupisku i wiele przyjemnych wieczornych godzin spędziłam w starym magazynie z falistej blachy, gdzie

odbywały się lekcje.

Kamante chodził tam ze mną, nigdy jednak nie siadał z innymi dziećmi w ławkach, ale stał od nich nieco z daleka, jakby świadomie zamykał uszy przed nauką i miał wiele uciechy na widok prostaczków, którzy dali się nabrać i zgodzili się słuchać nauczyciela. Dopiero potem zauważyłam, że w samotności, w mojej kuchni, z pamięci gryzmołił bardzo powoli i pracowicie te litery i cyfry, które widział na tablicy w szkole. Zdaje mi się, że gdyby nawet chciał, nie potrafiłby się zadawać z innymi ludźmi. Bardzo wcześnie w życiu coś się w nim pomieszało lub zamknęło z tym skutkiem, iż teraz, można powiedzieć, nienormalność stała się u niego rzeczą normalną. Sam zdawał sobie sprawę z tej swojej odrębności, traktując to z arogancką wielkoduszością prawdziwego karła, który – stwierdziwszy różnicę istniejącą między nim a resztą świata – uważa cały świat za wykrzywiony.

Kamante był bardzo sprytny w sprawach pieniężnych. Wydawał niewiele i przeprowadził szereg korzystnych transakcji handlując kozami z innymi Kikujusami. Ożenił się wcześnie, a u Kikujusów małżeństwo jest kosztownym przedsięwzięciem. Równocześnie słyszałam go filozofującego na temat tego, że pieniądź nie ma żadnej wartości. Jego stosunek do istnienia był bardzo szczególny: dawał sobie radę z istnieniem, lecz miał o nim niskie wyobrażenie.

Nie umiał niczego podziwiać. Mógł wprawdzie uznawać mądrość zwierząt i mieć o niej wysokie mniemanie, ale przez cały czas naszej znajomości trafiła się tylko jedna jedyna osoba, o której wyraził się z uznaniem; była to pewna młoda Somalijka, osiadła kilka lat później na farmie. Miał nieco kpiący śmiech, którym posługiwał się we wszystkich okolicznościach, ale ostrze kpin kierował głównie przeciw zbytnej pewności siebie i zbyt niemu napuszeniu u innych ludzi. Wszyscy tubylcy mają pewien wrodzony rys złośliwości wyrażający się w zadowoleniu z niepowodzeń innych, co bardzo razi Europejczyków. Kamante doprowadził tę cechę do nie spotykanej doskonałości – doszedł nawet do specjalnej autoironii, która pozwalała mu cieszyć się ze swoich własnych rozczarowań i niepowodzeń niemal tak samo jak z nieszczęść bliźnich.

Podobną mentalność zdradzały stare miejscowe kobiety, które z niejednego pieca chleb jadły i tak były za pan brat z losem, że jego ironię, gdy się z nią spotykały, traktowały z sympatią, jak coś bliskiego.

W każdą niedzielę rano kazałam swoim boyom rozdawać tabakę – w tubylczym języku tombacco – starym kobietom z terenu farmy; sama o tej porze leżałam jeszcze w łóżku. Przy takich okazjach wokół domu zbierała się gromada niezwykle klientek, wyglądało to na kurnik pełen starych, nastroszonych, łysych i kościstych kur. Ich ciche gdakanie – bo krajowcy bardzo rzadko mówią głośno – docierało przez otwarte okno aż do mojej sypialni. Pewnego niedzielnego poranka ciche pogwarki Kikujusek nagle przerodziły się w istne fale i kaskady śmiechu. Musiało się tam wydarzyć coś niezwykle zabawnego, przywołałam więc Faraha, aby mi opowiedział. Farah zrobił to niechętnie, bo sprawa polegała na tym, że zapomniał kupić tabaki, wskutek czego stare kobiety tym razem odbyły długą drogę do mego domu zupełnie nadaremnie – boori, jak to nazywały. To wydarzenie stało się źródłem wesołości dla wszystkich starych mieszkank farmy. Gdy czasami spotkałam którąś z nich na ścieżce prowadzącej przez łąk kukurydzy, potrafiła stanąć przede mną, wyciągnąć kościsty, zakrzywiony palec i z twarzą tak roześmianą, że aż wszystkie zmarszczki nagle zniknęły jakby za pociągnięciem jednego sznurka, przypomnieć mi ową niedzielę, kiedy ona i jej równie łase na tabakę siostry wybrały się w długą drogę pod mój dom tylko po to, żeby się tam dowiedzieć, że zapomniałam kupić tabaki i w całym domu nie było ani szczypty – ha, ha, Msabu!

Biali często mawiają o Kikujusach, że ci nie znają uczucia wdzięczności. Lecz Kamante nie był niewdzięcznikiem, umiał się nawet zdobyć na wyrażenie uczucia wdzięczności. Nie jednokrotnie, i to wiele lat po naszym pierwszym spotkaniu, wyłaził wprost ze skóry, aby mi wyświadczyć jakąś przysługę, o którą nawet nie prosiłam.. Gdy pytałam go, dlaczego to robił,

odpowiadał, że gdyby nie ja, już dawno by nie żył. Wdzięczność okazywał również w inny sposób, a mianowicie specjalnym życzliwym stosunkiem do mnie, co wyrażało się w gotowości do udzielenia mi pomocy albo może właściwej, w daleko idącej pobłażliwości. Możliwe, że pamiętał o tym, iż oboje wyznawaliśmy tę samą religię. W świecie głupców byłam dla niego, jak mi się zdaje, jednym z większych głupców. Od pierwszego dnia, gdy zaczął u mnie pracować i związał swój los z moim, czułam na sobie jego czujny, przenikliwy wzrok. Wiedziałam też, że cały mój modus vivendi był przedmiotem ostrej choć pozbawionej uprzedzeń krytyki. Zdaje mi się, że od samego początku Kamante uważał wszystkie moje wysiłki w celu przywrócenia mu zdrowia za manię beznadziejnej ekscentryczki. Mimo to darzył mnie zawsze sympatią i robił wszystko, aby przewyciężyć moją ignorancję. W wielu wypadkach stwierdziłam, że poświęcał dużo czasu na przemyślenie moich spraw, a nawet starał się swoje pouczenia przedstawić tak obrazowo, żebym je łatwo mogła pojąć.

Kamante zaczął w moim domu karierę jako toto do psów, potem awansował z psiarczyka na asystenta przy leczeniu chorych. Gdy zobaczyłam, że ma bardzo zręczne ręce – chociaż po ich wyglądzie nikt by tego nie przypuszczał – skierowałam go do kuchni, gdzie był kuchnikiem przy moim starym kucharzu imieniem Eza, który później został zamordowany. Po śmierci Ezy Kamante objął jego funkcję i już do końca był moim „szefem kuchni”.

Krajowcy mają zwykle mało uczucia dla zwierząt, ale Kamante był, jak i pod innymi względami, wyjątkiem. Okazał się bardzo sumiennym psiarczykiem, wczuwał się w psie sprawy jak w swoje i potrafił przychodzić do mnie i informować mnie o tym, czego psy sobie życzyły, czego im brakowało, i co w ogóle myślały o bieżących sprawach. Pod jego opieką psy nie miały pcheł, które stanowią w Afryce prawdziwą plagę. Często zdarzało się, że w środku nocy oboje z Kamante, obudzeni skomleniem sfory, przy świetle latarni wyłapywaliśmy na psach jedną po drugiej wielkie i mordercze mrówki siału, które maszerują pojedynczo i pożerają wszystko po drodze.

W czasie pobytu w szpitalu misyjnym Kamante musiał robić dobry użytek z oczu – chociaż i tam, jak zawsze i wszędzie, nie wykazywał najmniejszego szacunku dla lekarzy – bo okazał się myślącym i zapobiegliwym pomocnikiem w leczeniu. Już po opuszczeniu tego stanowiska przychodził czasami z kuchni, aby asystować przy jakimś przypadku i udzielać mi bardzo rozsądnych rad.

Jako kucharz był jednak czymś jeszcze innym, zgoła nieporównywalnym. Natura dokonała wielkiego skoku i w uszeregowaniu zdolności i talentów zerwała z wszelkim porządkiem. Coś w tym było tajemniczego i niewytłumaczalnego jak w każdym wypadku, gdy w grę wchodził geniusz. W kuchni, w świecie kulinarnym, Kamante zdradzał wszystkie cechy genialności, włączając nawet przekleństwo ścigające każdego geniusza, a polegające na tym, że jest bezsilny w obliczu własnej potęgi. Gdyby Kamante urodził się w Europie i dostał się w ręce dobrego nauczyciela, mógłby zyskać sławę i stać się niezwykle postacią w historii. Tu w Afryce też zyskał rozgłos, a do swej sztuki podchodził jak mistrz.

Sama interesowałam się sztuką kulinarną. W czasie pierwszych odwiedzin Europy brałam lekcje u francuskiego szefa kuchni w pewnej wytwornej restauracji, bo uważałam, że gotowanie dobrego jedzenia w Afryce będzie bardzo zabawne. Ów szef, monsieur Perrochet, był tak zbudowany moim zapalem do tej sztuki, że zaproponował mi wówczas przystąpienie do spółki, w jego restauracji. Teraz więc, mając przy sobie Kamante jako domowego ducha do pomocy przy czarach, oddałam się znów starej namiętności. Nasza współpraca otwierała przede mną wspaniałe perspektywy. Nie mogłam sobie wyobrazić większego misterium nad zetknięcie się z tym naturalnym instynktem kulinarnym pozwalającym pierwotnemu człowiekowi zgłębić arkana naszej sztuki kuchennej. Inaczej spojrzałam na naszą cywilizację, może jednak jest darem niebios. Czułam się jak człowiek, który odzyskał wiarę w Boga, ponieważ frenolog pokazał mu w mózgu miejsce będące siedzibą wymowy teologicznej:

jeżeli można udowodnić istnienie wymowy teologicznej, to tym samym udowadnia się istnienie teologii, a w końcu także istnienie Boga.

Kamante posiadał niesłychaną zręczność we wszystkim, co dotyczyło gotowania. Wszystkie sztuczki i *tours-de-force* na terenie kuchni były dla jego czarnych rąk dziecinną zabawką; te ręce same wiedziały wszystko na temat omletów, pasztecików, sosów i majonezów. Miał specjalny dar nadawania rzeczom lekkości, jak w legendzie o małym Jezusie, który lepi ptaszki z gliny i każe im latać. Nie cierpiał skomplikowanych urządzeń, jakby się obawiał zbytniego od nich uzależnienia. Gdy raz dałam mu maszynkę do bicia piany, pozwolił jej zardzewieć wśród rupieci, a sam bił pianę nożem do oczyszczania trawnika z chwastów – i ubita przez niego piana piętrzyła się na kształt lekkiej chmurki. Jako kucharz szczylił się bystrym wzrokiem, potrafił z całego stada drobiu na podwórzu wybrać najtłustszego ptaka, do rozpoznania zaś, kiedy jajko zostało zniesione, wystarczyło mu zważyć je na dłoni. Ciągłe myślenie nad ulepszeniem mego jadłospisu i jakimiś tajemniczymi drogami wy dostał od przyjaciela, pracującego u pewnego lekarza w innej stronie Kenii, nasiona naprawdę wspaniałej sałaty, której przez wiele lat na próżno poszukiwałam.

Miał doskonałą pamięć do przepisów. Nie umiał czytać i nie znał angielskiego, więc książki kucharskie były dlań bezużyteczne, potrafił jednak za pomocą jakiegoś dla mnie niepojętego systemu utrzymać w swej niezbyt pięknej głowie wszystko, czego się kiedykolwiek dowiedział. Potrawy nazywał według wydarzeń, które miały miejsce w tym dniu, kiedy się ich nauczył. Tak więc mówił o sosie „pioruna, który uderzył w drzewo” i o sosie „siwego konia, który zdechł”. Nigdy jednak nie pomieszał tych dwu rzeczy. W jednym tylko punkcie nie potrafiłam nic z nim wskórać, a mianowicie nie mogłam go nauczyć kolejności podawania potraw do stołu. Mając więc gości na obiedzie musiałam przygotowywać dla mego szefa kuchni coś w rodzaju obrazkowego menu: najpierw talerz do zupy, potem ryba, potem kuropatwa albo karczochy. Nie sądzę aby ta słaba strona wynikała u niego z braku pamięci; przypuszczam raczej, że w głębi serca uważał, iż wszystko ma swoje granice i szkoda tracić czas na tak mało ważne rzeczy jak przestrzeganie kolejności potraw.

Praca z demonem daje dużo emocji. Formalnie kuchnia należała do mnie, ale w okresie naszej współpracy czułam, że nie tylko kuchnia, lecz cały otaczający nas świat przechodzi w ręce Kamante. Bo w kuchni on doskonale pojmował wszystkie polecenia, czasem nawet zgadywał moje myśli, zanim zdążyłam coś powiedzieć. Nigdy nie potrafiłam zdać sobie jasno sprawy, jak Kamante mógł dojść do takiego mistrzostwa w sztuce, której właściwego znaczenia nie rozumiał i dla której czuł właściwie tylko pogardę.

Kamante nie mógł wiedzieć, jaki smak powinny mieć nasze potrawy, i mimo swego nawrócenia i kontaktu z cywilizacją pozostał w głębi serca zatwardziałym Kikujusem wrosłym w tradycje swego plemienia i głęboko wierzącym, że jedynie taki styl życia, który się na tych tradycjach opiera, jest godny człowieka. Wprawdzie od czasu do czasu kosztował gotowane przez siebie potrawy, lecz czynił to z wyraźnym brakiem zaufania, jak czarownica pociągająca łyk ze swego kotła. Sam, wzorem ojców, wolał się odżywiać kolbami kukurydzy. Pod tym zresztą względem czasami nawet jego wrodzona inteligencja zawodziła, potrafił ofiarować mi jakiś kikujuski przysmak – pieczony słodki kartofel albo kawałek baraniego łoju – w takim odruchu, jak dobrze ułożony pies, który żył długo wśród ludzi, kładzie na podłozie przed człowiekiem prezent w postaci kości. Zdaje mi się, że w głębi duszy Kamante przez cały czas uważał naszą troskę o sprawy jedzenia za zwykłe szaleństwo. Czasami starałam się wybadać jego poglądy na ten temat, lecz chociaż o wielu sprawach wypowiadał się bardzo szczerze, niektórych nic chciał poruszać – w efekcie pracowaliśmy obok siebie w kuchni, ale nie wymienialiśmy poglądów na temat znaczenia sztuki kulinarnej.

Wysyłałam Kamante na naukę do klubu Muthaiga albo do kucharzy zatrudnionych u moich przyjaciół w Nairobi, jeżeli w ich domu spotkałam się z jakąś smaczną potrawą. Gdy skończył tę naukę, mój własny dom stał się w całej Kenii sławny z dobrej kuchni. Sprawiało

mi to wielką przyjemność. Byłam żądna poklasku i podziwu dla tej sztuki, cieszyłam się więc bardzo, gdy przyjaciele i znajomi przyjeżdżali do mnie na obiad. Natomiast Kamante nie dbał o wyrazy uznania z niczyjej strony. Mimo to pamiętał, jakie są ulubione potrawy różnych moich przyjaciół, którzy byli najczęstszymi gośćmi na farmie. „Ugotuję rybę w białym winie dla Bwana Berkeley Cole”, mówił z tak ponurą miną, jakby wspominał nazwisko wariata. „On przysłał ci białe wino, żeby w nim gotować rybę”. Chcąc zasięgnąć opinii wielkiego znawcy, zaprosiłam na obiad pana Charlesa Bulpetta z Nairobi, mego starego przyjaciela. Pan Bulpett był wielce bywałym przedstawicielem starszej generacji; zjeździł cały świat i wszędzie kosztował tego, co najlepsze; nigdy nie dbał o zabezpieczenie przyszłości, jak długo mógł korzystać z bieżącej chwili. Książki o wyczynach sportowych i alpinistycznych, pochodzące sprzed pięćdziesięciu lat, mówią o jego karierze sportowej i wspinaczkach w górach Szwajcarii i Meksyku. W książce o sławnych zakładach *Lekko przyszło, lekko poszło* można przeczytać o tym, jak wypełniając warunki zakładu Bulpett przepłynął Tamizę we fraku i cylindrze. Później – i bardziej romantycznie – przepłynął Hellespont śladem Leandra i lorda Byrona. Bardzo byłam zadowolona z jego przybycia na intymny obiad we dwoje; możliwość podania człowiekowi, którego się lubi, własnoręcznie przyrządzonego smacznego jedzenia sprawia szczególną przyjemność. W zamian za to on zdradził mi swe poglądy na tematy kulinarne i na wiele innych rzeczy; oświadczył również, że nigdzie nie jadł lepszego obiadu.

Miałam też zaszczyt gościć na obiedzie księcia Walii, który gratulował mi z powodu mego sosu Cumberland. Gdy powtórzyłam te pochwały Kamante, pierwszy i ostatni raz słuchał z wielką uwagą – bo tubylcy wysoko stawiają królów i lubią o nich rozmawiać. Wiele miesięcy później zapragnął jeszcze raz usłyszeć tę historię i nagle spytał mnie:

– Czy synowi sultana smakował świński sos? Czy zjadł wszystko?

Kamante okazywał mi względy także poza kuchnią. Chciał mi pomóc według swego najlepszego rozumienia jasnych i ciemnych stron życia.

Pewnej nocy, tuż po dwunastej, wkroczył nagle do mej sypialni z latarnią w ręku, milczący i skupiony jak na służbie. To musiało być wkrótce po jego zainstalowaniu się u mnie, bo był jeszcze bardzo mały; stojąc obok łóżka z olbrzymimi, sterczącymi uszami przypominał nietoperza, który wleciał do pokoju, albo złośliwego chochlika, który błędnym ognikiem sprowadza wędrowców na manowce.

– Msabu – przemówił uroczyście – myślę, że powinnaś wstać.

Siadłam na łóżku zaskoczona i pomyślałam, że gdyby zaszło coś ważnego, to Farah przyszedłby mnie obudzić. Gdy jednak kazałam Kamante wyjść, on się nie ruszył.

– Msabu – powtórzył – myślę, że powinnaś wstać. Myślę, że Bóg nadchodzi.

Gdy to usłyszałam, rzeczywiście wstałam z łóżka i spytałam Kamante, dlaczego tak myśli. Zamiast odpowiedzi zaprowadził mnie do jadalni, gdzie okna wychodziły na zachód, na góry. Zobaczyłam przedziwne zjawisko. W górach paliła się trawa, od samego szczytu aż do podnóża; sprawiało to takie wrażenie, jakby ściana ognia stała zupełnie pionowo, i naprawdę przywodziło to na myśl jakąś gigantyczną figurę, która zbliżała się w naszym kierunku. Przez jakiś czas podziwiałam ten fenomen, potem zaczęłam go wyjaśniać stojącemu obok Kamante. Chciałam go uspokoić, bo wydawał mi się okropnie przerażony. Ale moje wyjaśnienia nie wywarły na nim większego wrażenia; sądził widocznie, iż z chwilą zbudzenia mnie skończyła się jego misja.

– Niech będzie, może tak jest – oświadczył. – Ale myślałem, że powinnaś wstać na wypadek przyjścia Boga.

Dzikus w domu emigranta

Pewnego roku całkowicie zawiodła pora deszczowa.

To jest tragiczne, koszmarnie doświadczenie i żaden farmer, który je przeżył, nigdy tego nie zapomni. Jeszcze po latach, z dala od Afryki, w wilgotnym klimacie któregoś z północnych krajów, będzie się w nocy budził na odgłos nagłej ulewy i wołał ze łzami radości: „Nareszcie, nareszcie”.

W normalnych latach pora deszczowa zaczynała się w ostatnim tygodniu marca i trwała do połowy czerwca. Do zjawienia się pierwszego deszczu z dnia na dzień robiło się coraz goręcej i suszej, coraz niespokojniej – jak w Europie, przed wielką burzą, tylko znacznie gorzej.

Masaje, moi sąsiedzi zza rzeki, podkładali w tym okresie ogień na wysuszonych stepach, aby z nastaniem deszczu mieć nową, zieloną trawę dla swego bydła. Powietrze nad równiną tańczyło przy takiej pożodze, warstwy popielatego albo różnokolorowego dymu słały się nad pozólkłą trawą, a żar i swąd docierały do nas jak z bliskiego paleniska.

Nad ziemią zbierały się olbrzymie chmury po to, by znów zniknąć; czasami warkocz lekkiego deszczu rysował się niebieskawą smugą daleko nad horyzontem. Cały świat myślał tylko o jednym.

Któregoś wieczoru, tuż przed zachodem słońca, sceneria krajobrazu zaczynała się zacieśniać, gdy zbliżały się i stawały coraz intensywniejsze, coraz wyraźniejsze w swym czystym, niebieskim i zielonym kolorycie. Kilka godzin później gwiazdy znikwały na niebie i czuło się powietrze miękkie, ciężkie i brzemienne błogosławieństwem.

Gdy nad głową przelatywał coraz głośniejszy szum, to był wiatr w gałęziach wysokich drzew – lecz nie deszcz. Gdy szelest toczył się po samej ziemi, to był wiatr wśród krzaków i wysokich traw – lecz nie deszcz. Gdy łomotało i tłukło się nieco wyżej, to był wiatr wśród łanów kukurydzy – tak bardzo przypominający odgłos deszczu, że raz po raz człowiek ulegał złudzeniu i nawet odczuwał zadowolenie jak wtedy, kiedy się jakąś rzecz upragnioną zobaczy przynajmniej na scenie – lecz nie deszcz.

Dopiero gdy ziemia odpowiedziała jak płyta rezonansowa głębokim, płodnym rykiem, a cały świat rozśpiewał się dokoła we wszystkich wymiarach, górą i dołem – to był deszcz. Wywoływał takie uczucie jak powrót nad długo nie widziane morze, jak objęcie kochanka.

Pewnego jednak roku pora deszczowa nie nadeszła. Zdawało się, że wszechświat odwraca się od nas. Robiło się chłodniej, zdarzały się zimne dni, lecz w powietrzu nie było ani śladu wilgoci. Wszystko stawało się coraz suchsze i twardsze, świat tracił urok i siłę. To nie była dobra lub zła pogoda, lecz – zaprzeczenie jakiegokolwiek pogody, jakby ta została odłożona *sine die*. Przenikliwy wiatr, dokuczliwy jak przeciąg, świstał nad głową; wszystkie barwy znikwały z pola i lasy straciły zapach. Przygniatało uczucie niełaski Żywiółów. Na południu spalone równiny leżały czarne i opustoszałe, posypane szarym i białym popiołem.

Z każdym dniem daremnego wyczekiwania na deszcz nadzieja malała i ulatniała się. Oranie, przecinanie gałęzi i sadzenie, wszystkie roboty kilku ostatnich miesięcy zdały się psu na buty. Praca na farmie toczyła się coraz ospalej, wreszcie ustała.

Źródła i sadzawki w górach i na równinie wyschły bez śladu, do mego stawu zaczęły zlatywać różne nowe gatunki kaczek i gęsi. Do drugiego stawu, na skraju posiadłości, zebry przychodziły pić rano i wieczorem. Było ich dwieście lub trzysta, wędrowały długimi rzędami, źrebięta trzymały się matek. Wcale się mnie nie bały, gdy przejeżdżałam między nimi. Ze względu na nasze własne bydło staraliśmy się nie dopuszczać zebra na teren farmy, bo poziom wody w stawach opadał. Przyjemnie jednak było znaleźć się nad stawem, gdzie rosnące w mule sitowie tworzyło zielone plamy na tle brązowego krajobrazu.

Tubylcy nie mówili o posusze, nie mogłam z nich wydobyć ani słowa na temat przewidywań, chociaż było rzeczą naturalną, że więcej powinni wiedzieć o znakach wróżących rodzaj pogody niż my, przybysze z obcych stron. Ich byt był zagrożony, spotykali się już – podobnie jak ich ojcowie – z utratą w latach posuchy dziewięciu dziesiątych pogłowia bydła. Ich szamby były suche, rosło na nich jeszcze trochę więdnących pędów

słodkich ziemniaków i kukurydzy.

Z czasem przejęłam od tubylców ich podejście, przestałam mówić o ciężkich czasach i skarżyć się na nie głosem człowieka w niełasce. Byłam jednak Europejką i nie dość długo mieszkałam w Afryce, aby osiągnąć zupełną bierność tubylców, chociaż to udaje się Europejczykom przebywającym w Afryce przez wiele dziesiątków lat. Byłam młoda i instynkt samozachowawczy kazał mi skoncentrować na czymś energię, aby nie ulecieć z wiatrem jak kurz na drodze albo dym na równinie. Wieczorami zaczęłam pisać opowiadania i bajki, a to zajęcie przenosiło mnie myślami daleko, do innych krajów i innych czasów. Niektóre opowiadania czytałam przyjacielom, którzy odwiedzali mnie na farmie. Gdy wstawałam od pisania i wychodziłam przed dom, wiał ostry wiatr, milion gwiazd świeciło na czystym niebie i wszystko było suche.

Początkowo pisywałam tylko wieczorami, potem siadywałam do maszyny także rano, kiedy obowiązek kazał zajmować się gospodarstwem. Ale tak trudno było zdecydować, czy ponownie przeorać pole kukurydzy i jeszcze raz ją zasadzić, czy zerwać zwiędłe owoce kawy w celu ratowania drzewek, czy też zostawić je na gałęziach.

Pisałam zwykle w jadalni, gdzie cały stół był zarzucony papierami, bo między opowiadaniem i bajkami musiałam jeszcze zajmować się rachunkami i odpowiadać na rozpaczliwe meldunki zarządcy farmy. Moi boye przychodzili i wypytywali, co robię. Gdy im powiedziałam, że próbuję napisać książkę, uznali to za rozpaczliwy wysiłek uratowania farmy od skutków ciężkich czasów i bardzo się tym zainteresowali. Później wypytywali, jak postępuje pisanie. Często stali bez ruchu obserwując moją pracę, ich twarze były prawie koloru boazerii na ścianach, a wieczorem odnosiłam wrażenie, że same białe szaty stoją przy ścianach i dotrzymują mi towarzystwa.

Jadalnia była zwrócona ku zachodowi i miała troje oszklonych drzwi, które otwierały się na taras i dawały widok na trawnik i las. Teren opadał z tej strony w kierunku rzeki tworzącej granicę między moją farmą a rezerwatem Masajów. Z domu nie można było dojrzeć rzeki, ale jej kręty bieg znaczyły wysokie ciemnozielone akacje rosnące wzdłuż brzegów. Po drugiej stronie rzeki teren znów się wznosił, na pochyłości rósł las, a potem zielona równina rozciągała się aż do podnóża gór Ngong.

„Gdyby moja wiara była tak silna, iż mogłaby poruszać góry, to właśnie jest ta góra, którą chciałabym przyciągnąć ku sobie”.

Wiatr wiał od wschodu: drzwi mojej jadalni, wychodzące na stronę osłoniętą od wiatru, stały zawsze otworem i dlatego zachodnia strona domu cieszyła się wielką popularnością wśród tubylców. Zawsze obchodzili z tej strony, aby utrzymać kontakt z tym, co się aktualnie działo wewnątrz. Z tego samego powodu mali pastuszkowie przypędzali tu swe kozy i paśli je na trawniku obok domu.

Ci mali chłopcy, wędrujący po farmie w towarzystwie kóz i owiec i wypatrujący pożywienia dla swoich pupilek, tworzyli w pewnym stopniu ogniwo łączące mój cywilizowany dom z życiem dzikiej natury. Moi boye nie ufali pastuszkom i niechętnie widzieli ich w pokojach, ale malcy mieli wręcz entuzjastyczny stosunek do cywilizacji; dla nich nie przedstawiała ona żadnego niebezpieczeństwa, bo w każdej chwili, gdy im się podobało, mogli ją opuścić. Głównym symbolem cywilizacji był stary niemiecki zegar z kukułką, wiszący na ścianie w jadalni. Na afrykańskim płaskowyzu zegar należał do przedmiotów zbytku. Przez cały rok z położenia słońca łatwo dało się określać czas, a ponieważ nie miało się do czynienia z odjeżdżającymi pociągami i każdy układał sobie życie według własnych gustów, czas stał się rzeczą nieważną. Niemniej jednak zegar był wspaniały. O każdej pełnej godzinie otwierały się drzwiczki w środku wianuszka różowych róż i wyskakiwała stamtąd kukulka oznajmiając godzinę czystym, zuchwałym głosem. Każde jej pojawienie się było świeżym źródłem radości dla młodzieży na farmie. Z położenia słońca

dokładnie ustalali zbliżanie się południa i za kwadrans dwunasta zbiegali się ze wszystkich stron pod dom, pędząc przed sobą kozy, które bali się zostawić same. Głowy dzieci i kóz płynęły w krzakach i wysokiej trawie przypominając łebki żab w stawie.

Zostawiwszy kozy na trawniku chłopcy wchodzili do domu, a dzięki bosym nogom czynili to bezgłośnie. Zachowywali się bardzo poprawnie i trzymali się w czasie tych wizyt czegoś w rodzaju własnego ceremoniału, który wyglądał tak: mogli się poruszać po domu zupełnie swobodnie pod warunkiem, że niczego nie dotykali, nie rozsiadali się i odzywali się tylko wtedy, gdy zadawano im pytanie. Gdy kukułka wyskakiwała z zegara, grupę chłopców ogarniał moment ekstazy i powstrzymywanego śmiechu. Niekiedy zdarzało się również, iż jakiś bardzo mały pastuszek, nie poczuwający się: jeszcze do odpowiedzialności za kozy, zjawiał się samotnie wczesnym rankiem, stał jakiś czas przed zamkniętym i milczącym zegarem, potem wypowiadał śpiewnym głosem po kikujusku hymn zachwytu i uroczyście wychodził. Moi boye śmieli się z pastuszków i w tajemnicy zdradzili mi, że tamte głupie dzieci wierzyły, iż kukułka jest żywa.

Ale za to moi boye sami przychodzili obserwować maszynę do pisania. Kamante potrafił wieczorem całą godzinę stać pod ścianą wodząc tam i z powrotem oczyma jak dwa czarne węgle; można by sądzić, że Kamante zamierza tak poznać maszynę, aby móc ją rozebrać i złożyć na nowo.

Gdy pewnego wieczora podniosłam wzrok i napotkałam te jego głęboko zamyślane oczy, po chwili wahania Kamante przemówił.

– Msabu – zapytał – czy sama wierzysz, że możesz napisać książkę?

Odpowiedziałam, że nie wiem.

Aby ktoś mógł sobie uzmysłwić rozmowę z Kamante, musi pamiętać o długiej pauzie przed każdym zdaniem, jakby brzemiennej w poczucie odpowiedzialności. Wszyscy tubylcy są mistrzami w robieniu takich pauz, dzięki czemu rozmowa nabiera perspektywy.

Kamante zrobił więc i tym razem długą pauzę, a potem oświadczył:

– Ja w to nie wierzę.

Wie miałam nikogo, z kim mogłabym dyskutować na temat swej książki; odłożyłam więc trzymany w ręku arkusz papieru i spytałam go, dlaczego nie wierzy. Zaraz stwierdziłam, że Kamante już przedtem przemyślał sobie tę rozmowę i przygotował się do niej; za plecami trzymał *Odyseję*, którą teraz położył na stole.

– Widzisz, Msabu – oświadczył – to jest dobra książka. Trzyma się kupy od początku do końca. Nie rozlatuje się nawet wtedy, gdy się ją tarmosi. Człowiek, który ją napisał, jest bardzo mądry. A to, co ty piszesz – ciągnął da lej, równocześnie tonem nagany i przyjacielskiego współczucia – jest trochę tu, a trochę tam. Gdy ktoś zapomni zamknąć drzwi, wiatr roznosi to wszystko i rozrzuca po podłodze i ty jesteś zła. To nie będzie dobra książka.

Wy tłumaczyłam mu, że w Europie potrafią kartki zeszyć w jedną książkę.

– A czy twoja książka będzie taka ciężka jak ta? – indagował dalej Kamante ważąc w ręku *Odyseję*.

Widząc moje wahanie wręczył mi gruby tom, abym mogła sama osądzić.

– Nie – odpowiedziałam – nie będzie taka ciężka. Ale sam wiesz, że w bibliotece są także lżejsze książki.

– A czy będzie taka twarda? – Kamante nie dawał za wygraną.

Odrzekłam, że robienie sztywnych książek jest bardzo kosztowne.

Przez chwilę milczał, potem zaczął zbierać kartki porozrzucane po podłodze i kłaść je na stole; tym prawdopodobnie wyrażał większe już teraz przekonanie do mojej książki. Gdy skończył zbieranie, stanął przy stole i czekał, wreszcie znów zapytał poważnym głosem:

– Msabu, co jest w tych książkach?

W celu ilustracji opowiedziałam mu historię o Odyseuszu i Polifemie, i o tym, jak Odyseusz nazwał siebie Nikim, wyłupił Polifemowi oko i uciekł przywiązany pod brzuchem

barana.

Kamante wysłuchał z zainteresowaniem i wyraził opinię, że baran musiał być tej samej rasy co owce pana Longa z Elmentaita, które widział na wystawie hodowlanej w Nairobi. Potem wrócił do Polifema i zapytał, czy ten był taki czarny jak Kikujusi. Na moją odpowiedź, że nie, zażądał wyjaśnienia, czy Odyseusz należał do mojego plemienia lub do mojej rodziny.

– A jak on – wypytywał dalej – mówił słowo „nikt” w swoim własnym języku? Powiedz to słowo.

– Mówił Autis – odparłam. – Nazywał siebie Autis, co w jego języku znaczyło „nikt”.

– A czy ty musisz pisać o tym samym? – zainteresował się.

– Nie – odrzekłam – ludzie mogą pisać o wszystkim. Ja mogę pisać o tobie.

Kamante, który dotąd wypowiadał się swobodnie, teraz znów zamknął się w skorupie. Obejrzał dokładnie swoją postać i cicho zapytał, o których jego członkach miałabym pisać.

– Mogłabym napisać o tych czasach, kiedy byłeś chory i pasłeś owce na równinie – odpowiedziałam. – Co o tym myślisz?

Jego oczy wędrowały po całym pokoju, do góry i na dół, wreszcie oświadczył niewyraźnie:

– Sejui. Nie wiem.

– Czy boisz się? – próbowałam wy badać przyczynę.

– Tak – odparł po chwili milczenia. – Wszyscy chłopcy na pastwisku boją się czasami.

– Czego się boisz? – pytałam dalej.

Kamante milczał przez chwilę, twarz miał skupioną, a oczy zdradzały głęboki namysł. Potem spojrzał na mnie z grymasem i powiedział:

– Autisa. Chłopcy na pastwisku boją się Autisa.

Kilka dni później usłyszałam, jak Kamante wyjaśniał innym boyom, że książka, którą pisze Msabu, może być w Europie tak zrobiona, iż będzie się trzymać kupy. A okropnie dużym kosztem można nawet zrobić ją tak twardą jak *Odyseja*, którą równocześnie zademonstrował. On jednak osobiście nie wierzy, żeby tę książkę potrafili zrobić na niebiesko.

Kamante miał pewien talent, który mu się w moim domu bardzo przydawał. Potrafił – jestem tego pewna – płakać na zawołanie.

Gdy go czasem porządnie zbeształam, stał przede mną wyprostowany i patrzył mi w oczy z typowym dla tubylców wyrazem głębokiego żalu; potem oczy mu wilgotniały i napęniały się łzami, które powoli, jedna po drugiej, spływały mu po policzkach. Doskonale wiedziałam, że to były krokodyłe łzy, i u innych ludzi nie robiłyby na mnie najmniejszego wrażenia. Ale Kamante co innego. W takich chwilach jego płaska, drewniana twarz zapadała z powrotem w ową otchłań ciemności i bezgranicznej samotności, w której tkwił przez tak wiele lat. Takimi samymi ciężkimi łzami płakał jako mały chłopczyk na pastwisku, otoczony owcami. Wzdrygałam się na tę myśl i przez pryzmat łez inaczej patrzyłam na przewinienie, za które go beształam, a które w końcu wydawało się tak błahe, iż nie warto było więcej o nim mówić. W pewnym stopniu oznaczało to oczywistą demoralizację. Lecz mimo wszystko wierzę, że siłą istniejącego między nami prawdziwego ludzkiego porozumienia Kamante wiedział w głębi serca, że przejrzałam jego skrucę i nie brałam łez za nic więcej, niż były rzeczywiście warte. Wierzę nawet, że Kamante traktował swe łzy bardziej jako ceremoniał należny wyższej sile niż jako próbę wyprowadzenia mnie w pole.

Często mówił o sobie jako o chrześcijaninie. Nie wiem, jakie pojęcia wiązał z tą nazwą. Raz czy dwa próbowałam przepytwać go z katechizmu, ale wtedy wytłumaczył, że wierzy w to samo, co ja, a ponieważ ja muszę znać to, w co wierzę, nie ma żadnego sensu, abym jego o to pytała. Doszłam do przekonania, że to było czymś więcej niż wymówką, to było jego pozytywnym programem, jego wyznaniem wiary. Oddał się Bogu białych ludzi. W służbie

tego Boga gotów był wykonać każdy rozkaz, lecz nie podejmował się tłumaczyć tajników swego systemu postępowania, który mógł się okazać równie nierozsądny, jak system postępowania białych ludzi.

Czasami zdarzało się, iż moje postępowanie kolidowało z nauką, którą mu wszczepiono na szkockiej misji, gdzie przyjął chrześcijaństwo; wówczas pytał mnie wprost, co jest słuszne.

Uderzający jest fakt, że mieszkańcy Kenii nie mają uprzedzeń, chociaż wśród prymitywnych ludzi można by się spodziewać różnych ciemnych tabu. Zdaje mi się, że należy to przypisać ich kontaktom z wielu rasami i plemionami i żywym stosunkom z różnymi ludźmi, co datuje się we Wschodniej Afryce od dawnych czasów. Najpierw byli to handlarze kością słońsiową i niewolnikami, a dziś europejscy farmerzy i myśliwi. Niemal każdy tubylec, od małego pastuszka, spotkał się twarzą w twarz z całym wachlarzem narodowości tak różnych od siebie jak Sycylijczyk od Eskimosa: Anglicy, Żydzi, Boerzy, Arabowie, somalijscy Hindusi, Suahili, Masaje i Kawirondo. Jeżeli idzie o podatność na nowe idee, tubylcy są ludźmi bardziej obytyymi od wielu kolonistów lub misjonarzy, którzy wyrosli w jednolitym, często prowincjonalnym środowisku i przesiąkli tam zespołem sztywnych pojęć. Z tego właśnie wynika wiele nieporozumień między białymi imigrantami a mieszkańcami Afryki.

Jeżeli ktoś jest w oczach tubylców przedstawicielem chrześcijaństwa, nie może czuć się dobrze w tej skórze.

Był sobie pewien młody Kikujus imieniem Kitau, który przybył z rezerwatu Kikujusów i wstąpił do mnie na służbę. Okazał się myślącym chłopcem i dobrym boyem, więc go lubiłam. Po trzech miesiącach poprosił mnie o list polecający do mego starego przyjaciela, szejka Ali bin Salim w Mombasie, który był lewali całego wybrzeża. Jak mi tłumaczył, widział szejka u mnie w domu i chciał u niego pracować. Ponieważ Kitau właśnie nauczył się porządku domowego, niechętnie patrzyłam na jego odejście i zaproponowałam mu podwyżkę wynagrodzenia. O nie, odparł, nie opuszcza mnie w celu uzyskania większego zarobku, tylko nie może u mnie pracować. Jeszcze w rezerwacie postanowił, że zostanie chrześcijaninem albo mahometaninem, tylko nie mógł się zdecydować, kim ma być. Z tego powodu wstąpił do pracy u mnie, chrześcijanki, i przebywał trzy miesiące w moim domu, aby poznać *testurde* – zwyczaje i obyczaje – chrześcijan. Ode mnie chce się udać na trzy miesiące do szejka Alego w Mombasie i obserwować *testurde* mahometan. Potem zadecyduje. Przypuszczam, że nawet arcybiskup we własnej osobie, gdyby dowiedział się o takim postawieniu sprawy, zawołałby albo przynajmniej pomyślał to, co ja rzekłam w tej chwili: „Na Boga, Kitau, mogłeś mi o tym powiedzieć wtedy, kiedy się tu zjawiłeś”.

Mahometanie nie będą jedli mięsa zwierzęcia, które rozstało się z życiem bez rytualnego poderżnięcia gardła przez wyznawcę tej samej wiary. Czasem powstają z tym trudności na safari, gdy nie bierze się zbyt wiele prowiantów i żywność dla służby pochodzi z upolowanej zwierzyny. Gdy myśliwy zastrzeli kongoni i ta upadnie, mahometkańscy boye lecą w to miejsce jak na skrzydłach, aby poderżnąć zwierzęciu gardło, zanim wyda ostatnie tchnienie. Myśliwy patrzy w napięciu, bo jeżeli zobaczy boyów stojących nad zwierzęciem z opuszczonymi rękami i głowami, oznacza to, że kongoni skonała przed ich przybyciem i myśliwy musi uganiać się za inną sztuką – albo boye będą głodować.

Gdy na początku wojny wybierałam się w drogę wozami: zaprzęgniętymi w woły, ostatniego wieczoru przed wyruszeniem przypadkowo spotkałam w Kibaje mahometkańskiego duchownego i poprosiłam go, czy nie mógłby udzielić moim ludziom dyspensy na okres trwania naszej podróży.

Duchowny był człowiekiem młodym, lecz mądrym. Porozmawiał z Farahem i Ismailem i ogłosił:

– Ta lady jest wyznawczynią Jezusa Chrystusa. Gdy wystrzeli ze swego sztucera, powie głośno albo przynajmniej w duszy: „W imieniu Boga”, a przez te słowa jej kula nabierze

takiego samego znaczenia jak nóż prawowiernego mahometanina. Podczas tej podróży możecie jeść mięso zwierząt przez nią zastrzelonych.

Prestizj religii chrześcijańskiej bardzo cierpiał w Afryce na tym, że jeden kościół okazywał nietolerancję wobec drugiego.

W czasie swego pobytu w Kenii jeździłam w wieczory wigilijne do francuskiej misji na pasterkę. O tej porze roku było zwykle gorąco; przejeżdżając przez plantację akacji garbnikowej, już z daleka słyszałam w czystym powietrzu dzwon na stacji misyjnej. Na placu wokół kościoła zbierał się tłum szczęśliwych i ożywionych ludzi, byli tam francuscy i włoscy kupcy z Nairobi ze swymi rodzinami, zakonnice ze szkoły misyjnej, wreszcie liczna rzesza miejscowych wiernych odświętnie wystrojonych. Kościół tonął w blasku setek świec i olbrzymich lampionów, które ojcowie sami robili.

Gdy nadeszło pierwsze Boże Narodzenie po tym, jak Kamante zamieszkał w moim domu, powiedziałam mu, że jako współwyznawcę chrześcijaństwa chcę go zabrać ze sobą na mszę; opisałam mu wszystkie wspaniałe rzeczy, jakie zobaczy, a sami ojcowie nie potrafiliby piękniej odmalować swej uroczystości. Kamante wysłuchał wszystkiego bardzo wzruszony i ubrał się w najlepsze rzeczy. Lecz gdy samochód stał już przed drzwiami, przyszedł do mnie bardzo wzburzony i oświadczył, że nie może jechać. Z początku nie chciał wyjawić powodu i uchylał się od odpowiedzi na pytania, ale – w końcu przyczyna wyszła na jaw. Nie, nie mógł jechać, bo uświadomił sobie, że miałam go zabrać do francuskiej misji, a w czasie pobytu w szpitalu bardzo poważnie go ostrzegano przed tą misją. Wy tłumaczyłam mu, że to wszystko polegało na nieporozumieniu i że musi ze mną jechać. Na to Kamante zaczął mdleć, wywracał oczyma tak, że mu widać było tylko białka, a z twarzy lał mu się pot strumieniami.

– Nie, nie, Msabu – szeptał – nie pojedę z tobą. W tym wielkim kościele, wiem o tym dobrze, tam jest taka Msabu, która jest mbaia sana – okropnie zła.

Usłyszawszy te bzdury rozżołościłam się na dobre, a potem doszłam do przekonania, że teraz muszę go koniecznie zabrać do kościoła, aby sama Madonna mogła go oświecić. Ojcowie mieli w kościele figurę Matki Boskiej naturalnej wielkości z papier-mâché, w białym i niebieskim kolorze. Na tubylcach figury robią na ogół wrażenie, nie potrafią oni natomiast pojąć istoty obrazu. Przyrzekłszy Kamante opiekę zabrałam go do kościoła, a on, gdy tylko deptając mi po piętach wszedł do wnętrza, zaraz zapomniał o wszystkich skrupułach. Zbiegiem okoliczności pasterka okazała się najwspanialszą, jaką kiedykolwiek urządzono w misji. W kościele stała ogromna szopka – grotta ze Świętą Rodziną – świeżo przysłana z Paryża. Oświetlały ją promienne gwiazdy na tle lazurowego nieba, a wokół stała setka zwierząt – drewnianych krów i białych owiec zrobionych z waty których rozmiary były dowolne. Widok musiał doprowadzać serca Kikujusów do ekstazy.

Odkąd Kamante został chrześcijaninem, nie obawiał się już dotykać ciała zmarłych.

Przedtem bał się tego i gdy raz na tarasie przed moim domem umarł pewien człowiek przyniesiony tam na noszach, Kamante podobnie jak inni nie chciał pomóc przy odniesieniu go z powrotem. Tym tylko różnił się od reszty, że nie cofnął się jak inni aż na trawnik, ale stał nieruchomo na krawędzi tarasu przypominając małą, czarną statuetkę. Dlaczego Kikujusi, którzy nie obawiają się śmierci, wzbraniają się dotknąć zwłok, podczas gdy biali ludzie którzy boją się śmierci, bez oporu zajmują się zmarłymi – pozostaje dla mnie tajemnicą. Jeszcze raz potwierdza się wrażenie, że rzeczywistość mieszkańców Afryki nie pokrywa się z naszą. Wszyscy biali osadnicy doskonale wiedzą, że pod tym względem nie potrafią niczego narzucić tubylcowi i że lepiej nie tracić czasu i z góry zrezygnować z wszelkich prób przekonania go, bo raczej zginie, niż zmieni swe nastawienie.

Kamante pozbył się już obawy przed zwłokami i wyszydzał ją u swych współplemieńców. Lubił się nawet trochę tym popisywać, jakby chciał się pochwalić potęgą swego Boga. Zdarzały się okazje wypróbowania jego wiary; przez cały czas naszego pobytu na farmie

trzykrotnie nosiliśmy z Kamante zwłoki zmarłych. Pierwszą była młoda kikujska dziewczyna przejechana przez wóz obok mego domu. Drugim – młody Kikujus, który zginął przy wyrębie drzew w lesie. Trzecim – pewien stary biały człowiek, który mieszkał na farmie, brał udział w jej życiu i zmarł na niej.

Był to mój rodak, stary, ślepy Duńczyk nazwiskiem Knudsen. Gdy pewnego razu pojechaliśmy do Nairobi, on wymacał drogę do mego samochodu, przedstawił się i poprosił o dach nad głową na farmie, gdyż nie miał się gdzie podziać na tym świecie. W tym okresie redukowałam biały personel na farmie, miałam więc pusty bungalow, który mu mogłam oddać do dyspozycji. Stary Knudsen sprowadził się tam i mieszkał na farmie sześć miesięcy.

Była to niezwykła postać, szczególnie na tle farmy leżącej na afrykańskim płaskowyżu: tak bardzo związana z morzem, że wydawało się nam, iż mamy wśród siebie starego albatrosa z podciętymi skrzydłami. Złamało go ciężkie życie, choroby i trunki, był zgarbiony i pokręcony, a włosy miał tego dziwnego koloru, który zdarza się u ludzi rudych po osiwienu – jakby posypał je popiołem albo jakby został posypany solą i w ten sposób naznaczony przez swój własny żywioł. Żaden jednak popiół nie mógł skryć ognia, który w nim płonął. Pochodził z duńskich rybaków i był marynarzem, a potem jakiś wiatr przywiał go do Afryki, gdzie został jednym z pierwszych pionierów.

Wielu rzeczy miał się stary Knudsen w swym życiu, głównie tego, co miało coś wspólnego z wodą, rybą i ptactwem, na niczym jednak dobrze nie wyszedł. Przez jakiś czas, tak mi opowiadał, był właścicielem dużego przedsiębiorstwa rybackiego na Jeziorze Wiktorii. Przedsiębiorstwa posiadało dziesiątki kilometrów najlepszych sieci rybackich na świecie oraz motorowy kuter. Stracił to jednak w czasie wojny. Z jego opowiadań o tej tragedii przebijało jakieś czarne wspomnienie dotyczące albo fatalnego nieporozumienia, albo zdrady ze strony przyjaciela. Dokładnie nie wiem, bo choć wiele razy relacjonował mi swą historię, szczegóły nigdy się nie pokrywały, nadto w momencie dojścia do tej sprawy Knudsen ogarniało zawsze straszne rozdrażnienie. Mimo wszystko jego opowiadania musiały zawierać ziarno prawdy, bo w czasie pobytu u mnie pobierał od rządu, tytułem odszkodowania za poniesione straty, coś w rodzaju renty wynoszącej szylinga dziennie.

Wszystko to opowiadał w czasie wizyt, które składał w moim domu. Często do mnie przychodził, bo nie czuł się dobrze w swym bungalowie. Mali miejscowi chłopcy, których mu przydzieliłam w charakterze boyów, stale od niego uciekali, bo przerażał ich widok ślepego starca poruszającego się z wyciągniętą do przodu głową i stukającego na oślepek łaską. Gdy Knudsen był w dobrym nastroju, siadywał u mnie na werandzie nad filiżanką kawy i śpiewał patriotyczne pieśni duńskie, sam jeden i z wielką energią. Oboje znajdowaliśmy przyjemność w rozmawianiu po duńsku, więc tylko dla podtrzymania rozmowy wymienialiśmy uwagi na temat różnych mało ważnych wydarzeń na farmie. Nie zawsze jednak miałam dla niego dosyć cierpliwości, bo gdy raz przyszedł i zaczął mówić, trudno było go uciszyć i skłonić do powrotu do siebie. W naszych codziennych kontaktach Knudsen odgrywał, jak się należało spodziewać, rolę Sindbada Żeglarza z *Tysiąca i jednej nocy*.

Był mistrzem w wiązaniu sieci rybackich – najlepszych na świecie, jak sam mówił. Tutaj zaś, w bungalowie na farmie, robił kiboks, bicze ze skóry hipopotama. Kupował tę skórę albo u krajowców, albo od farmerów znad jeziora Naiwasza, w najlepszym zaś wypadku mógł z jednej wykroić nawet pięćdziesiąt biczków. Dotąd mam doskonałą szpicrutę, którą mi podarował. Wyrób biczków powodował, że wokół jego bungalowu okropnie śmierdziało, jak koło gniazda starego kruka – padliniarza. Później, gdy urządziliśmy staw na samej farmie, niemal zawsze można go było zastać nad brzegiem głęboko zamyślonego. Jego postać odbijała się prostopadle w wodzie jak sylwetka morskiego ptaka więzionego w ogrodzie zoologicznym.

Stary Knudsen posiadał w zapadniętej piersi proste i gorące, popędliwe i dzikie serce młodego chłopca, pałającego nie fałszowaną żądzą walki; był wielkim, romantycznym

zabijaką. Szczególnie wyżywał się w uczuciu antypatii, zawsze kipiał z wściekłości i oburzenia na niemal wszystkich ludzi i instytucje, z którymi miał do czynienia, wzywał na nich pomsty z nieba używając przy tym czysto duńskich zwrotów. Cieszył się ogromnie, gdy mógł tak poróżnić dwóch ludzi, żeby wzięli się za łby; przypominał w tym małego chłopca, który podszczuwa na siebie dwa psy lub psem szczuje kota. Po długim i ciężkim życiu, gdy wreszcie, można powiedzieć, zniosło go na cichą wodę, gdzie mógł odpocząć z opuszczonymi żaglami, rogata dusza starego Knudsen a ciągle jeszcze skora była do opozycji i walki jak dusza młodego chłopca. Odczuwałam szacunek dla tej nieugiętej siły starego człowieka.

O sobie mówił wyłącznie w trzeciej osobie, „stary Knudsen”, i zawsze z ogromnymi przechwałkami. Nie było takiej rzeczy na świecie, której by stary Knudsen nie dał rady, nie było też siłacza, którego by stary Knudsen nie pokonał. Gdy szło o innych ludzi, stary był skrajnym pesymistą i zawsze przewidywał rychły, katastrofalny i całkiem zasłużony koniec ich działalności. Natomiast w odniesieniu do siebie był zaciekle optymistą. Na krótko przed śmiercią zdradził mi w wielkiej tajemnicy plan, który miał starego Knudsen a uczynić co najmniej milionerem, a wszystkich jego wrogów wystawić na pośmiewisko. Miał zamiar, jak mi się zwierzył, wybrać z dna jeziora Naiwasza setki tysięcy ton zalegającego tam guano, zostawionego od początku świata przez ptaki pływające po wodzie. Z niesłychanym wysiłkiem odbył podróż z farmy do jeziora Naiwasza, aby przestudiować problem i opracować szczegóły planu. Umarł w jego blasku. Plan miał w sobie wszystkie elementy drogie sercu starego: toń wodną, ptaki, ukryte skarby; nawet coś z tego, o czym się nie mówi w obecności pań. A ponad tym wszystkim jego autor widział oczyma duszy triumfującego starego Knudsen a z trójzębem w ręku. Nie pamiętam jednak, czy kiedykolwiek wyjaśnił mi, w jaki sposób guano miało być wydobywane z dna jeziora.

Wielkie czyny i osiągnięcia starego Knudsen a, tak jak mi je opowiadał, wyraźnie kontrastowały ze słabością starego człowieka, z którego ust pochodziły relacje; w końcu czułam, że miałam do czynienia z dwoma różnymi i zasadniczo odmiennymi osobowościami. Potężna postać starego Knudsen a, niepokonanego i triumfującego bohatera wszystkich przygód, górowała z tyłu sceny, ja zaś znałam jego starego, zgiętego wpół i steranego sługę, który mi o tamtym bohaterze prawił. Ten mały, skromny człowieczek uważał za swą misję życiową rozślawienie imienia starego Knudsen a. Czynił to aż do śmierci. Bo też on jeden jedyny z ludzi, obok Boga, naprawdę starego Knudsen a widział i nie ścierpałby żadnych herezji na ten temat.

Tylko raz słyszałam, że mówił o sobie w pierwszej osobie. Było to dwa miesiące przed śmiercią. Dostał wtedy ciężkiego ataku serca podobnego do tego, który stał się później przyczyną śmierci. Nie widząc go od tygodnia na farmie poszłam do jego bungalowu, aby dowiedzieć się o zdrowie. Zastałam go w łóżku w bardzo biednie urządzonej i brudnym pokoju, pełnym smrodu hipopotamiej skóry. Twarz miał szarą jak popiół, zamglone oczy głęboko zapadnięte. Gdy przemówiłam do niego, nie odezwał się ani słowem. Dopiero po dłuższej chwili, gdy już wstałam, aby odejść, wyrzekł nagle cichym głosem: „Jestem bardzo chory”. Tym razem nie padło wspomnienie o starym Knudsenie, który na pewno nigdy nie poddawał się chorobie; to przemawiał sługa, który raz pozwolił sobie wyrazić swą osobistą nędzę i mękę.

Stary Knudsen nudził się na farmie, więc od czasu do czasu zamykał na klucz drzwi swego bungalowu, wyjeżdżał i znikał. Działo się to, jak sądzę, najczęściej wtedy, gdy otrzymał wiadomość, że pewien stary przyjaciel, również pionier ze sławnego okresu, przybył do Nairobi. Bywał wtedy nieobecny tydzień lub dwa, aż prawie zapominaliśmy o jego istnieniu, i zawsze wracał taki chory i wyczerpany, że z trudem laził i nie mógł otworzyć swych drzwi. Po takiej wyprawie trzymał się na uboczu przez kilka dni. Jestem pewna, że obawiał się mnie, bo przypuszczał, że nie pochwalam takich eskapad i skorzystam z okazji, aby go pognębić. Stary Knudsen, chociaż czasami śpiewał o żonie marynarza, która kocha fale, w głębi serca

nie ufał kobietom i każdą uważał za wroga mężczyzny, za istotę usiłującą pod wpływem instynktu lub dla zasady położyć kres męskim zabawom.

Przed śmiercią był dwa tygodnie na zwyczajnej wyprawie i nikt na farmie nie wiedział, że wrócił do siebie. Widocznie jednak postanowił tym razem zrobić wyjątek od reguły, bo ruszył z bungalowu do mego domu ścieżką prowadzącą przez plantację. Na tej ścieżce upadł i umarł. Kamante i ja znaleźliśmy go późnym popołudniem. Był wtedy kwiecień, początek pory deszczowej, wybieraliśmy się więc szukać grzybów w niskiej, świeżej trawie na równinie.

To, że Kamante znalazł starca, było jakimś zrzędzeniem dobrego losu, bo on jeden ze wszystkich tubylców na farmie okazywał staremu Knudsenowi sympatię. Nawet się nim interesował jak jeden niezupełnie normalny drugim podobnym, a od czasu do czasu z własnej inicjatywy zanosił mu kilka jaj i pilnował usługujących chłopców, dzięki czemu nie uciekali na dobre.

Starzec leżał na plecach, z oczyma na pół przymkniętymi. Jego kapelusz upadł i potoczył się trochę dalej. Wyglądał znacznie spokojniej niż zwykle. „A więc nadszedł twój koniec, stary Knudsenie” – pomyślałam.

Chciałam go zanieść do domu, ale wiedziałam, że bezcelowe byłoby wzywanie do pomocy Kikujusów, którzy przechodzili lub pracowali na szambach opodał; dowiedziawszy się, o co chodzi, natychmiast by uciekli. Poleciłam Kamante pobiec do domu i przyprowadzić Faraha, aby mi pomógł. Lecz Kamante nie ruszył się.

– Dlaczego każesz mi iść? – zapytał.

– Przecież widzisz – wyjaśniłam – że sama nie mogę zanieść starego Bwana, a wy Kikujusi jesteście głupcy i boicie się nieść umarłego.

Kamante zaśmiał się bezgłośnie.

– Znowu zapominasz, Msabu, że ja jestem chrześcijaninem – odpowiedział.

On dźwignął zmarłego za nogi, a ja za barki i tak we dwoje zanieśliśmy go do bungalowu. Co jakiś czas musieliśmy kłaść nasz ciężar i odpoczywać. Wtedy Kamante stał wyprostowany i patrzył w dół na stopy starego Knudsen; przyszło mi na myśl, że to jest sposób zachowania się w obliczu śmierci wszczepiony na szkockiej misji.

Gdy położyliśmy zwłoki na łóżku, Kamante zaczął w pokoju i w kuchni szukać ręcznika do zakrycia twarzy zmarłego; znalazł tylko starą gazetę.

– Chrześcijanie zawsze tak robili w misji – wyjaśnił.

Długi czas potem Kamante miał wiele satysfakcji myśląc o tym przykładzie mojej ignorancji. Pracując obok mnie w kuchni nagle wybuchał śmiechem.

– Czy pamiętasz, Msabu, jak zapomniałaś, że jestem chrześcijaninem i myślałaś, że będę się bał pomóc ci nieść msungu msej – starego białego człowieka?

Jako chrześcijanin Kamante nie bał się już więcej węży. Słyszałam, jak opowiadał innym chłopcom, że chrześcijanin może w każdej chwili postawić piętę na łbie największego węża i zmiażdżyć go. Nigdy nie widziałam, by próbował ten sposób zastosować w praktyce, widziałam go natomiast, jak stał bez ruchu z twarzą skurczoną i rękoma założonymi na plecach, gdy tuż obok, na dachu chaty kucharza, ukazała się jadowita żmija afrykańska wydymająca szyję przed atakiem. Wszystkie dzieci rozbiegły się wokoło z dzikimi wrzaskami, podczas gdy Farah skoczył do domu po mój sztucer i zastrzelił gada.

Już po wszystkim, gdy napięcie minęło, Nyore zapytał Kamante:

– Dlaczego ty, Kamante, nie przydeptałeś piętą łba tego węża i nie zmiażdżyłeś go?

– Bo był na dachu – odrzekł Kamante.

Pewnego razu próbowałam strzelać z łuku. Byłam silna, mimo to z trudnością naciągałam cięciwę łuku Wanderobo, który Farah dla mnie zdobył. W końcu jednak, po długim treningu, zostałam wprawna łuczniczką.

Kamante, wtedy jeszcze bardzo mały, przyglądał się moim ćwiczeniom na trawniku i

musiał mieć jakieś wątpliwości, bo pewnego dnia powiedział:

– Czy strzelając z łuku jesteś jeszcze chrześcijanką? Myślałem, że chrześcijański sposób to używanie strzelby.

W ilustrowanym wydaniu Biblii pokazałam mu obrazek odnoszący się do opowiadania o synu Hagara: „I Bóg był z chłopcem; i rósł, i mieszkał na pustyni, i został łucznikiem”.

– To tak jak ty – zawyrokował Kamante.

Kamante umiał się obchodzić z chorymi zwierzętami, podobnie jak z moimi pacjentami. Wyjmował psom drzazgi z łap, a raz wyleczył nawet takiego, którego ugryzł wąż.

Przez pewien czas miałam w domu bociana ze złamanym skrzydłem. Ten odznaczał się bardzo zdecydowanym charakterem, wędrował po wszystkich pokojach, a gdy znalazł się w mojej sypialni, staczał zawzięte pojedynki, przy użyciu ostrego jak rapier dzioba i skrzydeł, ze swoim odbiciem w lustrze. Łaził też za Kamante między chatami i trudno było nie uwierzyć, iż celowo naśladował sztywny sposób chodzenia mego służącego. Obaj mieli takie same cienkie nogi. Mali miejscowi chłopcy łatwo dostrzegali karykaturalną sytuację i pokładali się ze śmiechu na widok tej pary. Kamante też rozumiał żart, lecz nigdy nie zwracał wiele uwagi na to, co inni o nim myśleli. Wysyłał chłopców na bagna po żaby dla bociana.

Kamante opiekował się również Lulu.

Gazela

Lulu przyszła do mego domu z lasu, tak jak Kamante przyszedł z pastwiska.

Na wschód od farmy leżał leśny rezerwat Ngong, wówczas niemal w całości pokryty dziewiczą dżunglą. Żałowałam, kiedy wycinano starą dżunglę i na tym miejscu sadzono drzewa eukaliptusowe i inne gatunki: naturalny rezerwat mógłby stanowić wspaniały teren wypoczynkowy i park dla Nairobi.

Afrykańska dżungla jest pełna tajemnic. Wjeżdża się w nią jak w głąb starego arrasu, w jednym miejscu spłowiełego, w drugim ściemniałego ze starości, lecz niezwykle bogatego w różne odcienie zieleni. Będąc w głębi dżungli nie widzi się nieba, lecz promienie słońca przebijające listowie i wyprawiające różne dziwne harce. Popielate mchy zwisające z drzew jak długie brody wraz z płataniną pnączy nadają dżungli ten jej tajemniczy charakter. Gdy w niedzielę nie było nic do roboty na farmie, przyjeżdżałam z Farahem do rezerwatu i zapuszczałam się głęboko, w górę i w dół po zboczach, w poprzek krętych strumieni. Powietrze w dżungli było chłodne i przepojone wonią roślin, a na początku pory deszczowej, gdy pnącza obsypywały się kwieciami, spotykało się coraz to nowe zapachy. Jedna z odmian afrykańskiej *Dafne*, z małymi, kremowymi kwiatami, miała odurzający słodkawy zapach jak bez lub dzika lilia. Tu i tam u konarów wisiały na skórzanych pasach wydrążone pnie: Kikujusi przygotowywali je dla pszczół, aby zbierać miód. Raz za zakrętem ścieżki zobaczyliśmy siedzącego lamparta – zwierzę jak z gobelinu.

Wysoko nad ziemią mieszkał niespokojny, gadatliwy naród, małe szare małpki. Gdy nad ścieżką przeprawiało się stado małp, ich zapach długo unosił się w powietrzu – ostry i stęchły, przypominający myszy. Jadąc dalej słyszało się nagle nad głową szum i świst – to znów stado dokądś pognało. Gdy jednak ktoś zatrzymał się w miejscu, mógł dostrzec jedną małpkę siedzącą bez ruchu na drzewie, a po jakimś czasie cały las wokoło roił się od jej krewniaków. Na gałęziach wyglądały jak owoce, szare lub ciemne, zależnie od ilości dochodzącego w to miejsce światła, wszystkie z długimi, zwisającymi ogonami. Wydawały szczególnie głos przypominający cmokliwy pocałunek z następującym po nim lekkim kaszlem. Jeżeli ktoś na ziemi naśladował ten odgłos, małpki rozglądały się zainteresowane na wszystkie strony, każdy nagły ruch powodował jednak, że zmykały w jednej sekundzie: słyhać było tylko coraz cichszy poszum wśród koron drzew, potem przepadały w lesie tak, jak ławica rybek

przepada w wodzie.

W południe pewnego upalnego dnia przez gęste zarośla zobaczyłam na ścieżce w rezerwacie Gong, olbrzymiego afrykańskiego dzika – bardzo rzadko spotykany okaz. Pan dzik zjawił się nagle w towarzystwie żony i trzech warchlaków. Cała rodzina biegła szybko i przypominała identyczne figury, tylko różnej wielkości, wycięte z ciemnego papieru i umieszczone na tle oświetlonej słońcem zieleni. Był to wspaniały widok, jakby odbicie w leśnej sadzawce, jak coś, co zdarzyło się przed tysiącem lat.

Lulu była młodą antylopą z gatunku antylop leśnych, chyba najładniejszych w Afryce. Antylopy leśne są nieco większe od danieli: żyją w lasach i krzakach, a ze względu na swą płochliwość nie są tak często spotykane jak antylopy stepowe. Góry Ngong i ich okolice były jednak dobrym terenem dla tego gatunku i w czasie polowania w górach, jeżeli wyruszyło się z obozu wczesnym rankiem albo późnym wieczorem, można było widzieć, jak wychodziły z buszu na polanki. W promieniach słońca sierść ich lśniła czerwono jak miedź; byki miały lekko zakrzywione rogi.

Lulu została członkiem mego otoczenia domowego w taki oto sposób:

Pewnego ranka jechałam z farmy do Nairobi. Suszarnia spaliła się jakiś czas przedtem, musiałam więc wielokrotnie udawać się do miasta, aby załatwić sprawę ubezpieczenia i uzyskać wypłatę odszkodowania. Tego ranka miałam głowę pełną liczb i różnych kalkulacji. Na gościńcu spotkałam grupę kikujuskich dzieci, które zaczęły do mnie kiwać i krzyczeć pokazując mi malutką antylopę leśną. Wiedziałam, że znalazły maleństwo w buszu i chciały mi je sprzedać, ale bardzo się spieszyłam na umówione spotkanie w Nairobi, więc pojechałam dalej.

Gdy wieczorem wracałam i przejeżdżałam obok tego samego miejsca, znów powitał mnie krzyk. Dzieciaki czekały tam dalej, zmęczone i niezadowolone, bo widocznie przez cały dzień nie udało im się sprzedać antylopy nikomu z przejeżdżających. Teraz, chcąc wreszcie dobić interesu przed zachodem słońca, usiłowały mnie znów skusić, dlatego wysoko podnosiły swój towar. Miałam jednak za sobą długi dzień w mieście z pewnymi kłopotami w sprawie ubezpieczenia, nie chciało mi się więc stawać i rozmawiać z dziećmi. Minęłam je i pojechałam dalej. Nawet o nich nie myślałam, gdy znalazłam się w domu i zaraz po obiedzie położyłam się spać.

Zaledwie usnęłam, zbudziłam się z uczuciem ogromnego przerażenia. Wyraźnie, jakby dopiero teraz dotarł do mej świadomości, stanął mi przed oczyma obraz chłopców i małej antylopy. Siadłam na łóżku z wrażeniem, jakby mnie coś dławilo w gardle. Jaki los – pomyślałam – czeka antylopę w ręku chłopców, którzy stali przez cały dzień na słońcu trzymając zwierzę za ściśnięte razem nogi? Antylopa była na pewno za młoda na to, aby mogła się sama żywić. Dwa razy w ciągu tego dnia przejeżdżałam obok niej, jak kapłan i lewita w jednej osobie, i nawet o tym nie pomyślałam, a teraz, o tej porze, gdzie jej szukać? Ogarnięta paniką wstałam i obudziłam wszystkich moich boyów. Oświadczyłam im, że muszą odnaleźć i przynieść antylopę do rana albo ich wszystkich razem zwolnię ze służby. Natychmiast pojęli, o co szło. Dwaj z nich byli ze mną w samochodzie, ale nie wykazali najmniejszego, zainteresowania dziećmi i antylopą: teraz wystąpili z szeregu i podzielili się z resztą mnóstwem szczegółów o miejscu, czasie i rodzinach tamtych chłopców. Noc była księżycowa; cały mój sztab rozbiegł się na wszystkie strony, żywo omawiając sytuację. Słyszałam, jak rozwodzili się nad możliwością zwolnienia z pracy, jeżeli antylopa się nie znajdzie.

Wczesnym rankiem, gdy Farah przyniósł mi herbatę, wszedł za nim Jurna z antylopą na ręku. Okazała się łąnią, nazwaliśmy ją więc Lulu, co w języku suahili oznacza perłę.

Lulu była wtedy nie większa od kota. Miała duże, spokojne, fiołkowe oczy, a nogi tak cienkie i delikatne, że człowieka ogarniała obawa, iż nie wytrzymają zginania i

rozprostowywania, gdy zwierzątko kładło się i wstawało. Jej uszy, gładkie jak jedwab, poruszały się niezwykle wymownie. Czarny nos przypominał trufle, a malutkie kopytka nadawały jej wygląd chińskiej piękności z tych czasów, kiedy dziewczętom krępowano stopy. Trzymanie takiej cudownej istotki na ręku przyprawiało o dreszcze.

Niewiele czasu upłynęło, a Lulu przyzwyczaiła się do domu i jego mieszkańców. Zachowywała się tak, jakby była u siebie. Przez kilka pierwszych tygodni największą trudność do pokonania stanowiły dla niej froterowane podłogi w pokojach: gdy tylko zeszła z dywanu, nogi rozjeżdżały się na cztery strony. Wyglądało to na ogromne nieszczęście, lecz Lulu się nim nie przejmowała i w końcu nauczyła się spacerować swobodnie po gładkich podłogach, przy czym jej kopytka wystukiwały serie jak palce zdenerwowanego dygnitarza. Była niezwykle porządna. Już jako dziecko demonstrowała upór, gdy jednak nie pozwalałam jej robić tego, co chciała, zachowywała się tak, jakby mówiła: „Wszystko zniosę, tylko nie rób mi awantury”.

Kamante wychował ją na butelce i on też zamykał ją na noc, bo musieliśmy uważać ze względu na lamparty kręcące się nocami wokół domu. Lulu przywiązała się więc do niego i nie odstępowała go na krok. Od czasu do czasu, gdy Kamante nie chciał zrobić tego, czego sobie życzyła, bodła go łebkiem w cienkie nogi. Była tak piękna, że patrząc na tych dwoje, nie można było nie wziąć ich za nową, paradoksalną ilustrację do powieści o *Pięknej i bestii*. Dzięki swej urodzie i gracji Lulu zdobyła sobie pierwsze miejsce w domu i wszyscy otaczali ją wielkim szacunkiem.

W Afryce nigdy nie trzymałam innych psów niż szkockie charty. Nie ma szlachetniejszej i piękniejszej rasy. Musiały przebywać z ludźmi od wielu setek lat, tak rozumieją nasze życie. Widuje się je na starych obrazach i na arrasach, zresztą one same przez swój wygląd i maniery potrafią zmieniać otoczenie tak, że wygląda na stary gobelin. Wprowadzają wręcz feudalną atmosferę.

Duska, który był pierwszym z mego szczerpu chartów, dostałam jako prezent ślubny: przybył ze mną, gdy zaczęłam życie w Afryce. Był to dzielny, szlachetny pies. Towarzyszył mi w wędrówkach po rezerwacie Masajów, gdy w pierwszych miesiącach wojny zajmowałam się transportem materiałów rządowych. Dwa lata później zginął zabity przez zebra. Gdy Lulu przybyła do mego domu, miałam dwu synów Duska.

Szkockie charty pasowały do afrykańskiej scenarii. Może powodowała to wysokość, bo na poziomie morza, w Mombasie, charty nie harmonizowały z otoczeniem. Zdawało się, że gdyby nie było chartów, okolicy gór Ngong, z jej stepami, wzniesieniami i rzekami, czegoś by jeszcze brakowało. Wszystkie szkockie charty odznaczały się doskonałym węchem, lepszym od chartów nizinnych, lecz polowały posługując się wzrokiem. A gdy dwa pracowały razem, przedstawiały wspaniały widok. Zabierałam je ze sobą na przejażdżki konne po rezerwacie zwierzęcym, chociaż nie wolno mi było tego robić. Tam psy rozpraszały stada zebra po równinie z taką szybkością, jakby wszystkie gwiazdy na niebie rozpoczęły szaleńczą gonitwę. Jeżeli na polowaniu w rezerwacie Masajów miałam ze sobą trzy psy, nigdy nie straciłam żadnej postrzelonej sztuki.

Charty prezentowały się doskonale również w dżungli, ciemnoszare na tle ciemnej zieleni. Jeden z nich w pojedynkę zabił wielkiego, starego pawiana, a z walki wyszedł z nosem przegryzionym na wskroś. Stracił na tym jego szlachetny profil, lecz na farmie uważano to za zaszczytną bliznę, bo pawiany wyrządzają szkody i krajowcy ich nienawidzą.

Charty były tak mądre, iż rozróżniały, który z moich boyów wyznawał mahometanizm i nie mógł dotykać psów.

W pierwszych latach pobytu w Afryce miałam somalijskiego boya imieniem Ismail, który nosił za mną sztucer. Umarł on jeszcze za mojej bytności w Kenii, a należał do starej gwardii strzelców, jakiej już teraz nie ma. Wyrósłszy wśród sławnych myśliwych na początku tego wieku, kiedy cała Afryka stanowiła jeden wielki teren polowań, swój kontakt z cywilizacją

zawdzięczał wyłącznie sprawom myśliwskim. Mówił też po angielsku specjalną gwarą myśliwską, rozróżniał na przykład mój duży sztucer i mój „młody” sztucer. Gdy wyjechał do Somali, otrzymałam od niego list adresowany do „Lwicy Blixen” i zaczynający się od słów: „Szanowna Lwico”. Ismail był pobożnym mahometaninem i za żadne skarby nie dotknąłby psa, co w jego zawodzie powodowało różne kłopoty. Dla Duska robił jednak wyjątek i zgadzał się, żeby go brać na bryczkę, nawet pozwalał psu spać w swoim własnym namiocie. Bo Dusk, jak mówił, z daleka rozróżnia mahometanina i nigdy go nie dotknie, jeżeli to jest wierzący mahometanin. Pewnego razu poszedł jeszcze dalej i oświadczył mi: „Teraz już wiem, że Dusk należy do tego plemienia, co ty. On też śmieje się z ludzi”.

Psy wkrótce zrozumiały, że Lulu jest potęgą i ma wyjątkową pozycję w domu. W jej obecności pozbywały się arogancji wielkich łowców. Ona zaś bez ceremonii odpychała je od miski z mlekiem i wyrzucała z ich ulubionego miejsca przed kominkiem. Uwiązałam Lulu przy szyi maleńki dzwonek i z czasem skutek był taki, że gdy psy usłyszały głos tego dzwonka w sąsiednim pokoju, z rezygnacją opuszczały wygrzane legowisko przy kominku i kładły się gdzie indziej. Co zaś do Lulu, trudno było żądać od kogoś wytworniejszych manier: kładła się na opróżnionym przez psy miejscu z miną i gestem wielkiej damy, która z przesadną uwagą zagarnia spódnicę, aby nikomu nie zawadzać. Mleko piła zawsze delikatnie, od niechcenia, jakby zmuszona do tego przez zbyt uprzejmą gospodynię. Napraszała się, aby ją drapać za uszami, ale przybierała wtedy pozę pełną cierpliwiej wyrozumiałości jak młoda żona, która pozwala mężowi na delikatne pieszczoty.

Gdy Lulu wyrosła i chodziła w pełnej krasie młodości, była szczupłą, delikatnie uformowaną łanią i od czubka nosa aż do kopyt przedstawiała obraz niewypowiedzianej piękności. Przypominała śliczną ilustrację do wiersza Heinego o mądrych i łagodnych gazelach znad Gangesu.

Lecz Lulu nie była łagodna. Diabeł w niej drzemał. Miała w najwyższym stopniu rozwinięty rys kobiecego charakteru polegający na tym, żeby zachować wszelkie pozory istoty zawsze gotowej do obrony, podczas gdy w rzeczywistości szykowała się do ataku. Na kogo? Na cały świat. Nie potrafiła kontrolować swych nastrojów i nieobliczalnych odruchów, rzuciłaby się nawet na konia, gdyby ją rozgniewał. Przypominałam sobie powiedzenie starego Hagenbecka z Hamburga, że ze wszystkich gatunków zwierząt, wyłączając mięsożerne, najmniej na zaufanie zasługuje jelen: można wierzyć lampartowi, jeżeli ktoś jednak zaufa młodemu jeleniowi, to byk prędzej czy później zaatakuje go z tyłu.

Chociaż Lulu zachowywała się jak bezwstydną młoda kokietka, była zawsze dumą całego domu. Nie czuła się jednak wśród nas szczęśliwa. Czasami wychodziła z domu w pole na kilka godzin, nawet na całe popołudnie. Niekiedy też, gdy ją coś napadło i niezadowolenie z otoczenia doszło do szczytu, potrafiła dla ulżenia sercu wykonać na trawniku przed domem prawdziwy taniec wojenny, który był czymś w rodzaju niesamowitej modlitwy do szatana.

„Och, Lulu – myślałam w takich chwilach – wiem, że jesteś niezwykle silna i potrafisz skakać wyżej niż twój wzrost. Jesteś na nas wściekła, chciałabyś, żebyśmy wszyscy zginęli, i na pewno już byłoby po nas, gdybyś potrafiła tego dokonać. Sprawa nie polegała jednak, jak ci się teraz wydaje, na tym, że obstawiliśmy cię przeszkodami zbyt wysokimi nawet dla ciebie, bo przecież nie potrafilibyśmy powstrzymać takiej mistrzyni skoku. Sprawa polega na tym, że my nie ustawiliśmy żadnych przeszkód. Masz wielką siłę w sobie, Lulu, ale w tobie samej są również i przeszkody, cała zaś rzecz na tym polega, że jeszcze twój czas w pełni nie nadszedł”.

Pewnego wieczora Lulu nie wróciła do domu i przez cały tydzień wyczekiwaliśmy jej na próżno. Wszystkich ogarnął smutek. Jasny promień znikł z domu, który nie różnił się teraz od innych domów. Ciągle myślałam o lampartach nad rzeką i wreszcie zwierzyłam się ze swych obaw Kamante.

Jak zwykle Kamante długo zwlekał z odpowiedzią, przeżuając mój brak zrozumienia

rzeczy. Dopiero po kilku dniach zagadnął mnie w tej sprawie.

– Msabu, ty wierzysz, że Lulu nie żyje – powiedział.

– Nie chciałam się wprost do tego przyznać, odpowiedziałam więc tylko, że dziwi mnie tak długa nieobecność Lulu.

– Lulu – oświadczył na to Kamante – wcale nie zginęła. Ona wyszła za męża.

Była to miła niespodzianka, zapytałam więc gorączkowo, skąd ma taką wiadomość.

– Och, tak – zapewnił mnie Kamante – ona wyszła za męża. Mieszka w lesie ze swoim bwana, mężem i panem. Ale nie zapomniała ludzi: niemal co rano przychodzi pod dom. Ja kładę jej przy kuchni trochę potłuczonych kukurydzy, a tuż przed wschodem słońca ona przychodzi tu z lasu i zjada to. Mąż przychodzi za nią, ale obawia się ludzi, bo nigdy ich nie znał. Staje pod wielkim białym drzewem, po drugiej stronie trawnika. Ale do domu nie śmie podejść.

Poprosiłam Kamante, żeby mnie zawołał, gdy następnym razem zobaczy Lulu. Kilka dni później przyszedł po mnie przed wschodem słońca.

Był to piękny ranek. Ostatnie gwiazdy gasły na jasnym i pogodnym niebie, ale świat trwał jeszcze ogarnięty poważnym spokojem i głęboką ciszą. Trawa była wilgotna, a na wzniesieniu pod drzewami rosa błyszczała jak srebro. Mroźne powietrze poranka szczypało, w północnych krajach byłoby to zapowiedzią zbliżającego się przymrozku. „Choćby nie wiem ile razy człowiek sam to przeżył – pomyślałam – ciągle trudno uwierzyć w tym chłdzie i cieniu, że za kilka godzin upaść i blask będą nie do zniesienia”. Góry okrywała mgła, która układała się według ich kształtu: okropnie zimno musiało być teraz bawołom, jeżeli pasły się na zboczach i znalazły się jakby w chmurze.

Wielkie sklepienie nad naszymi głowami stopniowo wypełniało się jasnością jak szklanka winem. Nagle, ale łagodnie, szczyty gór dotknęły pierwszych promieni słońca i oblały się rumieńcem. Potem powoli, w miarę obracania się ziemi ku słońcu, delikatne złoto pokryło trawiaste zbocza u stóp gór i jeszcze niżej leżące lasy rezerwatu Masajów. Wierzchołki wysokich drzew w lesie po naszej stronie rzeki przybrały barwę miedzi. O tej godzinie wielkie, fioletowe gołębie leśne, które gnieździły się po drugiej stronie rzeki, przylatywały żerować na kasztanach rosnących na farmie. Przebywały w naszych stronach tylko krótki czas. Udając się na żer, leciały niezwykle szybko, jakby w powietrzu naśladowały szarżę kawalerii. Dlatego ranne polowania na te gołębie przyciągały na moją farmę wielu przyjaciół z Nairobi. Aby znaleźć się na miejscu już o świcie, przyjeżdżali bardzo wcześnie, także ich przybycie oznajmiało mi światło reflektorów samochodowych.

Stojąc w przejrzystym cieniu i widząc przed sobą ozłoczone góry, a nad sobą klarowne niebo, miałam takie wrażenie, jakbym stąpała po dnie morza wśród przepływających tam prądów i patrzyła ku jego powierzchni.

Jakiś ptak zaczął śpiewać, a potem dosłyszałam z pobliskiego lasu pobrzękiwanie dzwoneczka. Och, co za radość, Lulu wróciła, jest niemal w domu! Podeszłam bliżej, rytm dzwonka pozwalał mi śledzić jej ruchy – szła, przystawała, potem znów szła. Wyszędłszy zza stojącej opodal chaty boyów stanęła wprost przed nami. Widok antylopy tak blisko domu wydał mi się nagle czymś niezwykłym i zabawnym. Lulu stała teraz bez ruchu, zdawała się być przygotowana na widok Kamante, ale nie na mój. Nie uciekała jednak, patrzyła na mnie bez obawy, nie pamiętała ani naszych awantur, ani swej własnej niewdzięczności, którą okazała nagłym porzuceniem domu.

Lulu z lasu była wyższym, niezależnym stworzeniem. Przeżyła wielką przemianę, nabrała pewności siebie. Gdybym kiedyś znała jakąś młodą królową przebywającą na wygnaniu i tylko pretendującą do tronu, a potem znów spotkała ją wtedy, gdy po dojściu do swych praw wystąpiła w pełnym królewskim majestacie, nasze spotkanie wyglądałoby tak samo. Lulu okazała taką wielkoduszność jak król Ludwik Filip, gdy ogłaszał, że król Francji nie pamięta urazu księcia Orleanu. Lulu była teraz w pełni sobą. Opuścił ją wojowniczy nastrój. Bo też

kogo i dlaczego miałyby atakować? Stała spokojnie, pewna swych boskich praw. Pamiętała mnie na tyle, że nie odczuwała strachu. Patrzyła na mnie długo, nawet nie mrugnawszy ciemnofioletowymi oczyma zupełnie pozbawionymi wyrazu. Przypominałam sobie, że bogowie i boginie nigdy nie mrugają i poczułam się tak, jakbym stała twarzą w twarz z wolooką Herą. Przechodząc obok mnie Lulu lekko musnęła źdźbło trawy, z gracją dała susa i ruszyła pod kuchnię, gdzie Kamante rozrzucił na ziemi kukurydzę.

Kamante dotknął palcem mego ramienia i wskazał w kierunku lasu. Odwróciwszy się wedle jego wskazówek, zobaczyłam pod wysokim kasztanem samca. Mała brunatna sylwetka, nieruchoma jak pień drzewa, z pięknymi rogami, majaczyła na skraju lasu. Kamante obserwował kozła przez jakiś czas, potem roześmiał się:

– Zobacz, Msabu, Lulu wytłumaczyła swemu mężowi, że nie ma się czego bać przy tych domach, ale on i tak nie śmie przyjść. Co rano zastanawia się, czyby tym razem nie podejść, ale na widok domów i ludzi zimno mu się robi ze strachu i zostaje tam pod drzewami.

Przez długi czas Lulu przychodziła wczesnym rankiem pod dom. Głos jej dzwonka obwieszczał, że słońce już wstało nad górami. Leżąc w łóżku oczekiwałam na ten sygnał. Czasami nie zjawiała się przez tydzień lub dwa, a wtedy tęskniliśmy za nią i zaczynaliśmy rozmowy o kłusownikach, którzy polowali w górach. Potem znów moi boye zawiadamiali: „Lulu przyszła”. Podobnie wita się zamężną córkę, która odwiedza rodzinny dom. Wiele też jeszcze razy widziałam wśród drzew sylwetkę kozła, lecz ten nigdy nie zdobył się na tyle odwagi, aby podejść pod sam dom. Kamante miał słuszość.

Pewnego dnia, gdy wróciłam z Nairobi, Kamante czekał na mnie przed kuchennymi drzwiami i bardzo podniecony wyszedł naprzeciw, aby mi powiedzieć, że tego dnia Lulu odwiedziła farmę i przyprowadziła swoje toto. Kilka dni później dostąpiłam zaszczytu spotkania młodej matki pomiędzy chatami boyów. Była bardzo czujna i nie tolerowała żadnych czułych gestów, u jej nóg bowiem pętało się maleństwo tak sztywne w ruchach jak Lulu, gdy ją pierwszy raz zobaczyłam u siebie w domu. To zdarzyło się tuż po ustaniu pory deszczowej, a w następnych letnich miesiącach często spotykało się Lulu w pobliżu domu rankami i wieczorami. Nieraz zjawiała się i w południe trzymając się wtedy w cieniu chat.

Małe kozłatko nie bało się psów, pozwalało się obwąchiwać, ale nie mogło się przyzwyczaić do ludzi. Gdybyśmy je usiłovali schwytać, matka i dziecko zniknęłyby natychmiast.

Od pierwszej długiej nieobecności w domu Lulu już nigdy nie podeszła do nikogo z nas tak blisko, aby jej można było dotknąć. Poza tym zachowywała się przyjaźnie, rozumiała, że chcemy obejrzeć jej małe, brała też kawałki trzciny cukrowej z wyciągniętej ręki. Podchodziła do otwartych drzwi jadalni i w zamyśleniu patrzyła w głąb mrocznych pokoi, nigdy jednak nie przekraczała progu. Zgubiła już wtedy dzwonek, przychodziła więc i odchodziła zupełnie cicho.

Moi boye proponowali, abym im pozwoliła schwytać małe i trzymała je w domu tak jak przedtem matkę. Uważałam jednak, że byłoby to grubiańskim nadużyciem zaufania, którym nas Lulu darzyła.

Wydawało mi się również, że ów dobrowolny kontakt antylopy z moim domem był czymś bardzo rzadkim i bardzo szacownym. Lulu przychodziła do nas ze świata natury, aby nam pokazać, że żyliśmy z nim w zgodzie. Dzięki temu mój dom zlewał się z afrykańską ziemią tak, że trudno było rozróżnić, gdzie jedno się kończy, a zaczyna drugie. Lulu znała te miejsca, gdzie olbrzymi dzik afrykański miał swe legowisko, znała też miłosne tajemnice nosorożców. W Afryce żyje kukułka, która w samo upalne południe kuka w głębi dżungli. To jakby bijące serce Czarnego Łądu. Nigdy jej nie widziałam ani też nikt z moich znajomych jej nie widział, bo nikt nie potrafił mi opisać, jak wygląda. Ale Lulu na pewno chodziła wąską zieloną ścieżką pod gałęzią, na której siadywała kukułka. W tym czasie czytałam książkę o pewnej wielkiej cesarzowej chińskiej, jak to po urodzeniu syna młoda Jahanola udała się w

odwiedziny do domu swoich rodziców, opuszczając Zakazane Miasto w pozłocistej lektyce z zielonymi zasłonami. Mój dom, myślałam, był teraz podobny do rodzinnego domu tej młodej cesarzowej.

Obie antylopy, duża i mała, trzymały się blisko niego przez całe lato. Całe stado antylop leśnych zjawiało się często w sąsiedztwie, wychodziły z lasu na moje pola jakby na teren jeszcze zupełnie dziki. Najczęściej ukazywały się tuż przed zachodem, a wtedy migwały między drzewami jak niewyraźne, ciemne sylwetki na ciemnozielonym tle. Jeżeli jednak wychodziły szczypać trawę na otwartej przestrzeni w południowym słońcu, ich sierść błyszczała miedzią. Wśród nich była Lulu – spokojnie podchodziła najbliżej domu strzygąc uszami na odgłos nadjeżdżającego samochodu lub otwieranego okna. Psy też ją poznawały. Z wiekiem sierść jej ściemniała. Gdy raz zajechałam z pewnym przyjacielem przed dom, zastałam na tarasie trzy antylopy wokół soli wyłożonej dla krów.

Dziwna rzecz, że poza jednym kozłem, mężem Lulu, który stawał pod kasztanami, wśród antylop podchodzących w pobliże domu nie było nigdy żadnego samca. Widocznie wśród tych mieszkańców lasu panowały matriarchalne stosunki.

Myśliwi i przyrodnicy z całej Kenii interesowali się moimi antylopami, także łowcy przyjechali je zobaczyć. *East African Standard* poświęcił zwierzętom specjalny artykuł.

Te lata, kiedy Lulu i jej stado przychodziło pod mój dom, należały do najszcześniejszych z całego mego pobytu w Afryce. Dlatego znajomość z leśnymi antylopami uważałam za wielką łaskę, za dowód przyjaźni okazywanej mi przez Afrykę. Cały kraj był w tym, dobre wróżby, stare przymierze, pieśń:

*„Uciekaj, miły mój,
a bądź podobny sarnie
i jelonkowi na górach
ziół wonnych”.*^[3]

W ostatnich latach coraz rzadziej widywałam Lulu i jej rodzinę. Przez cały rok poprzedzający mój wyjazd antylopy nie zjawily się chyba ani razu. Czasy zmieniły się, południowa część mojej posiadłości została sprzedana nowym farmerom, wycięto tam las i pobudowano domy. Na miejscu leśnych polanek warkotały teraz traktory. Wśród nowych osadników było wielu zapalonych myśliwych, broń odzywała się więc często. Zwierzyna pociągnęła na zachód, przenosząc się do rezerwatu Masajów.

Nie wiem, jak długo żyją antylopy, prawdopodobnie Lulu już dawno rozstała się z tym światem.

Często, bardzo często w spokojną godzinę świtu nawiedzał mnie sen, że słyszę dzwonek na szyi Lulu. Serce zaczynało mi bić mocniej z radości, budziłam się w oczekiwaniu czegoś niezwykłego i rozkosznego, co miało przyjść tuż, tuż, za chwilę.

Leżąc i myśląc o Lulu zastanawiałam się, czy ona tam w lesie marzyła kiedyś o swoim dzwonku. Czy obrazy ludzi i psów staną kiedyś przed jej oczyma jak cień padający na wodę.

„Skoro ja znam – tak myślałam – pieśń o Afryce, o żyrafie, o afrykańskim księżycu leżącym na plecach, o pługach w polu, o zroszonych potem twarzach zbieraczy kawy, to czy Afryka zna jakąś pieśń o mnie? Czy powietrze nad równiną drży kiedy kolorem, który ja nosiłam, albo czy dzieci znają taką zabawę, w której powtarza się moje imię, albo czy księżyc w pełni rzuca na szuter drogi cień podobny do mnie, albo czy orły z gór Ngong wypatrują mego nadejścia?”

Odkąd wyjechałam, nie miałam wieści o Lulu, lecz miałam wiadomość od Kamante i od innych moich boyów. Ostatni list od Kamante przyszedł przed niecałym miesiącem. Lecz te wiadomości z Afryki docierają do mnie jakąś dziwną, nierealną drogą, są bardziej cieniami i

[3] Stary Testament, *Pieśń nad pieśniami* (Salomonowa), VIII, 14. 72

mirażami niż głosami rzeczywistości.

Bo przecież Kamante nie umie pisać, nie zna też angielskiego. Gdy on lub któryś z pozostałych boyów chce posłać mi wieści, udaje się do zawodowego, hinduskiego lub miejscowego pisarza listów, jednego z wielu siedzących przed urzędami pocztowymi, i mówi mu, co ma być w liście. Zawodowi pisarze listów również nie są biegli w angielskim, trudno nawet powiedzieć, że umieją pisać, ale oni sami są przekonani, że umieją. W celu udowodnienia biegłości upiększają listy masą esów – floresów, wskutek czego trudno je odcyfrować. Mają nadto zwyczaj pisania trzema lub czterema rodzajami atramentu, nie wiadomo z jakiego powodu, a w efekcie list wygląda tak, jakby atramentu zabrakło i użyto ostatnich kropli wysączanych z różnych butelek. Owoce tych skomplikowanych wysiłków przypominają posłania wyroczni delfickiej. Coś głębokiego jest w tych listach, które dostaję, czuję wyraźnie, że ważna sprawa leżała na sercu nadawcy, ona skłoniła go do odbycia długiej drogi z rezerwatu Kikujusów aż do urzędu pocztowego. Lecz wszystko zakrywa ciemność. Taniutki, brudny arkusik papieru, który przebył tysiące kilometrów, zanim dotarł do mnie, zdaje się mówić i mówić, nawet krzyżeć, lecz nie wyraża niczego.

Kamante jednak i pod tym względem, jak pod wielu innymi, różni się od reszty. Ma własne sposoby korespondowania. Do jednej koperty wkłada trzy albo cztery listy każąc je poznać: „Pierwszy list”. „Drugi list” itd. Wszystkie zawierają to samo powtarzane wielokrotnie. Może przez to powtarzanie chce wywołać u mnie większe wrażenie. Miał taki sposób mówienia, gdy pragnął, żebym coś szczególnie dobrze zrozumiała lub zapamiętała. A może nie potrafi przerwać, skoro czuje, że na tak dużą odległość nawiązał kontakt z przyjacielem.

Kamante pisał, że od długiego czasu jest bez pracy. Nie dziwiło mnie to, bo tylko znawca potrafi go ocenić. Wykształciłam kucharza godnego królewskiego dworu i zostawiłam go w Kenii. Zaszedł wypadek taki jak z hasłem „Sezamie, otwórz się”. Słowo zginęło i kamień zamknął się na dobre wokół bajkowych skarbów. Patrząc na wspaniałego kucharza ludzie widzą tylko cienkonogiego Kikujusa, karła z płaską nieruchomą twarzą.

Cóż ma Kamante do powiedzenia, gdy wędruje do Nairobi, staje przed chciwym a wyniosłym hinduskim pisarzem listów i przekazuje mi wiadomość, która ma przebyć pół świata? Linie są krzywe i w zdaniach brak porządku, lecz Kamante posiada w sobie wielkość ducha, a znający go ludzie nawet w beładnej muzyce dosłuchują się echa Dawidowej harfy.

Oto „Drugi list”:

„Ja nie zapomnieć ty Memsahib. Szanowna Memsahib. Teraz wszystka twoja służący nigdy zadowoleni bo ty być wyjechać. Gdyby my być ptak my polecieć zobaczyć do ty. Potem wrócić. Bo twoja farma być dobre miejsce dla krowy cielęta i czarni ludzie. Teraz oni nie mieli nic krowy kozy owce nic nie mieć. Teraz wszyscy źli ludzie cieszyć się bo twoja stare służący przyjść na biedni ludzie teraz”.

A w „Trzecim liście” Kamante daje przykład, jak tubylcy umieją, mówić mile rzeczy. Pisze:

„Pisz i powiedz nam jeżeli wrócisz. Myślimy ty wrócić. Bo dlaczego? Myślimy tu nigdy być możliwe zapomnieć nas. Bo dlaczego? Myślimy pamiętać jeszcze wszystkie nasze twarz i imiona naszej matki”.

Biały człowiek, chcąc komuś powiedzieć coś miłego, napisałby: „Nigdy cię nie zapomnę”. Mieszkaniec Afryki mówi: „Nie wyobrażamy sobie, abyś mógł o nas kiedykolwiek zapomnieć”.

WYPADEK Z BRONIĄ

Wypadek

Wieczorem dziewiętnastego grudnia przed położeniem się spać wyszłam przed dom zobaczyć, czy nie zanoszą się na deszcz. Jestem pewna, że wielu farmerów czyniło tak samo o tej samej porze. Czasami, w szczęśliwych latach, zdarzały się ulewne deszcze w okresie Bożego Narodzenia, co było błogosławieństwem dla młodych owoców kawy, które zawiązały się po okresie kwitnienia zbiegającym się z krótkimi deszczami w październiku. Tej nocy nic nie zapowiadało deszczu. Niebo było pogodne i błyszczało gwiazdami w spokojnym triumfie.

Firmament na równiku jest znacznie bogatszy w gwiazdy niż na północy, częściej się go też ogląda, bo więcej przebywa się na dworze. W północnej Europie noce są zimą zbyt chłodne i nie pozwalają na przyjemność kontemplacji gwiazd, latem zaś przeszkodą jest bładniebieskie, prawie jasne niebo, na którego tle gwiazdy słabo się odbijają.

Tropikalne noce są bardziej gościnne, tak jak rzymskokatolicka katedra w porównaniu z protestanckimi kościołami na północy, które otwarte są tylko dla ludzi mających jakiś interes do załatwienia. Pod obszerną kopułą nocnego nieba każdy czuje się swobodnie i porusza się swobodnie, zawsze się pod nią coś dzieje. W Arabii i w Afryce, gdzie dniem słońce może zabić, noc jest porą do podróży i przedsięwzięć. W tych krajach gwiazdy otrzymały swe nazwy, służyły ludziom za znaki przewodnie przez wiele wieków, wytyczały szlaki wędrówek przez pustynie i morza, jedna na wschód, druga na zachód, inne na północ i południe. Samochody najlepiej sprawują się nocą, jazda przy gwiazdach sprawia przyjemność, powstaje przyzwyczajenie umawiania się na wizytę do przyjaciół w czasie następnej pełni księżyca. Safari rozpoczyna się po nowiu, aby wykorzystać księżycowe noce. W czasie odwiedzin Europy ze zdziwieniem spogląda się na przyjaciół w miastach, którzy żyją bez liczenia się z fazami księżyca albo nawet nie mają o nich pojęcia. Nowy księżyc był sygnałem działania dla młodego poganiacza wielbłądów Kadidii, bo z ukazaniem się go na niebie miała ruszyć karawana. Z twarzą zwróconą ku księżycowi poganiacz stał się jednym z „filozofów, którzy z poświęcenia księżycowej przędą systemy wszechświata”. Tak często musiał patrzeć na sierp księżyca, iż uczynił go symbolem swych podbojów.

Zdobyłam sobie sławę wśród tubylców, ponieważ wielokrotnie tak się zdarzało, iż na farmie mnie pierwszej udało się dostrzec przy zachodzie słońca srebrny sierp księżyca: szczególnie jednak rozniosło się to, że przez trzy lata z rzędu pierwsza dostrzegłam księżyc w Ramadanie, świętym miesiącu Mahometa.

Farmer powoli toczy wzrokiem wzdłuż całego horyzontu. Najpierw patrzy na wschód, bo ze wschodu nadchodzi deszcz, jeżeli nadchodzi, z tej strony jasno świeci Spica w gwiazdozbiorze Panny. Potem zwraca się na południe, aby powitać Krzyż Południa, stróża wielkiego świata, wiernego przyjaciela podróżnych i przez nich ukochanego, oraz nieco wyżej, pod świetlanym pasem Mlecznej Drogi, dwie ozdoby gwiazdozbioru Centaura zwane Alfa i Beta. Na południowym zachodzie mruga Syriusz, potęga niebieska, i zamyślony Caponus. A na zachodzie, nad delikatnym zarysem gór Ngong o tej porze prawie gładkim, błyszczy diamentowa brosza utworzona z gwiazd Rigel, Betelgeuze i Bellatrix. Wreszcie patrzy farmer na północ, bo w końcu wszyscy wracamy na północ. I tam trafia na Wielką Niedźwiedzicę we własnej osobie, z tym jednak, że takowa ze względu na niebieską perspektywę stoi teraz na głowie i tym iście niedźwiedzim figlem rozwesela serce przybysza z

północnych krajów.

Ludzie miewający sny znają szczególny rodzaj szczęścia niedostępnego w rzeczywistym świecie: łagodną ekstazę i spokój zalewający serce, tak miłe jak smak miodu na języku. Ci ludzie wiedzą również, że wspaniałość snów polega głównie na uczuciu nieograniczonej wolności, które nieodłącznie tym snom towarzyszy. Nie jest to uczucie swobody dyktatora, który może narzucać swą wolę światu, lecz wolność artysty, który nie ma woli, jest wyswobodzony z woli. Prawdziwa przyjemność sennego marzenia nie polega na treści snu, lecz na tym, że we śnie rzeczy dzieją się bez interwencji tego, kto śni, i poza jego kontrolą. Same tworzą się rozległe krajobrazy, wspaniałe widoki, bogate i delikatne kolory, drogi, domy, których nigdy nie widział i o których nigdy nie słyszał. Zjawiają się obcy, przyjaciele lub wrogowie, chociaż ten, kto śni, nigdy z nimi nie miał do czynienia. Ucieczka i pościg często się we snach pojawiają, a bywają porywające. Każdy opowiada wspaniałe dowcipy. To prawda, że jeżeli utrzymują się w pamięci także za dnia, błędą i tracą sens, ale niech tylko człowiek przeżywający sny położy się spać, obwód prądu znów się zamyka i wszystko się przypomina w całej doskonałości. Śniącego człowieka otacza niezwykle uczucie swobody, przenika go na wskroś jak nieziemskie tchnienie. Czuje się osobą uprzywilejowaną, nie mającą nic do roboty, choć wszystko stoi do jej dyspozycji, dla jej uciechy: królowie Tarsu mają jej znosić dary. Uczestniczy w wielkiej bitwie albo w balu dziwiąc się niepomiarne uprzywilejowaniu, które mu pozwala równocześnie leżeć wygodnie w łóżku. Dopiero gdy ktoś we śnie zaczyna tracić uczucie wolności, gdy zjawia się świadomość jakiegokolwiek konieczności, gdy coś nakazuje pośpiech, gdy trzeba napisać list lub złapać odchodzący pociąg, gdy trzeba zabrać się do jakiejś roboty, zmusić konie ze snu do galopu albo wystrzelić ze sztucera, wtedy kończy się marzenie senne, a zjawia się mara, która należy do najnędrniejszego i najpospolitszego gatunku snów.

Rzeczą, która na jawie najbardziej zbliża się do snu, jest noc w wielkim mieście, gdzie nikt człowieka nie zna, albo noc afrykańska. Tam też panuje nieograniczona wolność: rzeczy się dzieją, losy się rozstrzygają dokoła, wszędzie panuje aktywność, a człowieka może to nic a nic nie obchodzić.

Gdy tylko słońce zachodziło, powietrze zapełniało się chmurą nietoperzy krążących cicho jak samochody po gładkim asfalcie. Zjawiały się też nocne jastrzębie, które wysiadują na drogach i światło samochodu odbija się czerwono w ich oczach aż do momentu, gdy wypryskują w górę tuż sprzed kół. Po drogach buszowały wiosenne zające, charakteryzujące się swoistymi ruchami: nagle przysiadły, a potem skakały jak miniaturowe kangury. W wysokiej trawie śpiewały cykady, zapachy snuły się nad ziemią, a spadające gwiazdy były łzami na policzkach nieba. Człowiek czuł się uprzywilejowaną istotą, której wszystko składane jest w ofierze. Królowie Tarsu przynosili dary.

Kilka kilometrów dalej, w rezerwacie Masajów, gdzie zebry zmieniały o tej porze pastwiska, wielkie tabuny odcinały się białymi pasami od szarości stepu. Bawoły pasły się na zboczach gór Ngong. Na trawniku zjawily się długie wąskie cienie, to młodzi robotnicy z mojej farmy przechodzili obok we dwójkę lub we trójkę dążąc w nie znanym mi kierunku. Byli już po pracy, więc nic mnie to nie obchodziło. Oni zaś jakby chcąc to właśnie zaakcentować, dostrzegłszy przed domem jarzącego się papierosa zwalniali tylko nieco kroku i pozdrawiali mnie:

– Jambo, Msabu.

– Jambo, morani, młodzi wojownicy – odpowiada łam. – A dokąd idziecie?

– Idziemy do maniaty Kathegu. Kathegu urzęduje dziś wieczór wielką ngomę. Do widzenia, Msabu.

Gdy wybierali się większą gromadą, brali ze sobą bębny, których głos dochodził potem z daleka jak bicie pulsu na ręce nocy. Aż nagle do ucha, które tego nie oczekiwało, dochodził głos nie będący właściwie głosem, lecz wibracją powietrza. To daleki ryk lwa. Był na

polowaniu, a gdzie on poluje, tam wypadki toczą się szybko. Ryk nie powtarzał się, lecz już zdążył poszerzyć horyzont. Długie wąwozy i górskie źródła jakby podeszły bliżej.

Gdy stałam przed domem, niedaleko padł strzał. Potem znów nastała nocna cisza. Cykady umilkły jakby nasłuchując, a po chwili podjęły przerwana pieśń, zawodząc monotennie w trawie.

Pojedynczy strzał w ciszy nocnej ma w sobie coś dziwnie zdeterminowanego i fatalnego. Jakby ktoś w rozpacz krzyknął tylko jedno słowo i nie powtórzył go więcej. Stałam chwilę zastanawiając się, co to może znaczyć. O tej porze nikt nie mógł strzelać do określonego celu, a chcąc kogoś odstraszyć strzela się dwa albo więcej razy.

Może to mój stary hinduski kowal i cieśla Poorali Singli, mieszkający przy suszarni, strzela do hien, które zakradły się na podwórze i pożerają wiszące tam pasy wołowej skóry przeznaczonej na uprząż. Poorah Singh nie jest bohaterem, ale w obronie swych skór mógł uchylić nieco drzwi chaty i wypalić ze starej dubeltówki. Lecz w takim wypadku wystrzeliłby z obu luf, a nawet naładowałby ponownie i jeszcze raz wystrzelił, aby nacieszyć się smakiem własnego bohaterstwa. Ale jeden strzał – a potem cisza?

Jakiś czas czekałam na drugi strzał: nie padł. Spojrzawszy na niebo nie dostrzegłam oznak deszczu. Położyłam się więc do łóżka i przy lampie zabrałam się do czytania. Gdy w Afryce ktoś trafi, wśród masy makulatury przywożonej przez pocziwe okręty aż z dalekiej Europy, na książkę wartą lektury, czyta ją tak, jak według opinii autora powinno się czytać jego książkę: błagając Boga o to, aby autor cały czas pisał tak pięknie, jak rozpoczął. Myśli biegną po nowej, jeszcze nie przetartej ścieżce.

Dwie minuty później zawarczał nadjeżdżający w szalonym pędzie motocykl. Stanął przed domem i ktoś mocno zastukał do okna bawialni. Włożyłam spódnice, żakiet i buty, wzięłam lampę i wyszłam. Na dworze stał zarządca suszarni, spocony i z nieprzytomnymi oczyma. Nazywał się Belknap, był Amerykaninem, niezwykle zdolnym mechanikiem, miał tylko dość nierówny temperament. W jego oczach sprawy wyglądały albo przewspaniale, albo zupełnie beznadziejnie. Gdy zaczął u mnie pracować, tak zakręcił mi w głowie swymi niezrównoważonymi poglądami na życie i oceną warunków na farmie, że czułam się jak na olbrzymiej huśtawce; potem przyzwyczaiłam się do jego dziwactw. Te zmiany nastrojów stanowiły u niego tylko codzienną gimnastykę emocjonalną, jakiej oddaje się człowiek o żywym usposobieniu, któremu potrzeba ruchu i któremu nie wystarcza to, co się wokół niego dzieje. Takie zjawisko jest bardzo powszechne wśród młodych białych mężczyzn w Afryce, szczególnie wśród tych, którzy dzieciństwo spędzili w mieście. Tym razem Belknap przybył wprost z miejsca tragedii i nie był zdecydowany, czy zaspokoić głód duszy przez podkreślanie dramatycznych okoliczności, czy też uciec do ponurego obrazu przez stonowanie przebiegu wypadków. W obliczu tego dylematu przypominał bardzo młodego chłopca, który biegnie co tchu jako zwiastun jakiejś katastrofy: zaczął się jękać. W końcu zdecydował się nie wyolbrzymiać wydarzeń, bo nie brał w nich żadnego udziału. I tym razem los mu nie sprzyjał.

Tymczasem Farah przyszedł już ze swego domu i stanął obok mnie: razem słuchaliśmy opowiadania zarządcy.

Według jego słów wszystko zaczęło się bardzo spokojnie i wesoło. Jego kucharz miał wolny dzień, a pod nieobecność szefa siedmioletni toto kuchenny, Kabero, urządził przyjęcie. Kabero był synem starego osadnika i najbliższego sąsiada mego domu, starego lisa Kaninu. Gdy późnym wieczorem towarzystwo rozbawiło się na dobre, Kabero przyniósł dubeltówkę swego pana i zaczął przed gośćmi, nieobytymi chłopcami ze stepów i szamb, odgrywać rolę białego człowieka. Belknap był zapalonym hodowcą drobiu, kupował w Nairobi rasowe kurczęta i tuczył je na kapłony i pulardy, a dubeltówkę trzymał na werandzie w celu odstraszenia jastrzębi i dzikich kotów. Gdy później omawialiśmy wypadek, zapewniał mnie, że dubeltówka nie była nabita, ale dzieci znalazły ładunki i same ją nabiły. Mam jednak

wrażenie, że tu pamięć zawodziła Belknapa, bo dzieciom, gdyby nawet chciały, niełatwo byłoby nabić dubeltówkę: bardziej prawdopodobne, że tym razem na werandzie została nabita dubeltówka. Niezależnie zresztą od tego, w jaki to zaszło sposób, jest faktem, że ładunki znajdowały się w lufach, gdy Kabero chcąc zaimponować rówieśnikom wymierzył prosto w gości i nacisnął spust. Strzał zagrział w całym domu. Troje dzieci odniosło lekkie rany i w panice uciekło z kuchni. Dwoje zostało – ciężko rannych lub nieżywych. Belknap zakończył opowiadanie długim przekleństwem pod adresem Afryki i rzeczy, które się w niej dzieją.

W czasie jego opowiadania przyszli grupą moi boye i słuchali w milczeniu. Potem poszli do domu i przynieśli latarnie. Zabraliśmy opatrunki i środki dezynfekcyjne. Szkoda było tracić czas na zapuszczanie motoru samochodu, co sił w nogach pobiegliśmy przez las do domu Belknapa. Światło chwiejących się latarni rzucało naszymi cieniami na wszystkie strony. Tuż przy domu usłyszeliśmy kilka następujących po sobie urywanych krzyków – śmiertelne piski umierającego dziecka.

Drzwi do kuchni stały otworem, jakby śmierć wypadła stamtąd w takim samym pośpiechu, z jakim wpadła, zostawiając po sobie zniszczenie – jak borsuk w kurniku. Lampa stała na stole i kopciała aż pod sufit, w małym pomieszczeniu jeszcze unosił się swąd prochu. Dubeltówka leżała na stole obok lampy. Cała kuchnia zbrzdana była krwią, zaraz u progu pośliznęłam się na jednej kałuży. Światła zwykłych latarni nie można skierować na jakieś miejsce, za to tym wyraziściej oświetlają całe pomieszczenie, a nawet sytuację. Ja znacznie lepiej pamiętam rzeczy widziane w świetle zwykłych latarni niż w świetle latarni z reflektorami.

Ranne dzieci znałam z pastwisk, gdzie pilnowały owiec i kóz. Na podłodze między drzwiami a stołem leżał Wamai, syn Jogony, mały, ruchliwy chłopiec, który jakiś czas uczęszczał do szkoły. Żył, ale był bliski śmierci i nieprzytomny cicho jęczał. Przenieśliśmy go nieco dalej, żeby się móc poruszać. Krzyczącym dzieckiem okazał się Wanyangerri, najmłodszy ze wszystkich uczestników zabawy w kuchni. Siedział pochylony do przodu, w kierunku lampy: krew tryskała mu z twarzy jak woda z pompy – o ile można mówić o twarzy, bo musiał stać na wprost lufy i ładunek oderwał mu całą dolną szczękę. Ramiona miał rozpostarte i poruszał nimi do góry i na dół jak kura bijąca skrzydłami po ucięciu głowy.

Gdy ktoś nagle stanie w obliczu takiej katastrofy, wydaje się, że tylko jedna jest na to rada, a mianowicie lekarstwo stosowane na polowaniu i w gospodarce hodowlanej: powinno się zabić szybko i za wszelką cenę. Wiedziałam jednak, że nie mogę zabić, dlatego strach rozsadał mi mózg. W desperacji ujęłam głowę dziecka w dłonie. Jakbym je naprawdę zabiła: przestało w tym momencie krzyczeć i siadło wyprostowane z opuszczonymi ramionami, sztywne jak z drewna. Teraz już wiem, co znaczy leczenie przez położenie na kimś rąk.

Nałożenie bandażu pacjentowi, któremu odstrzelono pół twarzy, przedstawia ogromne trudności. Próba zatamowania upływu krwi może spowodować uduszenie. Musiałam posadzić małego Farahowi na kolanach, aby go trzymał w odpowiedniej pozycji, bo gdy opadał do przodu, nie mogłam umieścić bandażu, a gdy do tyłu, krztusił się własną krwią. Wreszcie udało mi się zabandażować ranę.

Położyliśmy Wamai na stole i obejrzelśmy go w świetle latarni. Cały ładunek tkwił mu w szyi i w piersiach. Nie bardzo krwawił, tylko cienka strużka spływała mu z kącika ust. Zaskakujące wrażenie sprawiał widok tego małego chłopca, zawsze ruchliwego jak mały koziołek, a teraz tak spokojnego. Gdy patrzyliśmy nań, jego własna twarz zmieniła się i przybrała wyraz głębokiego zdziwienia. Posłałam Faraha do domu po samochód, nie można było dłużej zwlekać z odwiezieniem dzieci do szpitala.

Czekając na wóz zapytałam Kabero, który wystrzelił z dubeltówki i dokonał tego rozlewu krwi. Wtedy Belknap opowiedział mi o nim dziwną historię. Dwa dni przedtem Kabero kupił od swego pana parę starych szortów, za którą miał zapłacić rupię ze swej pensji. Gdy padł strzał i Belknap pobiegł do kuchni, Kabero stał na środku z dymiącą dubeltówką w ręku.

Chwilę patrzył na Belknapa, potem zanurzył lewą rękę w kieszeń tych szortów, które kupił i w które wystroił się na przyjęcie, wyciągnął rupię i położył na stole, kładąc tam równocześnie trzymaną w prawej ręce dubeltówkę. Po dokonaniu tego ostatecznego rozrachunku – znikł; dosłownie, chociaż w danym momencie jeszcze tego nie wiedzieliśmy, po tym wielkim geście znikł z powierzchni ziemi. Było to niezwykle zachowanie się krajowca, bo miejscowi ludzie zapominają o długach, a szczególnie o długach wobec białego. Może w obliczu wydarzeń Kabero pomyślał, że nadszedł sąd ostateczny, i chciał okazać się sprawiedliwym: może starał się o to, aby mieć przyjaciela w potrzebie. Może wreszcie szok i śmierć towarzyszy zabaw wstrząsnęła całą, niewielką sferą pojęć chłopca, tak że uboczne myśli znalazły się nagle w centrum jego świadomości.

W okresie tych wydarzeń miałam stary samochód marki Overland. Nie powinnam napisać złego słowa o tej maszynie, bo służyła mi wiernie przez wiele lat. Rzadko jednak można ją było skłonić do tego, aby pracowała więcej niż dwoma cylindrami. Świateł też nie miała w porządku, na tańce w klubie Muthaiga jeździłam z naftową latarnią owiniętą w czerwoną chustkę i zawieszoną z tyłu wozu w charakterze lampy ostrzegawczej. Przy ruszaniu trzeba było pchać staruszkę, co tej właśnie nocy zajęło wiele czasu.

Przyjeżdżający do mnie goście uskarżali się na stan drogi prowadzącej na farmę, a tej nocy podczas wyścigu ze śmiercią zrozumiałam że mieli rację. Z początku prowadził Farah, lecz zdawało mi się, że rozmyślnie wjeżdża we wszystkie głębokie dziury i koleiny, sama więc usiadłam przy kierownicy. Przedtem jednak musiałam wysiąść i umyć ręce w ciemnej wodzie z przydrożnej kałuży. Tej nocy droga do Nairobi nie miała – wydawało się – końca, przysięgłabym, że w tym samym czasie zajechałabym już aż do domu w Danii.

Szpital dla tubylców w Nairobi leży na wzgórzu, z którego wjeżdża się do niżej położonego miasta. Budynek był całkiem ciemny i wyglądał bardzo sennie. Z wielką trudnością staraliśmy się kogoś obudzić, wreszcie wyszedł ku nam jakiś stary Goańczyk w dziwacznym nocnym stroju, lekarz lub pomocnik lekarza. Był to wysoki i tęgi człowiek o łagodnym usposobieniu: miał dziwny zwyczaj powtarzania tego samego gestu najpierw jedną, a potem drugą ręką. Gdy pomagałam wynieść Wamai z samochodu wydawało mi się, że chłopiec się poruszył i lekko przeciągnął, ale po zanieśieniu go do jasno oświetlonego pokoju w szpitalu stwierdziliśmy, że już nie żyje. Stary Goańczyk ciągle machał nad nim ręką i powtarzał: „Nie żyje”. Podobnie machał ręką nad Wanyangerii powtarzając: „Ten żyje”. Nigdy więcej nie spotkałam tego starego człowieka, bo nigdy potem nie odwiedzałam szpitala nocą, kiedy widocznie przypadał jego dyżur. W tej chwili uważałam jego sposób bycia za bardzo irytujący, później jednak odczuwałam to tak, jakby los we własnej osobie, ubrany w kilka białych peleryn jedna na drugiej, spotkał nas na progu szpitala i sprawiedliwie rozdzielał życie i śmierć.

Wanyangerii zbudził się w czasie wnoszenia do szpitala i natychmiast ogarnął go paniczny strach, nie chciał zostać, czepiał się mnie i wszystkich będących w pobliżu, krzyczał i płakał w ogromnej rozpacz. Stary Goańczyk uspokoił go w końcu jakimś zastrzykiem, popatrzył na mnie zza okularów i powiedział: „Ten żyje”. Zostawiłam tam dzieci, to umarłe i to żywe, na dwu noszach, dwu różnym losom.

Belknap przyjechał z nami na motocyklu głównie po to, aby pomóc pchnąć wóz, gdyby motor stanął w drodze. Jego zdaniem należało zgłosić wypadek milicji. Pojechaliśmy więc do komisariatu w mieście i za jednym zamachem znaleźliśmy się w centrum nocnego życia Nairobi. W komisariacie nie zastaliśmy żadnego białego policjanta: posłano po niego, a my czekaliśmy w samochodzie. Wzdłuż ulicy ciągnęła się aleja drzew eukaliptusowych, typowych dla każdego pionierskiego miasta na wyżynach. Bardzo długie i wąskie liście tych drzew wydają w nocy dziwny, przyjemny zapach i niezwykle wyglądają w świetle latarni ulicznych. Grupa miejscowych policjantów wniosła do komisariatu młodą, dużą i piersistą kobietę Suahili: opierała się z całej siły, drapała ich po twarzy i darła się jak zarzynany

prosiak. Potem przyprowadzono parę awanturników, którzy jeszcze na schodach komisariatu chcieli sobie znów skoczyć do oczu. Za jakimś świeżo schwytanym złodziejem, jak mi się zdawało, kroczył cały orszak nocnych hulaków. Jedni trzymali stronę aresztowanego, inni policji, dyskusja była więc bardzo ożywiona. Wreszcie zjawił się młody oficer policji, prawdopodobnie wprost z jakiegoś wesołego przyjęcia. Belknap był bardzo rozczarowany, bo policjant, który z początku pisał protokół szybko i z dużym zainteresowaniem, stopniowo coraz wolniej wodził ołówkiem po papierze, aż w końcu w ogóle przestał pisać i schował ołówek do kieszeni. Odczuwałam nocny chłód. Nareszcie mogliśmy wrócić do domu.

Nazajutrz rano, gdy jeszcze leżałam w łóżku, skoncentrowana cisza wokół domu powiedziała mi, że zebrało się tam wiele ludzi. Wiedziałam, kto tam był: starzy skwaterzy siedzieli na kamieniach żując, zażywając tabakę, spluwając i rozmawiając ze sobą szeptem. Wiedziałam też, czego chcieli: przyszli mnie zawiadomić, że pragną zwołać kiamę w celu omówienia strzału, który padł ubiegłej nocy, i śmierci dzieci.

Kiama jest to rada starców, upoważniona przez rząd do rozstrzygania miejscowych spraw, głównie nieporozumień między osadnikami na tej samej farmie. Członkowie kiamy zbierają się po dokonaniu jakiejś zbrodni lub zajściu jakiegoś nieszczęśliwego wypadku i potrafią debatować nad tym przez wiele tygodni, delektując się baranią, gadaniem i nieszczęściem. Wiedziałam, że starcy chcieli teraz omówić całą sprawę ze mną, że później będą próbowali nakłonić mnie do przyścia na ten ich sąd i wydania ostatecznego wyroku. Nie miałam jednak w tej chwili ochoty podejmować nie kończącej się dyskusji na temat nocnej tragedii. Kazałam podać sobie konia i wyruszyłam w pole.

Gdy tylko wyszłam z domu, zgodnie z przewidywaniem zobaczyłam całe koło starców po lewej stronie, obok chat boyów. Dla zachowania godności zgromadzenia starcy dopóty udawali, że mnie nie widzą, dopóki nie zrozumieli, że wyjeżdżam. Wtedy, trzęsąc się na cienkich nogach, wszyscy zaczęli szybko wymachiwać do mnie. Pokiwałam im wzajemnie ręką i pojechałam dalej.

W rezerwacie

Wjechałam do rezerwatu Masajów. Aby się tam dostać, musiałam przeprowić się przez rzekę. Jadąc dalej, w ciągu kwadransa dotarłam do rezerwatu zwierzęcego. Z początku mego pobytu na farmie rzeka stanowiła trudną przeszkodę; dość dużo czasu zajęło mi znalezienie miejsca nadającego się do przeprawy konno, bo zjazd był kamienisty, a brzeg po drugiej stronie bardzo stromy. Lecz tam „wiatru skrzydlata moc jeno błogość niesie, wszelki ślad gubiąc namiętnych wzruszeń i zwad”^[4]

Niezmiernie rozległy, lekko pofalowany teren bez płotów, rowów i dróg zapraszał do stukilometrowego galopu. Poza wioskami Masajów nie spotykało się żadnych ludzkich sadyb, a wioski stały puste przez pół roku, gdy koczownicy przenosili się ze stadami na inne pastwiska. W regularnych odstępach rosły na równinie niskie kolczaste drzewa, a do przeprawy przez długie i głębokie wąwozy, na dnie których płaskie kamienie znaczyły koryta wyschniętych rzeczułek, trzeba było odszukiwać ścieżki używane przez zwierzęta. Po jakimś czasie człowiek zdawał sobie sprawę z panującej tu ciszy. Jeszcze teraz, gdy myślę o swym pobycie w Afryce, nasuwa mi się ogólne określenie, że była to egzystencja człowieka, który z ruchliwego i zgiełkliwego świata przybył do kraju ciszy.

Tuż przed porą deszczową Masaje wypalają starą, suchą trawę i wtedy podróż po czarnej i pustej równinie nie należy do przyjemności: czarny pył ze zwęglonych traw unosi się spod kopyt końskich, osiada na całym ciele i wciska się do oczu. Zwęglone łodygi są ostre jak

[4] P.B. Shelley. *Mimoza*. Tłum. Z. Glinki

szkło i psy ranią sobie na nich łapy. Gdy jednak nadchodzą deszcze i równina pokrywa się świeżą, zieloną trawą, wtedy jedzie się jak po dywanie i nawet koń zaczyna brykać z nadmiaru szczęścia. Różne gatunki antylop schodzą się paść na stepie i wyglądają jak dziecinne zabawki ustawione na stole bilardowym. Czasami spotyka się stado elandów. Potężne, spokojne zwierzęta pozwalają człowiekowi podchodzić zupełnie blisko: gdy już jest zbyt blisko, oddalają się kłusem. Łby trzymają wtedy wysoko, długie rogi sterczą im do tyłu nad wyciągniętymi szyjami, a luźne fałdy skóry na piersiach, które nadają im kwadratową sylwetkę, trzęsą się w takt biegu. Można sądzić, że pochodzą wprost z rysunku na staroegipskim nagrobku, tylko że tam orały ziemię: pozostał im jeszcze uchwytny rys zwierząt domowych. Żyrafy trzymały się odleglejszych terenów rezerwatu.

W pierwszym miesiącu pory deszczowej w rezerwacie kwitną białe i pachnące dzikie goździki tak gęsto, że z daleka równina wydaje się pokryta płatami śniegu.

Szukałam ucieczki w świecie zwierząt, z dala od ludzi: tragedia ostatniej nocy ciążyła mi na sercu. Myśl o starcach siedzących obok mego domu napawała mnie niepokojem; w dawnych czasach podobne uczucie musiało ogarniać ludzi podejrzewających, że czarownica z sąsiedztwa gotuje się do rzucenia uroku albo nawet już ma w zanadru woskową kukiełkę, aby ją ochrzcić imieniem upatrzonej ofiary.

W zakresie wymiaru sprawiedliwości stosunki między mną a tubylcami ułożyły się bardzo dziwnie. Ponieważ przede wszystkim chciałam mieć spokój na farmie, nie mogłam trzymać się z dala od tych spraw, bo jakkolwiek spór między skwaterami, jeżeli nie został uroczystie i ostatecznie rozstrzygnięty, stawał się podobny do specyficznej afrykańskiej choroby zwanej „veldtsores”. Objawia się ona ranami, które ładnie goją się z wierzchu, ale pod skórą dalej się jątrzą i ropieją dopóty, dopóki nie wyczyści się chorego miejsca przez głębokie nacięcie. Tubylcy zdawali sobie z tego sprawę i gdy chcieli jakiś spór naprawdę zakończyć, prosili mnie o wydanie wyroku.

Ponieważ nie znałam miejscowych praw, w tych wielkich trybunałach występowałam często w charakterze primadonny, która nie pamięta ani słowa ze swej roli i cały czas musi być podtrzymywana przez resztę zespołu. Moi ludzie brali na siebie to zadanie i spełniali je cierpliwie i z taktem. Czasami musiałam przybierać pozę takiej primadonny, która czuje się wstrząśnięta wyznaczoną rolą, odmawia odegrania jej i opuszcza scenę. Gdy taki wypadek zaszedł, moi widzowie przyjmowali to jako ciężki cios ze strony Opatrzności, jako karę boską zupełnie dla nich nie do pojęcia; siedzieli w milczeniu i soplali.

Pojęcia sprawiedliwości w Europie i Afryce są różne: to, co obowiązuje na jednym kontynencie, jest nie do przyjęcia na drugim. Dla mieszkańców Afryki istnieje tylko jeden sposób równoważenia katastrof życiowych, a mianowicie odszkodowanie. Nie zwraca on natomiast żadnej uwagi na motywy i pobudki działania. Czy ktoś zwabi swego wroga w zasadzkę i w ciemności poderżnie mu gardło, czy też przy ścinaniu drzewa upadający pień zabije zupełnie przypadkowego przechodnia – jeżeli idzie o karę, oba wypadki są w pojęciu tubylców takie same. Społeczeństwo poniosło stratę i ktoś musi złożyć zadośćuczynienie: obojętnie kto i gdzie, byle nastąpiło odszkodowanie. Mieszkaniec Afryki nie zaprzęta sobie głowy roztrząsaniem zagadnienia, czy ktoś ponosi winę i zasługuje na karę. Albo się obawia, że takie roztrząsanie zaprowadzi go zbyt daleko, albo też uważa, że to nie jest jego sprawą. Potrafi natomiast poświęcić mnóstwo czasu i wysiłku myślowego na znalezienie sposobu, według którego zbrodnia lub nieszczęśliwy wypadek da się przeliczyć na owce albo kozy. Wtedy czas nie gra roli, z całą powagą będzie się kręcił po labiryncie sofistyki. To wszystko było wówczas sprzeczne z moim pojęciem sprawiedliwości.

Wszyscy mieszkańcy Afryki jednakowo podchodzą do tego rytuału. Somalijczycy mają zupełnie inne usposobienie niż Kikujusi i głęboko nimi gardzą, lecz zupełnie tak samo zasiadają do przeliczenia morderstwa, gwałtu lub oszustwa na żywy inwentarz, ukochane wielbłądźce i konie, których imiona i rodowód są wyrzeźbione w sercach właścicieli.

Pewnego razu do Nairobi nadeszła wiadomość, że jeden z młodszych braci Faraha, wówczas dziesięcioletni chłopiec, rzucił kamieniem w chłopca z innego rodu wybijając mu dwa przednie zęby. Zdarzyło się to w miejscowości zwanej Baramur. Przedstawiciele obu rodów zebrali się na farmie i wiele nocy przegadali siedząc na podłodze w chacie Faraha, aby tę sprawę rozstrzygnąć. Przybyli chudzi starcy w zielonych turbanach, odznakach pielgrzymów do Mekki, obok nich młodzi, pewni siebie Somalijczycy, którzy w chwilach wolnych od naprawdę ważnych spraw byli nosicielami broni u wielkich europejskich podróżników i myśliwych, wreszcie chłopcy z ciemnymi oczyma i okrągłymi twarzami, którzy skromnie reprezentowali swe rodziny i nie odzywali się ani słowem, tylko nabożnie słuchali i uczyli się od starszych. Farah powiedział mi, że sprawę uważano za bardzo poważną, ponieważ poszkodowany chłopiec stracił urodę, w następstwie czego może mieć, gdy nadejdzie jego pora, trudności z zawarciem małżeństwa i będzie zmuszony obniżyć swe wymagania co do urody i pochodzenia swej przyszłej żony. W końcu odszkodowanie ustalono na pięćdziesiąt wielbłądów, co oznaczało połowę grzywny należnej za mężobójstwo, bo pełna grzywna wynosiła sto wielbłądów. W dalekim Somali zakupiono więc pięćdziesiąt wielbłądów, które miały być za jakieś dziesięć lat dołożone do ceny kupna somalijskiej dziewczyny, a to w celu odwrócenia jej uwagi od szczyrby w zębach narzeczonego. Może w ten sposób położono fundament przyszłej tragedii. Sam Farah uważał, że udało mu się wyjść ze sprawy tanim kosztem.

Miejscowi skwatterzy na farmie nigdy nie zdawali sobie sprawy z moich zapatrywań na ich system prawny, gdy więc spotkało ich jakieś nieszczęście, do mnie przede wszystkim przychodzili po odszkodowanie.

Pewnego razu, w okresie zbioru kawy, wóz zaprzężony w woły przejechał i zabił przed moim domem młodą Kikujuskę imieniem Wamboi. Zwoziło się wtedy kawę z pola do suszarni, ja zaś wyraźnie zakazałam siadać na wozach, bo za każdym nawrotem gromada dziewcząt i dzieci korzystałaby z powolnej przejażdżki – woły kroczą znacznie wolniej niż ludzie – a to niepotrzebnie obciążałoby zmęczone zwierzęta. Młodzi woźnicy nie potrafili jednak oprzeć się naleganiom pięknookich dziewcząt, które szły obok wozów i prosiły o przewiezienie; kazali jednak dziewczętom zeskakiwać, gdy wóz wjeżdżał na miejsce widoczne z mego domu. Wamboi przy zeskakiwaniu upadła tak nieszczęśliwie, że koło wozu przejechało przez jej czarną główkę i zgmiotło czaszkę; w koleinie zostało trochę krwi.

Posłałam po jej starych rodziców. Przyszli z pola i zaczęli rozpaczać nad córką. Wiedziałam, że ta śmierć stanowi również dużą stratę materialną, bo dziewczyna była w wieku zawierania małżeństw i dostaliby za nią odpowiednią ilość owiec i kóz oraz jałówkę lub nawet dwie. Oczekiwali tego od dnia urodzenia córki. Właśnie rozmyślałam, w jaki sposób powinnam im pomóc, kiedy uprzedzili mnie i energicznie zażądali pełnego odszkodowania.

„Nie – odpowiedziałam – nie zapłacę. Powiedziałam wszystkim dziewczętom na farmie, że nie pozwalam im jeździć na wozach, wszyscy o tym wiedzieli”. Starzy kiwali głowami, że wszystkim się zgadzali, lecz niewzruszenie upierali się przy swoim żądaniu. Używali argumentu, że ktoś musi zapłacić. Obalenie tej zasady nie mogło im się pomieścić w głowach, podobnie jak nie mieściłaby się tam teoria względności. A gdy przerwałam dyskusję i poszłam w kierunku domu, postępowali za mną krok w krok nie z powodu chciwości lub złości, to prawo natury działało tak, jakbym była dla nich prawdziwym magnesem.

Starzy usiedli przed domem i tam czekali. Biedni ludzie, mali i niedożywieni; wyglądali na trawniku jak para borsuków. Siedzieli aż do zachodu słońca, kiedy już nie mogłam ich odróżnić od trawy. Byli pogrążeni w głębokim smutku; strata dziecka i uszczerbek materialny złały się u nich w jedno przygnębiające nieszczęście. Farah był w tym dniu nieobecny; pod jego nieobecność, gdy już zapalaliśmy w domu lampy, posłałam biedakom pieniądze, żeby kupili owcę na jedzenie. Był to błędny krok, bo starzy przyjęli go jako pierwszy znak słabości

obleżonego miasta i postanowili siedzieć na miejscu przez całą noc. Nie wiem, jak długo siedzieliby, gdyby późnym wieczorem nie wpadli na pomysł, że mogą domagać się odszkodowania od młodego woźnicy. Nagle więc i bez słowa zniknęli z trawnika, a nazajutrz rano udali się do Dagoretti, gdzie mieszkał zastępca komisarza okręgowego, Assistant District Commissioner, co potocznie zastępowało się skrótem A.D.C.

Rozpoczęło się długie śledztwo w sprawie morderstwa i na farmę przyjeżdżało wiele miejscowych policjantów, młodych i pewnych siebie. Jediną rzeczą, którą A.D.C. początkowo obiecał zrobić w związku ze skargą, było powieszenie woźnicy za morderstwo. Po zbadaniu jednak wszystkich okoliczności A.D.C. umorzył śledztwo. Rada starszych ze swej strony odmówiła zwołania kiamy w sprawie, która została już odrzucona przez A.D.C. i przeze mnie. W końcu więc dwoje starszków musiało się ugiąć przed prawem względnosci, z którego nie pojmowali ani słowa, tak zresztą jak wiele innych ludzi.

Czasami miałam już dość starców urządzających kiamę i nie ukrywałam przed nimi, co o nich myślę. „Wy starzy – mówiłam im – nakładacie grzywny na młodych po to, żeby młodzi nie mogli zebrać pieniędzy. Młodzi nie mogą palcem kiwnąć, żebyście się ich zaraz nie czepiali, a w efekcie sami kupujecie wszystkie dziewczęta”. Starzy słuchali mnie uważnie, małe oczka błyszczały im w wysuszonych i pomarszczonych twarzach, a cienkie wargi poruszały się tak, jakby powtarzały moje słowa. Byli zachwyceni, że choć raz usłyszeli swoją wspaniałą zasadę wyrażoną słowami.

Mimo wszystkich różnic w poglądach stanowisko sędziego wśród Kikujusów otwierało przede mną mnóstwo możliwości, a to bardzo sobie ceniłam. Byłam wtedy młoda i wiele w życiu rozmyślałam na temat sprawiedliwości i niesprawiedliwości, głównie jednak z punktu widzenia podsądnego; nigdy nie siedziałam w fotelu sędziego. Wkładałam wiele wysiłku w to, aby rozstrzygać spory sprawiedliwie i równocześnie w sposób zapewniający spokój na farmie. Czasami, przy specjalnie trudnych problemach, musiałam odraczać sprawę w celu przemyślenia jej; wtedy starałam się owinąć głowę czymś w rodzaju myślowej zasłony, aby nikt nie mógł wtrącać się do moich medytacji. To robiło wielkie wrażenie na mieszkańcach farmy; długo jeszcze słyszałam, jak z szacunkiem mówili o sprawie tak trudnej, że nikt nie potrafił jej rozgryźć w czasie krótszym niż tydzień. Tubylcowi można zawsze zaimponować tym, że na coś traci się więcej czasu, niż on sam go traci. To nie jest jednak takie łatwe.

Fakt, że tubylcy chcieli mnie mieć jako sędziego i liczyli się z moimi wyrokami, znajduje wytłumaczenie w mitologicznym i teologicznym pierwiastku ich mentalności. Europejczycy stracili już zdolność tworzenia nowych mitów i dogmatów. Jeżeli ich potrzebujemy, to sięgamy do zapasów pozostałych z przeszłości. Umysł mieszkańca Afryki porusza się po tych grząskich i ciemnych ścieżkach naturalnie i łatwo. Ten dar silnie się uwytadnia w stosunkach z białymi.

Można to stwierdzić już po imionach, które nawet po bardzo krótkiej znajomości nadają spotkanym Europejczykom. Jeżeli ktoś chce posłać gońca z wiadomością do przyjaciela albo dopytać się o drogę do jego domu, musi znać to imię, bo w tubylczym świecie stanowi ono jedyny znak rozpoznawczy. Miałam pewnego bardzo nietowarzyskiego sąsiada, który nigdy nikogo do siebie nie zapraszał – tubylcy zwali go Sahane Modja, czyli Jedno Nakrycie. Mój szwedzki przyjaciel Eryk Otter nazywał się Resase Modja, czyli Jeden Nabój; to znaczyło, że na polowaniu wystarczał mu jeden ładunek – imię było więc zaszczytne. Znałam pewnego zapalonego automobilistę, którego nazywano Człowiek – Samochód. Gdy tubylcy nazywają kogoś imionami zwierząt – Ryba, Żyrafa, Tłusty Wół, Kulawy Lampart – ich fantazja biegnie tym samym torem, co wyobrażenia starożytnych, którzy mieli centaury, fauny i harpie. Sądzę, że tak nazwani biali rzeczywiście figurują w świadomości tubylców jako równocześnie ludzie i zwierzęta.

Słowa mają też magiczne działanie. Człowiek, który przez wiele lat znany był otoczeniu pod nazwą jakiegoś zwierzęcia, w końcu oswaja się z tym zwierzęciem i czuje się z nim

związany, poznaje w nim siebie samego. Po powrocie do Europy dziwne mu się wydaje, iż nikt nie łączy go z tym zwierzęciem.

Będąc raz w londyńskim zoo zauważyłam pewnego starego emerytowanego urzędnika administracji kolonialnej, którego w Afryce znałam jako Bwana Tembu, Pan Słoń. Stał samotnie przed wybiegiem dla słoń i w głębokim zamyśleniu obserwował zwierzęta. Może przychodził tam częściej, może nawet codziennie. Jego miejscowi boye na pewno by uważali, że tak właśnie być powinno, ale chyba nikt w całym Londynie nie rozumiał go z wyjątkiem mnie, lecz ja byłam tam tylko przez kilka dni.

Mieszkańcy Afryki mają swój własny, dla nas dziwny sposób myślenia, podobny do wyobrażeń dawnych ludów, które uważały za zupełnie naturalne, iż Odyn pozbył się jednego oka po to, aby móc lepiej przejrzeć świat, które też za boga miłości uznawały dziecko nie znające miłości. Jest rzeczą zupełnie prawdopodobną, że Kikujusi na mojej farmie dopatrywali się we mnie sędziowskiej wielkości dlatego, że nie miałam zielonego pojęcia o prawach, według których sądziłam.

Dzięki swym zdolnościom tworzenia mitów tubylcy potrafią również narzucać człowiekowi rzeczy, przed którymi nie umie się bronić ani których nie umie uniknąć. Mogą zrobić z kogoś symbol. Zdawałam sobie dobrze sprawę z tego procesu i miałam na to własne określenie – że robili ze mnie węża z brązu^[5]. Ci Europejczycy, którzy dłuższy czas stykali się z rodowitymi mieszkańcami Afryki, rozumieją, o co mi idzie, choćbym nawet używała tego słowa nie całkiem zgodnie z Biblią. Jestem głęboko przekonana, że mimo wszystkiego, co zrobiliśmy w Afryce, mimo postępu naukowego i technicznego posiadanie węzów z brązu było jedyną praktyczną korzyścią, jaką tubylcy z nas mieli.

Nie mogli wykorzystać w tym celu wszystkich białych i nie wszystkich jednakowo. W swoim własnym świecie nadawali nam rangi w zależności od tego, jak kto przydawał się w charakterze, brązowego węża. Różni moi przyjaciele, jak Denys Finch-Hatton, obaj bracia Galbrait i Berkeley Cole, i sir Northrup MacMillan, osiągnęli pod tym względem wysokie szczeble w opinii tubylców.

Lord Delamere był wężem z brązu pierwszej wielkości. Przypominam sobie, że raz odbywałam podróż po płaskowyżu w czasie największej klęski szarańczy. Szarańcza przyleciała przed rokiem, a teraz pojawiło się jej potomstwo, aby zjeść wszystko, co się jeszcze uratowało, i nie zostawić po sobie ani jednego źdźbła trawy. Dla tubylców oznaczało to okropne nieszczęście i po zeszłorocznej klęsce nowa plaga była już nie do zniesienia. Załamywali się na duchu, ogarnięci rozpaczą wyli jak mordowane psy, walili głowami o ściany. Tak się wtedy złożyło, że opowiedziałam im o swoim przejeździe przez farmę Delamere'a, na której wszędzie widziałam szarańczę, na pastwiskach i wokół domu. Dodałam też, że Delamere nie posiada się z gniewu i rozpacz. Momentalnie moi słuchacze uspokoiли się i jakby odzyskali ducha. Pytali mnie, co Delamere powiedział o swoim nieszczęściu, potem prosili, żebym jeszcze raz to powtórzyła, w końcu zaś umilkli.

Jako brązowy wąż nie miałam tego ciężaru gatunkowego co lord Delamere, w niektórych jednak okazjach również przydawałam się tubylcom.

W czasie wojny, gdy cały tubylczy świat żył tylko myślą o losie Korpusu Tragarzy^[6], moi skwaternicy mieli zwyczaj zbierania się pod samym domem. Nic nie mówili nawet między sobą, patrzyli tylko na mnie i przemieniali mnie w swego węża z brązu. Nie mogłam kazać im iść, bo nie robili nic złego, a zresztą przenieśliby się tylko na jakieś inne miejsce. Ale

[5] Wąż z brązu symbolizuje tu dobrą, opiekuńczą siłę. Aluzja do węża odlanego z brązu na rozkaz Mojżesza w celu odwrócenia epidemii chorób prześladujących Izraelitów w czasie ich wędrówek przed dojściem do Ziemi Obiecanej.

[6] Korpus Tragarzy został zorganizowany przez Anglików w czasie I wojny światowej w okresie walk z niemieckimi oddziałami w Niemieckiej Afryce Wschodniej (dziś Tanganika). Służba w Korpusie Tragarzy była uciążliwa i niebezpieczna.

niełatwo przychodziło mi znosić ciągle towarzystwo nie mając ni chwili samotności. Ulgę sprawiała mi jednak myśl o tym, że pułk mojego brata walczył w tym czasie w pierwszej linii frontu pod Vimy. Mogłam obrócić wzrok na brata i jego zrobić swoim wężem z brązu.

Gdy jakieś nieszczęście wydarzyło się na terenie farmy, Kikujusi widzieli we mnie najwyższą żałobnicę, główną płaczkę. Teraz, w związku z tragicznym strzałem, miało być tak samo. Ponieważ ja martwiłam się losem dzieci, moi ludzie uważali za stosowne nie zajmować się więcej tą sprawą. Jeżeli idzie o nieszczęścia, to podchodzili do mnie tak, jak parafianie podchodzą do księdza, który sam wypija kielich w ich imieniu.

Czary mają to do siebie, że jeżeli ktoś raz znalazł się w zasięgu ich działania, nigdy nie potrafi się zupełnie z tego wyzwolić. Zostawszy brązowym wężem wiszącym na słupie, bardzo boleśnie to odczuwałam i wolałabym za wszelką cenę tego uniknąć. Ale jednak wiele lat później zdarzały się okazje, kiedy łapałam się na takiej myśli: „I to ja mam znosić takie traktowanie? Ja, która byłam brązowym wężem?”.

W drodze do domu znów musiałam przeprowić się przez rzekę, a gdy byłam właśnie na środku nurtu, spotkałam całą grupę synów Kaninu, trzech młodzieńców i jednego chłopca. Szli szybko niosąc włócznie. Usłyszawszy moje pytanie swego brata Kabero, stanęli ze znieruchomiałymi twarzami oczyma wbitymi w wodę, która im sięgała po kolana. Odpowiedzieli bardzo cicho, że Kabero nie wrócił i nic o nim nie słyszano od chwili, kiedy uciekł zeszłej nocy. Wobec tego byli pewni, że już nie żyje. Albo sam się zabił z rozpacz – myśl o samobójstwie łatwo przychodzi tubylcom, nawet dzieciom – albo zabłądził w buszu i zjadły go dzikie zwierzęta. Bracia szukali go wszędzie, teraz idą jeszcze poszukać w rezerwacie.

Wydostawszy się na brzeg po mojej stronie rzeki, odwróciłam się i przeszukałam wzrokiem teren rezerwatu; moja posiadłość leżała wyżej niż równina po tamtej stronie. Nigdzie nie zobaczyłam ani śladu życia, tylko gdzieś daleko pasły się i galopowały zebry. Gdy bracia Kabero wynurzyli się z buszu za rzeką, szybko ruszyli naprzód. Idąc gęsiego przypominali krótką gąsienicę sunącą w trawie. Chwilami słońce odbijało się w grotach włóczni. Zdawało mi się, że nie wahają się co do drogi, ale nie wiedziałam, czym się mogli kierować. W poszukiwaniu zaginionego dziecka za jedynych przewodników mogły służyć sępy, które zawsze krążą nad zwłokami i dokładnie wytyczają miejsce, gdzie lew dokonał morderstwa.

Wątkę ciała małego chłopca nie stanowiłoby jednak sytej uczty dla powietrznych obżartuchów. Nie wszystkie sępy dostrzegłyby je ani też nie zabawiłyby przy nim zbyt długo.

Smutno było o tym myśleć. Popędziłam konia do domu.

Wamai

Na kiamę poszłam w towarzystwie Faraha. Załatwiając sprawę z Kikujusami zawsze brałam go ze sobą, bo chociaż w swoich własnych kłótniach nie wykazywał wiele rozsądku i jak każdy Somalijczyk tracił zupełnie głowę, gdy tylko w grę wchodziły rodowe ambicje i międzynarodowe waśnie, do sporów postronnych ludzi potrafił podejść rozumnie i obiektywnie. Poza tym służył mi jako tłumacz, gdyż doskonale znał język suahili.

Jeszcze przed przybyciem na zgromadzenie wiedziałam, że głównym przedmiotem obrad będzie, jak zedrzeć skórę z Kaninu. Rozdrapią mu wszystkie owce, częściowo na odszkodowanie dla rodzin tych dzieci, które padły ofiarą wypadku, a częściowo na koszty kiamy. Od początku to mi się nie podobało. Moim zdaniem Kaninu również stracił syna, a los jego dziecka wydawał się najtragiczniejszy ze wszystkich. Wamai już nie żył i stał poza wszystkim, Wanyangerri znajdował się w szpitalu pod dobrą opieką, natomiast wszyscy opuścili Kabero i nikt nie wiedział, gdzie leżą jego kości.

Trzeba powiedzieć, że Kaninu doskonale się nadawał do roli tucznego wołu na tę odświętną okazję. Należał do moich najbogatszych skwaterów, lista jego majątku obejmowała trzydzieści pięć sztuk bydła, pięć żon i sześćdziesiąt kóz. Jego gospodarstwo przylegało do mego lasu, często więc spotykałam jego dzieci i kozy, bezustannie też musiałam besztać jego żony za ścinanie wielkich drzew. Kikujusi nie znają luksusu, nawet najbogatsi żyją jak nędzarze. Odwiedzając chatę Kaninu nie spotykałam tam żadnych mebli z wyjątkiem drewnianych zydl. Jego obejście składało się jednak z kilku chat, wokół których roilo się od starych kobiet, młodzieży i dzieci. O zachodzie słońca, gdy zbliżała się pora dojenia, ku zagrodzie ciągnęło z pastwiska spore stado bydła, któremu towarzyszyły niebieskawe cienie na trawie. To wszystko sprawiało, że stary i chudy człowiek w skórzanym płaszczu, którego ciemną, chytrą twarz pokrywała sieć drobnych, wypełnionych brudem zmarszczek, uważany był na farmie za nababa.

Między mną a Kaninu dochodziło do ostrej wymiany zdań, z powodu jego machinacji groziłam mu nawet wyrzuceniem z farmy. Kaninu żył w dobrych stosunkach z sąsiednim plemieniem Masajów i wydał wśród nich za mąż pięć swoich córek. W dawnych czasach, jak opowiadali mi sami Kikujusi, Masaje uważali związki małżeńskie z nimi za rzecz poniżej swej godności. Dziś jednak wymierający naród musiał zrezygnować z dumy, aby przedłużyć swe istnienie. Masajskie kobiety nie rodziły dzieci, nic zatem dziwnego, że plemię bardzo ceniło płodne dziewczyny Kikujuskie. Potomstwo Kaninu odznaczało się urodą, w zamian więc za swe córki stary dostawał pokaźną ilość dorodnych jałówek. Niejeden zresztą kikujuski *pater familias* wzbogacił się w ten właśnie sposób. Mówiono mi, że główny naczelnik Kikujusów, Kinaniui, dostarczył Masajom ponad dwadzieścia córek i w zamian otrzymał ponad sto sztuk bydła.

Mniej więcej rok temu w rezerwacie Masajów wprowadzono kwarantannę z powodu zarazy pyska i racic, co oznaczało zakaz wyprowadzania stamtąd bydła. Kaninu stanął przed ciężkim zagadnieniem. Masaje są koczownikami i zmieniają siedziby zależnie od sezonu i stanu pastwisk. Te sztuki, które prawnie należały do Kaninu, wędrowały razem ze stadami Masajów po całym rezerwacie i często znajdowały się o ponad sto kilometrów, czyli tak daleko, iż nikt nie mógł sprawdzić, co się z nimi dzieje. Masaje nie wyróżniają się w handlu bydłem uczciwością, a już najmniej jej przestrzegają wobec niecierpiących Kikujusów. Są za to doskonałymi wojownikami i podobno mistrzami w sztuce miłości. U boku takich mężów córki Kaninu miękły, ich serca zmieniały się jak serca mitycznych Sabinek, tak że ojciec nie mógł już na nich polegać. Chcąc bronić swych interesów szczwany Kikujus wpadł na pomysł, aby nocą, kiedy komisarz okręgu i pracownicy wydziału weterynaryjnego smacznie chrapali, przepędzić swoje sztuki przez rzekę na teren mojej farmy. To był z jego strony wręcz łajdacki postępek, zupełnie świadomy, gdyż krajowcy doskonale zdają sobie sprawę ze znaczenia przepisów o kwarantannie i mają dla nich uznanie. Gdyby przepędzone bydło znaleziono na moim terenie, cała farma znalazłaby się pod kwarantanną. Musiałam więc postawić przy rzece straż z poleceniem przyłapywania pomocników Kaninu. Nocami, przy świetle księżyca, dochodziło do wielu dramatycznych zasadzek, ucieczek i pogoni wzdłuż srebrzystego nurtu rzeki. Spłoszone jałowki, które były powodem tych nocnych awantur, rozbiegały się na wszystkie strony.

W przeciwieństwie do Kaninu ojciec zabitego Wamai, Jogona, był biedakiem. Miał tylko jedną starą żonę, a cały jego majątek na tym świecie składał się z trzech kóz. Nic nie świadczyło, aby miał się kiedykolwiek dorobić czegoś więcej, na przeszkodzie temu stała jego naiwna prostota. Dobrze znałam tego Jogonę. Rok przed wypadkiem w kuchni Belknapa i przed posiedzeniem kiamy na farmie dokonano okropnego morderstwa. Dwaj Hindusi, którzy dzierżawili ode mnie młyn stojący nieco dalej w górę rzeki i zajmowali się mieleniem kukurydzy dla Kikujusów, zostali pewnej nocy zabici, a ich rzeczy zrabowane. Morderców nigdy nie wykryto. Zbrodnia wystraszyła hinduskich kupców z całego okręgu; zniknęli jak

porwani wichurą. Musiałam wtedy uzbroić Poorana Sinha, kowala przy suszarni, w starą dubeltówkę, ale oprócz tej broni trzeba było jeszcze wiele perswazji, aby go namówić do pozostania. Pewnej nocy zaraz po morderstwie mnie samej zdawało się, że słyszę kroki wokół domu, więc przez tydzień trzymałam nocnego stróża właśnie w osobie Jógony. Był to człowiek bardzo łagodny i nie stanowił żadnej obrony przed mordercami, ale jego uprzejmość sprawiała, że przyjemnie się z nim gawędziło. Zachowywał się jak wesołe dziecko, z szerokiej twarzy nie znikał mu wyraz zaciekawienia i gorliwości, a za każdym razem, gdy spojrzał na mnie, uśmiechał się szeroko. Teraz był bardzo zadowolony z mojej obecności na kiamie.

Lecz Koran, który w tym czasie studiowałam, mówi: „Nie będziesz naginał sprawiedliwości dla dobra biednych”.

Oprócz mnie przynajmniej jeden ze zgromadzonych na kiamie zdawał sobie sprawę z tego, iż celem posiedzenia było obłupienie Kaninu ze skóry; był to sam Kaninu. Wszyscy pozostali siedzieli kołem, skupieni, zaabsorbowani czekającą ich sprawą. Kaninu naciągnął swój skórzany płaszcz na głowę i pod nim od czasu do czasu wydawał głos podobny do jęku lub szlochu, jak pies wyczerpany zbyt długim wyciem i tylko dożywający ostatnich chwil swej nędzy.

Starcy chcieli zacząć od sprawy rannego chłopca Wanyangerri, bo ta stwarzała okazję do przewlekłych targów. Jakie należałoby się odszkodowanie, gdyby chłopiec nie żył? Jeżeli pozostanie ułomny? Gdyby utracił mewę? Farah oświadczył w moim imieniu, że nie będę omawiać tej sprawy, dopóki nie porozmawiam z lekarzem w Nairobi. Przełknęli rozczarowanie i przygotowali sobie argumenty do następnej sprawy.

Przez Faraha powiedziałam im, że kiamia powinna szybko załatwić tę sprawę, że uczestnicy nie mogą siedzieć nad nią do końca życia. Nie ulegało wątpliwości, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, a nie morderstwo.

Członkowie kiamy zaszczylicili moje oświadczenie dużą uwagą, lecz natychmiast zaczęli oponować.

– Msabu, my nic nie wiemy – twierdzili. – Widzimy jednak, że ty również nic nie wiesz, a z tego, co nam mówisz, bardzo mało rozumiemy. To syn Kaninu wystrzelił. Jak mogło być inaczej, skoro on jeden nie został ranny od tego strzału? Jeżeli chcesz usłyszeć coś więcej o tym, Mauge ci powie. Jego syn tam był i stracił jedno ucho.

Mauge był jednym z najbogatszych skwaterów, czymś w rodzaju rywala Kaninu. Miał imponującą postawę i jego słowa posiadały wagę, chociaż mówił bardzo powoli i od czasu do czasu zatrzymywał się, aby pomyśleć.

– Msabu – oświadczył – mój syn opowiedział mi: wszyscy chłopcy, jeden po drugim, brali dubeltówkę i celowali z niej do Kabero. Ale on nie wytłumaczył im, jak się z niej strzela, nie chciał im tego powiedzieć. W końcu sam wziął dubeltówkę, a w tym momencie ona wystrzeliła, poraniła wszystkie dzieci i zabiła Wamai, syna Jógony. Dokładnie tak to się stało.

– Wiedziałałam już o tym odparłam – i właśnie to się nazywa nieszczęśliwym wypadkiem. Ja mogłam wystrzelić ze swego domu albo ty, Mauge, ze swego.

To wywołało wielkie poruszenie wśród uczestników kiamy. Wszyscy spojrzeli na Mauge, który zupełnie stracił rezon. Potem jakiś czas rozmawiali między sobą bardzo cicho, jakby szeptem. Wreszcie na nowo podjęli dyskusję.

– Msabu – oświadczyli – tym razem nie rozumiemy ani jednego słowa z tego co mówisz. Możemy tylko wierzyć, że ty myślisz o sztucerze, bo sama strzelasz bardzo dobrze ze sztucera, ale nie o dubeltówce. Gdyby to był sztucer, miałabyś zupełną słuszność. Ale nikt nie może strzelić z dubeltówki z twojego domu albo z domu Mauge aż do domu Bwana Menanya i zabić tam kogoś.

Po chwili namysłu odpowiedziałam:

– Wszyscy już teraz wiedzą, że to syn Kaninu wystrzelił z dubeltówki. Kaninu zapłaci

Jogonie pewną liczbę owiec tytułem odszkodowania. Ale wszyscy również wiedzą, że syn Kaninu nie był złym dzieckiem i nie chciał zabić Wamai, że więc Kaninu nie zapłaci tyle owiec, ile zapłaciliby, gdyby syn Kaninu zabił Wamai umyślnie.

W tym miejscu przemówił starzec imieniem Awaru. Ten pozostawał w znacznie bliższym kontakcie z cywilizacją niż inni, bo siedem lat spędził w więzieniu.

– Msabu – powiedział – ty mówisz, że syn Kaninu nie był zły i że dlatego Kaninu nie zapłaci tak wiele owiec. Ale gdyby jego syn chciał zabić Wamai, a więc gdyby był złym dzieckiem, czy to byłoby dobre dla Kaninu? Czy my bylibyśmy z tego zadowoleni, że on musiałby zapłacić o wiele więcej owiec?

– Awaru – odparłam – wiesz o tym, że Kaninu stracił swego syna. Sam chodzisz do szkoły i wiesz o tym, że ten chłopiec dobrze się uczył. Jeżeli pod innymi względami był taki sam, to bardzo źle dla Kaninu, że go stracił.

Nastąpiło długie milczenie, nikt z siedzących w kole nie zabierał głosu. W końcu Kaninu przeciągle jęknął, jakby przypomniał sobie o zapomnianej boleści albo o obowiązku.

– Memsahib – zwrócił się do mnie Farah – niech teraz ci Kikujusi wymienią liczbę, o której myślą.

Farah powiedział to w języku suahili, żeby pozostali zrozumieli. Jego słowa wywołały zażenowanie, bo cyfry stanowią rzecz konkretną, której żaden tubylec nie lubi wprost wyrażać. Farah obszedł wzrokiem całe koło, potem wyniosłym tonem zasugerował:

– Sto.

Sto owiec stanowiło fantastyczne odszkodowanie, o jakim nikt by nie pomyślał. Milczenie ogarnęło kiamę. Starcy poczuli się przedmiotem kpin ze strony tego Somalijczyka i postanowili udać, że nie rozumieją. Jakiś starszek szepnął „pięćdziesiąt”, ale na tle dowcipu Faraha i ta liczba wydawała się niepoważna.

Po chwili sam Farah z miną doświadczonego i otrząskanego z liczbami handlarza rzucił:

– Czterdzieści.

To słowo ożywiło zgromadzenie; zaczęły się żywe rozmowy, potrzebowali czasu do namysłu, musieli się wygadać, ale w zasadzie położone już zostały podwaliny rokowań. Gdy wróciliśmy do domu, Farah oświadczył mi poufnie:

– Sądzę, że ci starszycy wezmą od Kaninu czterdzieści owiec.

Kaninu czekała jeszcze jedna ciężka przeprawa. Wstał bowiem brzuchacz Kathegu, jeszcze jeden bogacz, ojciec i dziadek liczego potomstwa, i zaproponował, aby przegłądać owce i kozy, które miał przekazać Kaninu, i indywidualnie wyznaczyć odpowiednie sztuki. Tego rodzaju propozycja nie pokrywała się ze zwyczajami kiamy, Jogona nigdy by nie wpadł na taki pomysł. Byłam przekonana, że do wniosku doszło na podstawie porozumienia między Kathegu i Jogoną z tym, iż korzyść z niego miał odnieść Kathegu. Czekałam więc, co z tego wyniknie.

Z początku zdawało się, że Kaninu zupełnie poddał się swemu losowi. Po wymienieniu każdego zwierzęcia pochylał głowę i wydawał coś w rodzaju kwilenia, jakby mu wrywano po kolei wszystkie zęby. Gdy jednak Kathegu z pewnym wahaniem wybrał dużą żółtą kozę bez rogów, serce Kaninu nie wytrzymało. Porzucił dotychczasową postawę, wylazł spod płaszcza i majestatycznym ruchem wystąpił do przodu. Przez chwilę ryczał pod moim adresem jak wół, rozpaczliwie, iście *de profundis*, wzywając pomocy. Potem rzucił na mnie szybkie spojrzenie i zrozumiał, że jestem po jego stronie i że nie straci swej żółtej kozy. Wobec tego zamilkł i usiadł; dopiero po jakimś czasie zmierzył Kathegu spojrzeniem pełnym niewymownego sarkazmu.

Po tygodniu zwyczajnych i nadzwyczajnych posiedzeń kiamy ostatecznie ustalono odszkodowanie na czterdzieści owiec, które Kaninu miał dać Jogonie, z tym jednak, że uchwalono nie wyznaczać tych owiec indywidualnie.

Dwa tygodnie później Farah opowiedział mi podczas obiadu o dalszym rozwoju

wypadków.

Poprzedniego dnia, brzmiała jego relacja, przybyło na farmę trzech starych Kikujusów z Nieri. Doszły ich słuchy o tej sprawie i przybyli w celu złożenia oświadczenia, że Wamai nie był synem Jogony, lecz synem ich zmarłego brata, wobec czego im według prawa powinno przyspać odszkodowanie.

Uśmiechnęłam się na myśl o takiej bezczelności i rzuciłam uwagę, że to zupełnie podobne do Kikujusów z Nieri. Na to Farah powiedział w zamyśleniu, że jego zdaniem tamci mieli rację. Jogona przybył rzeczywiście z Nieri około sześć lat temu i według zebranych przez Faraha informacji Wamai nie był jego synem i nie mógł nim być. Jogonę, ciągnął dalej, spotkało dwa dni temu wielkie szczęście, gdy mu wręczono dwadzieścia pięć z jego czterdziestu owiec. Inaczej Kaninu chętnie zgodziłby się na zabranie ich do Nieri, aby sobie oszczędzić widoku zwierząt, które niegdyś należały do niego. Ale Jogona musi jeszcze dobrze uważać, bo ci Kikujusi z Nieri nie dadzą się tak łatwo odprawić z kwitkiem. Rozgościli się tu na dobre i grożą, że pójdą na skargę do komisarza okręgu.

Byłam już więc na to przygotowana, gdy kilka dni później przed moim domem zjawili się owi przybysze z Nieri należący do niskiej kasty Kikujusów i przypominający trzy brudne, włochate, stare hieny, które przekradły się ponad sto kilometrów krwawym śladem Wamai. Przyszedł też Jogona bardzo podniecony i zmartwiony. Różnica w postawie obu stron wynikała prawdopodobnie stąd, iż Kikujusi z Nieri nie mieli nic a nic do stracenia, podczas gdy Jogona miał – i to aż dwadzieścia pięć owiec. Trzej goście usadowili się na kamieniach tak nieruchomo jak kleszcze na kozie. Byłam niechętnie nastawiona do ich sprawy, bo, niezależnie od innych okoliczności, zupełnie się nie interesowali zmarłym dzieckiem za jego życia. Żał mi też było Jogony, który bardzo dobrze znalazł się podczas kiamy i, jak sądziłam, smucił się stratą Wamai. Gdy zaczęłam go wypytywać, Jogona tak się trząsał i tak wzdychał, że nie mogłam go zrozumieć. Nic więc nie załatwiliśmy w tym dniu.

Ale dwa dni później Jogona przyszedł wcześniej rano, gdy siedziałam przy maszynie do pisania, i prosił mnie o spisanie jego oświadczenia w sprawie stosunku do zmarłego dziecka i jego rodziny. Chciał zanieść to oświadczenie do urzędu komisarza okręgowego w Dagoretii. Prostota Jogony była ujmująca; zdradzał wiele uczucia i zadziwiająco wprost szczerość. Nie ulegało wątpliwości, że swój obecny krok uważał za bardzo doniosłe pociągnięcie, nie pozbawione niebezpieczeństw; podchodził do tego z nabożeństwem.

Napisałam Jogonie jego oświadczenie. Zajęło to sporo czasu, bo długi raport dotyczył bardzo skomplikowanych wypadków sprzed sześciu lat. Jogona musiał co jakiś czas przerywać opowiadanie, aby namyślić się lub cofnąć się pamięcią wstecz i próbować coś odtworzyć. Przez cały niemal czas trzymał się obu rękoma za głowę, chwilami poważnie nią potrząsając, jakby chciał wytrząsnąć z pamięci nowe fakty. Raz podszedł do ściany i oparł się o nią twarzą, tak jak Kikujuski przy porodzie.

Pisząc oświadczenie Jogony zrobiłam je w dwu egzemplarzach. Dziś jeszcze mam kopię.

Niezwykle trudno było zorientować się w jego relacji, gdyż zawierała mnóstwo skomplikowanych i mało ważnych szczegółów. Nic dziwnego, że sam Jogona z wysiłkiem przypominał sobie przebieg wypadków. Mogę nawet powiedzieć, że zdumiewał mnie tym, iż w ogóle potrafił odgrzebać w pamięci tak wiele faktów. Relacja zaczynała się tak:

„W tym czasie, kiedy Waweru Wamai z Nieri był umierający – na-taka kufa, chciał umrzeć, brzmi to w języku suahili – miał on dwie żony. Jedna żona miała trzy córki, a po śmierci Waweru wyszła za mąż za innego mężczyznę. Za drugą żonę Waweru jeszcze nie zapłacił pełnej ceny, winien był jej ojcu dwie kozy. Ta żona podźwignęła się podnosząc wiązkę drzewa i poroniła; nikt nie wiedział, czy będzie jeszcze mogła rodzić dzieci...”

Takimi szczegółami oświadczenie wprowadzało czytelnika w labirynt stosunków panujących wśród Kikujusów i warunków ich życia.

„Ta żona miała małe dziecko imieniem Wamai. W tym czasie to dziecko chorowało,

wszyscy uważali, że miało ospe. Waweru był bardzo przywiązany do tej żony i jej dziecka i gdy umierał, martwił się bardzo, co się z nimi stanie po jego śmierci. Posłał więc po swego przyjaciela imieniem Jogona Kanyagga, który mieszkał niedaleko. Jogona Kanyagga był w tym czasie winien Waweru trzy szylingi za parę butów. Waweru zaproponował mu zawarcie umowy...”.

Umowa polegała na tym, że Jogona ma wziąć żonę swego umierającego przyjaciela razem z dzieckiem i dostarczyć jej ojcu dwie kozy, które mu się jeszcze należały do ceny sprzedaży. Potem relacja wymieniała wydatki, które Jogona poniósł z powodu zaadoptowania dziecka Wamai. Zakupił, brzmiało świadczenie, bardzo dobre lekarstwo zaraz po wzięciu Wamai do siebie. Ponieważ dziecku nie służyła kukurydza, kilkakrotnie kupował dla niego u Hindusów ryż. Pewnego razu musiał zapłacić pięć rupii białemu farmerowi w sąsiedztwie, który twierdził, że Wamai wpędził indyki do jego sadzawki. Z zachowania się Jogony wynikało, że teraz zupełnie już zapomniał, iż dziecko, które tragicznie zginęło, nie było jego własne. Przybycie trzech ludzi z Nieri i wniesiona przez nich pretensja wstrząsnęła nim z wielu powodów. Pierwotni ludzie są bardzo skłonni do adoptowania dzieci i uważania ich za własne; europejscy chłopci o dobrych sercach postępują podobnie.

Gdy Jogona skończył wreszcie swoją relację, a ja już wszystko spisałam, powiedziałam, że mu ją odczytam. W trakcie czytania odwracał ode mnie twarz, jakby chciał uniknąć wszelkiego zakłócenia uwagi.

W chwili czytania ustępu z jego imieniem: „posłał więc po swego przyjaciela imieniem Jogona Kanyagga, który mieszkał niedaleko”, szybko zwrócił się ku mnie z miną tak uśmiechniętą, że uśmiech zmienił starego człowieka w chłopca, w symbol młodości. Powtórzyło się to przy końcu, gdy odczytałam jego imię figurujące pod odciskiem palca, znakiem wiarygodności. Znów spojrział wprost na mnie, tym razem spokojniej i poważniej.

Takim spojrzeniem musiał Adam powitać Boga, gdy Ten stworzył go z prochu i tchnął w niego ducha czyniąc go żywym człowiekiem. Ja stworzyłam Jagonę i pokazałam mu samego siebie: Jogona Kanyagga, który będzie żył wiecznie. Gdy mu wręczyłam papier, wziął go z wielkim nabożeństwem, zawinął w kraj płaszcza i trzymał tam rękę. Nie mógł tego zgubić, bo tam była jego, dusza, tam był dowód jego istnienia. Dokonało się coś, co zachowa jego imię na wieki: ciało stało się słowem i mieszkało między nami pełne łaski i prawdy.

W okresie mego pobytu w Afryce przed tubylcami otworzył się świat słowa pisanego. Jeżeli tylko chciałam, miałam wtedy okazję chwytania przeszłości za ogon i przeżywania kawałka naszej własnej historii: tego okresu, kiedy przeważającej części ludności Europy w ten sam sposób objawiło się słowo pisane. W Danii miało to miejsce dobre sto lat temu, a sądząc po tym, co jako dziecko słyszałam od bardzo starych ludzi, reakcja była prawie taka sama. Chyba rzadko kiedy ludzie okazywali tak pokorny i graniczący z ekstazą stosunek do Sztuki dla Sztuki.

Listy wymieniane przez młodych ludzi były ciągle jeszcze układane przez zawodowych pisarzy. Korespondencję uprawiała jednak tylko młodzież, bo starzy – chociaż niektórzy dali się ponieść prądowi czasu i kilku wiekowych Kikujusów uczęszczało do mojej szkoły, cierpliwie mozoląc się nad abecadłem – ciągle odnosili się z nieufnością do nowego zjawiska. Tylko niektórzy tubylcy umieli czytać i dlatego boye, skwaterzy i robotnicy na farmie przychodzili do mnie ze swymi listami. Otwierając i czytając wiele takich listów, zawsze dziwiłam się, że ich treść była tak błaha. Popełniałam jednak omyłkę wynikającą z uprzedzenia, któremu ulegają wszyscy cywilizowani ludzie. Równie dobrze ktoś mógłby przykładać wagę do botanicznej klasyfikacji gałęzi oliwnej przyniesionej przez gołębia do arki Noego. Bez względu na to, jak ta gałązka wyglądała, miała większe znaczenie od całej arki i wszystkich przebywających na niej zwierząt; ona przedstawiała nowy, zielony świat.

Wszystkie listy krajowców były podobne do siebie, trzymały się niewolniczo ustalonej i uświęconej formuły, brzmiały mniej więcej w ten sposób: „Mój drogi przyjacielu Kamau

Morefu. Biorę teraz pióro do ręki – oczywiście w przenośni, bo pisał zawodowy pisarz – aby ci napisać list, bo już od dawna chciałem ci napisać list. Ja mam się bardzo dobrze i spodziewam się, że ty, z łaski bożej, masz się bardzo dobrze, moja Matka ma się bardzo dobrze. Moja żona nie ma się tak dobrze, ale spodziewam się, że twoja żona, z łaski bożej, ma się dobrze”. Potem następowała cała lista imion z krótką uwagą podobnej treści co do każdego z nich, chociaż czasami zdarzały się i rzeczy fantastyczne. Potem list kończył się zwykle tak: „Teraz mój przyjacielu Kamau kończę ten list, bo nie mam wiele czasu, aby do ciebie pisać. Twój przyjaciel Ndwetti Lori.”

Sto lat temu pocztylion skakał na siodło, konie galopowały, grała trąbka pocztowa, wyrabiano papier ze złożonymi brzegami – po to, aby młodzi mieszkańcy Europy mogli wymieniać listy podobnej treści. Takich listów oczekiwano, witano je z radością i przechowywano pieczołowicie. Sama widziałam kilka.

Zanim nauczyłam się języka suahili, mój stosunek do tego tubylczego świata listów kształtował się dosyć dziwnie: mogłam czytać, co było w nich napisane, nie rozumiejąc z tego ani słowa. Język suahili dopóty nie posiadał pisanej formy, dopóki biali ludzie nie postarali się o jej stworzenie. Pisano słowa dokładnie według wymowy, dzięki czemu czytelnik nie wpadał w pułapki ortograficzne. Dlatego mogłam czytać listy na podstawie brzmienia liter, słowo po słowie, i nic nie rozumiejąc obserwować efekt wywoływany na twarzach odbiorców, którzy mnie otaczali i z wrażenia aż wstrzymywali oddech. Czasami w trakcie czytania wybuchali płaczem albo załamywali ręce, kiedy indziej aż krzyczeli z radości. Najczęstszą formą reakcji na listy był śmiech, potrafili przez cały czas czytania trzymać się za brzuchy.

Doszedłszy tak daleko, iż rozumiałam już czytaną treść, stwierdziłam, że efekt każdej wiadomości okazywał się znacznie większy dzięki wyrażeniu jej na piśmie. Tubylcy są wielkimi sceptykami i wieści przekazywane ustnie spotykają się z wątpliwościami i pogardą, jeżeli natomiast nadejdą na piśmie, przyjmowane są jak ewangelia. Mając bardzo wyostrzony słuch tubylcy są wrażliwi na wszelkie słowne omyłki; każda taka omyłka sprawia im złośliwą przyjemność, nigdy jej nie zapominają i potrafią na całe życie nadać białemu przezwisko oparte na jego przejęzyczeniu. Jeżeli jednak omyłka zdarzyła się w pisany tekście, co wobec ignorancji pisarzy często się trafiało, za wszelką cenę starali się doszukać w niej jakiegoś sensu. Potrafili dyskutować nad tym i zastanawiać się bez końca, woleli przyjąć największą bzdurę za rzecz wiarygodną, niż uznać możliwość pomyłki w pisany tekście.

W liście, który odczytywałam jednemu z boyów, między innymi zdaniem znalazła się taka wiadomość: „Ugotowałem pawiana”. Starłam się wytłumaczyć, że nadawca myślał zapewne o schwyтaniu pawiana, bo w języku suahili słowa „gotować” i „chwycić” brzmią podobnie. Ale odbiorca listu w żaden sposób nie chciał przyjąć takiego tłumaczenia.

– Nie, Msabu – powiedział – co on napisał do mnie? Co tu jest napisane?

– Napisał – odparłam – że ugotował pawiana, ale jak mógł ugotować pawiana? Gdyby zaś naprawdę tak było, toby ci napisał szczegółowo, jak i dlaczego to zrobił.

Młody Kikujus zmarszczył się na tę krytykę pisanego słowa, poprosił o oddanie mu listu, złożył go starannie i odszedł.

Wracając do oświadczenia Jogony, które dla niego spisałam, okazało się ono bardzo przydatne. Gdy komisarz okręgu je przeczytał, odrzucił skargę trzech Kikujusów z Nieri, którzy z jękiem wrócili do siebie nic nie wskórawszy na farmie.

Dokument stał się wielkim skarbem Jogony. Widziałam go potem wiele razy. Jogona sporządził woreczek ze skóry, wyszył go paciorkami, włożył tam papier i wszystko zawiesił sobie na szyi. Od czasu do czasu, przeważnie w niedzielę rano, zjawiał się pod moimi drzwiami, wyciągał z woreczka papier i prosił mnie o odczytanie. Gdy raz po dłuższej chorobie odbywałam pierwszą przejażdżkę konną, Jogona zobaczył mnie z daleka, pognął za mną i bez tchu stanął przy koniu podając mi dokument. Przy każdym czytaniu jego twarz

nabierała takiego samego wyrazu iście religijnej ekstazy, potem troskliwie wygładzał papier, składał go i z powrotem chował do woreczka. Waga takich chwil nie tylko nie zmniejszała się z upływem czasu, lecz raczej rosła, jakby największy podziw u Jogony wzbudzał fakt, że treść dokumentu w niczym się nie zmieniała. Przeszłość, którą tak trudno było odtworzyć, która prawdopodobnie ulegała zmianie przy każdej myśli została tu uchwycona, ujarzmiona i na zawsze przygwożdżona przed jego własnymi oczyma. Stała się Historią. Nie mogła ulec żadnym przeobrażeniom ani przekreśleniom.

Wanyangerri

Podczas następnej bytności w Nairobi poszłam do szpitala odwiedzić Wanyangerri.

Mając na farmie tyle rodzin skwaterów, niemal zawsze mogłam się doszukać „swego” pacjenta, wskutek czego czułam się w szpitalu jak u siebie w domu i zaprzyjaźniłam się z siostrą przełożoną i pielęgniarkami. Nigdy w życiu nie widziałam drugiej osoby, która by używała tyle pudru i różu co siostra przełożona. Jej szeroka twarz pod białym czepek przypominała twarz rosyjskiej lalki z drzewa, zwanej Katinką, która się otwiera i w środku ma drugą lalkę, ta z kolei ma nową i tak dalej. Jak przystało na Katinkę, siostra przełożona była uprzejmą i rozumną osobą. W czwartki łóżka ze wszystkich oddziałów wynoszono na podwórze, aby wysprzątać i przewietrzyć pomieszczenia. Taki dzień należał do przyjemnych. Z podwórza roztaczał się piękny widok na rozciągającą się najbliżej suchą równinę Athi, a dalej na niebieskawy masyw gór Donyo Sabouk i łańcuch gór Mua. Niezwykły obraz przedstawiały stare Kikujuski z mojej farmy na łóżkach z białymi prześcieradłami; to tak, jakby ktoś na białej pościeli ułożył stare, wyniszczone muły lub inne zwierzęta pociągowe. Staruszki uśmiechały się do mnie zażenowane własną sytuacją i nieco speszzone, bo tubylcy z zasady boją się szpitali.

Gdy za pierwszym razem widziałam Wanyangerri w szpitalu, był tak wstrząśnięty i wyczerpany, że śmierć wydawała się dla niego najlepszym wyjściem. Bał się wszystkiego, przez cały czas zanosił się od płaczu i prosił o zabranie go z powrotem, bez przerwy drżał pod bandażami.

Drugi raz zobaczyłam go po tygodniu. Był spokojny i opanowany, przywitał mnie z wielką godnością. Cieszył się jednak z mego przybycia, a pielęgniarki powiedziały, że wyczekiwał mnie bardzo niecierpliwie. Nic dziwnego, mógł mi bowiem obwieścić, wypływając słowa przez rurkę tkwiącą mu w ustach, że poprzedniego dnia został zabity i za kilka dni znów zostanie zabity.

Lekarz, który zajmował się Wanyangerri, miał za sobą wojnę we Francji, gdzie łątał sporo ludzkich twarzy; poświęcił wiele wysiłków dla tego wypadku i odniósł niemały sukces. Kość szczękową zastąpił metalową taśmą przytwierdzoną śrubami do resztek kości policzkowych, a resztki ciała pozszywał tak, że zrobił coś w rodzaju brody. Jak mówił mi Wanyangerri, do wykończenia tego dzieła zabrał nawet kawał skóry z pleców. Gdy wreszcie zdjęto z chorego bandażę, ukazała się twarz bardzo zmieniona, wyglądająca niesamowicie i brakiem brody przypominająca głowę jaszczurki. Ale dziecko mogło normalnie jeść i normalnie mówić, chociaż trochę seplenilo. Cała ta kuracja trwała wiele miesięcy. Podczas pierwszych odwiedzin Wanyangerri prosił mnie o cukier, zwykle więc zabierałam ze sobą kilka łyżek w papierowej torebce.

Jeżeli strach przed nieznanym nie paraliżuje ich zupełnie i nie odbierze im władzy w członkach, tubylcy narzekają na pobyt w szpitalu i wynajdują różne sposoby, aby się stamtąd wydostać. Jednym ze sposobów jest śmierć; tej się nie obawiają. Europejczycy, którzy pobudowali i wyekwipowali szpitale, oraz ci, którzy w nich pracują i mają wielkie trudności z

namówieniem pacjentów do korzystania z nich, gorzko skarżą się na niewdzięczność i zupełną obojętność tubylców.

Taka mentalność drażni białych i rani ich uczucia. To prawda, iż tubylcom jest wszystko jedno, co się z nimi lub dla nich robi. Można uczynić niemal wszystko, co w ludzkiej mocy, ale to wszystko rozplywa się w powietrzu i ślad po tym ginie. Tubylcy nikomu nie dziękują, nie mają do nikogo żadnego żalu i na to nic nie można poradzić. Ta obojętność jest dosyć denerwująca; człowiek czuje się tak, jakby jego indywidualność ludzka została zupełnie przekreślona, jakby spełniał rolę nie wybraną, lecz narzuconą, jakby był tylko jednym z elementów przyrody, jakby był pogodą.

Pod tym względem napływowi Somalijczycy różnią się od rodowitych mieszkańców Kenii. Są bardzo czuli na sposób odnoszenia się białych; można nawet powiedzieć, że trudno się ruszyć, aby w jakiś sposób nie dotknąć ich uczuć, a najczęściej głęboko ich urazić. Somalijczycy posiadają wyczulony zmysł wdzięczności, ale też do grobowej deski potrafią pamiętać urazę. Zarówno dobrodziejstwa, jak i krzywdy zapadają im głęboko w serce. Są wiernymi wyznawcami Mahometa i jak wszyscy mahometanie sądzą innych według swego własnego kodeksu moralnego. W stosunkach z Somalijczykami można zyskać prestiż lub stracić go w ciągu godziny.

Między tubylczymi plemionami szczególną pozycję mają Masaje. Są pamiętliwi, umieją dziękować, nie zapominają też urazy. Zresztą całe plemię żywi urazę do białych, która zniknie dopiero wtedy, gdy nie stanie Masajów.

Pozbawieni uprzedzeń Kikujusi, Wakamba i Kawirondo nie wiedzą o żadnym kodeksie. Uważają, że większość ludzi jest zdolna do prawie wszystkiego, wobec czego trudno ich wyprowadzić z równowagi, nawet gdyby ktoś się uparł. Można powiedzieć, że taki Kikujus, któremu robi różnicę to, z czym się spotyka, jest osobnikiem biednym i zdeprawowanym. Jeżeli pozwala się im postępować zgodnie z naturą i tradycją narodową, wtedy i wszystkie czyny białych uważają za naturalne. Nie wydają sądów, lecz są bystrymi obserwatorami. Suma obserwacji decyduje o pozycji człowieka w ich oczach, o dobrym lub złym imieniu.

Pod tym względem biedni ludzie w Europie też przypominają Kikujusów. Nie osądzają, lecz sumują obserwacje na czyjś temat. Jeżeli Kikujusi kogoś w ogóle lubią lub szanują, mają do niego taki stosunek jak do Boga; nie za to, co się dla nich robi, na pewno nie za to, co się dla nich robi, lecz za to, czym się jest.

Wędrując pewnego dnia po szpitalu zobaczyłam trzech nowych pacjentów – bardzo czarnego mężczyznę z dużą głową i dwu młodych chłopców, wszystkich z obandażowanymi szyjami. Jeden z pielęgniarzy, garbaty i wielki gaduła, zawsze z przyjemnością wtajemniczał mnie w najbardziej interesujące przypadki. Widząc mnie przy łóżkach trzech nowych chorych przyszedł i opowiedział mi ich historię.

Byli to Nubijczycy z wojskowej orkiestry pułku Królewskich Strzelców Afrykańskich, czarnych żołnierzy kolonialnych. Chłopcy służyli jako dobosze, a ten starszy jako trębacz. Ów trębacz miał różne poważne przejścia w życiu i jak często zdarza się w takich wypadkach, dostał bzika. Najpierw zaczął strzelać z karabinu po całych koszarach, po wypróżnieniu zaś magazynku zamknął się z tymi dwoma chłopcami w swej chatce z falistej blachy, gdzie próbował poderznąć gardła im i sobie. Pielęgniarz bardzo żałował, że nie widziałam ich, kiedy ich poprzedniego tygodnia przywieziono do szpitala, bo tak byli zrani krwią, że nie wzięłabym ich za żywych. Teraz już niebezpieczeństwo minęło, a niedoszły morderca odzyskał rozum.

Pacjenci z łóżek, bohaterowie przygody, słuchali tego opowiadania z napiętą uwagą. Czasami przerywali pielęgniarzowi, aby uzupełnić jakiś szczegół. Chłopcy, którym trudno było mówić, zwracali się do leżącego między nimi niedoszłego mordercy o potwierdzenie ich słów, dzięki czemu opowiadanie miało wywołać jak najgłębsze wrażenie.

– Czy nie toczyłeś z ust piany i nie wrzeszczałeś? – pytali go. – Czy nie mówiłeś, że

posiekasz nas na drobne kawałki?

– Tak, tak – odpowiadał morderca z żalosną miną.

Nieraz zdarzało się, że musiałam zostać w Nairobi przez pół dnia, czekając na jakąś konferencję albo na pocztę z Europy, jeżeli pociąg z wybrzeża był spóźniony. W takich wypadkach, nie mając nic do roboty, jechałam zwykle do szpitala dla tubylców i zabierałam dwoje rekonwalescentów na krótki spacer. W tym czasie, kiedy w szpitalu przebywał Wanyangerri, gubernator Kenii, sir Edward Northey, trzymał w klatce przy gmachu urzędu kolonii dwa młode lwy, które zamierzał wysłać do londyńskiego ogrodu zoologicznego. Lwy stanowiły wielką atrakcję i wszyscy pacjenci szpitala prosili, aby ich tam zabrać. Obiecałam też trzem muzykantom z pułku strzelców, że gdy się lepiej poczują, to zabiorę ich do tych lwów, ale żaden nie chciał pojechać osobno, tylko wszyscy razem. Trębacz najdłużej przychodził do zdrowia i zanim miał siły pojechać, jednego chłopca wypisano już ze szpitala. Ale ten dobosz dzień w dzień przychodził pytać się o zdrowie trębacza i pilnował swej przejażdżki. Spotkałam go pewnego popołudnia, on zaś oświadczył mi, że trębacz ciągle jeszcze cierpi na silny ból głowy, ale to naturalne, bo ma głowę pełną diabłów.

Wreszcie wszyscy trzej muzykanci mogli razem udać się na spacer i w głębokim zamyśleniu stanęli przed klatką. Jeden z młodych lwów, rozdrażniony tym, że ludzie bezustannie się nań gapią, nagle wstał i wydał krótki ryk. Widzowie zadrżeli, a mniejszy dobosz schował się za trębacza. W drodze powrotnej powiedział do niego: „Ten lew był taki okropny jak ty”.

Przez okres pobytu Wanyangerri w mieście jego sprawa przycichła na farmie. Krewni przychodzili czasami zapytać, jak się ma, ale poza młodszym bratem bali się go odwiedzać w szpitalu. Kaninu przychodził późnym wieczorem jak borsuk badający teren, aby się dowiedzieć o dziecko. Farah i ja omawialiśmy czasami cierpienia Wanyangerri zastanawiając się nad ich równowartością w owcach.

Dwa miesiące po wypadku Farah znów do tego wrócił i poinformował mnie o nowym wydarzeniu w tej sprawie.

Przy takich okazjach Farah miał zwyczaj przychodzić w czasie obiadu, stawać wyprostowany przy drugim końcu stołu i poświęcać się uświadamianiu mnie o tym, o czym nie wiedziałam. Farah mówił dobrze i po angielsku, i po francusku, ale stale popełniał jednakowe omyłki. Na przykład zamiast słowa „except” – „z wyjątkiem” – używał słowa „exactly” – „dokładnie”, mówił więc: „wszystkie krowy wróciły z pastwiska, dokładnie siwej”. Zamiast go poprawiać zaczęłam tak samo mówić do niego. Występując zawsze z godnością i pewną siebie miną, Farah często zaczynał sprawę bardzo ogólnikową uwagą.

– Memsahib – powiedział teraz – Kabero. Wiedziałaś, że w programie miał sprawę Kabero, i czekałam na dalszy ciąg.

Po chwili milczenia Farah podjął:

– Memsahib myśli, że Kabero nie żyje i że został zjedzony przez hieny. Ale Kabero żyje i jest u Masajów.

Zaintrygowana spytałam, skąd ma takie wiadomości.

– O, ja wiem – odparł Farah. – Kaninu ma zbyt wiele córek zameżnych za Masajami. Gdy Kabero nie spodziewał się pomocy od nikogo „dokładnie” Masajów, uciekł do męża jednej ze swych siostr. To prawda, że miał ciężkie przejścia, przez całą noc siedział na drzewie, a wokół drzewa krążyły hieny. Teraz żyje u Masajów. Jest taki stary i bogaty Masaj, właściciel kilkuset krów, który nie ma własnych dzieci i chce wziąć Kabero. Kaninu wie o tym wszystkim i wiele razy tam chodził rozmawiać z tym Masajem. Ale boi się o tym powiedzieć, bo wierzy, że jeżeli biali ludzie dowiedzą się, to Kabero zostanie powieszony w Nairobi.

Farah zawsze mówił o Kikujusach aroganckim tonem.

– Masajskie kobiety nie mają dzieci – ciągnął dalej. – Chętnie więc biorą dzieci kikujuskie.

Nawet czasem je kradną. Ale ten Kabero, gdy wyrośnie, wróci na farmę, bo nie będzie chciał żyć jak Masaj, ciągle przenosząc się z miejsca na miejsce. Kikujusi są na to za leniwi.

Z farmy mogliśmy z roku na rok obserwować tragiczny los wymierającego plemienia Masajów po drugiej stronie rzeki. Byli to wojownicy zmuszeni do zaprzestania walk, umierający lew z obciętymi pazurami, wykastrowany naród. Zabrano im włócznie, zabrano nawet długie, malowane tarcze z bawolej skóry. Teraz w rezerwacie lwy napadały na ich bydło. Pewnego razu trzy młode buhaje zmieniliśmy na farmie w spokojne woły do ciągnięcia pługów i wozów, a po operacji zamknęliśmy je na podwórzu suszarni. Nocą hieny wyczuły krew, przyszły i zagryzły te woły. Taki sam los, myślałam sobie, czekał Masajów.

– Żona Kaninu – oświadczył mi Farah – smuci się na myśl o tym, że przez tyle lat będzie bez syna.

Nie posłałam zaraz po Kaninu, bo nie byłam pewna, czy mam wierzyć słowom Faraha, lecz gdy on sam zjawił się pod domem, wyszłam z nim porozmawiać.

– Kaninu – zapytałam – czy Kabero żyje? Czy jest u Masajów?

Nigdy nie można spotkać tubylca nie przygotowanego na wszystko, toteż Kaninu natychmiast zalał się łzami z żalu za swym straconym dzieckiem. Przez chwilę patrzyłam na niego, a potem powiedziałam:

– Kaninu, przyprowadź Kabero tutaj. Nikt go nie powiesi. Powinien być ze swoją matką tutaj na farmie.

Kaninu nic przestawał płakać i nie słuchał moich słów, ale musiał dosłyszeć nieszczęsne słowo „powiesi”, bo zaczął lamentować jeszcze głośniejszym głosem, wymieniając wszystkie nadzieje, jakie wiązał z Kabero, którego przedkładał ponad resztę swych dzieci.

Kaninu miał mnóstwo dzieci i wnuków, które ze względu na bliskość jego zagrody zawsze kręciły się wokół mego domu. Między nimi był mały wnuczek, syn jednej z córek, która wyszła za mąż do rezerwatu Masajów, lecz wróciła stamtąd przynosząc ze sobą dziecko. Nazywał się Sirunga. Mieszana krew wyraziła się w nim niesłychaną żywotnością, bogactwem pomysłowości i kaprysów; był to istny ogień, mały demon na farmie. Ale mały cierpiał na epilepsję i z tego powodu inne dzieci bały się go, odpędzały go od swych zabaw i nazywały szejtani – diabłem, wobec czego przyjąłam malca do swego domu. Z powodu choroby nie mógł pracować, lecz doskonale nadawał się na coś w rodzaju nadwornego trefnisia lub błazna i chodził za mną krok w krok jak mały, wiecznie niespokojny, czarny cień. Kaninu wiedział o moim przywiązaniu do tego dziecka i dotąd uśmiechał się w sposób typowy dla kochającego dziadka. Teraz skorzystał z okazji i postanowił uzyskać tyle, ile się da. Uroczyście oświadczył, że dziesięć razy chętniej zgodziłby się na to, żeby lampart pożarł Sirungę, niż na stratę Kabero; teraz, po stracie Kabero, może również stracić Sirungę, nie robi mu to żadnej różnicy, bo Kabero, Kabero był jego oczkiem w głowie, miłością jego serca.

Gdyby Kabero rzeczywiście nie żył, żale Kaninu równałyby się rozpacz Dawida nad synem Absalomem i należałoby uszanować ojcowską tragedię nie wtrącając się do niej. Jeśli natomiast żył ukryty wśród Masajów, sprawa wyglądała jeszcze tragiczniej, była to walka albo gra o życie dziecka.

Na stepie widywałam antylopy, które podejmowały podobną grę, gdy zupełnie nieświadomie zbliżyłam się do miejsca, gdzie ukrywały swe świeżo urodzone kozłeta.. Antylopa zaczynała tańczyć, wybiegała na wprost mnie, podskakiwała, kuląła i udawała niezdolną do biegu – wszystko po to, aby odwrócić uwagę od maleństwa. Nagle, tuż pod kopytami konia, dostrzegałam nieruchome kozłatko z łebkiem ułożonym płasko na trawie; to była jego postawa obronna, podczas gdy matka przeróżnymi harcami ratowała mu życie. Podobne rzeczy w celu ochrony młodych robią też ptaki rozplaszczając się na ziemi i bijąc skrzydłami albo też sprytnie udając, że są ranne, powłóczą złamanym skrzydłem.

Kaninu odgrywał przede mną przedstawienie. Czy w starym Kikujusie zostało jeszcze tyle

uczucia, że myśl o niebezpieczeństwie grożącym synowi dodała mu sił do takich sztuczek? Kości mu trzeszczały, w tańcu zmieniał nawet płęć i przybierał postawę starej kobiety, kury, lwicy – bo taniec należał przecież do kobiecych funkcji. Śmieszne to było widowisko, lecz równocześnie zasługujące na taki sam szacunek, jaki należy się samcowi strusiu, który zastępuje małżonkę w wysiadywaniu jaj. Żadne kobiece serce nie mogło pozostać obojętne wobec tych wysiłków.

– Kaninu – powiedziałam – gdy Kabero zechce wrócić na farmę, może to zrobić i włos mu nie spadnie z głowy. Ale wtedy ty sam musisz go tu do mnie przyprowadzić.

Kaninu umilkł, schylił głowę i odszedł tak smutny, jakby w tej chwili stracił ostatniego przyjaciela na świecie.

Pamiętał jednak moje słowa i uczynił tak, jak mu zalecałam. Pięć lat później, gdy już prawie zapomniałam o całej sprawie, pewnego dnia poprosił mnie za pośrednictwem Faraha o rozmowę ze mną. Zastałam go przed domem stojącego na jednej nodze, na pozór bardzo uroczystego, lecz w głębi duszy niespokojnego. Przemówił bardzo przyjacielskim tonem.

– Kabero wrócił – oświadczył.

Wtedy umiałam już ocenić znaczenie pauzy, nie odezwałam się więc ani słowem. Również stary Kikujus poczuł wagę mego milczenia, zmienił nogę i zatrzepotał powiekami.

– Mój syn Kabero wrócił na farmę – powtórzył.

Dopiero teraz spytałam:

– Czy wrócił od Masajów?

Sam fakt, że się odezwałam, Kaninu uznał natychmiast za oznakę pojednania. Nie śmiał się jeszcze, lecz wszystkie zmarszczki na jego twarzy były już przygotowane do ułożenia się w uśmiech.

– Tak, Msabu – odpowiedział – wrócił od Masajów. Wrócił, żeby pracować u ciebie.

Tymczasem rząd wprowadził rejestrację wszystkich tubylców w całym kraju, tak że musieliśmy wezwać z Nairobi funkcjonariusza policji, aby zrobił z Kabero pełnoprawnego mieszkańca farmy. Wspólnie z Kaninu ustaliliśmy dzień.

W oznaczonym dniu Kaninu zjawił się z synem jeszcze przed przybyciem przedstawiciela policji. Jowialnym tonem przedstawił mi Kabero, lecz pod tą maską widać było wyraźnie, że sam bał się trochę swego odzyskanego syna. Miał powody, bo rezerwat Masajów dostał z farmy małe jagnię, a zwrócił młodego lamparta. Kabero musiał mieć w żyłach krew Masajów – tamtejsze zwyczaje i dyscyplina panująca wśród tego plemienia nie mogły dokonać aż takiej metamorfozy. Przede mną stał młodzieniec będący od stóp do głów Masajem.

Masajski wojownik prezentuje się wspaniale. Ci młodzi ludzie mają w najwyższym stopniu rozwiniętą tę formę inteligencji, którą my w Europie nazywamy szykiem. Będąc śmiałymi i pełnymi niezwyklej werwy, pozostają jednak wierni własnej naturze i własnemu immanentnemu ideałowi. Ich styl nie jest przybraną manierą ani naśladownictwem jakiejś obcej doskonałości. Wyrósł z nich samych, jest wyrazem narodu i jego historii. Ich broń i strojne ubiory są dla nich czymś tak nieodłącznym jak rosochy dla jelenia lub grzywa dla lwa.

Kabero cesał się na sposób masajski, nosił długie włosy splecione w warkocz i skózaną opaskę na czole. Przejął masajski sposób noszenia głowy z brodą wysuniętą do przodu, jakby posępną, arogancką twarz podawał komuś na tacy. Nosząc się jak masajski wojownik, moran, miał postawę sztywną, bierną i zuchwałą – zmuszającą do kontemplacji i podziwu, jak statua, którą się ogląda, lecz która sama nie widzi.

Morani, młodzi masajscy rycerze, odżywiają się mlekiem i krwią. Może dzięki tej diecie mają cudownie jedwabistą skórę. Twarze z wydatnymi kośćmi policzkowymi i mocno zarysowanymi szczękami są gładkie, bez linii i rowków, lekko obrzmiałe. Ponuro patrzące oczy tkwią w nich głęboko jak dwa czarne kamienie wprawione w mozaikę; młody moran całą postacią przypomina mozaikę. Mięśnie na szyi nabrzmiewają mu w szczególny sposób jak u podrażnionej kobry albo lamparta, albo byka na arenie, a ich grubość tak wyraźnie

demonstruje męskość, iż stanowi wyzwanie rzucone całemu światu z wyjątkiem kobiet. Uderzający kontrast albo też harmonia między tymi nabrzmiałymi, gładkimi twarzami, grubymi szyjami i szerokimi barkami a zaskakująco wąskimi biodrami, szczupłymi udami i długimi, prostymi, muskularnymi łydkami nadaje moranom wygląd istot, które drogą twardej dyscypliny osiągnęły maksimum drapieżności, pożądliwości i żarłoczności.

Masaje chodzą sztywno, stawiając jedną szczupłą stopę na równej linii z drugą, lecz ruchy ramion, przegubów i dłoni mają bardzo miękkie. Gdy młody Masaj strzela z łuku i puszcza cięciwę, można uwierzyć, że ścięgnę jego przegubu dźwięczy w powietrzu wraz ze strzałą.

Przedstawiciel policji z Nairobi okazał się młodym człowiekiem niedawno przybyłym z Anglii i pełnym gorliwości. Mówił dobrze językiem suahili, tak że Kaninu i ja nie rozumieliśmy go wcale. Zainteresowawszy się starym wypadkiem z bronią w kuchni Belknapa, urządził Kaninu takie przesłuchanie, że stary Kikujus zdrętwiał jak kawał drewna. Gdy skończył, oświadczył mi, że jego zdaniem Kaninu został potraktowany okropnie i że sprawę należy ponownie rozpatrzyć w Nairobi.

– To oznaczałoby kilka lat mojego i pańskiego życia – powiedziałam. Na to on odrzekł:

– Pozwolę sobie zwrócić uwagę, iż tam, gdzie idzie o wymiar sprawiedliwości, takie uboczne względy są bez znaczenia.

Kaninu patrzył na mnie wzrokiem zdradzającym podejrzenie, że został wciągnięty w pułapkę. W końcu okazało się, że sprawa była już przedawniona i nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak zarejestrować obecność Kabero na farmie.

Lecz to wszystko miało nastąpić grubo później. Przez pięć lat mieszkańcy farmy uważali Kabero za umarłego. Przez ten czas chłopiec wędrował z Masajami, a Kaninu musiał jeszcze dużo przeżyć. Zanim ostatecznie wylazł z tej sprawy, wmieszały się inne siły, które go omal nie starły na proch.

Niewiele mogę o nich powiedzieć. Po pierwsze dlatego, że miały tajemniczy charakter, a po drugie dlatego, że w tym czasie zaprzętały moją uwagę własne kłopoty, które nie tylko oderwały myśli od Kaninu i jego sprawy, ale przesunęły na drugi plan wszystko, co wiązało się z farmą – tak jak góra Kilimandżaro czasami jest widoczna, a czasami nie. Tubylcy potulnie godzili się z takimi okresami mego oderwania się od spraw farmy, przyjmowali to tak, jakbym została uniesiona spośród nich na inne miejsce. Potem mówili o tych okresach jako o mojej nieobecności. „To wielkie drzewo wyróciło się, moje dziecko umarło, kiedy ty byłaś u białych ludzi”.

Gdy Wanyangeri miał się na tyle dobrze, iż mógł opuścić szpital, przywiozłam go z powrotem na farmę i od tego czasu widywałam go sporadycznie na ngomie lub na pastwisku.

Kilka dni po jego powrocie zjawił się w moim domu jego ojciec Wainaina i babka. Wainaina był mały i korpulentny, rzecz bardzo rzadka u Kikujusów, którzy są niemal wszyscy szczupli. Nosił poza tym brodę, a trzecią szczególną cechą tego człowieka było to, iż nie mógł nikomu patrzeć prosto w oczy. Sprawiał wrażenie troglodyty, który chce być pozostawiony sam sobie. Towarzysząca mu matka była bardzo starą kobietą.

Kikujuskie kobiety golą sobie głowy. Dziwna to rzecz, ale człowiek niezwykle szybko nabiera przekonania, że te małe, okrągłe czaszki, czasami wyglądające jak orzechy, są oznaką prawdziwej kobiecości, natomiast włosy na głowie kobiety tak samo jej nie przystoją jak broda. Stara matka Wainainy zostawiła sobie na pomarszczonej czaszce kosmyki siwych włosów, dzięki czemu tak jak nie ogolony mężczyzna sprawiała wrażenie osoby zaniedbanej i bezwstydnej. Ciężko opierała się na lasce i pozwalała synowi zabierać głos; jej milczenie miało tym większą wymowę; zdawało się, że aż rozsadza ją żywotność, której nawet śladu nie odziedziczył po niej Wainaina. Ci dwoje byli w rzeczywistości Uraka i Laskaro, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam.

Przyszli do mnie w bardzo pokojowej sprawie. Wanyangerii nie mógł żuć kukurydzy, oni

zaś, biedni ludzie, nie mieli ani mąki, ani dojrzałej krowy. Czy nie mogłabym do czasu zakończenia sprawy Wanyangerri dawać im trochę mleka od moich krów? Nie wiedzieli, jak inaczej potrafią utrzymać dziecko przy życiu do tego czasu, kiedy załatwiona będzie sprawa odszkodowania.

Farah był wtedy w Nairobi w związku z jakimś swoim prywatnym sporem, pod jego więc nieobecność zgodziłam się, żeby Wanyangerri dostawał codziennie butelkę mleka, od moich krów. Wydałam odpowiednie instrukcje boyom, którzy jednak wydali mi się dziwnie niezadowoleni i nawet nieszczęśliwi z powodu tego rozwiązania.

Minęły dwa lub trzy tygodnie, potem pewnego wieczora zjawił się u mnie Kaninu. Stał nagle w pokoju, w którym po obiedzie czytałam przy kominku. Krajowcy na ogół wolą rozmawiać na wolnym powietrzu, sposób więc, w jaki Kaninu zamknął za sobą drzwi, kazał mi oczekiwać jakiejś niezwyklej wiadomości. Pierwszą jednak niespodzianką okazało się to, że Kaninu był niemy. Zwykle obrotny i wygadany milczał, jakby mu język ucięto, a w pokoju panowała cisza. Stary Kikujus wyglądał na bardzo chorego, ciężko opierał się na lasce i oczy miał zamglone jak u trupa. Wydawało się też, że pod płaszczem nie ma już zupełnie ciała. Bez przerwy zwilżał językiem suche wargi.

Gdy wreszcie przemówił, powoli i z przygnębieniem oświadczył, że jego zdaniem sprawy stoją źle. Za chwilę dodał niewyraźnie, jakby to była rzecz mało ważna, że właśnie dał Wainainie dziesięć owiec. Ale Wainaina, ciągnął dalej, domaga się jeszcze krowy i cielęcia, a on ma zamiar spełnić i to żądanie. Spytałam, dlaczego tak postąpił, skoro wyrok jeszcze nie zapadł. Kaninu nie odpowiedział, nawet na mnie nie spojrział. Tego wieczora nie był bogatym skwaterem, lecz bezdomnym tułaczem. Wstąpił do mnie, aby mi opowiedzieć o nieszczęściu, a teraz odchodzi. Byłam przekonana, że Kaninu jest chory, więc po chwili milczenia oświadczyłam, że nazajutrz zawiozę go do szpitala. Na to Kaninu rzucił mi krótkie, bolesne spojrzenie: stary żartowniś stał się sam przedmiotem żartów. Zanim jednak wyszedł, zrobił coś niezwykle dziwnego – podniósł rękę do twarzy, jakby ocierał łzę. Fakt, że Kaninu płacze, wydawał mi się równie nieprawdopodobny, jak to, żeby laska pielgrzyma okryła się kwiatem. Jeszcze niezwyklejszy był fakt, że nie zrobił ze swoich łez konkretnego użytku. Zaczęłam się zastanawiać, co mogło zająć na farmie w tym czasie, kiedy byłam zajęta innymi sprawami. Po wyjściu Kaninu wezwałam Faraha i zapytałam go o to.

Czasami Farah tak niechętnie rozmawiał o sprawach tubylców, jakby jego mówienie i moje słuchanie o nich było poniżej naszej godności. W końcu zgodził się powiedzieć mi, cały jednak czas patrzył poza mnie, na gwiazdy widoczne przez okno. Przyczyną załamania się Kaninu była matka Wainainy, czarownica, która rzuciła na niego urok.

– Ależ Farah – zaprotestowałam. – Kaninu jest na pewno za stary i za mądry na to, żeby wierzyć w czary!

– Nie – odparł Farah powoli. – Nie, Memsahib. Bo moim zdaniem ta stara Kikujuska naprawdę potrafi robić takie rzeczy.

Starucha powiedziała Kaninu, że jego krowy poczują, iż lepiej by im było, gdyby Kaninu bez zwłoki oddał je Wainainie. Teraz krowy Kaninu ślepyły jedna za drugą. Pod tym ciosem serce Kaninu zaczęło się załamywać jak kości i ciało ludzi, których dawnymi czasy torturowano przez nakładanie na nich coraz większych ciężarów.

Farah mówił o kikujuskich czarach tonem suchym i rzeczowym, jakby mówił o chorobie pyska i racic, której wprawdzie sami nie możemy dostać, ale przez którą możemy stracić całe bydło.

Przez cały wieczór myślałam o czarach na farmie. Czułam się nieswojo, jakby jakaś mara wstała z grobu i rozpląszczyła nos na szybie mego okna. Usłyszałam wycie hieny gdzieś daleko nad rzeką i przypomniałam sobie, że Kikujusi wierzyli w wilkołaki, w stare kobiety przybierające nocą postać hien. Może matka Wainainy dreptała w tej chwili po brzegu rzeki szczerząc zęby do księżyca? Oswoiłam się już z myślą o czarach, wydawało mi się, że

mieszczą się w granicach rozsądku, podobnie jak różne inne rzeczy wydają się zupełnie prawdopodobne, gdy człowiek jest w Afryce, a wokół jest noc.

„To jest zła kobieta – pomyślałam, formułując to w języku suahili. – Używa swych sztuczek do oślepiania krów Kaninu, a ode mnie wymaga, abym utrzymywała przy życiu jej wnuka dając mu od własnych krów po butelce mleka dziennie. Ta sprawa i wszystko, co z niej wynika, ciąży na życiu farmy. I to jest moja wina. Muszę wezwać na pomoc świeże siły albo farma zamieni się w koszmar. Wiem już, co zrobię: poślę po Kinaniui”.

Naczelnik Kikujusów

Wielki naczelnik Kinaniui mieszkał około piętnastu kilometrów na północny wschód od farmy, w rezerwacie Kikujusów obok misji francuskiej. Sprawował władzę nad ponad stu tysiącami członków plemienia. Był to sprytny, stary człowiek, bardzo gładki i obdarzony imponującą powierzchownością, chociaż nie pochodził z rodu panującego, lecz wiele lat temu został wyznaczony przez Anglików, gdy ci nie mogli już sobie poradzić z prawowitym władcą Kikujusów w tym okręgu.

Kinaniui był moim przyjacielem i wielokrotnie okazywał mi pomoc. Jego maniatta, którą kilka razy odwiedzałam, pod względem brudu i much nie różniła się od chat innych Kikujusów. Znacznie je natomiast przewyższała wielkością, gdyż ze względu na swe wysokie stanowisko Kinaniui w pełni wykorzystywał przyjemności życia małżeńskiego. W całej wiosce pełno było jego żon, od bezzębnych staruch wlokących się o kulach do zgrabnych dziewcząt z okrągłymi buziami i oczyma jak gazele. Te młode miały ręce i nogi owinięte błyszczącym, miedzianym drutem. Jego synowie, postawni młodzi ludzie z przystrojonymi głowami, włóczyli się wszędzie i sprawiali mnóstwo kłopotów. Kinaniui powiedział mi raz, że ma teraz pięćdziesięciu pięciu synów w wieku wojowników.

Czasami stary naczelnik ubrany we wspaniałą futrzany płaszcz przychodził na farmę, aby złożyć mi przyjacielską wizytę lub odpocząć nieco od spraw państwowych. Towarzyszyło mu wtedy dwu lub trzech siwowłosych senatorów i kilku synów w strojach wojowników. Naczelnik spędzał popołudnie w trzcinowym fotelu wyniesionym na trawnik obok domu i rozkoszował się cygarami, które mu posyłałam. Doradcy i reszta świty siedziała w kucki wokół fotela. Moi boye i skwaternicy z farmy, gdy dowiedzieli się o przybyciu naczelnika, również przysiadali wokół niego i zabawiali go opowiadaniem ostatnich wydarzeń. Pod drzewami tworzył się prawdziwy klub. Kinaniui miał swoje własne metody postępowania: gdy uważał, że dyskusja trwa zbyt długo, wyciągał się wygodnie w fotelu i ciągle pykając cygaro zamykał oczy, po czym zaczynał równo, głęboko i powoli oddychać. Było to ciche, równomierne chrapanie, coś w rodzaju oficjalnego, pro forma udokumentowanego snu, który prawdopodobnie doprowadził do perfekcji po to, aby zeń korzystać na posiedzeniach rady państwowej. Czasami kazałam sobie stawiać krzesło obok naczelnika, aby z nim porozmawiać. W takich wypadkach Kinaniui odsyłał swoją świtę chcąc tym zaznaczyć, że zaczyna rządzić na serio. Gdy go poznałam, był już znużony życiem i nie miał tych sił, co przedtem. A jednak w czasie swobodnej i szczerzej rozmowy w cztery oczy zdradzał bardzo oryginalny umysł i bogatą, śmiałą wyobraźnię; miał okazję do przemyślenia zagadki życia i wyrobił sobie swój własny na nie pogląd.

Kilka lat wcześniej zaszło wydarzenie, które umocniło przyjaźń między mną a Kinaniui.

Pewnego dnia zjawił się on u mnie właśnie w czasie śniadania, którym podejmowałam jednego z moich znajomych będących w drodze na północ. Dopóki mój gość nie wyjechał, nie mogłam się zająć naczelnikiem Kikujusów. Kinaniui zgodnie ze zwyczajem spodziewał się, że poczęstuję go czymś do picia, co miało mu skrócić czas oczekiwania i pokrzepić go po długiej drodze w palącym słońcu. Nie miałam jednak tyle alkoholu jednego gatunku, aby

napełnić całą szklanę. Poradziliśmy sobie w ten sposób, że zmieszało się kilka gatunków i osobiście zaniósł to Kinaniu w nadziei, że im silniejszy będzie trunk, tym dłużej naczelnik będzie nim zajęty. Ale Kinaniu pokosztowawszy językiem zawartość szklanki obrzucił mnie najgłębszym spojrzeniem, jakie mi kiedykolwiek posłał mężczyzna, przechylił głowę i wypróżnił szklanę do dna.

Pół godziny później, zaraz po odjeździe mego gościa, przyszli boye z wiadomością: „Kinaniu nie żyje”. Poczułam, jak wielkim cieniem wyrasta przede mną tragedia i skandal. Poszłam zobaczyć ofiarę swego czynu.

Kinaniu leżał na ziemi w cieniu pod ścianą kuchni, bez śladu życia na twarzy. Wargi i palce miał sine. Ogarnęło mnie takie uczucie, jakbym właśnie zastrzeliła słonia: za moją sprawą przestała istnieć potężna i majestatyczna postać chodząca po tym świecie i mająca o wszystkim własny sąd. Naczelnika spotkało ponadto poniżenie, bo Kikujusi oblali go wodą i zdjęli z niego pelerynę z małpich skór. Leżał nagi jak zwierzę, z którego na pamiątkę zdjęto skórę, bo dla tej skóry je zabito.

Zamierałam posłać Faraha po lekarza, ale nie mogliśmy zapuścić motoru w samochodzie, a w dodatku świta Kinaniu błagała, aby jeszcze chwilę poczekać.

Godzinę później, gdy znów z ciężkim sercem szłam porozmawiać z doradcami naczelnika, nadbiegli moi boye z wiadomością: „Kinaniu poszedł do domu”. Okazało się, że nagle stanął na nogi, zarzucił pelerynę, skrzyknął członków świty i bez słowa pomaszerował do swej wsi odległej o piętnaście kilometrów.

Od tego czasu Kinaniu uważał, jak mi się zdaje, że dla niego podjęłam wielkie ryzyko i naraziłam się na niebezpieczeństwo. Nie wolno dawać tubylcom alkoholu, a ja to zrobiłam, aby go uszczęśliwić. Później bywał na farmie, palił z nami cygara, lecz nie wspominał o picu. Gdyby poprosił, dałabym mu, wiedziałam jednak, że już nigdy na to się nie odważy.

Posłałam do wioski Kinaniu gońca z listem wyjaśniającym sprawę nieszczęśliwego wypadku z bronią. Prosiłam, aby naczelnik przybył i pomógł mi ją zakończyć. Proponowałam, aby dać Wainainie krowę i cielę, o których wspominał Kaninu, i uznać historię za skończoną. Wyczekiwałam przybycia Kinaniu, bo posiadał on cechę niezwykle ważną u przyjaciół, to mianowicie, że umiał działać.

Mój list spowodował, że sprawa, która od jakiegoś czasu przycichła, znów ożyła i skończyła się bardzo efektownie.

Wracając pewnego popołudnia konno do domu dostrzegłam samochód, który nadszedł z ogromną szybkością i na dwóch kołach zakręcił przy podjeździe. Był to szkarłatny wóz bogato ozdobiony niklem. Wiedziałam, że należał do amerykańskiego konsula w Nairobi, toteż zaintrygowała mnie myśl, co mogło skłonić konsula do przyjazdu na farmę, i to z taką szybkością. Gdy za domem zsiadłam z konia, przyszedł Farah z wiadomością o przybyciu naczelnika Kinaniu. Według jego słów naczelnik przyjechał własnym samochodem, kupionym poprzedniego dnia od amerykańskiego konsula, i nie chciał wyjść z wozu, dopóki ja go w nim nie zobaczę.

Zastałam Kinaniu wyprostowanego na tylnym siedzeniu, nieruchomego jak bóstwo. Ubrany był w płaszcz z niebieskich małp, na głowie zaś miał czapkę podobną do tych, które Kikujusi wyrabiają z brzuchów owczych skór.

Rosły i silnie zbudowany, bez śladu tłuszczu, zawsze robił imponujące wrażenie. Również twarz miał dumną, długą i kościstą, z czołem skośnym jak u amerykańskich Indian. Szeroki i wydatny nos wydawał się centralnym punktem całej postaci; można było niemal sądzić, że dostojna osobistość egzystowała tylko po to, aby obnosić ten szeroki nos. Jak trąba słonia, nos był równocześnie bezceremonialnie wścibski i niezwykle wrażliwy, zawsze gotów zarówno do ofensywy, jak i do defensywy. I wreszcie, aby skończyć ten opis, gdyby jakiś słoń miał głowę podobną do Kinaniu, przedstawiałby obraz niepospolitej szlachetności; jedyne zastrzeżenie mogłaby budzić nie dająca się ukryć chytryść.

Gdy prawiliam mu komplementy na temat samochodu, Kinaniui nie otworzył ust i nawet nie mrugnął. Patrzył wprost przed siebie, abym mogła oglądać jego twarz z profilu jak wizerunek na medalu. Również wtedy, gdy poszłam obejrzeć wóz z przodu, odwrócił się do mnie królewskim profilem. Może rzeczywiście myślał o wizerunku króla angielskiego na monetach. Jeden z synów siedział za kierownicą, ale nikt nie zważał na to, że w chłodnicy gotowała się woda i buchały stamtąd kłęby pary. Po skończonej ceremonii zaprosiłam Kinaniui, aby wysiadł z samochodu. Zgarnawszy obszerny płaszcz spełnił moją prośbę i tym jednym ruchem cofnął się o dwa tysiące lat, wstąpił mianowicie w sam środek wymiaru sprawiedliwości u Kikujusów.

Przy zachodniej ścianie mego domu stała kamienna lawa, a przed nią stół zrobiony z kamienia młyńskiego. Ten kamień miał tragiczną historię, pochodził z młyna prowadzonego przez dwu zamordowanych Hindusów. Po zbrodni nikt nie odważył się objąć młyna, który długo stał pusty. Wreszcie kazałam przywieźć kamień pod dom i zrobić z niego stół, gdyż to przypominało mi ojczystą Danię. Hindusi opowiadali mi, że sprowadzali kamienie młyńskie drogą morską aż z Bombaju, bo afrykańskie kamienie były za miękkie do tego celu. Na górnej powierzchni kamienia widniała jakaś rzeźba, obok niej zaś kilka brązowych plam. Moi boye twierdzili, że to krew Hindusów, która nie da się nigdy zmyć. Ów kamienny stół stanowił centralny punkt farmy, bo zwykle przy nim siadywałam załatwiając sprawy z tubylcami. Gdy raz w Nowy Rok siedziałam z Denysem Finch-Hattonem na kamiennej ławce za stołem, zobaczyliśmy, że młody księżyc, Wenus i Jowisz tworzyły jedną grupę na niebie. Był to niezwykle i niewiarygodny widok, który nigdy się nie powtórzył.

Zasiadłam teraz na ławce mając Kinaniui po lewej ręce. Farah stanął na swym zwykłym miejscu z prawej strony i stamtąd czujnie obserwował Kikujusów, którzy zebrali się wokół domu i na wieść o obecności Kinaniui przybywali coraz tłumniej.

Stosunek Faraha do miejscowej ludności miał w sobie coś malowniczego. Nie było wytworem wczorajszego dnia ani przedwczorajszego, lecz produktem wielu wieków, podobnie jak strój i zwyczaje masajskich rycerzy. Siły, które je tworzyły, miały również na swym koncie potężne budowle z kamienia, a jednak już dawno rozsypały się w proch.

Gdy ktoś przybywa do Kenii i ląduje w Mombasie między starymi, jasnoszarymi baobabami – które nie wyglądają na składnik ziemskiej flory, lecz na skamienieliny, na gigantyczne belemnity – widzi szare ruiny kamiennych domów, minaretów i studni. Podobne ruiny spotyka się wzdłuż całego wybrzeża, w Takaunga, Kalifi i Lamu. Są to pozostałości miast dawnych arabskich handlarzy kością słoniową i niewolnikami.

Jednomasztowe dungije tych handlarzy pływały po wszystkich szlakach wzdłuż brzegów Afryki i po błękitnej drodze docierały na centralny rynek w Zanzibarze już wtedy, gdy Aladyn posłał sułtanowi czterystu czarnych niewolników obładowanych drogimi kamieniami i gdy małżonka sułtana podczas pobytu męża na polowaniu zabawiła się z Murzynem i poniosła za to karę śmierci.

Wszystko wskazuje na to, że owi wielcy kupcy, gdy się wzbogacili, sprowadzili swe haremy do Mombasy i Kalifi. Tu rozkoszowali się życiem w wygodnych domach wśród kwitnących drzew nad brzegiem oceanu. Nie zapominali jednak o wysyłaniu ekspedycji w głąb kraju, na płaskowyż.

Stamtąd, z dzikich i surowych okolic, z suchych i rozpalonych pustyń, z kraju ciernistych drzew nad brzegami strumieni i maleńkich, silnie pachnących kwiatków na czarnej ziemi, pochodziło ich bogactwo. Tam, po płaskim dachu Afryki, wędrował ciężki, mądry, majestatyczny nosiciel kłów. Chadzał głęboko zamyślony i chciał mieć spokój. Ale ścigano go. Mali, czarni Wanderobo wypuszczali nań zatrute strzały. Arabowie strzelali doń z ładowanej przez lufę, srebrem zdobionej broni. Zwabiano go w zasadzki, wpadał w wilcze doły, a wszystko z powodu gładkich, żółtawych kłów, na które czekano w Zanzibarze.

Tam również karczowano niewielkie poletka w dziewiczej dżungli i na nich uprawiano słodkie ziemniaki i kukurydzę. Rolnictwem zajmował się spokojny, nieśmiały lud, nie nadający się do walk i odkryć, który chciał tylko żyć w spokoju, a był bardzo pożądanym towarem na rynku.

Drapieżne ptaki, małe i duże, zbierały się nad płaskowyżem:

*I oto się gromadzą ptaki – ludożercy...
Jeden właśnie się zerwał z łysej trupa głowy,
Inny o szubienicę dziób ociera płowy,
A jeszcze inny sfrunął z olinowań masztu...^[7]*

Przychodzili tu zimni, wyrachowani Arabowie. Gardzili śmiercią, a w chwilach wolnych od interesów zajmowali się astronomią, algebrą i swymi haremami. Z nimi przyszli ich młodsi, przyrodni bracia z nieprawego łoża, Somalijczycy – porywcy i kłótlivi, wstrzeźliwi i chciwi, którzy piętno nieprawego urodzenia chcieli zmasać tym, iż byli wierniejsi przykazaniom Proroka niż dzieci prawego łoża. Towarzyszyli im też Suahili, niewolnicy z sercami niewolników, okrutni i sprośni, skorzy do kradzieży, pełni rozsądku i dowcipu, na starość obrastający tłuszczem.

Na płaskowyżu przybysze spotykali się z miejscowymi drapieżnymi ptakami. Jak długie, czarne cienie zjawiali się Masaje, milczący, z włóczniami i ciężkimi tarczami, nieufni wobec obcych, z czerwonymi rękoma. Przychodzili sprzedawać swych braci.

Drapieżne ptaki, choć niepodobne do siebie, musiały się porozumiewać. Farah opowiadał mi, że za dawnych czasów, zanim Somalijczycy sprowadzili z własnej ojczyzny swoje kobiety, młodzieńcy tego plemienia mogli szukać żon nie wśród wszystkich miejscowych szczepów, lecz tylko wśród Masajów. Dziwne to było przymierze, i to pod wielu względami. Somalijczycy są ludem religijnym, a Masaje nie uznają żadnej religii, interesują ich wyłącznie rzeczy ziemskie. Somalijczycy są schludni, wiele czasu poświęcają ablucjom i higienie, natomiast Masaje wyróżniają się brudem. Somalijczycy przywiązują również wielką wagę do dziewictwa swych przyszłych żon, podczas gdy masajskie dziewczyny lekko traktują sprawy moralności. Farah natychmiast wszystko wyjaśnił. Masaje, powiedział, nigdy nie byli niewolnikami. Nie można z nich uczynić niewolników, nie można ich nawet zamykać w więzieniach. Gdy się tam dostaną, giną po trzech miesiącach. Dlatego w Kenii angielskie przepisy prawne nie przewidują dla Masajów kary więzienia, zastępują ją grzywną. Ta właśnie absolutna niezdolność do życia w jarzmie sprawia, iż Masaje, jedyne miejscowe plemię, uważani są za rodzaj arystokracji.

Wszystkie drapieżne ptaki łakomie spoglądały na łagodne gryzonie płaskowyżu. Somalijczycy zajmowali specjalną pozycję. Nie nadają się do tego, aby mieć zupełnie wolną rękę. Są zbyt porywcy i pozostawieni samym sobie marnują wiele czasu i krwi na rodowe porachunki. Doskonale się natomiast nadają do roli wykonawców cudzych poleceń. Prawdopodobnie dlatego arabscy kapitaliści, sami zostając w Mombasie, poruczali Somalijczykom trudne przedsięwzięcia, na przykład organizowanie transportu zdobyczy. Nic więc dziwnego, że stosunek Somalijczyków do miejscowej ludności układał się tak jak owczarków do owiec. Pilnowali ich bez wytchnienia szczerząc ostre kły. Czy nie pomrą przed dotarciem do wybrzeża? Czy nie uciekną? Mając wrodzone i głębokie poczucie wartości pieniądza, na pewno wyrzekali się jada i snu, byle dobrze pilnować więźniów. Można sobie wyobrazić, że tylko skóra i kości zostawały z nich po takiej wyprawie.

Te cechy mają we krwi jeszcze teraz. Gdy na farmie panowała hiszpanka, Farah, chociaż sam był bardzo chory i trząśł się od gorączki, chodził za mną krok w krok pomagając roznosić lekarstwa skwaterom i wmuszać je w nich. Usłyszawszy, że nafta pomaga na tę chorobę,

^[7] W. Hugo. Legenda wieków.

kupował dla farmy naftę. Jego młodszy brat Abdullah przebywał wówczas u nas i tak ciężko przechodził hiszpankę, że Farah był bardzo o niego niespokojny. A jednak nie dał się uwieść głosowi serca, sprawie drugorzędnej. Obowiązek, chleb i reputacja wiązały go ze sprawą rąk roboczych na farmie, toteż owczarek trwał na stanowisku. Farah zawsze też najlepiej wiedział, co się dzieje wśród tubylców. Nie mam pojęcia, skąd czerpał informacje, bo z wyjątkiem najważniejszych Kikujusów nie utrzymywał z nimi żadnych stosunków.

Owce zaś, spokojne plemiona pozbawione kłów i pazurów, nie mające siły i żadnej obrony na ziemi, znosiły swój los dzięki temu, że posiadały, jak i teraz posiadają, ogromną zdolność rezygnacji. Kikujusi nie umierali w jarzmie jak Masaje ani nie buntowali się przeciw przeznaczeniu, jak czynią Somalijscy, gdy poczują się zranieni, oszukani lub wyszydzeni. Wywiezieni do obcego kraju czy zakuci w łańcuchy, zawsze godzili się z wolą boską. W stosunkach ze swymi prześladowcami mieli też szczególny rodzaj poczucia pewności siebie. Zdawali sobie sprawę z tego, że od nich zależał zysk i prestiż krzywdzicieli: jako towar, oni właśnie byli najważniejszym elementem handlu i pogoni za bogactwem. W czasie długiej drogi znaczonych łzami i krwią owce pocieszały się w głębi czarnego, otępiatego serca kurtyzowaną filozofią, która pozwalała im lekceważyć pasterzy i pasterskie psy. „Nie macie spoczynku ani w dzień, ani w nocy; uganiacie z wywieszonymi jęzorami ledwie dysząc; musicie czuwać nocami i przez nas oczy was pieką cały dzień. Jesteście tu ze względu na nas. Wy istniejecie dla nas, a nie my dla was”. Kikujusi na farmie przybierali wobec Faraha żartobliwie impertynencką postawę; przypominało to gest małego jagnięcia, które zaczyna hasać tuż przed nosem psa tylko po to, aby go zmusić do wstania i bieganina.

I właśnie nastąpiło spotkanie Faraha i Kinaniui, pasterskiego psa i starego barana. Farah stał wyprostowany, w czerwono – niebieskim turbanie, czarnej, wyszywanej arabskiej kamizelce i arabskiej jedwabnej szacie. Głęboko zamyślony, bardzo uroczyście wyglądał w tym stroju. Kinaniui, stary Kikujus, sól afrykańskiej ziemi, rozpierał się na kamiennej ławie prawie nagi, bo płaszcz z małych skór okrywał mu tylko plecy. Traktowali się nawzajem z szacunkiem, chociaż, jeżeli nie mieli nic bezpośrednio do załatwienia, według przyjętego ceremoniału udawali, że jeden drugiego nie widzi.

Łatwo można sobie tych dwu wyobrazić przed stu lub więcej laty, jak układaliby się na temat kontyngentu niewolników, niepożądanych członków plemienia, których Kinaniui chciałby się pozbyć. Farah musiałby przez cały czas gdzieś w zakątku mózgu piastować myśl, czyby nie rzucić się na samego starego naczelnika i nie włączyć do zdobyczy tego najtłustszego kęsa. Kinaniui zaś bez najmniejszej omyłki odgadywałby najtajniejsze myśli Faraha i przez cały czas pertraktacji czułby wielki ciężar gniotący mu wystraszone serce. Wiedziałyby przecież, że jest najważniejszym elementem, że jest towarem.

Wielkie zebranie, na którym miano załatwić sprawę wypadku z bronią, zaczęło się w spokojnym nastroju. Mieszkańcy farmy cieszyli się z obecności Kinaniui. Najstarsi podchodzili ku niemu, zamieniali kilka słów i wracali na swe miejsce na trawie. Jakieś stare kobiety siedzące na samym kraju pozdrowiły mnie krzykiem „Jambo Dżeri!” Dżeri jest kikujuskim imieniem, którego używały stare kobiety, gdy zwracały się do mnie. Dzieci też nim się posługiwały, ale dorośli ludzie i starzy mężczyźni nigdy nie wołali mnie Dżeri. Kaninu siedział w otoczeniu swej rodziny, wyglądał jak strach na wróble, który jakimś cudem ożył. Oczy miał jednak pałające i czujne. Wainaina z matką trzymali się nieco na uboczu od reszty.

Wolno i wyraźnie oświadczyłam zebrany, że spór między Kaninu i Wainaina został zakończony układem spisany na papierze. Kinaniui przybył, aby ten układ zatwierdzić. Kaninu przekazywał Wainainie krowę z cielęciem i to kończyło sprawę, której już wszyscy mieli dość.

Kaninu i Wainaina zostali uprzedzeni o tej decyzji, a Kaninu wydałam polecenie trzymania w pogotowiu krowy z cielęciem. Działalność Wainainy miała podziemny charakter, w

dziennym świetle zachowywał się jak kret wydobyty na wierzch.

Odczytawszy treść układu kazałam Kaninu przyprowadzić krowę. Kaninu wstał i zamachał obu rękami do swoich synów, którzy ją trzymali za chatami boyów. Koło siedzących otworzyło się, aby przepuścić krowę i cielę do środka.

W tym momencie atmosfera zebrania nagle się zmieniła jak przy burzy, która pojawia się na horyzoncie i pędzi do zenitu.

Nic na świecie nie budzi w oczach Kikujusów takiego zainteresowania i nic nie ma takiego znaczenia jak krowa z cielęciem. Rozlew krwi, czary, rozkosze seksualne i dziwy świata białych ludzi – to wszystko blednie w ogniu namiętności do bydła sięgającej jeszcze epoki kamiennej.

Matka Wainainy wydała przeciągły jęk i wyciągnęła suche ramię wskazując palcem na krowę. Wainaina przyłączył się do niej, ale tak się jąkał i potykał, jakby kto inny przemawiał z jego wnętrza. Wołał o pomstę do nieba. Nie mógł przyjąć tej krowy. Była najstarsza z całego stada, jakie miał Kaninu, i to już było na pewno jej ostatnie cielę.

Cały klan Kaninu zakrzyczał go wyliczaniem zalet krowy. W tym wrzasku można się było dosłuchać wielkiej goryczy i determinacji.

Gdy dyskusja dotyczy krowy i cielęcia, Kikujusi nie potrafią trzymać języka za zębami. I tym razem każdy z obecnych wystąpił z własną opinią. Starszycy chwytali się wzajemnie za ramiona i wytrząsali z siebie ostatni astmatyczny dech w pochwalę lub krytyce krowy. Wtórowały im przenikliwe głosy żon, podnoszące się lub opadające jak wtór w kanonie. Młodzi ludzie skakali sobie do oczu z krótkimi uwagami. W ciągu dwu minut cały trawnik przed domem kipiał jak kocioł czarownicy.

Spojrzałam na Faraha, a on na mnie. Jego oczy miały taki wyraz, jakby właśnie o czymś śnił. Przyszło mi na myśl, że Farah jest w tej chwili mieczem do połowy wyciągniętym z pochwy, który w mgnieniu oka zacznie ciąć na prawo i lewo. Somalijczycy też są hodowcami i handlarzami bydła. Kaninu rzucił mi spojrzenie człowieka tonącego, bez ratunku unoszonego prądem. Ja z kolei przyjrzałam się krowie. Szara, z zakrzywionymi rogami, stała sobie cierpliwie w samym oku cyklonu, który spowodowała. Gdy wszystkie palce wyciągnęły się w jej kierunku, zaczęła lizać swoje cielę. Zdawało mi się, że istotnie wyglądała na starą krowę.

Znów zwróciłam oczy na Kinaniui. Nie mam pojęcia, czy on w ogóle patrzył na krowę. Pod moim spojrzeniem nawet nie mrugnął. Siedział bez ruchu, nie zdradzając ani namysłu, ani sympatii, jak kłoda porzucona obok domu. Odwrócił się bokiem do tłumu, a wtedy zauważyłam, iż profil ma rzeczywiście królewski. Tubylcy potrafią w jednej sekundzie zmienić się w istotę pozbawioną życia. Mam wrażenie, że gdyby Kinaniui ruszył się i przemówił, dolałby jeszcze oliwy do ognia. On potrafił usiedzieć i w ten sposób działać uspokajająco. Nie każdy to potrafi.

Powoli szął wygaszał, ludzie przestawali wrzeszczeć i zaczęli rozmawiać normalnie, wreszcie jeden po drugim milkli zupełnie. Matka Wainainy w przekonaniu, że nikt jej nie obserwuje, pokuśtykała kilka kroków, aby z bliska przyjrzeć się krowie. Farah otrząsnął się i wrócił na łono cywilizacji, tylko na ustach igrał mu krzywy uśmiezek.

Gdy już zapanował zupełny spokój, kazaliśmy stronom umowy podejść do stołu, umaczać kciuki w smarze do wozów i odcisnąć swoje znaki pod dokumentem. Wainaina uczynił to bardzo niechętnie, szlochał przy odciskaniu kciuka na papierze. Umowa brzmiała tak:

Dnia 26 września następująca umowa została zawarta w Ngony pomiędzy Wainainą a Bernu a Kaninu w Mature w obecności i przytomności naczelnika Kinaniui.

Kaninu dostarczy Wainainie krowę z cieliczką. Krowa i cieliczka przeznaczone są dla syna Wainainy, Wanyangerri, który 19 grudnia ubiegłego roku został przypadkowo postrzelony z dubeltówki przez Kabero, syna Kaninu. Krowa i cieliczka będą stanowić własność

Wanyangerri.

Przez dostarczenie tego odszkodowania, to jest krowy z cieliczką, sprawa zostaje ostatecznie załatwiona i zamknięta. Odtąd nikomu nie wolno o niej wspominać.

ZNAK WAINAINY

ZNAK KANINU

Dokument został odczytany w mojej obecności

ZNAK NACZELNIKA KINANIUI

Krowę i cieliczkę doręczono Wainainie w mojej obecności.

Baronowa Blixen

GOŚCIE NA FARMIE

Wielkie tańce

Wielu gości odwiedzało nas na farmie. W krajach, gdzie życie ma charakter pionierski, gościnność staje się konieczna nie tylko dla dobra podróżnych, lecz również dla dobra gospodarzy. Odwiedzający jest przyjacielem, źródłem wiadomości. Czy są dobre, czy złe, na odludziu zawsze stanowią chleb dla głodnych umysłów. Prawdziwy przyjaciel witany jest w domu jak zesłaniec niebios przynoszący *panem angelorum*.

Gdy Denys Finch-Hatton powrócił z jednej ze swych długich wypraw, on i ja tak byliśmy spragnieni rozmowy, że zasiadłszy do obiadu nie ruszyliśmy się od stołu aż do świtu. Mówiliśmy o wszystkim, co nam tylko przyszło na myśl, potrafiliśmy dać sobie radę z każdym tematem. Biali koloniści, przez długi czas przebywający tylko z tubylcami, nabierają zwyczaju mówienia tego, co myślą, bo nie mają ani powodu, ani okazji do udawania i maskowania czegokolwiek. Gdy spotkają się we własnym gronie, nadal zachowują się tak samo. Żartowaliśmy sobie z Denysem, że Masaje mieszkający w maniaatach u stóp gór widzą mój dom ogarnięty takim blaskiem, jakby się palił, podobnie jak umbryjscy chłopci widzieli jasność otaczającą dom, w którym święty Franciszek i święta Klara dyskutowali na temat teologii.

Do najważniejszych wydarzeń towarzyskich na farmie należały ngomy, wielkie uroczystości taneczne urządzone przez tubylców. Przy takich okazjach podejmowaliśmy do stu pięćdziesięciu lub dwustu gości. Poczęstunek bywał jednak skromny. Stare, łyse matki tańczących moranów i ndito, rycerzy i dziewcząt, częstowaliśmy tabaką. Dzieci, jeżeli były dopuszczone do udziału w uroczystości, dostawały cukier, który Kamante rozdzielał drewnianą łyżką. Czasami prosiłam komisarza okręgowego o pozwolenie, aby moi skwatterzy mogli przygotować tembu, zabójczy napój z trzciny cukrowej. Prawdziwi natomiast wykonawcy, niestrudzeni młodzi tancerze, nie interesowali się tymi dodatkowymi przyjemnościami. Wystarczył im ich własny ognisty nastrój i słodycz przeżyć, od świata zewnętrznego żądali tylko kawałka równej ziemi do tańca. Obok mego domu znajdowały się dwa takie miejsca, trawnik pod drzewami i placik między chatami boyów. Z tego powodu farma cieszyła się uznaniem młodzieży w całej okolicy i bardzo ceniono sobie zaproszenia na urządzone u mnie bale.

Ngomy odbywały się czasami dniem, czasami nocą. Dzielne ngomy wymagają więcej miejsca, bo uczestnicy w nich tyle samo widzów co tancerzy. Dlatego odbywały się na trawniku. Tancerze tworzą, albo jedno wielkie koło, albo kilka mniejszych. Podskakują wtedy z głowami odchylonymi do tyłu albo przytupują w takt rytmu, wyskakują do przodu na jednej nodze, znów wracają do poprzedniej postawy na drugiej nodze, potem powoli i uroczyście posuwają się bokiem z twarzami zwróconymi ku środkowi koła. Wybitniejsi tancerze opuszczają krąg taneczny i powtarzają to samo w środku koła. Po dziennych ngomach pozostawały na trawniku ślady w postaci większych i mniejszych brązowych kół, jakby ogień wypalił tam roślinność; te magiczne koła bardzo powoli znikają z odrastaniem zielonej trawy.

Największe dzielne ngomy miały bardziej charakter jarmarków niż balów. Tancerzom towarzyszyły tłumy widzów, którzy grupowali się pod drzewami. Gdy wieść o ngomie rozeszła się dostatecznie szeroko i w porę, zjawiały się nawet wesołe damy z Nairobi – w języku suahili pięknie zwane malaya, Przybywały dostojnym orszakiem na zaprzężonych w

muły wozach Ali Khana, hinduskiego przedsiębiorcy transportowego. Ubrane były w długie bawełniane szaty w duże wzory i gdy rozsiadły się na trawie, przypominały wielkie kwiaty. Porządne dziewczęta z farmy w swych tradycyjnych spódnicach i płaszczach z natłuszczonej skóry stawały nie opodal przybyłych i głośno obgadywały ich stroje i maniery. Miejskie piękności nie reagowały jednak na to, siedziały ze skrzyżowanymi nogami nieruchomo jak lalki z czarnego drzewa i paliły małe cygara. Tłumy podnieconych dzieci biegały od jednego kręgu do drugiego podpatrując inasładować tańczących. Niekiedy tworzyły na skraju trawnika swoje własne kółka skacząc w górę i w dół, tam i z powrotem.

Udając się na ngomę Kikujusi smarują sobie całe ciało Specjalnym gatunkiem jasnoczerwonej kredy, która jest przedmiotem handlu. Dzięki temu zyskują dziwny wygląd – blondynów. Tej barwy nie da się zaliczyć ani do świata zwierzęcego, ani roślinnego, młodzi ludzie przypominają w niej skamienieliny albo figury wykute w skale. Dziewczęta pokrywają kredą nie tylko ciała, ale i skromny przyodziewek, z wyszywanej paciorkami skóry. Wyglądają na figury ubrane w szaty, których fałdy pieczołowicie ułożyła ręka wytrawne go artysty. Młodzi mężczyźni występują na ngomach nago, wiele jednak uwagi poświęcają fryzuirom. Oblepiają kredą grzywy i warkocze i wysoko dzierżą tak przystrojone głowy. W ostatnich latach mego pobytu w Afryce rząd wydał zakaz przybierania kredą głów. Ten strój ma u obu płci ogromny efekt: bardziej uroczystego wyglądu nie nadałyby nawet brylanty i orderzy. Gdy ktoś już z daleka zobaczy w stepie maszerującą grupę wymalowanych kredą Kikujusów, natychmiast wyczuwa, że atmosfera jest naładowana świątecznym nastrojem.

Dzienne tańce na wolnym powietrzu mają tę słabą stronę, iż ich oprawa pozbawiona jest konturów. Scena wydaje się zbyt obszerna – nie wiadomo, gdzie się zaczyna i gdzie kończy. Chociaż figurki poszczególnych tancerzy są od stóp do głów pokryte farbą, chociaż całe strusie ogony powiewają im u głów, a przytwierdzone do pięt kawałki małych skór do złudzenia przypominają ostrogi siarczystych kawalerów, pod wysokimi drzewami wszystko rozprasza się i gubi. Siedząc całe widowisko, a więc kręgi tańczących, rozrzucone grupy widzów i dzieci uganiające po placu, człowiek musi się rozglądać na wszystkie strony ciągle kręcąc głową. Scena przypomina stare obrazy bitew, na których z jednej strony widnieje atakująca jazda, z drugiej artyleria zajmuje wyznaczone stanowisko, a w poprzek pola galopują adiutanci z rozkazami.

Dzienne ngomy były też bardzo hałaśliwe. Widzowie czynili tyle zgiełku, iż często zagłuszali taneczną muzykę fletów i bębnów. Gdy jakiś moran wykonał przy tanecznej figurze specjalnie udany skok albo z fantazją wywinął nad głową dzidą, z ust tańczących dziewcząt wyrывał się przeciągły, przenikliwy wrzask. Starzy ludzie, siedzący dokoła na trawie, bez przerwy prowadzili jazgotliwą, towarzyską konwersację. Przyjemny był widok dwu kikujuskich matron siedzących nad tykwą i zatopionych w pogawędce na temat dawnych, dobrych czasów, kiedy same popisywały się w tanecznych kręgach. W miarę jak popołudniowe słońce coraz bardziej zbliżało się do horyzontu, a równocześnie ubywało zawartości tykwy, ich twarze promieniały coraz większym szczęściem. Czasami, gdy do staruszek przyłączyli się równie wiekowi małżonkowie, niejedna matrona tak dawała się unieść wspomnieniom młodości, że zrywała się z miejsca i wymachując ramionami robiła kilka tanecznych kroków jak prawdziwa ndito, młoda dziewczyna. Otaczający tłum nie zwracał na tę demonstrację żadnej uwagi, ale małe kółko rówieśników darzyło wiekową tancerkę entuzjastyczną owacją.

Nocne ngomy miały znacznie poważniejszy charakter.

Urządzano je tylko jesienią, po zbiorach kukurydzy, przy pełni księżyca. Nie sądzę, aby teraz miały one znaczenie religijne, choć dawniej prawdopodobnie tak było; zachowanie się tancerzy i widzów wskazywało na istnienie tajemniczych, obrzędowych elementów, a tańce miały tysiącletnią tradycję. Niektóre z nich, cieszące się wielkim uznaniem w oczach matek i babek tancerzy i tancerek, w oczach białych uchodziły za niemoralne, i to do tego stopnia, że

domagano się oficjalnego zakazu. Pewnego razu po powrocie z podróży do Europy dowiedziałam się, że dwudziestu pięciu młodzieńców z farmy odsiaduje kary więzienia, i to w najgorętszym sezonie zbiorów kawy. Inicjatorem tej ingerencji prawa okazał się nie kto inny, tylko administrator mojej farmy, który mi oświadczył, że jego żona nie mogła znieść tańców. Zbeształam radę starszych za urządzenie ngomy w pobliżu domu administratora, ale oni ze swej strony wyjaśnili mi, że tańce odbywały się u Kathegi, w odległości prawie dziesięciu kilometrów. Musiałam pojechać do Nairobi i omówić sprawę z komisarzem okręgu, który zwolnił całą bandę. Chłopcy wrócili na farmę zbierać kawę.

Nocne tańce przedstawiały piękny widok, tym nie brakowało już teatralności. Odbywały się przy ognisku i tylko w kręgu światła rzucanego przez to ognisko, które stanowiło zasadniczy element nocnej ngomy. Światło palących się głowni nie było właściwie potrzebne do tańca, bo na afrykańskim płaskowyżu księżyc jest bardzo czysty i jasny. Chodziło tylko o efekt. Ogień sprawiał, że miejsce tańca tworzyło doskonałą scenę, wszystkie barwy i ruchy w jego zasięgu zlewały się w jedno.

Mieszkańcy Afryki rzadko stosują przesadne efekty. Nie rozniecano wielkich ognisk. W przeddzień tańców miejscowe kobiety, uważające się za gospodynie tej imprezy, znosiły drzewo i układały je w stos na środku placu. Wokół centralnego ogniska siadały stare matrony, które zaszczycały uroczystość swoją obecnością, tuż zaś za nimi całą noc paliły się liczne małe ogniska, tworzące jakby wianuszek gwiazd. Dopiero poza tym kręgiem, na tle ciemnego lasu, uwijali się tancerze. Teren musiał być obszerny, aby żar i dym nie gryzły widzów w oczy, lecz mimo to sprawiał wrażenie zamkniętego miejsca, jakby tańce odbywały się w dużym, wspólnym domostwie.

Tubylcy nie mają wycucia kontrastu i nie gustują w nim. W ich wypadku pępowna natury nie została przecięta do końca. Urządzali ngomy tylko przy pełni księżyca. Zarówno księżyc, jak i oni dawali z siebie wszystko, co mogli. Gdy krajobraz tonął w delikatnym, ale jasnym świetle z nieba, oni do tej naturalnej afrykańskiej iluminacji dodawali swoje własne, mizerne ogniki.

Goście nadchodzili małymi grupami, po troje, dwanaścioro lub piętnaścioro. Przyjaciele umawiali się razem albo po prostu przygodnie spotykano się w drodze. Wielu tancerzy przebywało dwadzieścia pięć kilometrów, aby uczestniczyć w ngomie. Większe grupy miały ze sobą flety lub bębny, toteż w noc wielkich tańców wszystkie drogi i ścieżki w okolicy rozbrzmiewały muzyką, jakby ktoś potrząsał brzękadłami przed licem księżyca. Przy wejściu na plac tańców przybyli przystawali i czekali, aż krąg otworzy się przed nimi. Niekiedy, gdy goście przybyli z daleka albo byli synami okolicznych naczelników, witał ich jeden z członków rady starszych, jakiś wybitny tancerz lub któryś wodzirej.

Wodzirejami na ngomach byli młodzi ludzie z farmy, w normalnym życiu nie różniący się od innych, lecz podczas uroczystości spełniający ważną funkcję. Do nich należało przestrzeganie ceremoniału i bardzo gorliwie się tym zajmowali. Przed rozpoczęciem tańca lustrowali szereg tancerzy krocząc majestatycznie ze ściągniętymi brwiami i powagą na twarzach; w miarę ożywiania się atmosfery biegali z jednej strony kręgu na drugą i pilnowali, aby wszystko odbywało się jak należy. Byli odpowiednio uzbrojeni, gdyż trzymali wiązki patyków, które co jakiś czas zanurzali jednym końcem w ognisku, aby się paliły. Pilnie obserwowali tancerzy i gdy dostrzegli jakiś nieprzyzwoity gest, natychmiast zjawiali się przy winnym tancerzu i z groźnym wyrazem twarzy i wściekłym warknięciem pakowali płonący koniec wiązki patyków wprost w ciało przestępcy. Ofiara zginała się wpół, ale nigdy nie wydawała głosu. Prawdopodobnie tego rodzaju rana wyniesiona z ngomy wcale nie przynosiła ujmy tancerzowi.

W jednym z tańców dziewczęta stawały wstydliwie na stopach swych tancerzy i obejmowały ich w pasie, podczas gdy młodzi rycerze, wyciągnawszy ramiona po obu stronach głów tancerek, trzymali w dłoniach włócznie i co chwilę uderzali nimi z całej siły w

ziemię. Był to piękny widok, młode kobiety plemienia szukały na łonie mężczyzn ochrony przed jakimś wielkim niebezpieczeństwem, a mężczyźni osłaniali je, pozwalali im nawet stać na swych stopach, bronili przed węzami i każdym niebezpieczeństwem grożącym z ziemi. Taniec ciągnął się godzinami, w miarę zaś jego trwania na twarzach tancerzy zjawiał się wyraz niebiańskiej ekstazy, jakby naprawdę gotowi byli poświęcić wszystko, nawet życie.

Był też taniec, w którym uczestnicy biegali między ogniskami, a główny tancerz wyczyniał najrozmaitsze skoki wśród ogólnego potrząsania włóczniami. Motywem tego tańca było, jak mi się zdaje, polowanie na lwa.

Oprócz muzyki fletów i bębnow na ngomach występowali pieśniarze. Niektórzy z nich cieszyli się sławą w całym kraju i często sprowadzano ich z daleka. Występy pieśniarzy polegały nie na śpiewie, lecz rytmicznej recytacji. Ballady improwizowali na miejscu, przy czym chór tancerzy, pilnie słuchających i szybko podchwytyjących motyw, towarzyszył im wtórem. Przyjemnie było słuchać, jak w czystym, nocnym powietrzu brzmiał melodyjny głos pieśniarza i regularnie powtarzały się frazy chóru młodych głosów. Gdy jednak występy przeciągały się przez całą noc, a od czasu do czasu, dla większego efektu, jeszcze bębny przyłączały się do chóru, monotonia zaczynała męczyć i miało się dręczące uczucie, że człowiek ani dłużej tego słuchać ani wstrzymać nie potrafi.

Za moich czasów najślawniejszy pieśniarz pochodził z Dagoretti. Miał czysty, silny głos, oprócz tego doskonale tańczył. Śpiewając chodził lub biegał wewnątrz tanecznego kręgu długimi, posuwistymi krokami, przy każdym prawie przykłękał. Jedną dłoń trzymał zawsze przy ustach prawdopodobnie w celu nadania siły głosowi, ale sprawiało to takie wrażenie, jakby przekazywał zebrany ważną tajemnicę. Mógł uchodzić za usposobienie afrykańskiego echa. Z widzami robił, co chciał: albo doprowadzał ich do szaleńczej radości, albo do wojowniczego nastroju, albo wreszcie zmuszał do pokładania się ze śmiechu. W jednej przerażającej pieśni wojennej odgrywał rolę herolda, który biegnie od wsi do wsi i wzywa naród do walki opisując masakrę i rabunki dokonane przez wrogów. Wyobrażam sobie, że sto lat temu białym kolonizatorom krew by krzepła w żyłach od takiej pieśni. Pieśniarz nie przesadzał z repertuarem. Pewnej nocy wykonał trzy pieśni, a na moją prośbę Kamante wszystkie mi przetłumaczył. Pierwsza była fantazją, że cała grupa tancerzy znalazła się w posiadaniu statku i płynie do Volaiia. Druga stanowiła hymn na cześć starych kobiet, matek i babek pieśniarza i innych uczestników tańca. Dla mnie brzmiała bardzo miło, trwała długo i widocznie bardzo szczegółowo opisywała mądrość i dobroć starych, bezzębnych Kikujusek, które siedziały przy ognisku wewnątrz tanecznego kręgu i potakująco kiwały głowami. Trzecia pieśń bardzo krótka, wywoływała salwy śmiechu. Pieśniarz musiał podnosić głos, aby przekrzyczeć hałas, sam zresztą też śmiał się w czasie popisu. Stare kobiety, w bardzo dobrych humorach po poprzednich pochwałach, biły się po udach i z radości szczyrzyły bezzębne dziąsła. Kamante wymawiał się od tłumaczenia, nazywał wszystko bzdurą i podał mi treść w wielkim skrócie. Temat był prosty: Po epidemii dżumy rząd wyznaczył premię za każdego zabitego szczura dostarczonego do biura okręgu. Pieśń opisywała jak szczury uciekając przed pogonią chroniły się w łóżkach starych i młodych kobiet, i co się tam z nimi działo. Szczegółów nie dowiedziałam się, a musiały być zabawne. Nawet Kamante, chociaż tak niechętnie tłumaczył mi ogólną treść, nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu.

Na jednej nocnej ngomie zdarzył się dramatyczny wypadek.

Uroczystość urządzono na moją cześć, tuż przed moim wyjazdem na wycieczkę do Europy. Urodzaje były dobre, więc zabawa miała szerokie ramy i uczestniczyło w niej chyba tysiąc pięciuset Kikujusów. Gdy przed położeniem się spać wyszłam raz jeszcze na dwór przyjrzeć się zabawie, tańce trwały już kilka godzin. Ustawiono mi krzesło pod ścianą jednej z chat boyów i dwu starych skwaterów dotrzymywało mi towarzystwa.

Nagle wielkie poruszenie ogarnęło krąg tancerzy. Można było dostrzec ruchy wyrażające zaskoczenie i strach, doszedł mnie też głos przypominający szum wiatru w kępie sitowia.

Tańczono coraz wolniej, coraz wolniej, ale jeszcze nie przestano. Spytałam jednego ze starych skwaterów, o co chodzi. Odpowiedział mi zdyszczonym szeptem:

– Masai na-kudja, Masaje tu idą.

Wieść musiała dotrzeć przez gońca, bo długo nic się nie działo. Prawdopodobnie Kikujusi wysłali wiadomość, że goście zostaną przyjęci. Prawo zakazywało Masajom odwiedzać kikujuskie ngomy, gdyż w przeszłości wynikało z tego wiele kłopotów. Nadbiegli moi boye i otoczyli krzesło. Wszyscy spoglądali w kierunku wejścia na plac. Gdy ukazali się tam Masaje, taniec ustał zupełnie.

Wmaszerowało dwunastu młodych masajskich wojowników. Po kilku krokach stanęli i czekali nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, mrużąc tylko oczy przed ogniem. Byli zupełnie nadzy, mieli natomiast wspaniałe stroje na głowach i broń w ręku. Jeden odznaczał się przybraniem ze skóry lwa, strojem wojennym moranów. Na jego goleniach widniały namalowane szkarłatne pasy, jakby pociekł tam strumień krwi. Przybysze stali wyprostowani, z głowami odrzuconymi do tyłu, milczący i śmiertelnie poważni, z wyrazem i zdobywców, i więźniów równocześnie. Wyczuwało się, że przyszedli wbrew własnej woli. Monotonny głos bębna dolatywał przez rzekę aż do rezerwatu, już długo niepokoił serca młodych rycerzy. Dwunastu nie znalazło w sobie dość siły, aby oprzeć się temu wezwaniu.

Kikujusi zdradzali również zdenerwowanie, lecz przyjęli gości bardzo dobrze. Główny wodzirej zaprosił ich do koła tanecznego, a gdy w głębokim milczeniu zajęli swoje miejsca, natychmiast rozpoczęto taniec na nowo. Wyczuwało się jednak jakąś różnicę, atmosfera była teraz naładowana. Bębny brzmiały głośniejszym i szybszym rytmem. Gdyby ngoma trwała dalej, zobaczyłabym ciekawe rzeczy, bo Kikujusi i Masaje zechcieliby sobie nawzajem zaimponować sprawnością i siłą tancerzy. Do tego jednak nie doszło. Są czasem takie sprawy, których nie udaje się doprowadzić do końca nawet przy najlepszej woli wszystkich zainteresowanych stron.

Właściwie nie wiem, co się stało. Nagle krąg taneczny zachwiał się i załamał, ktoś głośno wrzasnął i za kilka sekund na całym placu przed mymi oczyma zakotłowała się masa biegających ludzi. Dały się słyszeć odgłosy uderzeń i ciał padających na ziemię, nad głowami zaś gęsto się zrobiło od włóczni. Wszyscyśmy wstali, nawet mądre kobiety przy ognisku wdrapywały się na stopy drzewa w celu uzyskania lepszego widoku.

Gdy podniecenie ustąpiło i zbita masa ludzka rozproszyła się, znalazłam się w środku tłumu, który pozostawiał wokół mnie tylko trochę wolnego miejsca. Podeszli dwaj starzy skwaterzy i z pewnym wahaniem wyjaśnili mi, co zaszło: naruszenie prawa i zakazu przez Masajów, w wyniku czego jeden Masaj i trzech Kikujusów odniosło ciężkie rany – „zostało posiekanych na kawałki”, aby użyć ich oryginalnego wyrażenia. Czy zgodzę się, zapytywali, pozszywać ich na nowo, bo inaczej wszyscy będą mieli wiele nieprzyjemności ze strony selikali, czyli rządu. Ja z kolei spytałam starego, co tym rannym obcięto. „Głowy” – odpowiedział dumnie, ulegając właściwej tubylcom skłonności do koloryzowania. W tej chwili dostrzegłam Kamante kroczącego przez plac z igłą do cerowania nawleczoną długą nitką i z moim napastrkiem. Ciągle jeszcze się wahałam, a wtedy wystąpił stary Awaru. W czasie siedmioletniego pobytu w więzieniu nauczył się krawiectwa. Widocznie szukał okazji do treningu i zademonstrowania swych umiejętności, bo zaproponował, że zajmie się tym wypadkiem. W jednej chwili powszechne zainteresowanie skupiło się na nim. Rzeczywiście pozszywał rannych, którzy szybko wyzdrowieli. Potem Awaru bardzo się chwalił swoim wyczynem, chociaż Kamante zdradził mi w tajemnicy, że głowy nie były całkowicie odcięte.

Ponieważ obecność Masajów na tańcach stanowiła naruszenie prawa, musieliśmy ukrywać rannego rycerza w chacie zarezerwowanej dla boyów białych gości. Tam wyzdrowiał, a po wyzdrowieniu znikł bez słowa podziękowań dla Awaru. Wyobrażam sobie, jak ciężko przeżywało serce Masaja fakt, że został ranny i wyleczony przez Kikujusa.

Gdy przed świtem wyszłam dowiedzieć się o rannych, ogniska jeszcze dymiły. Kręciło się

tam kilku młodych Kikujusów, którzy pod kierownictwem starej kobiety, matki Wainainy, skakali i wtykali kije w tłące się węgle. Zaczyniali uroki, aby Masaje nie odnosili sukcesów miłosnych wśród kikujuskich dziewcząt.

Gość z Azji

Ngomy miały na farmie ustaloną tradycję. Gdy pierwsi uczestnicy, których widziałam w tańcu, posunęli się w latach, przychodzili na nie ich młodszy bracia i siostry. Znow minęło kilka lat i w tanecznym kole stawali synowie i córki tych pierwszych. Nigdy nie brakło gości na tańcach, życie towarzyskie kwitło.

Zjawiali się też na farmie inni goście, czasem z dalekich stron. Monsun wieje z Bombaju: mądrzy i doświadczeni starzy ludzie wsiadali na statki, płynęli przez ocean i przybywali na farmę.

W Nairobi mieszkał bogaty handlarz drzewem, Choleim Hussein, z którym miałam wiele do czynienia w pierwszym okresie, kiedy karczowałam teren swej posiadłości. Był to Hindus, pobożny mahometanin i w dodatku przyjaciel Faraha. Pewnego dnia przyjechał do mnie z prośbą, czy mógłby przywieźć z wizytą na farmę Wielkiego Kapłana z Indii. Ów kapłan, wyjaśnił mi Choleim Hussein, przepłynął przez morze po to, aby dokonać inspekcji gmin wyznaniowych w Mombasie i Nairobi. Gminy zaś chciały ze swej strony jak najlepiej go przyjąć i poszedłszy po rozum do głowy uznały, że najbardziej interesujące będzie dla gościa odwiedzenie mojej farmy. Czy pozwolę mu przyjechać? Na moją odpowiedź, że mile powitam gościa, Choleim Hussein zaczął mi dalej tłumaczyć, że Wielki Kapłan z powodu swej wysokiej rangi i świętości nie może jeść niczego, co jest ugotowane w naczyniach używanych przez niewiernych. Potem szybko dodał, żebym się tym nie martwiła, bo gmina mahometkańska w Nairobi przygotowuje jedzenie i przyśle wszystko na farmę. Czy pozwolę Wielkiemu Kapłanowi spożyć to w moim domu? Gdy i na to wyraziłam zgodę, Choleim Hussein podjął jeszcze raz sprawę, choć z pewnym wahaniem. Chodziło tylko o jeden szczegół. Etykieta wymagała mianowicie, żeby Wielki Kapłan otrzymał prezent. W takim domu jak mój prezent nie może wynosić mniej niż, sto rupii. Ale, znow pośpiesznie wyjaśnił, mahometanie z Nairobi zebrali już pieniądze i tylko proszą, abym je wręczyła Wielkiemu Kapłanowi. Zapytałam, czy Wielki Kapłan uwierzy, że prezent pochodzi ode mnie. Na to jednak nie mogłam wydobyć od Choleima Husseina jasnej odpowiedzi. Są takie chwile, kiedy ludzie o ciemnej skórze nawet za cenę życia nie potrafią wypowiedzieć się wyraźnie. Z początku odmówiłam odegrania wyznaczonej mi roli, lecz widząc osowiale nagle twarze Choleima Husseina i Faraha, którzy przed chwilą promienieli nadzieją, zdecydowałam się odłożyć ambicję na bok i pozwolić Wielkiemu Kapłanowi pomyśleć, co mu tylko przyjdzie do głowy.

W dzień wyznaczony na przybycie gościa zapomniałam jednak o całej sprawie i posłam na pole wypróbować nowy traktor. Tam zjawił się Titi, brat Kamante, którego po mnie posłano. Traktor czynił taki hałas, że nie mogłam dosłyszeć słów Titi, z drugiej strony obawiałam się zatrzymać motor, bo bardzo trudno dawał się uruchomić. Titi biegł obok traktora przez całe pole jak mały rozszczekany piesek, dopiero na końcu zagonu stanęliśmy.

– Kapłan przyjechał wrzasnął wtedy do mnie.

– Jaki kapłan? – zdziwiłam się.

– Wszyscy kapłani! – wyjaśnił z wielką dumą.

Dodał, że przyjechali czterema wozami, po sześciu w każdym. Posłam z nim i już z daleka zobaczyłam na trawniku tłum postaci ubranych w białe szaty, jakby wokół mego domu osiadł klucz białych ptaków albo grupa aniołów zstąpiła na farmę. Chyba całą Wielką Radę przysłano tu z Indii, aby podtrzymać ducha pobożności wśród wyznawców w Afryce.

Natychmiast jednak odróżniłam szacowną postać Wielkiego Kapłana. On zaś ruszył w moim kierunku eskortowany przez dwu podwładnych kapłanów oraz, chociaż w należytej i pełnej szacunku odległości, przez Choleima Husseina. Był to bardzo niski starszy pan, z twarzą delikatną i subtelną, jakby wyrzeźbioną z bardzo starej kości słoniowej. W pierwszym momencie świta podeszła bliżej, aby być świadkami naszego spotkania, potem usunęła się. Miałam podejmować tylko jednego gościa.

Nie mogliśmy rozmawiać, gdyż on nie znał ani angielskiego, ani języka suahili, ja zaś z kolei nie znałam jego mowy. Ogromny wzajemny szacunek musieliśmy wyrazić mimiką. Jak stwierdziłam, oprowadzono go już po domu; na stole w jadalni stały wszystkie nakrycia, jakie posiadałam, a także kwiaty poukładane według gustu hinduskiego i somalijskiego. Zasiadłam wraz z Wielkim Kapłanem na kamiennej ławie przy zachodniej ścianie domu. Tam, w przytomności obecnych, wręczyłam gościowi pieniądze zawinięte w czerwoną chustkę Choleima Husseina.

Do pewnego stopnia byłam uprzedzona do Wielkiego Kapłana, gdyż drażniła mnie jego dbałość o szczegóły. Potem, gdy okazało się, że jest taki stary i mały, przez chwilę pomyślałam, iż musi się czuć w tej sytuacji bardzo speszony. Gdyśmy jednak tak siedzieli w popołudniowym słońcu, nawet nie udając, że rozmawiamy i dotrzymując sobie przyjaźnie towarzystwa w zupełnym milczeniu, zrozumiałam, że ten człowiek nie potrafi czuć się czymkolwiek speszony. Sprawiał wrażenie kogoś, kto czuje się bezpieczny i spokojny. Miał bardzo dobre maniery, a gdy pokazywałam mu góry i wysokie drzewa, kiwał głową z uprzejmym uśmiechem, jakby się wszystkim interesował i nic nie mogło go zaskoczyć. Zastanawiałam się, czy ten spokój wynikał z zupełnej nieświadomości zła, czy też przeciwnie, z głębokiej znajomości zła i pogodzenia się z nim. Bo właściwie musi być wszystko jedno, czy na świecie nie ma jadowitych węży, czy też przez wstrzykiwanie sobie jadu człowiek zostaje uodporniony na węże. Spokojne oblicze starego wyglądało jak twarzyczka małego dziecka, które jeszcze nie nauczyło się mówić, wszystkim się interesuje i z natury rzeczy niczemu się nie dziwi. Przez tę popołudniową godzinę mogłam równie dobrze siedzieć obok noworodka, pięknego dziecka, nawet Dzieciątka z obrazu starego mistrza, i od czasu do czasu poruszać kołyską dotykając jej bieguna duchową stopą. Podobnie wyglądają twarze bardzo starych, niegdyś światowych kobiet, które wszystko widziały, przez wszystko przeszły. To nie jest wyraz męski, zgadza się tylko z powijkami i spódnicą, a w tym wypadku zgadzał się doskonale z piękną szatą z białego kaszmiru, którą miał na sobie mój gość. Na męskiej twarzy widywałam taki wyraz twarzy tylko w cyrku, gdy występował jakiś bardzo zdolny kłown.

Stary był zmęczony i nie poszedł z resztą, gdy Choleim Hussein zabrał całą świtę nad rzekę, by im pokazać suszarnię. Interesował się ptakami sam będąc jak ptak. Miałam wówczas oswojonego bociana, oprócz tego trzymałam całe stado gęsi, nie na zabicie, lecz tylko po to, aby podwórze przypominało mi Danię. Wielki Kapłan bardzo się nimi zainteresował. Wskazywał różne strony świata i starał się dowiedzieć, skąd gęsi pochodzą. Na trawniku leżały psy, co tym bardziej podkreślało rodzajowy obrazek starego dworu. Byłam pewna, że Farah i Choleim Hussein poproszą o zamknięcie psów, bo Choleim Hussein za każdą wizytą na farmie zdradzał paniczną przed nimi obawę. Ale psy spacerowały sobie jakby nigdy nic między biało ubranymi kapłanami, prawdziwe lwy wśród owieczek. To były właśnie te psy, które zdaniem Ismaila odróżniały mahometan od innych ludzi.

Przed odjazdem Wielki Kapłan wręczył mi pierścień z perłą na pamiątkę swej wizyty. Przyszło mi wtedy na myśl, że też powinnam mu dać jakiś upominek niezależnie od owych stu rupii – mego fikcyjnego podarunku. Posłałam Faraha po skórę lwa niedawno zastrzelonego na terenie farmy. Stary wziął w rękę jedną z lwich łap i z wyraźnym zainteresowaniem wypróbował na własnym policzku ostrość pazurów.

Po jego odjeździe zastanawiałam się, czy w szlachetnej malej głowie gościa utrwalił się jakiś szczegół z farmy, czy też wszystko minęło bez wrażenia. Coś jednak musiał zapamiętać,

gdyż kilka miesięcy później dostałam list z Indii, źle zaadresowany i dlatego bardzo długo przetrzymany na poczcie. Jakiś indyjski maharadża prosił o sprzedaż mu jednego z mych „szarych psów”, o których słyszał od Wielkiego Kapłana. Zapowiadał, że zapłaci każdą cenę, której zażadam.

Somalijskie kobiety

O jednej grupie gości, która odgrywała wielką rolę na farmie, nie mogę wiele pisać, bo nie przypadłoby im to do gustu. Były to bowiem kobiety Faraha.

Gdy Farah się ożenił i przywiózł na farmę żonę z Somali, wraz z nią przybyło całe stadko pełnych życia, ciemnych gołębi: matka, młodsza siostra i kuzynka wychowana w tej rodzinie. Farah oświadczył mi, że taki zwyczaj panuje w jego ojczyźnie. W Somali głowy rodów kojarzą małżeństwa biorąc pod uwagę pochodzenie, majątek i reputację młodych ludzi. W dobrych rodzinach narzeczony i narzeczona nie znają się aż do dnia ślubu. Somalijszczyki są jednak narodem rycerskim, nie pozostawiają swych cór bez opieki. Dobry ton nakazuje, aby młody mąż przez sześć miesięcy po ślubie zamieszkiwał we wsi żony, co pozwala jej występować w roli gospodyni, osoby znanej i wpływowej w miejscowym otoczeniu. Czasem jednak mąż nie może uczynić zadość temu zwyczajowi, a wtedy krewne żony nie wahają się towarzyszyć jej w pierwszym okresie życia małżeńskiego, choćby to nawet oznaczało dla nich przeprowadzkę i wyjazd do odległego kraju.

Kółko somalijskich kobiet powiększyło się później jeszcze jedną dziewczynką z tego samego plemienia, sierotę, którą Farah wziął za swoją. Mam wrażenie, iż nie zapominał przy tym o niezłym zarobku, który mu przypadnie, gdy dziewczyna wyjdzie za mąż. Podobna historia jak Mordechaja Estery. Sierota okazała się niezwykle mądrym i żywym dzieckiem. Warto było obserwować, jak w miarę przybywania jej lat inne panny wzięły ją w swoje ręce i skrupulatnie urabiały na młodą dziewicę *comme il faut*. W chwili przybycia na farmę miała jedenaście lat i od samego początku wymykała się z rodzinnego grona, aby mi dotrzymać towarzystwa. Jeździła na moim kucu, nosiła za mną sztucer albo też gnała z kikujuskimi toto do stawu rybnego i tam, podkasawszy spódnicę, na bosaka galopowała po brzegu ciągnąc sieci. Małe dziewczęta somalijskie mają ogolone głowy, zostaje im tylko wianek włosów na samym kraju i długi kosmyk na samym środku czaszki. Ta piękna moda nadaje dzieciom wyraz wesołych i złośliwych mnichów. Z czasem jednak, pod wpływem starszych dziewcząt, sierota zmieniła się, a proces tej zmiany ją samą zaciekał i pochłonął. Zaczęła chodzić bardzo powoli, jakby jej przywiązano ciężary do nóg. Zawsze miała oczy spuszczone według najlepszych wzorów, a z chwilą pojawienia się kogoś obcego natychmiast zniknęła. Już więcej nie obcinano jej włosów, gdy zaś wyrosły odpowiednio długie, tamte panny splotły je w małe warkoczyki po obu stronach głowy. Nowicjuszka poddawała się wszystkim niewygodom rytuału z powagą i dumą; nie ulegało wątpliwości, że wolałaby umrzeć, niż nie stanąć na wysokości zadania.

Jak opowiadał mi Farah, jego teściowa, stara kobieta, cieszyła się w swoich stronach wielkim szacunkiem ze względu na to, iż dała córkom doskonałe wykształcenie. Były przykładem dziewiczych cnót. Muszę powiedzieć, że trzy młode kobiety rzeczywiście odznaczały się wytworną godnością i skromnością; nigdy nie spotkałam kobiet o manierach takich dam. Dziewczęta skromność akcentowały stroje. Dziewczęta nosiły bardzo sute spódnice, na które – wiem o tym, bo często kupowałam dla nich jedwab lub perkal – szło po dziesięć metrów materiału. Pod tą masą materiału ich zgrabne kolana poruszały się wymownym i tajemniczym rytmem:

Twe smukłe nogi pośród falban drżące

*Drażnią i męczą obudzone żądze
Jak czarownice, co w głębokie słoje
Sączą tajemne, miłosne napoje*^[8]

Matka była imponującą postacią; krzepka, odznaczała się dobrodusznym spokojem słonicy, która jest pewna swej siły. Nigdy jej nie widziałam rozgniewanej. Nauczyciele i pedagodzy zazdrościliby jej zdolności wychowawczych; w jej rękę nauka nie była ani przymusem, ani harówką, lecz jakimś szlachetnym spiskiem dostępnym tylko dla uprzywilejowanych uczniów. Mały domek, który zbudowałam w lesie dla rodziny Faraha, stanowił szkółkę białej magii, a trzy młode dziewczęta spacerujące wdzięcznie po ścieżkach wokół tego domku przypominały trzy młode czarownice, pilnie uczące się sztuki zdobywania wielkiej siły. Współzawodniczyły ze sobą w najprzyjaźniejszym nastroju. Gdy ktoś znajduje się już na rynku i słyszy, że jego cena jest przedmiotem publicznej dyskusji, rywalizacja staje się prawdopodobnie szczerą i szlachetną. Żona Faraha, która nie musiała już troszczyć się o własną cenę, zajmowała specjalną pozycję dobrej uczennicy po pomyślnym egzaminie z czarodziejskiej sztuki. Czasami odbywała poufne narady z Główną Czarownicą, a taki zaszczyt nigdy nie przypadł w udziale żadnej z dziewcząt.

Wszystkie te młode kobiety miały wysokie wyobrażenie o swojej wartości. Mahometańska dziewczica nie może wyjść za mąż poniżej swego stanu, gdyż to pogrzyłoby w niesławie całą rodzinę. Mężczyzna może się ożenić w niższej sferze, to mu nic nie szkodzi – wielu młodych Somalijczyków przyjmowało za żony Masajki. Ale gdy somalijska dziewczyna mogła wyjść za Araba, Arabka nie mogła wyjść za Somalijczyka, bo Arabowie stanowią wyższą kastę przez bliższe pokrewieństwo z Prorokiem. Wśród samych Arabów dziewczyna pochodząca z rodu Proroka nie może wyjść za mąż za mężczyznę nie należącego do tego rodu. Ze względu na swoją płęć młode kobiety mają prawo do kariery społecznej. Sami Somalijczycy zupełnie serio porównywali te zasady z przepisami obowiązującymi w pełnokrwistej stajni zarodowej. Nie należy się dziwić takiemu porównaniu, bo niezwykle wysoko cenią klacze.

Gdy nasza znajomość zacieśniła się, dziewczęta wypytywały mnie, czy może być prawdą to, co słyszały, że niektóre europejskie nacje oddają dziewczęta mężom za darmo. Opowiadano im nawet, chociaż nie mogą w to uwierzyć, że jest tam jedno plemię tak zdemoralizowane, iż płaci narzeczonemu za ożenek z dziewczyną. Hańba rodzicom, a także dziewczętom, które dają się tak traktować! Gdzie szacunek dla siebie samej, dla kobiecości, dla dziewictwa? Gdyby im zdarzyło się nieszczęście przyjscia na świat w takim plemienu, oświadczyły mi dziewczęta, przysięgłyby zejść do grobu niezamężne.

W naszych czasach nie mamy już w Europie okazji studiowania techniki dziewczęcej skromności; ze starych książek jakoś nie potrafiłam wyłowić uroku tych spraw. Teraz jednak zrozumiałam, dlaczego mój dziadek i pradziadek musieli padać na kolana. System panujący u Somalijczyków był równocześnie naturalną koniecznością i prawdziwą sztuką, był i religią, i strategią, i baletem, a pod każdym względem stosowano go wiernie, z poczuciem dyscypliny i bardzo sprawnie. Najmilszej jego cechy dopatrywałam się w grze dwu przeciwstawnych sił. Odwieczna zasada opierania się kobiety nie wykluczała z jej strony wspaniałomyślności; pedantyczna skrupulatność szła w parze z fantazją i pogardą śmierci. Kobiety Faraha, córki bitnego narodu, traktowały rytuał skromności jako wdzięczny taniec wojenny. Nie stroiły min niewiniątek, nie spoczęłyby też, póki nie wytoczyłyby ostatniej kropli krwi z serca wroga; były uosobieniem trzech dzikich, młodych wilczyc przybranych grzecznie w owcze skóry. Somalijczycy są surowymi ludźmi, zahartowanymi życiem na pustyni i na morzu. Ciężkie doświadczenia i nieustanne trudy, wysokie fale i długie wieki – to wszystko spowodowało, że somalijskie kobiety nabrały hartu i blasku bursztynu.

[8] Baudelaire. Kwiaty zła – Piękny statek.

Kobiety urządziły dom Faraha wygodnie i przytulnie na sposób ludów koczowniczych, które w każdej chwili muszą być gotowe do zwinięcia namiotów. Na ścianach wisiało wiele dywanów i wyszywanych zasłon, a wonności należały do nieodzownego elementu domowej atmosfery. Dodam, że wonności używane przez Somalijszyków miewają czasem odurzający, słodkawy zapach. W życiu na farmie byłam pozbawiona towarzystwa kobiet, chętnie więc pod wieczór spędzałam spokojną godzinę w domu Faraha ze starą matką i z dziewczętami.

Kobiety Faraha interesowały się wszystkim, cieszyły się różnymi drobiazgami. Małe przygody na farmie i żarty na lokalne tematy wywoływały istne kaskady śmiechu. Gdy zaczęłam je uczyć robienia na drutach, śmiały się z tego do rozpuku jak na komedii w teatrze kukiełek.

Ich niewinność nie miała nic wspólnego z brakiem uświadomienia. Wszystkie asystowały przy porodach i bywały przy łożu śmierci, trzeźwo też dyskutowały ze starą matką o szczegółach i tajemnicach życia. Czasami, aby mnie zabawić, opowiadały mi bajki w stylu *Tysiąca i jednej nocy*, przeważnie wesołe i równocześnie bardzo otwarcie traktujące sprawy miłosne. Wszystkie bajki miały wspólny motyw; bohaterka, czy była niewinną dziewczyną, czy nie, zawsze górowała nad mężczyzną i wychodziła zwycięsko. Matka przysłuchiwała się tym bajkom z lekkim uśmiechem.

W tym zamkniętym świecie kobiet – można powiedzieć: za jego wałami obronnymi – wyczuwałam obecność i oddziaływanie ideałów, bez których garnizon nie spisywałby się tak dzielnie. Była to myśl o tych przyszłych wiekach, kiedy rząd światem będzie należeć do kobiet. Stara matka przybrałaby wówczas inną postać i siedziałaby na tronie jako masywny, ciemny symbol owej potężnej bogini, która istniała w dawnych wiekach przed Bogiem Proroka. Nigdy nie zapominały o tej bogini, lecz przede wszystkim były praktycznymi kobietami, świadomymi aktualnych potrzeb, zdradzającymi niewyczerpany zasób pomysłów.

Dziewczęta dopytywały się ciekawie o zwyczaje panujące w Europie i uważnie słuchały opisów wychowania, wykształcenia i strojów białych kobiet. Można pomyśleć, że chciały uzupełnić swą taktyczną wiedzę wiadomościami o tym, jak kobiety innej rasy pokonują i podporządkowują sobie mężczyzn.

W ich własnym życiu stroje odgrywały ogromną rolę, w czym nie ma nic dziwnego, gdyż te stroje stanowiły równocześnie materiał wojenny, zdobycz wojenną i symbole zwycięstwa, jak zdobyte sztandary. Ich mężowie, Somalijszy, są z natury mało wymagający, nie zwracają uwagi na jedzenie, picie i osobiste wygody. Są twardzi i prości jak kraj, z którego pochodzą. Kobieta jest ich jedynym luksusem. Jej Somalijszyk nienasycenie pożąda, ona stanowi dla niego najwyższe dobro, jakie życie może ofiarować. Konie, wielbłądy i stada bydła są mile widziane, rzecz oczywista, ale nigdy nie cenione wyżej od kobiet. Te zaś podsycają obie skłonności, którymi natura obdarzyła mężczyzn. Okrutnie wyszydzą ich najmniejszą słabość; z wielkim osobistym poświęceniem podtrzymują swoją własną cenę. Nie mogą wejść w posiadanie pary pantofli inaczej jak przez mężczyznę, nie mogą być niezależne, lecz muszą należeć do kogoś – ojca, brata lub męża. Zawsze jednak stanowią przedmiot najwyższej wartości i pożądania w życiu mężczyzny. Ilość jedwabiu, złota, bursztynu i koralu, które somalijskie kobiety wyciągają od swych mężczyzn, jest zaskakująco duża i przynosi zaszczyt obu stronom. Po zakończeniu długiej i wyczerpującej wyprawy handlowej, wszystko – trudy i ryzyko, przebiegłość i wytrwałość – zamienia się w babskie fatałaszki. Młode dziewczęta, które nie mają jeszcze mężczyzn do oskubywania, cheszą w namiotach piękne włosy i z utęsknieniem myślą o tych przyszłych chwilach, kiedy będą podbijać zwycięzców i łupić dzierców. Chętnie pożyczają sobie nawzajem eleganckich strojów, z przyjemnością ubierały młodszą siostrę, dumę całej rodziny, w najładniejsze rzeczy zamężnej już siostry. Nawet ze śmiechem nakładały jej na głowę opaskę ze złotogłowiu, chociaż prawo zabrania dziewczycy noszenia takiej opaski.

Somalijszy wyzywają się w sporach sądowych i długich waśniach. Zawsze niemal była

jakaś sprawa wymagająca obecności Faraha w Nairobi lub odbycia zebrania rodowego na farmie. Gdy odwiedzałam dom Faraha, stara teściowa delikatnie i inteligentnie starała się ode mnie wydobyć informacje na ten temat. Mogła zapytać o to Faraha, który ze względu na swój wielki szacunek dla niej powiedziałaby jej wszystko, co chciała wiedzieć. Ale dyplomacja, jak sądzę, nakazywała jej iść inną drogą, wywiadywać się pośrednio. W ten sposób mogła, jeżeli jej to odpowiadało, udawać kobiecą nieznamość spraw męskich i nawet niezdolność pojmowania, o co w nich chodzi. Gdy zaś przyszło jej udzielić jakiejś rady, brzmiało to jak wyrocznia sybilińska i nikt nie mógł nigdy obciążyć jej odpowiedzialnością.

Z okazji wielkich zebrań somalijskich na farmie albo świąt religijnych kobiety miały mnóstwo roboty z urządzeniem przyjęcia i przygotowaniem jedzenia. Same nie brały wprawdzie udziału w bankietach ani nie chodziły do meczetu, kierowały się jednak ambicją co do wystawności i powodzenia przyjęć i nawet między sobą nie zdradzały, co o tym w głębi duszy myślą. Tak mi tym przypominały kobiety starszego pokolenia w moim własnym kraju, że w myślach widziałam je ubrane w suknie z turniurami i trenami. Bo przecież za czasów mojej matki i babki skandynawskie kobiety – cywilizowane niewolnice dobrodusznych barbarzyńców – tak samo czyniły honory domu na owych monstualnych, męskich uroczystościach: polowaniach na bażanty i jesiennych polowaniach z nagonką.

Somalijszczyki już od niepamiętnych czasów posiadali niewolników, więc ich kobiety były w dobrych stosunkach z Murzynami, umiając postępować z nimi w miły i żartobliwy sposób. Dla Murzynów zaś służba u Somalijszczyków lub Arabów jest łatwiejsza niż u Europejczyków, bo tempo życia ludów Afryki i Arabii jest bardziej zbliżone do siebie. Żona Faraha cieszyła się wielką popularnością wśród Kikujusów na farmie; Kamante mówił mi wiele razy, że ona jest bardzo mądra.

Młode kobiety somalijskie odnosiły się uprzejmie do tych moich białych przyjaciół, którzy częściej mnie odwiedzali, jak Berkeley Cole i Denys Finch-Hatton. Często o nich rozmawiały i zadziwiając wiele o nich wiedziały. Spotkawszy się z nimi rozmawiały siostrzany tonem, trzymając ręce ukryte w fałdach spódnicy. Stosunki były jednak skomplikowane, gdyż Berkeley i Denys mieli somalijskich boyów, których dziewczęta nie mogły za nic w świecie spotykać. Zaledwie Jurna albo Bilea, młodzi, ciemnowłosi chłopcy w turbanach, pojawili się na farmie, moje młode przyjaciółki zniknęły z powierzchni ziemi i najmniejszy ślad po nich nie pozostawał. Jeżeli w tym czasie chciały się ze mną zobaczyć, przekradały się do domu tylnym wejściem, zasłaniając sobie twarze spódnicami. Anglicy zawsze wyrażali radość z tego, iż obdarzano ich takim zaufaniem, lecz mam wrażenie, iż w głębi duszy drażniło ich to uznawanie za istoty niegroźne dla młodych kobiet.

Czasami zabierałam dziewczęta na przejażdżkę lub na wizyty. Przestrzegałam zasady, aby pytać matkę, czy nic nie stoi na przeszkodzie, nie chciałam bowiem spowodować najmniejszej rysy na nieskazitelnej opinii młodych kobiet. Niedaleko mojej farmy mieszkała pewna zamężna Australijka, która była przez lata czarującą sąsiadką; ona właśnie zapraszała moje somalijskie dziewczęta do siebie na herbatę. To były urocze dni. Dziewczęta ubierały się tak, że przypominały bukiety kwiatów, a potem miałam na tylnym siedzeniu samochodu ćwierkający ptasi sejm. Interesowały się domem mojej sąsiadki, jej strojami, a nawet jej mężem, którego widywały z daleka na koniu lub przy pługu. Raz po podaniu herbaty okazało się, że mogą ją pić tylko małe dzieci i zamężna siostra, dla młodych dziewcząt herbata jest zabroniona jako zbyt podniecająca. Musiały się zadowolić tylko ciastkami i posłusznie się temu podporządkowały. Powstała jednak dyskusja na temat jednej małej dziewczynki, która przyjechała z nami. Czy jeszcze może pić herbatę, czy też osiągnęła już wiek, w którym ten napój jest zbyt niebezpieczny? Zamężna siostra orzekła, że mała może się napić, ale dziecko obrzuciło nas dumnym wzrokiem i odmówiło herbaty.

Brązowooka kuzynka żony Faraha często wpadała w zamyślenie, umiała czytać po arabsku i znała na pamięć niektóre wersety Koranu. Miała umysł skłonny do rozważań teologicznych,

wiele więc rozmawialiśmy na tematy religijne i o cudach tego świata. Od niej nauczyłam się prawdziwej wersji historii o Józefie i żonie Putyfara. Przyznawała, że Jezus Chrystus mógł narodzić się z dziewicy, lecz nie jako syn boski, ponieważ Bóg nie może mieć synów w ludzkim ciele. Mariammo, najpiękniejsza z dziewczyc, spacerowała po ogrodzie i wtedy anioł zesłany przez Pana dotknął jej ramienia skrzydłem; od tego poczęła. Podczas jednej rozmowy pokazałam dziewczynie widokówkę z fotografią figury Chrystusa, dłuta Thorvaldsena, stojącej w kopenhaskiej katedrze. Odtąd ogarnęło ją coś w rodzaju uduchowionej miłości do Zbawiciela. Ciągle chciała o Nim słyszeć, a w czasie mego opowiadania mieniła się na twarzy. Bardzo się gniewała na Judasza. Co to za człowiek, że też tacy mogą chodzić po świecie? Gdyby mogła, własnoręcznie wydrapałaby mu oczy. Młoda kobieta zdradzała namiętność, której naturę można porównać z pachnidłami palącymi się w somalijskich domach, przyrządzanymi z ciemnego drzewa rosnącego w dalekich górach, odurzającymi i zupełnie obcymi dla naszych zmysłów.

Spytałam francuskich misjonarzy, czy mogłabym przywieźć do misji grupę moich mahometańskich przyjaciółek. Ojcowie zgodzili się w swój zwykły przyjazny sposób i cieszyli się z wizyty, która zapowiadała się jako urozmaicenie. Pewnego popołudnia pojechaliśmy całą grupą do misji i pojedynczo, uroczyście weszliśmy do chłodnego kościoła. Młode kobiety jeszcze nigdy w życiu nie widziały tak wysokiego wnętrza i patrząc w górę trzymały ręce nad głowami jakby w obawie, że sklepienie może runąć w dół. Nigdy też – poza widokówką z Kopenhagi – nie widziały niczego podobnego do figur w kościele. Stała tam naturalnej wielkości figura Matki Boskiej w kolorach białym i jasnoniebieskim, a także św. Józefa z Dzieciątkiem na ręku. Dziewczęta aż oniemiały przed tymi figurami, piękność Matki Boskiej zapierała im dech. Wiedziały już o św. Józefie i miały dla niego wiele szacunku za to, że był lojalnym mężem i opiekunem Panny Marii. Teraz obrzucały go wdzięcznym spojrzeniem także za to, iż wyręczał żonę w piastowaniu dziecka. Żona Faraha, która właśnie wtedy oczekiwała dziecka, przez cały czas pobytu w kościele trzymała się w pobliżu Świętej Rodziny. Dumą francuskich misjonarzy były papierowe imitacje przedstawiające drogę krzyżową. To w zupełności pochłonęło wychowankę Faraha. Krążyła po kościele z oczyma wlepionymi w okna, załamując ręce i uginając kolana tak, jakby sama dźwigała ciężar krzyża. W drodze powrotnej dziewczęta prawie się nie odzywały, zdaje mi się, że obawiały się pytaniami zdradzić brak wiadomości. Dopiero kilka dni później spytały, czy misjonarze potrafią sprawić, aby Matka Boska i św. Józef zeszli ze swych piedestałów.

Ślub wychowanki Faraha odbył się na farmie, w pięknym bungalowie, który wówczas stał pusty i który oddałam Somalijszykom na urządzenie wesela. Wspaniała uroczystość trwała siedem dni. Uczestniczyłam w głównej ceremonii, gdy procesja śpiewających kobiet przyprowadziła narzeczoną na spotkanie z procesją śpiewających mężczyzn, którzy wiedli narzeczonego. Panna młoda nigdy go nie widziała. Zastanawiałam się, czy go sobie wyobrażała na podobieństwo Chrystusa dłuta Thorvaldsena, czy też może jak w rycerskich romansach miała dwa ideały, miłości niebiańskiej i miłości ziemskiej. W ciągu tygodnia kilkakrotnie jeździłam do bungalowu. O każdej porze dom rozbrzmiewał weselnym zgiewkiem i pachniał weselnymi wonnościami. Urządzano tańce miecza i wielkie tańce kobiet. Starzy zawierali transakcje bydłem, strzelano na wiwat, coraz przyjeżdżały z miasta wozy zaprzężone w muły. W nocy, przy świetle latarni na werandzie, migwały szaty w najpiękniejszych barwach Arabii i Somali: karmazynowej, śliwkowej, sudańskiego brązu, róży bengalskiej i szafranu.

Ahmed, syn Faraha, urodził się na mojej farmie. Wołano nań Saufe, co oznacza, o ile pamiętam, piłę. Mały nie miał w sobie nic z powściągliwości kikujuskich dzieci. Jeszcze jako niemowlę z dużą, okrągłą głową nad malutkim ciałkiem, skrępowany powijkami jak żołądz, siedział wyprostowany i patrzył mi w oczy. Zdawało mi się, że trzymam w dłoni pisklą sokoła albo mam na kolanach lwie szczenię. Po matce odziedziczył naturalną pogodę, a gdy już mógł

biegać, mały i wesoły awanturnik odgrywał wielką rolę wśród najmłodszego pokolenia kikujuskich dzieci na farmie.

Stary Knudsen

Czasami bywali na farmie goście z Europy, których los upodabniał do drewna dryfującego po oceanie, miotanego przez fale, wpływającego do cichej zatoki, a potem znów porywanego na pełne morze po to, aby utonąć i na zawsze zniknąć z powierzchni.

Stary Knudsen, Duńczyk i samotnik, przybył na farmę chory i ślepy i na niej dokonał życia. Chodził złamany nędzą, która odebrała mu wszystkie siły, tak że często głosu z siebie nie mógł wydobyć. A gdy przemówił, jego głos był podobniejszy do wycia wilka lub hieny niż do głosu ludzkiego.

Kiedy jednak odzyskiwał oddech i ból opuszczał go na chwilę, znów iskry leciały z gasnącego ognia. Przychodził wtedy do mnie i opowiadał, jak musi walczyć z chorobliwą melancholią, z absurdalną skłonnością do czarnowidztwa. Musi to przemóc, bo przecież sprawy idą nie najgorzej, nie można się – do wszystkich diabłów – na nic skarżyć. Tylko ten pesymizm, ten pesymizm! To jest najgorsze, co siedzi w środku!

Gdy moje interesy przedstawiały się gorzej niż zwykle, właśnie Knudsen poradził mi wypalać na farmie węgiel drzewny i sprzedawać go Hindusom w Nairobi. Zapewniał mnie, że zarobię tysiące rupii. Pod egidą starego Knudsena przedsięwzięcie nie mogło zawieść, gdyż on w pewnym okresie swego awanturniczego życia przebywał w najdalej na północ leżącym zakątku Szwecji i tam wyspecjalizował się w wypalaniu węgla. Podjął się nauczyć tej sztuki tubylców. Pracowaliśmy więc razem w lesie, co dawało nam okazję do długich rozmów.

Wypalanie węgla drzewnego jest miłym zajęciem. Nie ulega wątpliwości, że pociąga za sobą coś w rodzaju odurzenia, toteż powszechnie wiadomo, iż zajęci przy tym ludzie patrzą na świat nieco inaczej niż inni – wykazują skłonności do poetyzowania i fantazjowania, przebywają w towarzystwie leśnych demonów. Pięknie wygląda węgiel po wypaleniu pieca i rozrzuceniu zawartości. Gładki jak jedwab, czysta materia, uwolniona od wagi i niezniszczalna, czarna, doświadczona, mała mumia drzewa.

Przy wypalaniu węgla sceneria nie mogłaby być piękniejsza. Wycinając tylko poszycie – bo węgla drzewnego nie można wypalać z grubego drewna – ciągle pracowaliśmy pod koronami wysokich drzew. W ciszy i cieniu afrykańskiego lasu ścięte drzewo pachniało jak agrest; kwaśnawy swąd tlejącego się pieca odświeżał niczym morski wiatr. Na miejscu pracy panowała teatralna atmosfera, a pod równikiem, gdzie nie ma teatrów, miało to wiele uroku. W regularnych odstępach unosiły się smużki niebieskiego dymu z pieców, ponieważ zaś piece można było wziąć za rozstawione namioty, sceneria przywodziła na myśl obóz przemysłowców lub wojskowy biwak z romantycznej opery. Ciemne figury tubylców poruszały się po tej scenie bezszelestnie. Po wytrzebieniu poszycia w afrykańskiej puszczy zawsze pokazuje się mnóstwo motyli. Widocznie lubią przesiadywać na karczowiskach. Wszystko było tajemnicze i niewinne. Mały, skurczony stary Knudsen doskonale pasował do tego otoczenia. Mogąc się oddawać ulubionemu zajęciu, tak się uwijał, że jego ruda głowa zjawiała się w coraz innym miejscu. Na przemian wydrwiwał i dodawał otuchy jak podstarzały Puck ze *Snu nocy letniej*, ślepy i bardzo złośliwy. Pracę traktował sumiennie, a w stosunku do swych miejscowych uczniów wykazywał nie spotykaną cierpliwość. Nie zawsze zgadzaliśmy się z sobą. W Paryżu, gdzie jako panna chodziłam do szkoły malarskiej, nauczono mnie, że najlepszy węgiel drzewny uzyskuje się z drzewa oliwnego. Knudsen zaś tłumaczył, że oliwka nie ma sęków, a każdy – do kroćset – wie, iż sęki są najważniejsze.

Jedną szczególną okoliczność wpływała łagodząco na porywczy temperament starego. Afrykańskie drzewa mają delikatne listowie, głównie palczaste, tak że po wykarczowaniu

gęstego poszycia, po wydrążeniu lasu – można powiedzieć – światło jest takie samo jak w bukowym lesie w Danii, kiedy na wiosnę liście dopiero zaczynają się rozwijać. Zwróciłam Knudsenowi uwagę na to podobieństwo, jemu zaś bardzo się mój pomysł podobał i przez cały czas wypalania węgla fantazjował, że jesteśmy w Danii na wycieczce w Zielone Świąta. Stare, wypróchniałe w środku drzewo nazwał Lottenburgiem tak jak plac zabaw w parku niedaleko Kopenhagi. Raz w głębi tego Lottenburga schowałam kilka butelek duńskiego piwa i zaprosiłam Knudsen na piknik. Uznał to za doskonały żart.

Podłożywszy ogień we wszystkich piecach, siadaliśmy i toczyliśmy pogawędkę o życiu. Dowiedziałam się wiele o przeszłości Knudsen i dziwnych przygodach, które wszędzie mu się zdarzały, gdziekolwiek się znalazł. Można było mówić tylko o starym Knudsenie, jedynym sprawiedliwym, inaczej wpadłabym w ów czarny pesymizm, przed którym mnie ostrzegał. Na liście jego przeżyć figurowały najrozmaitsze rzeczy: rozbicie statku, dzuma, ryby przedziwnej barwy, pijackie orgie, oberwanie chmury, trzy słońca równocześnie świecące na niebie, fałszywi przyjaciele, najgorsze łotrystwa, krótkie powodzenia i szybko wysychający deszcz złota. W jego odysei przewijał się ciągle ten sam silny motyw; odraza do prawa i tego wszystkiego, co miało związek z prawem. Sam urodzony buntownik, widział druha w każdym człowieku wyjętym spod prawa. Każde wykroczenie przeciw prawu uchodziło w jego oczach za synonim bohaterstwa. Lubił rozmawiać o królach i rodach królewskich, o kuglarzach, karłach i wariatkach, których uważał za stojących poza prawem, a także o zbrodniach, rewolucjach, oszustwach i psikusach, które kpiły sobie z prawa. Żywił głęboką pogardę dla uczciwych obywateli, a poszanowanie porządku prawnego uważał za oznakę niewolniczego umysłu. Nie uznawał nawet prawa powszechnego ciężenia ani w nie nie wierzył. Stwierdziłam to w czasie wspólnego ścinania drzew: nie widział żadnego powodu, dlaczego ludzie z inicjatywą nie mieliby odwrócić tego prawa.

Chętnie sypał Knudsen nazwiskami różnych kompanów i znajomych, przeważnie oszustów i łotrów. Nigdy jednak nie wspominał imienia żadnej kobiety. Zdawało się, że czas wydarł mu z pamięci zarówno imiona słodkich dziewcząt z Helsingoru, jak i bezlitosnych kobiet z miast portowych całego świata. Mimo to jednak wyczuwałam z rozmów, że w jego życiu zawsze tkwiła jakaś tajemnicza kobieta. Nie potrafię powiedzieć, kto to mógł być – żona, matka, nauczycielka czy żona pierwszego pracodawcy. W myślach nazywałam ją panią Knudsen. Wyobrażałam sobie, że była niskiego wzrostu jak Knudsen. Kobieta rujnująca wszelką radość mężczyzny, zawsze mająca rację. Kobieta od kazań małżeńskich w łóżku, wielkich sprzątań i prań, która uniemożliwiała wszelkie wypadki, wycierała dzieciom nosy i zabierała mężowi ze stołu kieliszek dzinu. Kobieta będąca uosobieniem prawa i porządku. Uzurpowaniem sobie pełni władzy przypominała trochę boginię czczoną przez somalijskie kobiety, tylko że pani Knudsen nie umiała niewolić miłością, rządziła na zasadzie wyrozumowanej słuszności. Knudsen musiał ją spotkać w bardzo młodym wieku, kiedy miał jeszcze umysł świeży i podatny na mocne wrażenia. Uciekł od niej na morze, bo nienawidząc morza, nie mogła go tam ścigać. Gdy jednak znów znalazł się na lądzie, w Afryce, nie potrafił jej uciec, ciągle mu towarzyszyła. W głębi dzikiego serca, zwojami mózgu tkwiącego pod przyprószoną siwizną rudą czupryną obawiał się jej bardziej niż jakiegokolwiek mężczyzny. Podejrzewał też każdą kobietę o to, że jest przebraną panią Knudsen.

Nasze przedsięwzięcie wypalania węgla drzewnego nie przyniosło w końcu finansowego sukcesu. Od czasu do czasu któryś piec padał pastwą pożaru i zarobek ulatywał z dymem. Knudsen bardzo się martwił tymi niepowodzeniami i starał się odkryć ich przyczynę. Po długim namyśle oświadczył, że nie można wypalać węgla drzewnego, jeżeli nie ma pod ręką dostatecznego zapasu śniegu.

Knudsen pomógł mi również założyć na farmie staw. Droga w pole biegła w jednym miejscu przez obszerną, porośłą trawą nieckę, w której biło źródło. Obmyśliłam plan zbudowania tamy i zamiany tego miejsca w sztuczne jezioro. W Afryce zawsze brakuje

wody, bydło zaś skorzystałoby bardzo na tym, gdyby mogło się poić na polu i nie odbywać długiej drogi do rzeki. Cała farma zajmowała się dzień i noc tym pomysłem, który budził żywe dyskusje. Gdy budowa została ukończona, wszyscy uważaliśmy ją za wspaniałe osiągnięcie. Staw miał sześćdziesiąt metrów długości. Stary Knudsen żywo interesował się budową i pokazał, jak Pooran Singh ma zrobić śluzę. Gdy po długim okresie suszy zaczęła się pora deszczowa, mieliśmy wiele kłopotów z budową tamy, która przepuszczała wodę w wielu miejscach i kilka razy została mocno uszkodzona przez deszcz. Wtedy Knudsen wpadł na pomysł umocnienia nasypu przez przepędzanie po nim wołów i krów idących do wodopoju. Nawet każda owca i każda koza musiała się ubijaniem ziemi przyczynić do wielkiego dzieła. Knudsen miał piekielne awantury z pastuszkami, bo kazał przepędzić bydło powoli, a rozbrykani toto woleli, żeby bydło galopowało przez tamę z zadartymi ogonami. W końcu, gdy stanęłam po stronie Knudsena i udało mu się ujarzmić pastuszków, długi sznur była spokojnie maszerującego po grobli wyglądał na tle nieba jak procesja zwierząt wędrujących do arki Noego; sam zaś stary Knudsen, który stał z kijem pod pachą i liczył bydło, robił wrażenie praojca Noego radującego się myślą, że wkrótce wszyscy utoną, tylko on zostanie.

Z czasem zebrało się bardzo dużo wody, miejscami głębokość wynosiła dwa metry. Droga prowadziła przez staw, wyglądało to bardzo ładnie. Później zbudowaliśmy nieco poniżej jeszcze dwa takie jeziora, tak że powstał ich cały rząd jak perły na sznurku. Koło stawu skupiało się teraz życie farmy, zawsze pełno tam było bydła i dzieci. Podczas największych upałów, gdy wyschły źródła i bajora na równinie i w górach, do stawu przylatywały też ptaki: czaple, ibisy, rybołowy, przepiórki i tuzin odmian gęsi i kaczek. Lubiłam siadywać tam wieczorami, gdy pierwsze gwiazdy ukazywały się na niebie. Wtedy właśnie przylatywało ptactwo. W przeciwieństwie do innych ptaki wodne wędrując z miejsca na miejsce dążyły do upatrzonego celu – co za perspektywa otwierała się przed nimi! Kaczki krążyły po kryształowo czystym niebie, aby nagle dać nurka do ciemnej wody jak strzały wypuszczone w dół przez niebieskiego łucznika. Pewnego razu zastrzeliłam w stawie krokodyla. Niezwykły wypadek, gdyż aby dostać się w te strony, musiał przewędrować dwadzieścia kilometrów od rzeki Athi. Skąd wiedział, że teraz jest woda tam, gdzie nigdy jej nie było?

Po ukończeniu pierwszego stawu Knudsen przedstawił mi projekt wpuszczenia tam ryb. W Afryce mieliśmy rodzaj okonia o smacznym mięsie, wiele więc nadziei przywiązywaliśmy do planu bogatych połowów. Trudno tylko było dostać narybek tych okoni. Wydział łowiectwa zarybił wprawdzie pewną ilość stawów, lecz nie pozwalał jeszcze łowić. Knudsen zwierzył mi się jednak, że wie o jeziorce nie znanym nikomu innemu na świecie, gdzie możemy nałapać tyle ryb. Ile nam potrzeba. Pojedziemy tam, tłumaczył, zarzucimy sieci, potem zaś przywieziemy ryby w puszkach i kadziach. Jeżeli nie zapomnimy włożyć do tych naczyń wodorostów, to ryby dojadą żywe. Tak się tym planem entuzjazmowałam, że aż się cały trząść; własnoręcznie też sporządziłam jedną ze swych nieporównanych sieci. W miarę jednak zbliżania się wyprawy sprawa nabierała coraz bardziej tajemniczego charakteru. Należy to zrobić, twierdził, przy pełni księżyca, około północy. Z początku miało z nami jechać trzech boyów, potem zredukował liczbę do dwu, wreszcie do jednego, a i wtedy wypytywał, czy można mu w pełni ufać. W końcu oświadczył, że najlepiej byłoby, gdybyśmy pojechali tylko we dwoje. Uważałam to za zły pomysł, bo nie dalibyśmy rady z noszeniem naczyń do samochodu, ale Knudsen nalegał, że to najlepsze rozwiązanie, i dodawał, że nie powinniśmy nikomu wspominać o wyprawie.

Miałam przyjaciół w wydziale łowiectwa, nie mogłam się więc powstrzymać od zapytania: „Knudsen, do kogo właściwie należą te ryby, które mamy łowić?” Nie odrzekł ani słowa. Splunął jak stary marynarz, zniszczonym butem rozmazał plwocinę po ziemi, obrócił się na pięcie i bardzo powoli ruszył przed siebie. Spuścił głowę tak nisko, że nic nie mógł dojrzeć, tylko laską wymacał sobie drogę. Jeszcze raz poczuł się człowiekiem pokonanym, bezdomnym wygnańcem na przebrzydłym, zimnym świecie. I jakby jego niemy gest miał

moc rzucania czarów – stałam na tym samym miejscu, gdzie mnie zostawił, zwycięska, w pantoflach pani Knudsen.

Nigdy już nie poruszaliśmy między sobą sprawy ryb. Dopiero w jakiś czas po jego śmierci udało mi się przy pomocy wydziału łowiectwa zarybić staw okoniami. Dobrze się tam hodowały i uzupełniały otoczenie swym milczącym, chłodnym bytowaniem. Przechodząc obok stawu w południe, można było je dostrzec tuż pod powierzchnią. Wyglądały wtedy jak zrobione z ciemnego szkła. Jeżeli na farmie znajdował się jakiś niespodziewany gość, Tumbo, jeden z boyów, chodził do stawu z prymitywną wędką i przynosił kilogramowego okonia.

Znalazszy Knudseną martwego na ścieżce, posłałam gońca do policji w Nairobi z zawiadomieniem o jego śmierci. Zamierzałam go pochować na farmie, lecz późnym wieczorem przyjechali po niego samochodem dwaj policjanci przywożąc ze sobą trumnę. Tymczasem rozszalała się ulewa i spadło dziesięć centymetrów deszczu, gdyż był to właśnie początek pory deszczowej. Do bungalowu Knudseny jechaliśmy dosłownie przez ściany wody. Gdy wynosiliśmy ciało do samochodu, burza grzmiała nad naszymi głowami i błyskawice przecinały niebo. Samochód nie miał łańcuchów na oponach i nie trzymając się drogi tańczył na obie strony. Stary Knudsen byłby zadowolony, że tak odbyło się jego zejście ze sceny.

Później doszło między mną a zarządem miejskim w Nairobi do nieporozumień na temat pogrzebu Knudseny. Przerodziły się one w ostry spór i kilkakrotnie musiałam specjalnie w tej sprawie jeździć do miasta. Taki legat zostawił mi Knudsen, ostatni policzek wymierzony prawu per procura. W ten sposób przestałam być panią Knudsen, stałam się mu bratem.

Zbieg odpoczywa na farmie

Czasami myślałam o pewnym podróżnym, który zjawił się pewnego razu na farmie, przespał jedną noc, ruszył dalej i nigdy się więcej nie pokazał. Nazywał się Emmanuelson, był Szwedem, poznałam go zaś w hotelu w Nairobi, gdzie pracował jako maître d'hôtel. Gdy jadłam w tym hotelu lunch, Emmanuelson, tłuścawy młody człowiek z czerwoną, puciołowatą twarzą, miał w zwyczaju stawać przy moim stole i przymilnym głosem zabawiać mnie rozmową o starym kraju i wspólnych znajomych. Jego gadatliwość tak mnie męczyła, iż w końcu przeniosłam się do drugiego hotelu, bo wtedy dwa istniały w Nairobi. Potem tylko pobieżne słuchy dochodziły mnie o Emmanuelsonie; robił wrażenie człowieka o wielkim talencie wpadania w tarapaty, a jego wyobrażenia o przyjemnościach życia mocno się różniły od pojęć powszechnie przyjętych. Z tego też powodu nie cieszył się popularnością wśród innych Skandynawów mieszkających w Kenii. Pewnego popołudnia zjawił się na farmie bardzo zdenerwowany i przerażony. Poprosił mnie o pożyczkę, tak aby mógł natychmiast wyjechać do Tanganiki, w przeciwnym razie obawiał się, że pójdzie do więzienia. Albo moja pomoc okazała się spóźniona, albo Emmanuelson wydał pieniądze na co innego, w każdym razie wkrótce dowiedziałam się o jego aresztowaniu w Nairobi. Nie poszedł do więzienia, ale na jakiś czas zniknął z horyzontu.

Pewnego wieczora, wróciwszy konno do domu tak późno, że już gwiazdy świeciły na niebie, zobaczyłam jakiegoś człowieka czekającego na mnie przed werandą. Był to Emmanuelson. Przedstawił mi się poufałym tonem: „Włóczęga wita panią baronową”. Na moje pytanie, skąd się tu wziął, odpowiedział, że zabłądził i trafił na mój dom. Zabłądził? A dokąd dążył? Do Tanganiki.

To nie mogło być prawdą, bo droga do Tanganiki wiodła szerokim gościńcem, łatwym do znalezienia, a droga na farmę stanowiła tylko odgałęzienie. Spytałam dalej, w jaki sposób zamierzał dostać się do Tanganiki. Piechotą, odpowiedział. Wyraziłam opinię, że chyba niemożliwe, bo to oznaczało trzy dni drogi przez pozbawiony wody rezerwat Masajów. Nadto

grasowały tam teraz lwy, właśnie tego dnia przyszli Masaje skarżyć się i prosić, abym zastrzeliła jednego rabusia.

Tak, tak, Emmanuelson o wszystkim wiedział, a mimo to wybierał się piechotą do Tanganiki. Nie widział innego wyjścia. Skoro jednak zabłądził pod mój dom, chciał tylko zapytać, czy mógłby mi dotrzymać towarzystwa przy obiedzie i przespać się na farmie, aby ruszyć w drogę do dnia. Jeżeli to by mi nie odpowiadało, wyruszy bez zwłoki, kiedy jeszcze gwiazdy jasno świecą.

W czasie tej rozmowy siedziałam na koniu, aby podkreślić, że nie uważam go za gościa. Nie miałam ochoty zapraszać go na obiad. Z jego tonu też wnioskowałam, że nie spodziewa się takiego zaproszenia, nie oczekuje mojej gościnności i nie wierzy w przekonywające brzmienie własnych słów. Był samotną postacią w ciemnościach otaczających mój własny dom, człowiekiem bez przyjaciół. Przybrał taki ton nie po to, aby ratować własną ambicję, bo na tej mu już nie zależało, lecz po to, aby ułatwić mi wyjście z sytuacji. Gdybym go teraz odprawiła z kwitkiem, nie byłby to objaw nieuprzejmości, lecz krok zupełnie na miejscu. „Delikatność ze strony ściganego zwierzęcia”, pomyślałam.

– Proszę wejść, Emmanuelson – powiedziałam zsiadając z konia i wołając stajennego chłopca. – Zostanie pan na obiedzie i może pan tu przenocować.

W świetle lampy Emmanuelson przedstawiał smutny widok. Na sobie miał czarny płaszcz, jakiego nikt nie używa w Afryce, a nie golona broda, zapuszczone włosy i buty szczerzące zęby dopełniały obrazu. Nic nie zabierał do Tanganiki, szedł z pustymi rękoma. Wyglądało na to, że mam odegrać rolę Wielkiego Kapłana, który ofiaruje Bogu żywą kozę wysyłając ją na pustynię. Przyszło mi na myśl, że powinniśmy się napić wina. Berkeley Cole, który zwykle zaopatrywał mój dom w wino, przysłał mi niedawno skrzynkę bardzo rzadkiego burgunda, kazałam więc otworzyć butelkę. Gdy zasiedliśmy do obiadu i napełniono kieliszki, Emmanuelson od razu wypił połowę swego, potem trzymał kieliszek pod światło i patrzył nań długo, jak ktoś uważnie słuchający muzyki.

– *Fameux* – powiedział – *fameux*. To jest Chambertin, rocznik 1906.

Nie omylił się, musiałam nabrać szacunku dla takiego znawcy.

Poza tym niewiele odzywał się na początku, a ja też nie wiedziałam, jak do niego mówić. Spytałam go, jak doszło do tego, że nie mógł znaleźć żadnej pracy. Odpowiedział, że nie zna się na tym, czym ludzie się tutaj zajmują. Zwolniono go z posady w hotelu, zresztą maître d'hôtel to nie był jego zawód.

– Czy zna się pan na księgowości? – spytałam.

– Nie. Nie mam o tym pojęcia – odparł. – Zawsze miałem trudności z dodawaniem dwu liczb.

– A czy zna się pan coś na bydłe? – indagowałam dalej. – Na krowach?

– Och, nie, boję się krów.

– A może potrafi pan prowadzić traktor?

Gdy zadałam to pytanie, na jego twarzy pojawił się promyk nadziei.

– Nie – odpowiedział – myślę jednak, że potrafiłbym się tego nauczyć.

– Ale nie na moim traktorze – ucięłam sprawę. – Proszę mi powiedzieć, Emmanuelson, co pan właściwie robił? Czym pan jest?

Emmanuelson wyprostował się.

– Czym jestem? – krzyknął. – Jak to, przecież jestem aktorem.

Pomyślałam sobie, że w takim razie nie ma żadnej możliwości udzielenia mu praktycznej pomocy. Zaczęliśmy bardziej ogólną konwersację.

– To musi być piękny zawód, być aktorem – powiedziałam. – A jaka jest pańska ulubiona rola?

– O, ja się specjalizuję w tragicznych rolach – odrzekł mój gość. – Najbardziej lubię rolę Armanda w *Damie kameliowej* i Oswalda w *Upiorach*.

Jakiś czas rozmawialiśmy o tych sztukach, o różnych aktorach, których w nich widzieliśmy, i o sposobie, w jaki naszym zdaniem powinno się grać. Emmanuelson rozglądął się po pokoju.

– Czy nie ma tu pani przypadkiem zbioru sztuk Ibsena? Moglibyśmy razem odtworzyć ostatnią scenę *Upiorów*, jeżeli pani chciałaby czytać rolę pani Alving.

Nie miałam dzieł Ibsena.

– Ale może pani pamięta? – zapalał się Emmanuelson. – Ja znam rolę Oswalda na pamięć od początku do końca. Ostatnia scena jest najlepsza. Jeżeli chodzi o prawdziwy tragiczny efekt, nic się nie może z tym równać.

Gwiazdy świeciły, noc była piękna i ciepła, wkrótce miała się zacząć pora deszczowa. Spytałam Emmanuelsona, czy naprawdę zamierza iść piechotą do Tanganiki.

– Tak – odpowiedział. – Mam zamiar być teraz własnym suflerem.

– Dobrze, że nie jest pan żonaty – rzuciłam.

– Tak – powiedział cicho, – tak. – A po chwili dodał ciszej: – Ale ja jestem żonaty.

W czasie rozmowy Emmanuelson skarżył się na to, że biały nie może współzawodniczyć z tubylcami, którzy pracują za znacznie niższym wynagrodzeniem.

– A w Paryżu – dodał – zawsze mogłem na krótki okres dostać pracę jako kelner w kawiarni lub coś w tym rodzaju.

– A dlaczego nie został pan w Paryżu? – zapytałam.

Rzucił mi krótkie, znaczące spojrzenie.

– Paryż? – odrzekł. – Nie, nie, nie dla mnie. W samą porę ulotniłem się z Paryża.

Emmanuelson miał na świecie jedynego przyjaciela, o którym tego wieczora wiele razy wspominał. Gdyby tylko mógł znów nawiązać z nim kontakt, wszystko by się zmieniło, bo ten przyjaciel był dobrze sytuowany i bardzo szczodry. Jeździł po całym świecie jako sztukmistrz. Gdy Emmanuelson ostatni raz o nim słyszał, przebywał w San Francisco.

Rozmowa zahaczyła o literaturę i teatr, potem znów wracaliśmy do sprawy przyszłości Emmanuelsona. Opowiedział mi, jak jego rodacy jeden po drugim odmawiali udzielenia mu pomocy.

– Pan jest w bardzo ciężkiej sytuacji, Emmanuelson – powiedziałam. – Gdy o tym myślę, nie potrafię nawet przypomnieć sobie kogoś, kto byłby kiedyś w gorszym położeniu.

– Tak, ja też tak sądzę – odparł Emmanuelson. – Jest jednak jedna rzecz, o której często ostatnio myślałem, a której pani nie bierze chyba pod uwagę. Spośród tylu ludzi na świecie ktoś zawsze musi być tym w najgorszej sytuacji.

Skończył wino i odsunął nieco kieliszek.

– Ta podróż – oświadczył – stanowi dla mnie coś w rodzaju gry *rouge et noire*. Istnieje szansa, że moje kłopoty się skończą, a nawet, że wszystko się skończy raz na zawsze. Z drugiej strony, jeżeli dotrę do Tanganiki, mogę znów wdepnąć w kłopoty.

– Myślę, że dostanie się pan do Tanganiki – powiedziałam. – Może podwiezie pana któryś z Hindusów, jeżdżących po tej drodze samochodami ciężarowymi.

– Tak, ale po drodze są lwy – zauważył Emmanuelson. – I Masaje.

– Czy pan wierzy w Boga, Emmanuelson? – spytałam.

– Tak, tak, tak – powiedział i chwilę siedział w milczeniu. Potem dodał: – Może pani uzna mnie za okropnego sceptyka po tym, co powiem. Ale poza Bogiem absolutnie w nic nie wierzę.

– Proszę mi powiedzieć, Emmanuelson – zmieniłam temat – czy ma pan pieniądze?

– Tak, mam – odrzekł. – Mam osiemdziesiąt centów.

– To nie wystarczy – zmartwiłam się – a ja też nie mam w domu ani grosza. Ale może Farah coś ma.

Farah miał cztery rupie.

Nazajutrz jeszcze przed świtem kazałam boyom zbudzić Emmanuelsona i przygotować

śniadanie dla nas obojga. W nocy doszłam do przekonania, że mogłabym go podwieźć samochodem jakieś piętnaście kilometrów. Nie stanowiło to dla niego wiele, bo jeszcze zostałyby mu sto dwadzieścia kilometrów do przejścia, ale nie chciałam, żeby wprost z progu mego domu wstąpił w niewiadome. Sama też chciałam w jakiś sposób uczestniczyć w tej jego tragedii czy komedii. Przygotowałam mu paczkę kanapek i jaj na twardo dodając do tego butelkę Chambertina 1906, które mu tak smakowało. Pomyślałam, że może się ono okazać jego ostatnim winem w życiu.

W szarym świetle poranka Emmanuelson przypominał trupa, któremu według legendy w grobie wyrosła broda. Wstał jednak z grobu z dobrą miną i w samochodzie okazywał spokój i równowagę. Po przybyciu na drugi brzeg rzeki Mbagathi zatrzymałam wóz wypuszczając swego pasażera. Ranek był pogodny, ani chmurki na niebie. Dalsza droga wiodła w kierunku południowo – zachodnim. Spojrzawszy na horyzont po przeciwnej stronie, zobaczyłam słońce, które właśnie wschodziło, czerwone i lekko przymglone: „Jak żółtko jajka na twardo” – pomyślałam. Za trzy lub cztery godziny miało, rozpalone do białości, prażyć głowę wędrowca. Emmanuelson pożegnał się ze mną i ruszył w drogę. Za chwilę wrócił i pożegnał się ze mną jeszcze raz. Siedziałam w samochodzie patrząc za nim i zdawało mi się, że zadowolony był z tego, iż ma widza. Miał, jak sędzę, tak silnie rozwinięty instynkt dramatyczny, że ten moment odczuwał jak zejście ze sceny, jak zniknięcie, w którym sam siebie obserwował oczyma widzów w teatrze. Czyż góry, kolczaste krzaki i pokryte kurzem drogi nie powinny się zlitować i choć na moment zmienić się tylko w dekorację? Długi czarny płaszcz Emmanuelsona szarpany rannym wiatrem owijał się mu o nogi. Z jednej kieszeni sterczała szyjka butelki. Poczułam, jak serce wypełnia mi się tą miłością i wdzięcznością, którą ludzie siedzący w domach odczuwają dla niespokojnych duchów tego świata, żeglarzy, podróżników, włóczęgów. Doszedłszy na szczyt najbliższego wzgórza Emmanuelson odwrócił się, zdjął kapelusz i pokiwał nim do mnie. Wiatr rozwiewał mu długie włosy nad czołem. Farah, który jechał ze mną w samochodzie, spytał: – Dokąd idzie ten Bwana? Nazywał Emmanuelsona „Bwana” po to, aby ratować własną godność, bo przecież ten człowiek spał w naszym domu. – Do Tanganiki – odpowiedziałam. Piechotą? – pytał dalej. Tak – odrzekłam. – Niech Allah ma go w swojej opiece – zakończył Farah.

Przez cały dzień myślałam, o Emmanuelsonie i wychodziłam z domu, aby rzucić okiem na drogę prowadzącą do Tanganiki. W nocy, około dziesiątej, usłyszałam ryk lwa daleko z południowego zachodu; ryk powtórzył się pół godziny później. Ze zgrozą myślałam, czy lew nie siedzi nad starym, czarnym płaszczem. Przez następny tydzień starałam się zdobyć jakieś wiadomości o Emmanuelsonie i kazałam Farahowi przepytawać Hindusów, którzy jeździli ciężarówkami do Tanganiki, czy ktoś go nie minął lub nie spotkał na drodze. Nikt jednak o nim nic nie wiedział.

Pół roku później niespodziewanie dostałam list polecony z Dodoma, gdzie nikogo nie znałam. List był od Emmanuelsona. Zawierał pięćdziesiąt rupii, które pożyczyłam mu wtedy, gdy pierwszy raz chciał uciec z Kenii, oraz cztery rupie Faraha. Oprócz tych pieniędzy, których nigdy w życiu nie miałam nadziei ujrzeć. Emmanuelson przysłał długi, rozsądny i czarujący list. Dostał w Dodoma posadę barmana „o ile to można nazwać barem” – i dobrze mu się wiodło. Zdradzał talent okazywania wdzięczności, pamiętał każdy szczegół ze swego pobytu na farmie owego wieczora, wiele też razy podkreślał, że wtedy czuł się między przyjaciółmi. Opowiedział też szczegółowo o swej podróży do Tanganiki. Bardzo chwalił Masajów. Znaleźli go na szosie, zabrali do siebie i okazywali mu wiele uprzejmości i gościnności. Z nimi też odbył dalszą drogę aż do samej Tanganiki, chociaż Masaje wędrowali zygzakami. Tak wspaniale bawił ich opowiadaniem o swoich przygodach w różnych krajach, że nie chcieli go puścić. Emmanuelson nie znał języka Masajów i przy opisie swej odysei musiał się posługiwać pantomimą.

Pomyślałam sobie, że Emmanuelson słusznie szukał schronienia wśród Masajów; było

wszak rzeczą naturalną, iż oni mu go udzielą. Prawdziwa arystokracja i prawdziwy proletariatus mają zrozumienie dla tragedii. Pod tym względem różnią się od burżuazji wszystkich klas, która zaprzecza istnieniu tragedii, nie chce jej tolerować, dla której samo słowo tragedia oznacza nieprzyjemność. Ten fakt jest przyczyną wielu nieporozumień między białymi osadnikami ze średnich klas a tubylcami. Ponurzy Masaje są równocześnie i arystokracją, i proletariatem, musieli więc natychmiast rozpoznać w samotnym wędrowcu w czerni tragiczną postać. Wśród nich tragiczny aktor znalazł się na właściwym miejscu.

Wizyty przyjaciół

Wizyty przyjaciół były dla mnie szczęśliwymi chwilami, a farma o tym wiedziała.

Gdy jedna z długich safari Denysa Finch-Hattona zbliżała się ku końcowi, pewnego ranka zobaczyłam przed domem młodego Masaja stojącego na szczupłej, długiej nodze.

– Bedar jest już w drodze powrotnej – oświadczył. – Będzie tu za dwa lub trzy dni.

Po południu na trawniku siedział chłopiec skwaterów mieszkających u skraju farmy. Czekał na mnie, a gdy wyszłam, powiedział:

– Przy zakręcie rzeki jest stado perliczek. Jeżeli chcesz zastrzelić kilka ptaków dla Bedara, kiedy tu przyjedzie, pójde z tobą o zachodzie słońca i pokaże ci, gdzie je znaleźć.

Jak mi się zdaje, farma dlatego miała urok dla moich wędrujących przyjaciół, że była stałym punktem i zawsze taka sama, kiedykolwiek ją odwiedzali. Przemierzali ogromne krainy, rozbijali obozy w wielu miejscach, zawsze jednak z przyjemnością witali kolisty podjazd przed domem, niezmienny jak orbita gwiazdy. Lubili spotykać te same twarze, a ja przez cały swój pobyt w Afryce miałam tych samych boyów. Ja na farmie marzyłam o wydostaniu się z niej, oni zaś wracali na nią stęsknieni za książkami, lnianą pościelą i chłodem panującym w dużym pokoju z zasłoniętymi oknami. Jeszcze przy ogniskach obozowych rozmyślali o urokach życia na farmie, pierwsze zaś pytania po powrocie brzmiały: „Czy nauczyłaś kucharza przyrządzać omlet myśliwski? Czy ostatnią pocztą przyszły nowe płyty?” Moi przyjaciele bywali w moim domu również wtedy, gdy ja wyjeżdżałam, a Denys korzystał z niego w czasie mej podróży do Europy. Berkeley – Cole nazywał dom swoją „leśną samotnią”.

W zamian za dobra cywilizacji wędrowcy obdarowywali mnie trofeami swych polowań. Były to skóry lampartów i gepardów, z których w Paryżu robiono modne futra, były skóry z węży i jaszczurek na obuwiu, były pióra marabutów. Ja zaś, aby zrobić przyjemność moim przyjaciołom, podczas ich nieobecności wypróbowywałam różne przepisy ze starych książek kucharskich, starałam się też hodować w ogrodzie europejskie kwiaty.

Gdy raz byłam w Danii, dostałam od znajomej cebulki pięknych piwonii, które z trudnością przywiozłam do Kenii, bo tu obowiązywały bardzo ostre przepisy co do importu roślin. Po zasadzeniu cebulki prawie natychmiast wypuściły masę ciemnokarminowych pędów, a potem delikatnych liści i okrągłych pąków. Pierwszy rozwinął się kwiat odmiany „Księżna de Nemours”, duża biała piwonia, pełna i o szalenie mocnym, odurzającym zapachu. Ściąłam ją i postawiłam w bawialni. Każdy Europejczyk, który tam wchodził, stawał i wołał: „O, piwonia!” Wkrótce jednak wszystkie inne pąki zwiędły i opadły, tak że miałam tylko ten jeden jedyny kwiat.

Kilka lat później rozmawiałam o piwoniiach z angielskim ogrodnikiem, który pracował u lady MacMillan w Chirono. „Nie udało się nam wyhodować tutaj piwonii – oświadczył ogrodnik – i dopiero wtedy będziemy mogli je hodować, gdy jedna z przywiezionych cebulek zakwitnie i uda nam się zebrać nasiona z tego kwiatu. W ten sposób zaprowadziliśmy w Kenii ostróżki”. A więc mogłam wprowadzić piwonie do Kenii i uczynić swe imię nie mniej głośnie od imienia księżny de Nemours! Zniszczyłam jednak przyszłą sławę ścinając mój jedyny

kwiat i wstawiając go do flakonu. Później często śniła mi się kwitnąca biała piwonia i we śnie cieszyłam się, że jej nie ścięłam.

Mój dom odwiedzali też przyjaciele z miasta i z innych bardziej na północ położonych farm. Hugh Martin z departamentu rolnictwa przyjeżdżał z Nairobi. Był to niezwykle zdolny i ciekawy człowiek, znawca rzadkich literatur całego świata. Życie spędził spokojnie jako urzędnik rządów kolonialnych na Wschodzie, tam też między innymi rozwinął swą wrodzoną skłonność do przybierania postaci bardzo tłustego chińskiego bożka. Nazywał mnie Candide, sam zaś odgrywał na farmie rolę ciekawskiego doktora Panglossa^[9], gdyż niezachwianie trwał w przeświadczeniu o godnej pogardzie słabości natury ludzkiej i wszechświata. Zadowolony był z tej swojej wiary, bo cóż przemawiało przeciw niej? Jeżeli raz usadowił się w wielkim fotelu, prawie nigdy z niego nie wstawał. Mając pod ręką butelkę i kieliszek z twarzą wyrażającą spokojne zadowolenie, wywodził i dyskutował swoje teorie na życie. Sypał koncepcjami i ideami, jakby fantastycznie fosforyzujący wybuch ogarniał ducha i materię. Tłusty człowiek, który żył w zgodzie ze światem i „spoczywał w Szatanie” z piętnem czystości częściej spotykanym u uczniów Szatana niż u uczniów Boga.

Pewnego wieczora, już dosyć późno, przybył niespodziewanie Gustaw Mohr, Norweg z potężnym nosem, zarządzający farmą po drugiej stronie Nairobi. Był doskonałym fachowcem, pomagał mi w sprawach gospodarskich słowem i czynem bardziej niż ktokolwiek w całej Kenii. Jego gotowość zdawała się wypływać z prostego przekonania, iż wszyscy farmerzy i wszyscy Skandynawowie powinni sobie nawzajem pomagać.

Teraz przygnał go na farmę jego własny niespokojny umysł, bo Mohr był jakby kamieniem wyrzuconym z krateru wulkanu. Oświadczył, że oszaleje w tym kraju, w którym ludzie uważają, iż można żyć tylko rozmowami o bykach i sizalu, że jego dusza ginie z pragnienia i dłużej tego nie wytrzyma. Zaczął mówić z chwilą przekroczenia progu pokoju i skończył aż po północy, poruszał zaś kolejno temat miłości, prostytutce, Hamsuna, komunizmu i Biblii, bez przerwy zatruwając się przy tym złym tytoniem. Nie jadł, nie słuchał, a gdy chciałam wtrącić jakieś słówko, potrafił mnie zakrzyczeć. Roznosił go wewnętrzny ogień, który palił się w tej młodej, jasnej głowie. Chciał z niej wyrzucić wszystkie kłębiące się myśli, a w miarę jak perorował, rodziły mu się coraz nowe. Nagle, o drugiej w nocy, nie miał już nic więcej do powiedzenia. Chwilę siedział spokojnie z takim wyrazem twarzy, jaki ma rekonwalescent w ogrodzie szpitalnym, potem zerwał się i odjechał na pełnym gazie, gotów do dalszego karmienia się rozmowami o bykach i sizalu.

Ingrid Lindström przyjeżdżała na nieco dłuższe odwiedziny, jeżeli tylko mogła się na dzień lub dwa oderwać od swej własnej farmy w Nioro, od indyków i ogrodu warzywnego, z którego zaopatrywała rynek w mieście. Ingrid była córką szwedzkiego oficera i żoną szwedzkiego oficera, osobą o jasnej cerze i takimże umyśle. Ona i jej mąż przyjechali razem z dziećmi do Afryki jak na wesołą wycieczkę, aby szybko dorobić się majątku. Kupili ziemię pod uprawę lnu, bo wówczas cena lnu wynosiła 500 funtów szterlingów za tonę. Gdy wkrótce potem spadła do 40 funtów za tonę i ziemia pod uprawę lnu wraz ze specjalnymi maszynami zupełnie straciła wartość, Ingrid włożyła wszystkie siły w to, aby uratować farmę. Założyła hodowlę drobiu i ogród warzywny, pracowała przy nich jak niewolnica. W czasie tej walki o przeżycie zakochała się w swojej farmie, w swoich krowach i świniach, w tubylcach i jarzynach, w tym swoim kawałku Afryki. Była to tak desperacka miłość, że Ingrid sprzedalaby męża i dzieci, byle tylko utrzymać farmę. W złych latach razem płakałyśmy na myśl, że przyjdzie stracić gospodarstwo. Każde odwiedziny Ingrid sprawiały mi ogromną radość, bo cechowała ją szczerą, wesołą, a przy tym mądra jowialność spotykana u starych

[9] Postacie z *Kandyda* Voltaire’a.

szwedzkich chłopek. W opalonej twarzy białe zęby błyszcząły jej jak u roześmianej Walkirii.

Ingrid miała starego kikujuskiego kucharza imieniem Kemosa, który sprawował jeszcze mnóstwo innych funkcji i pilnował jej spraw jak swoich własnych. Nie dość, że w pocie czoła pracował w ogrodzie i kurniku, ale występował też w charakterze dueni trzech córek, które zawsze odwoził i przywoził z internatu. Kemosa żywił ogromny szacunek i podziw dla wielkości Faraha. I na mnie to spływało, bo gdy przybyłam w odwiedziny na farmę w Nioro, kucharz stracił głowę, rzucił wszystko inne i zajął się przygotowaniem dla mnie wspaniałego przyjęcia, nawet z indykiem. Ingrid mówiła, że Kemosa uważał znajomość z Farahem za największy zaszczyt, jaki go spotkał w życiu.

Panią Darell Thompson z Nioro znałam dotąd tylko pobieżnie. Przyjechała mnie odwiedzić po rozmowie z lekarzami, którzy ją uprzedzili, że zostało jej najwyżej kilka miesięcy życia. Powiedziała mi, że właśnie zakończyła pertraktacje o kupno w Irlandii konia, który zdobył nagrodę w biegu z przeszkodami. Dla pani Thompson konie stanowiły wszystko, były celem jej istnienia, toteż po usłyszeniu opinii lekarzy w pierwszej chwili chciała depeszować do Irlandii i wstrzymać wysyłkę konia, ale potem zdecydowała, że po śmierci mnie go zostawi. Prawie nie myślałam o tej sprawie aż do chwili, gdy pół roku później pani Thompson umarła, a koń noszący imię Poor-box zjawił się w Ngong. Poor-box okazał się najinteligentniejszą istotą na farmie. Nie imponował wyglądem zewnętrznym, zwykle jeździł na nim Denys Finch-Hatton, ja natomiast nie paliłam się do tego. Ale koń miał też swoją własną politykę opartą na ostrożnym wyrachowaniu. Wiedział dokładnie, czego chce, i dzięki temu, walcząc – z ognistymi, młodymi końmi należącymi do najbogatszych ludzi w Kenii, zwyciężył w konkursie skoków urządzonym w Kabete na cześć księcia Walii. Ze zwykłym sobie spokojem zdobył wielki srebrny medal, co wywołało – po tygodniu napiętego oczekiwania – wybuch radości, zachwytu i triumfu wśród moich domowników i na całej farmie. Poor-box padł na końską zarazę sześć miesięcy później i został pochowany przy swojej stajni pod drzewami cytrynowymi. Bardzo go opłakiwano, a jego imię długo przechowywano w pamięci.

Czasami bywał u mnie na obiedzie stary pan Bulpett, którego w klubie nazywano wujem Karolem. Był nie tylko moim przyjacielem, ale i czymś w rodzaju mego ideału: angielski dżentelmen z czasów królowej Wiktorii, ale świetnie pasujący do naszych czasów. Przepłynął niegdyś Hellespont, należał do pierwszych zdobywców Matterhornu, był też za młodu, w latach chyba osiemdziesiątych, kochankiem La Belle Otéro. Opowiadano mi, że ona go zrujnowała i porzuciła. Czułam się tak, jakbym siadała do stołu z Armandem Duval^[10] albo kawalerem de Grioux^[11]. Pan Bulpett miał wiele pięknych fotografii Otéro i lubił o niej opowiadać.

Pewnego razu podczas obiadu w Ngong rzuciłam:

Czytałam, że opublikowano pamiętniki La Belle Otéro. Czy pan w nich występuje?

– Tak – odpowiedział – występuję. Wprawdzie pod innym nazwiskiem, ale występuję.

– A co o panu napisała? – spytałam.

– Napisała – odrzekł – że byłem młodym człowiekiem który dla niej puścił sto tysięcy w ciągu sześciu miesięcy, ale też otrzymał za to pełną równowartość.

– A czy pan uważa – zaśmiałam się – że pan otrzymał pełną równowartość?

Przez krótką chwilę myślał nad moim pytaniem, potem zaś odrzekł:

– Tak, uważam, że tak.

Na siedemdziesiąte siódme urodziny pana Bulpetta Denys Finch-Hatton i ja zabraliśmy go na wycieczkę aż na szczyt pasma Ngong. Siedząc na szczycie zaczęliśmy dyskutować, czy gdyby ofiarowano nam parę skrzydeł, których już nie można by odzepić, przyjęlibyśmy je

^[10] Romantyczny kochanek z *Damy kameliowej* A. Dumasa.

^[11] Bohater powieści A. F. Prévosta *Manon Lescaut*.

czy odrzucili.

Stary pan Bulpett spozierał na rozległą krainę pod naszymi stopami, na zielone okolice gór Ngong, na Rift Valley na zachodzie. Zdawało się, że w każdej chwili gotów jest nad nimi poszybować.

– Ja bym przyjął – oświadczył. – Na pewno bym przyjął. Niczego bardziej bym nie pragnął. – Po chwili zaś namysłu dodał: – Gdybym jednak był kobietą, to chyba bym się zastanawiał.

Szlachetny pionier

Jeżeli w grę wchodził Berkeley Cole i Denys Finch-Hatton, mój dom był naszą wspólną rzeczą. Wszystko uważali za swoje, z wszystkiego byli dumni i znosili do domu to, czego brakowało. Zaopatrywali mnie więc w wino i tytoń, sprowadzali mi z Europy książki i płyty gramofonowe. Berkeley przywoził mi z własnej farmy pod Mount Kenya indyki, jaja i pomarańcze. Obaj mieli ambicję, aby zrobić ze mnie taką samą znawczynię wina jak oni, wiele czasu na to poświęcali. Zachwycali się moją duńską zastawą stołową, szkłem i porcelaną, czasami ustawiali wszystko na stole i cieszyli się widokiem wysokiej, błyszczącej piramidy.

Gdy Berkeley przebywał na farmie, o jedenastej przed południem podawało się pod drzewami butelkę szampana. Żegnając się raz i dziękując za gościnę dodał mimochodem, iż była tylko jedna plama na obrazie, to mianowicie, że wino podano w brzydkich, pospolitych kieliszkach.

– Wiem o tym, Berkeley – usprawiedliwiałam się – ale zostało mi tak niewiele ładnych kieliszków, a boye tłuką je łatwo, gdy niosą tak daleko.

Trzymając mnie za rękę Berkeley popatrzył na mnie poważnie.

– Tak, moja droga – powiedział – ale to było takie przykre.

Od tego więc czasu kazałam wynosić do lasu najładniejsze szkło.

Berkeley i Denys mieli jedną wspólną, dziwną cechę. Gdy opuszczali Anglię, obu ich żalowali przyjaciele, obu też lubiano i podziwiano w Kenii. A mimo to obaj byli wyrzutkami, ludźmi poza nawiasem. Nie społeczeństwo jednak wyrzuciło ich ze swojego grona. Uczynił to czas. Nie należeli już do swego kraju. Nie mogli wyrósć gdzie indziej niż w Anglii, lecz stanowili już tylko relikty, byli częścią tej Anglii, która już nie istniała. W obecnej epoce nie mogli znaleźć sobie miejsca, przyszło im wędrować tu i tam, a w czasie tej wędrówki znaleźli też drogę na moją farmę. Obaj nie zdawali sobie z tego wszystkiego sprawy. Przeciwnie. Mieli poczucie winy w stosunku do Anglii, którą opuścili, jakby tylko znudzenie skłoniło ich do ucieczki i porzucenia obowiązków, z którymi pogodzili się przyjaciele. Gdy Denys wspominał swe młode lata – chociaż jeszcze teraz był bardzo młody – oraz swe dawne perspektywy przyszłości i rady, które mu przysyłał przyjaciele, cytował szekspirowskiego Jakuba:

*Przez głupie natchnienie
Kto osiem chce zostać,
Porzucić swe mienie,
Do puszczy się dostać...*

*Cytował też słowa Rozalindy:
„To pan wojażer! Na honor,
masz słusność, że się smucisz:
bo zapewne sprzedałeś własną ziemię,*

aby zwiedzić cudzą”^[12]

Denys mylił się jednak w ocenie samego siebie, podobnie mylił się Berkeley, a może i szekspirowski Jakub. Wierzyli w to, że są dezerterami; którzy muszą kiedyś zapłacić za swą lekkomyślność, ale w istocie byli wygnańcami, którzy nadrabiali miną na tym wygnaniu. Gdyby Berkeley przystroił sobie głowę peruką z długimi, jedwabistymi lokami, mógłby chodzić po dworze króla Karola II. Albo mógłby siedzieć jako obrotny angielski młodzian u stóp starzejącego się d’Artagnana, d’Artagnana z *Dwadzieścia lat później*, słuchać jego mądrych słów i zachowywać je w sercu. Miałam uczucie, że prawo powszechnego ciężenia nie odnosiło się do Berkeleya, że w każdej chwili, gdy siedzieliśmy wieczorem przy ogniu mógł ulecieć przez komin. Był bardzo dobrym znawcą ludzi, co do nich nie żywił złudzeń i nie czuł urazy. Z czysto diabelskiej przewrotności najuprzejmiejszy bywał dla tych, o których miał najgorsze wyobrażenia. Gdy chciał, potrafił być niedościgłym wzorem bufona. Aby jednak błyszczeć dowcipem na miarę Congreve’a i Wycherleya^[13], w dwudziestym wieku trzeba posiadać więcej zalet niż te, które mieli Congreve i Wycherley: żar, grandezza i bezgraniczny optymizm. Gdy żart posunął się za daleko i trącił arogancją, stawał się czasem żaloszny. Gdy Berkeley, uniesiony zapalem jakby przeświecający winem, rzeczywiście dosiadł rumaka, cień rumaka na ścianie zaczynał rosnać i wpadał w dumny i fantastyczny galop, jakby zwierzę miało w sobie szlachetną krew, a za ojca ogiera imieniem Rosynant. Sam zaś Berkeley niezrównany żartowniś, samotny w swym afrykańskim życiu, na pół inwalida – bo ciągle miał kłopoty z sercem którego ukochana farma u stóp Mount Kenya coraz bardziej przechodziła w posiadanie wierzycielskich banków, był ostatnim człowiekiem dostrzegającym i obawiającym się tego cienia.

Berkeley był mały, bardzo szczupły i rudy, miał małe dłonie i małe stopy. Trzymał się prosto, głową poruszał trochę po d’artagnanowski gestem niepokonanego szermierza. Chodził bezgłośnie, jak kot. I jak kot każde miejsce, w którym się znalazł, zamieniał na wygodny kąt, zdawał się posiadać własne źródło ciepła i zadowolenia. Gdyby Berkeley usiadł obok ciebie przy dymiących zgliszczach twego domu, potrafiłby, jak kot, wywołać u ciebie uczucie, że siedzisz w przytulnym kątku. Gdy był w dobrym nastroju, oczekiwało się, że zacznie mruczeć jak kot. Gdy zaś chorował, było to smutniejsze i bardziej przygnębiające niż u innych ludzi, było to tak okropne jak choroba kota. Nie miał zasad, lecz miał niespodziewanie wielki zapas uprzedzeń, czego też można oczekiwać u kota.

Gdyby Berkeley był kawalerem z czasów Stuartów. Denysa należałoby osadzić we wcześniejszej Anglii, w okresie elżbietańskim. Mógłby wtedy spacerować pod ramię z Filipem Sidney^[14] albo Franciszkiem Drake^[15]. Ludzie okresu elżbietańskiego mieliby do niego sentyment, bo przypominałby im starożytność, Ateny, o których marzyli i pisali. Denysa można było naprawdę umieścić w każdym okresie naszej kultury, zawsze byłby na miejscu aż do początku dziewiętnastego wieku. Wyróżniałby się w każdej epoce, gdyż był sportowcem, miłośnikiem muzyki, znawcą sztuki i doskonałym myśliwym. Wyróżniał się też w swoich czasach, ale nigdzie do niczego nie pasował. Jego przyjaciele z Anglii stale namawiali go do powrotu, przedstawiali mu różne propozycje i plany kariery, lecz wszystko na próżno. Afryka go trzymała.

Szczególne i instynktowne przywiązanie, które Afrykanie odczuwali do Berkeleya i Denysa, jak również do kilku innych osób tego samego pokroju, nasuwało mi na myśl, że może biali ludzie z dawnych czasów potrafiliby nawiązać lepsze stosunki z ludźmi o odmiennych kolorach skóry niż my, przedstawiciele epoki uprzemysłowienia. Po

^[12] W. Szekspir *Jak się wam podoba*. Przekład Leona Ulricha, wyd. PIW.

^[13] Dramaturdzy angielscy z XVII wieku.

^[14] Sir Philip Sidney, angielski poeta, polityk i wódz w epoce elżbietańskiej.

^[15] Sir Francis Drake, angielski żeglarz i korsarz w XVI wieku.

wynalezieniu pierwszej maszyny parowej rozeszły się drogi różnych ras i nigdy się już więcej nie spotkały.

Na moją przyjaźń z Berkeleyem padał też pewien cień. Jurna, młody Somalijszczyk, który był boyem Berkeleya, należał do rodu pozostającego na stopie wojennej z rodem, Faraha. Ponure spojrzenia, którymi ci dwaj obrzucali się nawzajem podczas usługiwania nam do stołu, stanowiły najgorszą zapowiedź dla kogoś obeznanego z klanową zawziętością Somalijszczyków. Późnym wieczorem zaczęliśmy się nawet zastanawiać nad tym, co zrobilibyśmy, gdybyśmy rano znaleźli obu, Faraha i Jumę, sztywnych z nożami w sercach. Wrogowie nie znali w tych sprawach ani strachu, ani umiaru, od rozlewu krwi powstrzymywał ich wyłącznie wzgląd na Berkeleya i na mnie.

– Nie mam odwagi – oświadczył Berkeley – powiedzieć dziś Jurnie, że zmieniłem plany i że tym razem nie pojedziemy do Eldoret, gdzie mieszka jego ukochana. Wtedy bowiem straci dla mnie serce i przestanie się interesować tym, czy moje ubranie jest wyczyszczone, a w dodatku pójdzie i zabije Faraha.

Jurna nie stracił jednak nigdy serca dla Berkeleya. Pracował u niego bardzo długo, a Berkeley często mówił o swoim boyu. Opowiedział mi, jak pewnego razu – gdy Jurna niesłusznie upierał się przy czymś w jakiejś sprzeczce – stracił panowanie nad sobą i uderzył go.

– I wiesz – ciągnął dalej – że Jurna mi oddał.

– A jak później układało się między wami? – spytałam.

– Doskonale – powiedział skromnie Berkeley. Po chwili zaś dodał: – Nie najgorzej. On jest dwadzieścia lat młodszy ode mnie.

Ów incydent nie wpłynął ani na ustosunkowanie się Berkeleya, ani boya. Jurna traktował swego chlebodawcę w sposób nieco protekcyjny, jak wszyscy somalijscy boye. Po śmierci Berkeleya nie chciał zostać w Kenii, wrócił do swej ojczyzny.

Wielką i nigdy nie zaspokojoną pasją Berkeleya było morze. Jego ulubionym marzeniem był plan, że razem – gdy się wzbogacimy – kupimy dungiję, jednomasztowy statek arabski, i będziemy odbywać wspaniałe wyprawy handlowe do Łamu, Mombasy i Zanzibaru. Plan opracowaliśmy ze wszystkimi szczegółami, już nawet zwerbowaaliśmy załogę, tylko nigdy nie udało nam się dorobić pieniędzy.

Gdy Berkeley bywał zmęczony lub źle się czuł, wracał do swoich marzeń o morzu. Żałował wtedy, że własna głupota przeszkodziła mu w spędzeniu życia na słonej wodzie, przeklinał więc swój brak rozsądku ostatnimi wyrazami. Raz ogarnął go taki nastrój właśnie wtedy, gdy wybierałam się do Europy. Aby go pocieszyć, wpadłam na pomysł kupienia dwu latarni okrętowych, z obu burt, i powieszenia ich przy drzwiach mego domu. Powiedziałam o tym pomysle Berkeleyowi.

– O, to będzie wspaniałe – ucieszył się. Dom będzie przypominać okręt. Ale latarnie muszą być używane, takie które pływały po morzu.

W Kopenhadze w składzie żeglarskim nad jednym ze starych kanałów, kupiłam dwie ciężkie i stare latarnie okrętowe, które wiele lat świeciły nad wodami Bałtyku. Przybiliśmy je po obu stronach drzwi wchodowych. Te wychodziły na wschód, cieszyliśmy się więc, że latarnie zostały umieszczone prawidłowo: Ziemi, która mknie w przestrzeni, nie grozi już kolizja. Berkeleyowi te lampy bardzo przypadły do serca. Często podjeżdżał pod dom bardzo późno i z wielką szybkością; jeżeli jednak zobaczył, że lampy się świecą, jechał powoli, bardzo powoli wokół trawnika, aby zielone i czerwone gwiazdki mogły mu utonąć w duszy i wywołać w pamięci stare obrazy, wspomnienia morskich wędrówek, aby mógł przeżyć wrażenie, że naprawdę zbliża się do milczącego statku na ciemnej wodzie. Używając lamp stworzyliśmy cały system sygnałowy; przedstawialiśmy je lub jedną gasili. Dzięki temu Berkeley jadąc przez las wiedział już, w jakim humorze zostanie gospodynię albo co będzie na obiad.

Berkeley, podobnie jak jego brat Galbraith Cole i szwagier lord Delamere, należał do osadników, którzy wcześniej przybyli do Kenii, do pionierów, którzy mieli zażyłe stosunki z Masajami, w owych czasach dominującym plemieniem. Znał ich jeszcze wtedy, nim europejska cywilizacja – której w głębi duszy nienawidzili bardziej niż czegokolwiek na świecie – podcięła im korzenie; zanim ich wygnano na północ. Berkeley mógł z nimi rozmawiać o dawnych czasach w ich własnym języku. Ilekroć więc przebywał na farmie, Masaje przeprawiali się przez rzekę, aby się z nim zobaczyć. Starzy wodzowie omawiali z nim swoje obecne kłopoty i śmiali się słysząc jego żarty. Zmusić ich zaś do śmiechu było tak trudno, jak rozweselić kamienny głaz.

Dzięki przyjaźni Berkeleyya z Masajami odbyła się na farmie imponująca uroczystość.

Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa i Masaje się o niej dowiedzieli, w wojowniczym plemieniu zagrała krew. Widziały im się wspaniałe bitwy i masakry, jeszcze raz miała odżyć chwała przeszłości. W czasie pierwszych miesięcy wojny odbywałam podróże przez rezerwat Masajów, gdyż sama jedna, w towarzystwie tylko Kikujusów i Somalijczyków, trzema zaprzężonymi w woły wozami transportowałam różne materiały dla rządu angielskiego. Słyszając o moim przybyciu ludzie w każdym okręgu zbiegali się do mego obozu i z błyszczącymi oczyma wypytywali o wojnę i o Niemców – czy to prawda, że zlatują z nieba? W myślach już wszyscy biegli na spotkanie niebezpieczeństwa i śmierci. Nocami wokół mego namiotu gromadzili się tłumnie młodzi wojownicy umalowani na wojnę, z dzidami i mieczami. Czasami, aby mi pokazać, czym są naprawdę, wydawali krótki ryk naśladujący ryk lwa. Nie wątpili wówczas, że Anglicy pozwolą im walczyć.

Lecz rząd brytyjski nie uważał za rzecz rozsądną organizowanie Masajów do walki z białymi, nawet z Niemcami. Zakazano Masajom udziału w wojnie i przekreślono wszelkie ich nadzieje. Kikujusi mieli uczestniczyć w wojnie w charakterze tragarzy, Masaje zaś mieli odłożyć broń. Ale w roku 1918, kiedy wprowadzono pobór obowiązujący wszystkie inne plemiona w Kenii, rząd uznał za stosowne powołać pod broń również Masajów. Do Narok wysłano oficera z oddziałem Królewskich Strzelców Afrykańskich, a jego zadaniem był pobór trzystu moranów. Lecz Masaje stracili już wtedy sympatię do wojny i odmówili udziału w niej. Morani z tego okręgu zniknęli w lasach i zaroślach. W pościgu za nimi żołnierze K.S.A. ostrzelali pewną maniatkę, zabijając dwie kobiety. Dwa dni później rezerwat Masajów ogarnęła jawna rewolta, gromady moranów przebiegały przez całą krainę, zabito pewną liczbę hinduskich kupców i spalono ponad pięćdziesiąt sklepów zwanych dukha. Sytuacja stała się poważna, a rząd nie chciał jej jeszcze pogarszać. Wysłano lorda Delamere z poleceniem przeprowadzenia pertraktacji z Masajami i w końcu osiągnięto kompromis. Masaje mieli sami wyznaczyć trzystu moranów jako poborowych, a za zniszczenie rezerwatu nałożono zbiorową grzywnę. Ani jeden moran nie zjawił się do poboru, ale tymczasem zawieszenie broni zakończyło całą sprawę.

W czasie tych wypadków niektórzy starzy wodzowie Masajów oddali usługi brytyjskim siłom zbrojnym, posyłali mianowicie swych młodych wojowników na śledzenie ruchów Niemców w rezerwacie i na jego pograniczu. Po zakończeniu wojny rząd chciał wyrazić uznanie dla tych zasług. Z Londynu przysłano pewną ilość medali do rozdania wśród Masajów, a wręczenie dwunastu poruczono Berkeleyowi, który tak dobrze znał Masajów i mówił ich językiem.

Moja farma graniczyła z rezerwatem Masajów, Berkeley przyjechał więc z prośbą, aby mógł u mnie dokonać wręczenia tych medali. Był tym wszystkim trochę zdenerwowany i zwierzył mi się, że nie wie właściwie, co ma robić. W niedzielę pojechaliśmy razem daleko w głąb rezerwatu i zawiadamialiśmy zainteresowanych wodzów, aby się zgłosili na farmę w określonym dniu. Berkeley służył za młodu w dziewiątym pułku lansjerów i, jak mi mówiono, był wtedy najprzystojniejszym oficerem tej jednostki. Gdy jednak wracaliśmy o zmierzchu do domu, mówił o wojsku i wojskowej mentalności z podejściem cywila.

Wręczenie medali chociaż samo w sobie nie miało specjalnego znaczenia, przybrało formę uroczystego i ważnego wydarzenia. Obie strony wykazały tyle rozumu, bystrości i taktu, że ceremonia urosła do znaczenia historycznego aktu, bodajże symbolu:

*I Jego Jasna Mość przed Jego Ciemną
Trwał z kurtuazją wielką i wzajemną*^[16]

Starzy wodzowie przybyli w otoczeniu synów i członków świty. Czekali siedząc na trawniku i od czasu do czasu wymieniając uwagi na temat moich krów, które pasły się opodal. Może żywili nadzieję, iż w zamian za położone zasługi dostaną w prezencie po krowie. Berkeley dał im długo czekać, co, jak mi się zdaje, nie robiło im różnicy, tymczasem zaś kazał wynieść przed dom fotel, w którym miał siedzieć podczas wręczenia medali. Gdy w końcu sam wyszedł z domu, na tle ciemnego towarzystwa był tym bardziej jasny i rudy. Miał teraz raźną, pewną siebie postawę i minę młodego służbistego oficera. W ten sposób stwierdziłam, że Berkeley, którego twarz potrafiła tak wiele wyrażać, w razie potrzeby umiał przybrać maskę zupełnej bezmyślności. Za nim postępował Jurna z pudełkami medali. Ubrany był w piękną arabską kamizelkę wyszywaną złotem i srebrem, którą specjalnie kupił na tę okazję.

Berkeley stanął przed fotelem i zaczął wygłaszać przemówienie, a z jego wyprostowanej, małej postaci bił taki autorytet, że starzy wodzowie jeden po drugim podnosili się na nogi i z powagą patrzyli mu w oczy. Co zawierało przemówienie, tego nie wiem, wygłosił je w języku Masajów. W każdym razie dźwięczało tak, jakby Berkeley krótko informował Masajów o niewiarygodnym dobrodziejstwie, jakie na nich spadło, wyjaśniał, iż źródłem tego dobrodziejstwa jest ich własna postawa, godna niezwykłego uznania. Biorąc jednak pod uwagę to, że przemówienie wygłaszał Berkeley oraz że z twarzy Masajów nic nie dawało się wyczytać, równie dobrze można by przypuszczać, iż mowa zawierała coś zupełnie innego, co by mi nigdy nie przyszło na myśl. Skończywszy przemawiać Berkeley kazał zaraz Jurnie podać pudełka. Wyjmował z nich medale i uroczyście wyczytując imiona masajskich wodzów, z szerokim gestem wyciągniętego ramienia wręczał każdemu odznaczenie. Masaje brali je milcząco na wyciągnięte dłonie. Nie obrażając demokracji, tak uroczystej ceremonii mogły dokonać tylko dwie strony, w których żyłach płynęła szlachetna krew, które posiadały stare tradycje.

Obdarzenie medalem nagiego człowieka wprawia go w zakłopotanie, bo nie bardzo ma gdzie go przyczepić. Starzy wodzowie stali więc długo z medalami w garściach. Potem jeden z nich, bardzo posunięty w latach, podszedł do mnie z prośbą o wytłumaczenie, co właściwie trzyma w ręce. Wyjaśniłam mu to najlepiej, jak potrafiłam. Na jednej stronie medalu widniała głowa kobiety, symbolu Wielkiej Brytanii, a na drugiej słowa: „Wielka wojna o cywilizację”.

Berkeley zachorował w tym czasie, gdy przygotowywałam się do wyjazdu na wypoczynek do Europy. Miał wtedy brać udział w sesji Rady Ustawodawczej Kolonii, posłałam mu więc depeszę: „Zapraszam do Ngong czas sesji przywieźć butelki”. Oddepeszował: „Zaproszenie wprost nieba przybywam butelkami”. Gdy jednak przyjechał przywożąc cały samochód wina, sam nie miał ochoty pić. Był bardzo błydy i nawet czasami popadał w milczenie. Skarżył się na serce i nie mógł obejść się bez Jurny, wyszkolonego w robieniu zastrzyków. Stan chorego pogarszało wiele trosk, które go bardzo dręczyły. Między innymi żył w ciągłej obawie, że straci swą farmę. Mimo to przez samą obecność zmienił mój dom w miły kąt.

– Taniu, doszedłem już do tego etapu, że mogę jeździć tylko najlepszymi na świecie samochodami, palić tylko najlepsze cygara i pić tylko najwyszukańsze wina najlepszych roczników – powiedział mi ze smutną powagą.

[16] Georg G. Byron. *Wizja sądu*. Przekład Cz. Jastrzębca-Kozłowskiego.

Pewnego wieczoru przyznał się, że lekarz kazał mi przez miesiąc leżeć w łóżku. Namówiłam go, żeby zgodnie z tym zaleceniem przez miesiąc leżał u mnie w Ngong, ja zaś zostanę, aby go pielęgnować, a do Europy pojedę w następnym roku. Przez chwilę rozważał moją propozycję, potem rzekł:

– Moja droga, nie mogę tak postąpić. Jeżeli bym to zrobił dla ciebie, co bym potem był wart?

Pożegnałam się z nim z bardzo ciężkim sercem. Płynąc do Europy i mijając Łamu i Takaugna, gdzie miał docierać nasz jednomasztowy dungija, myślałam o Berkeleyu. W Paryżu dowiedziałam się, że zmarł. Upadł nieżywy przed własnym domem, gdy wysiadał z samochodu. Pochowany został na swojej farmie, gdzie pragnął zostać.

Po śmierci Berkeleya kraj się zmienił. Jego przyjaciele już od pierwszej chwili odczuwali jego stratę, inni odczuli ją później. Wraz z nim skończyła się cała epoka w życiu kolonii. Przez wiele lat różne rzeczy określano na podstawie tego punktu zwrotnego. Ludzie mawiali: „Gdy żył Berkeley” albo „Od śmierci Berkeleya”. Do jego śmierci Kenia była Krainą Szczęśliwych Łowów, teraz zmienia się powoli w myśliwski business. Gdy on odszedł, obniżyły się standardy. Opadł poziom dowcipu, rzecz smutna w kolonii, podobnie obniżył się poziom odwagi, ludzie zaczęli głośno wzdychać nad swymi kłopotami, opadł też poziom humanizmu.

Gdy Berkeley zeszedł ze sceny, z przeciwnej strony wtargnęła w nią ponura postać: twarda konieczność, pani ludzi i bogów. Dziwne, że ten mały, szczupły człowiek potrafił bronić jej wstępu aż do swego ostatniego tchu. Znikły drożdże do chleba. Znikła gracia, wesołość i swoboda, znikł czynnik, który wytwarzał prąd elektryczny. Kot wstał i opuścił pokój.

Skrzydła

Denys Finch-Hatton nie miał w Afryce innego domu, tylko moją farmę. U mnie mieszkał między swymi safari, u mnie trzymał książki i gramofon. Gdy Denys wracał, farma otwierała serce i przemawiała – tak jak przemawiają plantacje kawy, gdy skąpane w rosie okrywają się kwieciami po pierwszych deszczach. Gdy oczekiwałam przyjazdu Denysa, gdy już słyszałam jego samochód, równocześnie słyszałam, jak wszystko na farmie mówi prawdę o sobie. Denys czuł się tu szczęśliwy, przyjeżdżał tylko wtedy, gdy miał na to ochotę, farma zaś wyczuwała w nim cechę, z której reszta świata nie zdawała sobie sprawy – pokorę. Nigdy nie robił tego, na co nie miał ochoty, nigdy też nie plamił ust oszustwem lub zdradą.

Miał jedną cechę charakteru niezwykle dla mnie cenną – lubił słuchać opowiadań. Boja zawsze myślałam o sobie, że zdobyłabym rozgłos w czasie zarazy we Florencji. Czasy i moda zmieniły się, w Europie zanikła sztuka słuchania opowieści. Mieszkańcy Afryki, nie umiejący czytać, nadal ją posiadają. Jeżeli ktoś zacznie mówić do nich w te słowa: „Był raz pewien człowiek, który wyszedł na równinę i tam spotkał drugiego człowieka” – cali zamieniają się w słuch, ich wyobraźnia biegnie śladem nieznanymi ludźmi na równinie. Natomiast biali nie potrafią słuchać opowiadania, nawet jeżeli czują, że powinni. Jeżeli nie zaczynają się wiercić i nagle nie przypominają sobie rzeczy wymagających natychmiastowej akcji, to zasypiają. Ci sami ludzie proszą jednak o coś do czytania, potrafią długo w nocy pochłaniać pierwszą lepszą książkę, jaka im wpadnie do ręki, czasami nawet zmuszają się do przeczytania przemówienia. Ci ludzie przyzwyczaili się do odbierania wrażeń oczyma.

Denys, który żył słuchem, wolał usłyszeć opowiadanie niż je przeczytać. Przyjechawszy na farmę zaraz pytał: „Masz jakąś historię?” W czasie jego nieobecności wymyślałam wiele opowiadań. Wieczorami więc układał się wygodnie na poduszkach zniesionych przed kominek, ja zaś siadałam na ziemi ze skrzyżowanymi nogami jak Szeherezada. Z otwartymi oczyma słuchał mego opowiadania od początku do końca. Lepiej pamiętał szczegóły niż ja

sama i gdy w jakimś dramatycznym momencie zjawiał się któryś z bohaterów, często przerywał mi słowami: „Ten człowiek umarł prawie na samym początku, ale to nic nie szkodzi”.

Denys uczył mnie łaciny, czytania Biblii i poezji greckiej. Sam znał na pamięć całe ustępy Starego Testamentu, w podróż zawsze zabierał ze sobą Biblię, co zyskało mu wielki szacunek wśród mahometan.

Od niego dostałam gramofon, który mnie bardzo uradował, wnosił nowe życie na farmę, stał się jej głosem: „...słowik karmił melodii urokiem głodny mrok lasu po zachodzie słońca”^[17]. Czasem Denys przyjeżdżał niespodziewanie wtedy, gdy byłam na plantacji kawy albo na polach kukurydzy. Przywoził nowe płyty i nastawiał gramofon, tak że wracając o zachodzie słońca spotykałam się z melodią płynącą ku mnie w czystym, chłodnym powietrzu wieczora. Melodia oznajmiała mi jego przyjazd, jakby śmiał się ze mnie, co zresztą często się zdarzało. Tubylcy lubili gramofon, zasłuchani stawali wokół domu, niektórzy z moich domowników mieli swoje ulubione melodie i gdy byliśmy sami, prosili mnie, aby je zagrać. Zaskakujący był gust Kamante – przepadał za Adagio z Koncertu G – dur na fortepian Beethovena. Gdy mnie pierwszy raz o to prosił, miał pewne trudności w wyjaśnieniu, o którą melodię mu chodziło.

Denys i ja mieliśmy jednak różne gusty. Ja wolałam starszych kompozytorów, on natomiast we wszystkim, co dotyczyło sztuki, był zagorzałym zwolennikiem nowoczesności, jakby chciał w ten sposób dać współczesnej dobie zadośćuczynienie za to, że się tak bardzo z nią nie zgadzał. Lubił muzykę najbardziej modernistyczną. „Owszem, lubiłbym Beethovena – mawiał – gdyby nie był taki wulgarny”.

Gdy Denys i ja wyprawialiśmy się na lwy, zawsze towarzyszyło nam szczęście. Czasem Denys wracał z dwu – lub trzymiesięcznej safari wściekły, bo przez cały czas nie udawało mu się znaleźć dobrego lwa dla myśliwych z Europy, którym organizował polowanie. Tymczasem Masaje przychodzili do mnie i prosili o zastrzelenie lwa lub lwicy, które im zabijały bydło. Wychodziliśmy wtedy z Farahem na step, obozowaliśmy wśród Masajów, wykładaliśmy przynętę, zrywaliśmy się przed świtem, a wszystko nadaremnie, bo nie widzieliśmy ani śladu lwów. Jeżeli jednak pojechaliśmy konno we dwójkę z Denysem, lwy zjawiały się jak na zawołanie, zastawaliśmy je nad żerem albo obserwowaliśmy, jak przechodziły przez wyschnięte łożyska rzek.

W pewien noworoczny ranek, jeszcze przed świtem, Denys i ja znaleźliśmy się na nowej drodze do Narok. Jechaliśmy samochodem tak szybko, jak na to pozwalały wyboje.

Poprzedniego dnia Denys pożyczył swój ciężki sztucer jednemu z przyjaciół wybierającemu się na polowanie w południowej części kraju. Późnym wieczorem przypomniał sobie, że nie poinformował przyjaciela o specjalnym urządzeniu, które w tym sztucerze wyłączało działanie języka spustowego. Bardzo się martwił i niepokoił, że przez swą ignorancję ów przyjaciel może mieć jakiś wypadek. Po namyśle doszliśmy do przekonania, że nie ma innego wyjścia, jak wstać bardzo wcześnie, pojechać nową drogą i starać się być w Narok jeszcze przed grupą myśliwych. Odległość wynosiła około stu kilometrów po bardzo ciężkim terenie. Tamta safari jechała starą drogą, lecz ze względu na ciężko wyładowane samochody poruszała się powoli. Naszym jedynym kłopotem było to, że nie wiedzieliśmy, czy nową drogę doprowadzono już do samego Narok.

Na afrykańskim płaskowyzu powietrze jest wczesnym rankiem tak chłodne i świeże, że człowiekowi ciągle przychodzi na myśl, iż podróżuje nie po ziemi, ale w głębokiej wodzie, po dnie morza. Czasem nie ma nawet pewności, czy się w ogóle porusza; chłód bijący w twarz może być głębinowym prądem morskim, a samochód jak ospała ryba elektryczna może

[17] Percy B. Shelley. *Drwal i słowik*. Przekład Zofii Kierstys.

spoczywać sobie spokojnie na dnie morza, wytrzeszczać błyszczące ślepie reflektorów i przyglądać się przepływającym obok okazom fauny morskiej. Gwiazdy wydają się takie wielkie, że nie są prawdziwymi gwiazdami, tylko ich odbiciem na powierzchni wody. Wzdłuż drogi po dnie morza bez przerwy zjawiają się żywe istoty, ciemniejsze od swego otoczenia, skaczące i wsuwające się znów w zieloną trawę tak, jak kraby i pchły plażowe chowają się w piasku. Potem robi się jaśniej i o wschodzie słońca dno morskie podnosi się ku powierzchni tworząc nową wyspę. Burza woni uderza w nozdrza; świeży, mocny zapach krzewów oliwkowych, swąd spalonej trawy i duszący odór rozkładu.

Kanutia, boy Denysa, ze swego miejsca w tyle wozu lekko dotknął mego ramienia i wskazał na prawo. Dwanaście lub piętnaście metrów od drogi widniał ciemny wzgórek, krowa morska spoczywała na piasku, nad nią zaś coś ruszało się w ciemnej wodzie. Później zobaczyłam, że to ścierwo byka żyrafy zastrzelonego dwa lub trzy dni temu. Nie wolno polować na żyrafy, a ja i Denys musieliśmy później bronić się przed zarzutem, że zastrzeliliśmy tę sztukę. Mogliśmy jednak udowodnić, że zwierzę było już martwe jakiś czas przed naszym przejazdem, chociaż nigdy nie wykryto, kto je zastrzelił. Nad potężnym ścierwem stała lwica, która przerwała ucztę i podniósłszy łeb obserwowała przejeżdżający samochód.

Denys zatrzymał wóz, a Kanutia zdjął sztucer z pleców.

– Czy mam do niej strzelać – spytał mnie cicho Denys.

Z uprzejmości traktował okolice gór Ngong jak mój prywatny obszar łowiecki. Byliśmy teraz na terenie należącym do tego Masaja, który przychodził do mnie skarżąc się na straty w bydło. Jeżeli ten rabuś zabijał jedną po drugiej krowy i cieliczki, nadszedł czas, aby położyć temu kres. Skinęłam głową.

Denys wyskoczył z wozu i cofnął się kilka kroków, a lwica niemal równocześnie skryła się za ścierwem. Denys zatoczył łuk, aby ją dostać na strzał, i wypalił. Nie zauważyłam, jak upadła. Podeszedłszy w tamtą stronę zobaczyłam ją martwą w wielkiej kałuży krwi.

Nie mieliśmy czasu na ściąganie skóry, musieliśmy się śpieszyć, aby przeciąć drogę tamtej safari. Rozejrzeliśmy się dokoła, aby zapamiętać to miejsce, zresztą odór ścierwa żyrafy był tak silny, że trudno byłoby przejechać bez zwrócenia uwagi.

Pojechaliśmy dalej, ale po trzech kilometrach droga się skończyła. Dokoła leżały porozrzucane narzędzia, a dalej ciągnął się kamienisty teren, szarawy w mroku, nigdy nie tknięty ręką ludzką. Pokiwawszy głowami nad narzędziami i dzikim krajobrazem zdecydowaliśmy, że musimy zostawić owego przyjaciela Denysa jego własnemu szczęściu. (Po powrocie powiedział nam, że nie miał w ogóle okazji użycia sztucera). Zawróciliśmy i znaleźliśmy się twarzą do wschodniego nieba różowiejącego nad horyzontem. Pojechaliśmy ku temu świtowi, cały czas rozmawiając o lwicy.

Zbliżyliśmy się do ścierwa żyrafy i tym razem mogliśmy nawet rozróżnić – z tej strony, gdzie padało światło – ciemniejsze, kwadratowe plamy na skórze. Będąc już całkiem blisko, spostrzegliśmy na ścierwie lwa. Droga biegła tak, że znajdowaliśmy się niżej, lew stał wyprostowany na ścierwie, z grzywą rozwianą przez wiatr, za nim paliła się na niebie luna. Wrażenie było tak silne, że uniosłam się w samochodzie, Denys zaś powiedział: „Tym razem twoja kolej”. Nie lubiłam strzelać z jego zbyt dla mnie długiego i zbyt ciężkiego sztucera, który mnie w dodatku mocno kopał przy odrzucie. Tym razem jednak strzał był deklaracją miłości, czy więc sztucer nie powinien być największego kalibru? Wystrzeliwszy odniosłam wrażenie, że lew podskoczył do góry i spadł z podkurczonymi łapami. Stałam w trawie głęboko oddychając, rozpierana poczuciem wszechmocy; to strzał daje takie poczucie, gdyż wywołuje efekt na odległość. Obeszłam ścierwo żyrafy i za nim zobaczyłam piąty akt klasycznej tragedii – wszyscy uczestnicy leżeli martwi. Żyrafa wyglądała potężnie i obrzydliwie, nogi i szyja sztywno sterczały, a brzuch miała rozpruty przez lwy. Lwica, leżąca na grzbiecie z pyskiem złożonym do dumnego ryku, była *femme fatale* tej tragedii. Opodal

leżał lew. Czy jej los nie nauczył go niczego? Łeb miał złożony na przednich łapach, potężna grzywa okrywała go jak królewski płaszcz. On też leżał w dużej kałuży, która w porannym świetle barwiła się szkarłatem.

Denys i Kanutia zakasali rękawy i przy wschodzącym słońcu zabrali się do ściągania skór. Gdy przerwali pracę, aby odpocząć, wydobyliśmy z samochodu wino, rodzynki i migdały. Zabrałam je na drogę, bo był to Nowy Rok. Siedząc na trawie popijaliśmy wino i zagryzaliśmy bakaliami. Martwe lwy tuż obok nas przedstawiały się wspaniale w swej nagości. Nie miały na sobie ani grama zbędnego tłuszczu, każdy mięsień tworzył śmiały łuk. Nie potrzebowały całunów do osłony, były na wskroś tym, czym być powinny.

Nagle cień pojawił się na trawie i na moich nogach. Spojrzałam w górę i na bładniebieskim niebie dostrzegłam krążące sepy. Było mi tak lekko na sercu, jakbym sama bujała tak wysoko, na sznurku jak latawiec. Skomponowałam poemat:

*Cień orki mknie po stepie
ku dalekim, bezimiennym, niebieskawym górcom,
lecz cień młodej, tłustej zebry
cały dzień kryje się między jej delikatnymi kopytami,
kryje się tam, gdzie zebra stoi nieruchomo.
Cień zebry czeka wieczoru,
aby, gdy słońce zachodu krwawo zabarwi step,
powędrować do wodopoju.*

Wspólnie z Denysem przeżyliśmy jeszcze jedną przygodę z lwami. W rzeczywistości zdarzyła się ona przed ta opisaną wyżej, we wczesnym okresie naszej przyjaźni.

W tym czasie administratorem mojej farmy był pan Nichols pochodzący z Południowej Afryki. Pewnego dnia w okresie wiosennych deszczów przyszedł bardzo poruszony z wiadomością, że tej nocy dwa lwy odwiedziły farmę i zabiły dwa nasze woły. Drapieżniki wdarły się przez płot otaczający zagrodę dla wołów, a łup zawłokły aż na plantację kawy. Jednego wołu pożarły, drugi leżał jeszcze między drzewkami. Czy nie zechciałabym napisać listu upoważniającego go do zakupienia w Nairobi strychniny? Mieliśmy nią zatruć leżące ścierwo wołu, bo administrator był przekonany, że następnej nocy lwy powrócą dokończyć zdobyczy.

Przemyślałam tę sprawę, używanie strychniny na lwy sprzeciwiało się moim zasadom, powiedziałam mu więc, że nie mogę tego zrobić. Wówczas podniecenie administratora ustąpiło miejsca rozpaczy.

– Jeżeli ta zbrodnia ujdzie lwom na sucho – twierdził – pojawią się na nowo. Zabite woły należały do naszych najlepszych sztuk pociągowych, a nie możemy sobie pozwolić na dalsze straty. Stajnia koni znajduje się – przypomniał mi – opodal zagrody dla wołów, czy pomyślała pani o tym?

Wy tłumaczyłam mu, że nie mam zamiaru trzymać lwów na farmie, tylko moim zdaniem powinno się je strzelać, nie truć.

– A kto będzie do nich strzelał? – spytał Nichols. – Nie jestem tchórzem, ale mam rodzinę i ani mi w głowie niepotrzebnie ryzykować życie.

To prawda, że nie był tchórzem, chociaż mały, należał do odważnych ludzi.

– To nie miałyby sensu – dodał.

Zapewniłam go, że nie mam zamiaru kazać mu strzelać lwy.

– Wczoraj przyjechał pan Finch-Hatton, jest teraz w domu, on i ja razem pójdziemy na lwy.

– Jeżeli tak, to O.K. – odrzekł Nichols.

Poszłam szukać Denysa.

– Chodźmy – powiedziałam mu – zaryzykujemy niepotrzebnie życie. Bo jeżeli życie ma

jakąś wartość, to polega ona na tym, iż jej nie ma. *Frei lebt wer sterben kann*. Wolny żyje ten, kto umie umrzeć.

Poszliśmy na plantację i w miejscu opisanym przez Nicholasa znaleźliśmy zabitego wołu. Lwy go prawie nie tknęły. Ślady widniały wyraźnie na miękkim gruncie, dwa wielkie lwy złożyły tu w nocy wizytę. Łatwo było iść tropem w poprzek plantacji i obok domu Belknapa aż do lasu, gdyśmy jednak tam doszli, zaczął padać tak ulewny deszcz, że z trudem rozróżnialiśmy cokolwiek. W trawie i krzakach na skraju lasu zgubiliśmy trop.

– Jak myślisz, Denys – spytałam – czy lwy wrócą tej nocy?

Denys miał duże doświadczenie w polowaniach na lwy. Powiedział, że lwy przyjdą wczesną porą skończyć mięso, my zaś powinniśmy im pozwolić na zabranie się do uczyty i sami wyjść w pole dopiero o dziewiątej. Mieliśmy strzelać przy świetle latarki elektrycznej, którą Denys woził wśród przyborów myśliwskich, a do wyboru były dwie role. Zdecydowałam, żeby on strzelał, a ja będę mu świecić latarką.

Aby móc w ciemności znaleźć drogę do zabitego wołu, poprzywiązywaliśmy paski papieru do drzewek kawowych, między którymi mieliśmy iść; przypominało to Jasia i Małgosię z ich białymi kamyczkami. Znaki prowadziły prosto na ścierwo wołu, dwadzieścia zaś metrów od miejsca, gdzie ono leżało, przywiązaliśmy większy kawałek papieru. Tam mieliśmy się zatrzymać, zaświecić światło i strzelać. Próbując po południu latarkę stwierdziliśmy, że bateria została prawie wyczerpana, dawała tylko nikłe światło. Za późno już było, aby jechać do Nairobi po nową, musieliśmy więc dawać sobie radę tym, co mieliśmy.

Następnego dnia przypadały urodziny Denysa, który przy obiedzie zdradzał melancholijny nastrój narzekając, że dotąd nie korzystał z życia. Pocieszałam go, że jeszcze przed urodzinami coś się może zdarzyć. Kazałam Jurnie trzymać butelkę szampana w pogotowiu na nasz powrót. Ciągle myślałam o lwach, gdzie też w danej chwili przebywają? Czy może przechodzą przez rzekę powoli, cicho, jeden za drugim, pozwalając prądowi obmywać sobie piersi i boki?

Wyszliśmy o dziewiątej. Mżył lekki deszczyk, ale księżyc świecił. Od czasu do czasu wychylał przymgloną twarz zza pokładów rzadkich chmur i odbijał się w białym kwieciu drzewek kawowych. Z daleka obeszliliśmy szkołę, rzęście o tej porze oświetloną.

Znalazszy naznaczone drzewka, przystanęliśmy na chwilę, potem jedno za drugim ruszyliśmy naprzód. Dzięki mokasynom szliśmy cicho. Zaczęłam, drzeć i trząść się z podniecenia. Nie śmiałam podejść zbyt blisko Denysa, bo mógł to zauważyć i odesłać mnie do domu, ale nie śmiałam też trzymać się zbyt daleko od niego, bo w każdej chwili mógł potrzebować mojej latarki.

Jak się później przekonaliśmy, lwy były przy swojej zdobyczy. Posłyszały nas albo poczuły, bo cofnęły się nieco na plantację, aby dać nam przejść. Widocznie jednak uważały, że idziemy za powoli, bo jeden z nich wydał cichy, chrapliwy pomruk, który dochodził skądś na wprost i na prawo od nas. Pomruk był tak cichy, że nie mieliśmy pewności, czyśmy go słyszeli. Denys zatrzymał się na chwilę i nie odwracając głowy zapytał:

– Czy słyszałaś?

Odpowiedziałam twierdząco.

Posunęliśmy się nieco naprzód, a wtedy pomruk znów się powtórzył, tym razem bardziej na prawo.

– Zaświeć światło – powiedział Denys.

Nie było to takie łatwe, bo Denys znacznie przewyższał mnie wzrostem, a latarkę musiałam trzymać nad jego ramieniem, tak aby światło padało na sztucer i biegło dalej naprzód. Po zaświeceniu latarki cały świat zmienił się w jasno iluminowaną scenę. Mokre liście drzew błyszcząły, grudy ziemi stały się wyraźne.

Jasny krąg przesunął się najpierw po małym szakalu z szeroko rozwartymi ślepiami, przypominającym małego lisa. Przesunęłam światło dalej – i oto lew. Stał wprost przed nami i

na tle czarnej afrykańskiej nocy wyglądał bardzo jasno. Gdy strzał zagrział tuż przy mnie, nie byłam na to przygotowana, nie bardzo zdawałam sobie sprawę, co to znaczy, czy to burza, czy też ja jestem na miejscu lwa? Lew zaś upadł jak kamień.

– Szukaj dalej, dalej! – krzyczał Denys.

Poruszałam latarką, ale ręka tak mi drżała, że krąg świetlny wykonywał dziki taniec. W ciemności dosłyszałam śmiech Denysa.

– Przy drugim lwie – powiedział później – mój pomocnik trzął się troszeczkę.

Ale tańczący snop światła odkrył drugiego lwa, który właśnie odchodził i był częściowo zasłonięty drzewkiem. Gdy światło padło w tamto miejsce, zwierzę odwrócił ku nam łeb. Równocześnie Denys wystrzelił. Lew wypadł z jasnego kręgu, potem znów się w nim znalazł i odwrócił ku nam. Gdy padł drugi strzał, wydał jeden długi, gniewny jęk.

W jednym momencie Afryka stała się nieskończenie ogromna, a Denys i ja nieskończenie mali. Poza kręgiem światła z naszej latarki istniała tylko ciemność, w tej ciemności dwa lwy i deszcz z nieba. Gdy głęboki jęk zamilkł, ustał wszelki ruch. Lew leżał z łbem nieco odwróconym na bok, jakby z gestem niesmaku. Dwa wielkie drapieżniki spoczywały martwe na plantacji kawy, a wokół panowała głucha, nocna cisza.

Licząc kroki podeszliśmy do lwów. Pierwszy leżał o trzydzieści metrów od miejsca, gdzieśmy stali, drugi o dwadzieścia pięć. Oba były rosłymi, młodymi okazami, silnymi i dobrze odżywionymi. Ta para przyjaciół z gór lub z równiny wyruszyła wczoraj razem na spotkanie wielkiej przygody i razem poniosła śmierć.

Ze szkoły wysypały się dzieci i gromadnie szły drogą w naszym kierunku. Na błysk światła latarki przystały, a ciche, wystraszone głosy zaczęły wołać:

– Msabu, czy jesteś tu? Czy jesteś tam, Msabu? Msabu!

Siedząc na lwie krzyknęłam ku nim:

– Tak, to ja!

Wtedy dzieci podeszły bliżej wołając głośniejsze:

– Czy Bedar zastrzelił lwy? Obydwa? Gdy zobaczyły to na własne oczy, w jednej sekundzie znalazły się na miejscu, skacząc jak stado zajęcy w wiosenną noc. Ułożyły też zaraz pieśń ku uczczeniu tego wydarzenia. Brzmiała tak: „Trzy strzały. Dwa lwy. Trzy strzały. Dwa lwy!” Śpiewając ten utwór upiękшыły go nowymi wstawkami podejmowanymi przez coraz inny, świeży głos: „Trzy dobre strzały, trzy wspaniałe strzały, dwa wielkie, silne lwy, dwa złe, okrutne lwy!” Potem wszystkie naraz, zgodnym chórem zaśpiewały refren: „A B C D!” Dowodziło to, że wracały ze szkoły i miały głowy pełne mądrości. Wkrótce zaczęły gromadnie przybywać ludzie ze wszystkich stron, robotnicy suszarni, skwaterzy z pobliskich chat, a także moi boye z latarniami. Jakiś czas wszyscy stali wkoło i omawiali wydarzenie, potem Kanutia i jeszcze jeden boy dobyli noży i zabrali się do ściągania skór. Właśnie jedną z tych skór ofiarowałam później hinduskiemu Wielkiemu Kapłanowi. W końcu na scenie ukazał się sam Pooran Singh. W negliżu wyglądał niewiarygodnie szczupło, a między czarną brodą błyszczał mu miodowo – słodki, hinduski uśmiech. Gdy mówił, aż jąkał się z zachwytem. Bardzo mu zależało na zdobyciu tłuszczu z lwa, gdyż wśród jego rodaków ten tłuszcz cieszy się wielkim wzięciem jako lekarstwo. Z pantomimy, za pomocą której przedstawił mi właściwości lecznicze lwiego tłuszczu, wnoszę, że pomaga on na reumatyzm i impotencję. Cały ten tłum bardzo ożywił plantację, deszcz ustał, wszystko oblewał blask księżyca. Poszliśmy do domu, gdzie Jurna otworzył butelkę szampana. Byliśmy zbyt zmęczeni, umazani błotem i krwią, aby usiąść. Stojąc przed ogniem buzującym w kominku, szybkimi łykami wypiliśmy żywe, musujące wino. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. W czasie polowania tworzyliśmy jeden organizm i nic nie mieliśmy sobie do zakomunikowania. Nasi przyjaciele bawili się setnie naszą przygodą. Gdy przy najbliższej okazji pojawiliśmy się na zabawie tanecznej w klubie, stary pan Bulpett przez cały wieczór nie wyrzekł do nas ani słowa. Denysowi zawdzięczam największą przyjemność, jaką przeżyłam w czasie mego

całego pobytu na farmie: latałam 205 z nim nad Afryką. Tam gdzie drogi są rzadkie lub nie ma ich w ogóle, gdzie można lądować na równinie, latanie staje się rzeczą naprawdę ważną, ono otwiera świat. Denys sprowadził swoją maszynę marki Moth, która mogła lądować na terenie farmy w odległości kilku minut spacerem od domu. Niemal codziennie wzbijaliśmy się w powietrze.

Gdy człowiek wzniesie się nad afrykański płaskowyż, otwierają się przed nim wspaniałe widoki, niespodziewane kombinacje, gra światła i kolorów. Tęcza na skąpanej w słońcu zielonej ziemi, pionowe ściany lekkich obłoków i czarna nawała chmur – wszystko kręci się dokoła w ciągłym wyścigu i tańcu. Mocne strugi deszczu smagają z ukosa powietrze. Język jest za ubogi do opisanie wrażeń z lotu, z czasem muszą w tym celu powstać nowe słowa.

Kto latał nad Rift Valley i nad wulkanami Suswa i Longonot, ten odbył daleką drogę do krain po drugiej stronie księżyca. Innym razem leci się tak nisko, że widać wszystkie zwierzęta na stepie. Człowiek patrzy na nie tak jak Bóg, zanim jeszcze kazał Adamowi nadać imiona tym zwierzętom, które stworzył.

Nie widoki jednak, lecz ruch czyni człowieka szczęśliwym, radością i wielkim przeżyciem lotnika jest sam lot. Smutny los i niewola mieszkańców miast polega na tym, że wszystkie ich ruchy odbywają się tylko w jednym wymiarze, kroczą po jednej linii, jakby ich ktoś prowadził na sznurku. Przejście z linii na płaszczyznę z dwoma wymiarami, kiedy wędruje się po polach lub przez lasy, jest dla niewolników wspaniałym wyzwoleniem, jak Rewolucja Francuska. Lecz dopiero w powietrzu człowiek znajduje pełną wolność trzech wymiarów. Po całych wiekach wygnania i marzeń stęsknione serce rzuca się w objęcia przestrzeni. Tam dopiero rozumie, jak prawa grawitacji i czasu:

*...Cicho życia gaj zielony
Przebiegają, jak dziki zwierz ułaskawiony,
O którym nie myślano, że cichym być może^[18]*

Za każdym razem, gdy wznosiłam się w górę samolotem i patrząc w dół zdawałam sobie sprawę z oderwania się od ziemi, miałam uczucie takie, jak po dokonaniu wielkiego, nowego odkrycia. „A więc to tak – myślałam. – O to chodziło. Teraz rozumiem wszystko”.

Pewnego dnia poleciałam z Denysem nad jezioro Natron, które leżało sto trzydzieści kilometrów na południowy wschód od farmy i o tysiąc pięćset metrów niżej od niej, bo tylko osiemset metrów nad poziomem morza. Z jeziora Natron wydobywa się sodę; jego brzegi i dno wyglądają jak zrobione z białawego betonu, wszędzie unosi się ostra, kwaśna i słonawa woń.

Niebo było błękitne, gdyśmy jednak przelecieli znad płaskowyżu nad kamienistą i pustynną nizinę, wydawała się wyprana ze wszystkich barw. Krajobraz przypominał delikatnie poznaczoną skorupę żółwia. Nagle ukazało się jezioro. Gdy patrzy się z lotu ptaka, przeświecające przez wodę białe dno na daję jezioru tak niewiarygodnie lazurowy ton, że człowiek na chwilę zamyka oczy. Wielka przestrzeń wodna sprawiała takie wrażenie, jakby w wyblakły brunatny krajobraz ktoś wprawił wielką, przejrzystą akwamarynę. Dotąd lecieliśmy wysoko, teraz zaś zeszliśmy niżej i nasz własny ciemnoniebieski cień wędrował pod nami po powierzchni jasnoniebieskiego jeziora. Żyją tam tysiące flamingów, chociaż nie mam pojęcia, jak mogą egzystować nad słonawą wodą, w której na pewno nie ma ryb. Gdyśmy się zbliżali, rozlatywały się tworząc wielkie koła i wachlarze. Przypominało to grę promieni zachodzącego słońca albo chiński wzór na porcelanie czy jedwabiu, zmieniający się w naszych oczach.

Wylądowaliśmy na białym rozpalonym jak piec brzegu. Tam zjedliśmy śniadanie pod

[18] Percy B. Shelley. *Prometeusz rozpętany*. Tłum. Feliksa Jezierskiego.

osłoną skrzydła samolotu. Gdy wyciągnęło się rękę poza obręb cienia, słońce piekło tak mocno, że sprawiało ból. Piwo w butelkach zaraz po wylądowaniu miało przyjemny chłód, ale w ciągu kwadransa nabrało temperatury gorącej herbaty.

Podczas śniadania ukazała się na horyzoncie grupa Masajów i szybko zbliżała się ku nam. Musieli z daleka zobaczyć lądujący samolot i postanowili przyjrzeć mu się z bliska. Najdłuższy marsz, nawet w takim terenie, był dla nich fraszką. Szli gęsiego, nadzy, rośli i szczupli, ich broń błyszczała w słońcu. Tworzyli ciemne plamki na tle szarżółtego piasku. U stóp każdego z maszerujących słała się mała plamka cienia, posuwająca się razem z nim. Jak daleko sięgał wzrok, były to poza naszymi własnymi jedyne cienie w okolicy. Gdy Masaje podeszli tuż do nas, ustawili się w szereg. Było ich pięciu. Nachyliwszy ku sobie głowy poczęli rozmawiać o nas i o samolocie. O jedno pokolenie wcześniej takie – spotkanie miałoby dla nas fatalne następstwa. Po chwili jeden z przybyłych podszedł bliżej i zaczął do nas mówić. Ponieważ rozumiał tylko po masajsku, a my znaliśmy w tym języku zaledwie kilka słów, rozmowa wkrótce utknęła. Delegat cofnął się do swych towarzyszy i kilka minut później wszyscy zrobili w tył zwrot. W tym samym szyku, w którym przyszli, teraz odeszli po rozpalonej, słonej pustyni.

– Czy miałabyś ochotę polecieć do Naiwaszy? – spytał Denys. – Ale cały teren po drodze jest bardzo nierówny, nigdzie nie moglibyśmy lądować. Musielibyśmy więc wzbić się wysoko i lecieć na wysokości czterech tysięcy metrów.

Lot z jeziora Natron do Naiwaszy stanowił prawdziwe przeżycie. Lecieliśmy najkrótszą trasą i cały czas na czterech tysiącach metrów, a z tej wysokości nic się nie rozróżnia na ziemi. Nad jeziorem zdjęłam futrzaną pilotkę – teraz w górze powietrze biło mnie w czoło jak lodowaty prysznic. Włosy zwiewało mi do tyłu z taką siłą, jakby miało urwać głowę. Lecieliśmy tą samą drogą, którą – tylko w przeciwnym kierunku – co wieczora przelatywał legendarny ptak Rokk zdążając z Ugandy do swego gniazda ze słońcem w szponach każdej łapy. Gdy siedzi się przed pilotem i widzi się tylko otwartą przestrzeń, ma się uczucie, że ten pilot niesie człowieka na otwartej dłoni, jak dżin niósł księcia Alego, i że skrzydła samolotu są jego własnymi skrzydłami. Wylądowaliśmy na farmie naszych przyjaciół w Naiwaszy. Gdy zbliżaliśmy się ku ziemi, małe śmieszne domki i otaczające je małe drzewka padały przed nami plackiem.

Jeżeli nie mieliśmy czasu na dłuższe wyprawy, Denys zabierał mnie na krótkie loty nad górami Ngong zwykle o zachodzie słońca. Góry Ngong należą do najpiękniejszych na świecie. Ale najładniej wyglądają widziane z powietrza, gdy grzbiet, nagi w okolicy szczytów, wznosi się razem z samolotem albo nagle opada i rozpląszcza się w niewielki trawnik.

W tych górach żyją bawoły. Przyznam się nawet do tego, że za młodych lat, kiedy nie mogłam się powstrzymać od upolowania przynajmniej po jednej sztuce z wszystkich odmian afrykańskiej zwierzyny, zastrzeliłam tam jednego byka. Później, kiedy minął mi zapal do strzelania i wolałam obserwować dzikie zwierzęta, chodziłam w góry tylko po to, aby patrzeć na bawoły. Obozowałam przy źródle w połowie drogi na szczyt, tam boye zanosili namioty i żywność. Wstawaliśmy z Farahem przed świtem, aby w chłodny poranek przedzierać się przez busz i wysoką trawę w nadziei ujrzenia stada. Dwa razy musiałam wrócić bez powodzenia. Świadomość, że miałam na zachód od siebie takich sąsiadów, dodawała wartości życiu na farmie. Byli to jednak poważni sąsiedzi, wystarczający sami sobie, stara arystokracja gór teraz dość przerzedzona, niewiele wymagająca.

Pewnego jednak popołudnia, gdy na trawniku przed domem podejmowałam herbatą kilkoro przyjaciół, przyleciał z Nairobi Denys i poszybował nad naszymi głowami w kierunku zachodnim. Chwilę później wrócił i wylądował na farmie. Pojechałam z lady Delamere, aby go przywieźć z równiny, on jednak nie chciał nawet wysiąść z maszyny.

– W górach pasą się bawoły – powiedział – leć ze mną zobaczyć.

- Nie mogę – odpowiedziałam – mam w domu gości na herbacie.
- Ale będziemy z powrotem za kwadrans – nalegał.

To brzmiało jak propozycja, którą się słyszy tylko w sennych marzeniach. Lady Delamere nie zносиła latania, więc ja wsiadłam do samolotu. Lecieliśmy w słońcu, ale zbocze góry leżało skryte w przezroczystym, brązowym cieniu, a wkrótce i my wpadliśmy w jego zasięg. Znalazienie bawołów nie zabrało wiele czasu. Na jednej z długich, zaokrąglonych krawędzi, które biegną obok siebie jak fałdy sukna zebranego razem na obu końcach i opadają w dół ku podnóżu gór, pasło się stado złożone z dwudziestu siedmiu sztuk. Najpierw zobaczyliśmy je z takiej wysokości, że przypominały myszy łązące po podłodze. Potem samolot dał nurka w dół i krążyliśmy nad nimi na wysokości pięćdziesięciu metrów, na odległość strzału. Mogliśmy je wtedy policzyć. Stado składało się, oprócz krów, z jednego bardzo starego, czarnego i bardzo dużego byka, dwu młodych byków i kilku cieląt. Płat murawy, na którym się pasły, otoczony był buszem. Gdyby ktoś zbliżał się po ziemi, natychmiast usłyszałyby go lub poczuły, nie oczekiwały jednak, wizyty z powietrza. Ciągłe krążyliśmy nad nimi. Słyszały warkot maszyny i przestawały szczypać trawę, lecz nie wpadły na to, aby spojrzeć w górę. W końcu pojęły, że dzieje się coś niezwykłego. Stary byk wyszedł przed stado i zaparłszy się mocno nogami w ziemię nastawił potężne rogi, gotów na przyjęcie nieprzyjaciela. Potem nagle pobiegł w dół zbocza, najpierw truchtem, później galopem. Całe stado ruszyło w jego ślady, pędząc na łeb na szyję. Gdy zwierzęta wpadły w busz, ślad ich znaczył tuman kurzu i latające kamyki w powietrzu. W gąszczu bawoły stanęły zbite w gromadę, a z góry wyglądało to jak ścieżka na zboczu wybrukowana ciemnoszarymi kamieniami. Sądziły, że busz zakrywał je przed okiem intruza. Nikt na ziemi rzeczywiście nie mógłby ich dostrzec, nie potrafiły jednak skryć się przed oczyma obserwującymi je z lotu ptaka. Wzbiliśmy się w górę i odlecieliśmy z powrotem. Miałam takie uczucie, jakbym się dostała do serca gór Ngong jakąś tajemną, nikomu nie znaną drogą.

W górach Ngong żyła też para orłów. Czasami Denys proponował po południu: „Złożmy wizytę orłom”. Kiedyś widziałam orła siedzącego na kamieniu pod szczytem góry i zrywającego się do lotu, zwykle jednak ptaki te widywaliśmy w powietrzu. Wiele razy ścigaliśmy któregoś z nich, przewracając się na boki i kładąc na skrzydła, ale bystrookie ptaki igrały z nami. Raz, gdy lecieliśmy równolegle z jednym orłem, Denys wyłączył motor. Wtedy usłyszałam wrzask ptaka.

Mogłam przypuszczać, że tubylcy lubią samolot, przez pewien czas panowała nawet moda rysowania go, tak że na kawałkach papieru albo nawet wprost na ścianach kuchni pojawiały się portrety maszyn z doskonale skopiowanymi literami ABAK. W rzeczywistości jednak nie interesowali się ani maszyną, ani naszym lataniem.

Mieszkańcy Afryki nie cierpią szybkości, tak jak my nie cierpimy hałasu. Jeżeli są do tego zmuszeni, znoszą szybkość bardzo źle. Nie przychodzą im do głowy takie pomysły, jak urozmaicenie lub zabijanie czasu, bo żyją z nim w najlepszej zgodzie. W rzeczywistości są tym szczęśliwsi, im więcej mają tego czasu. Jeżeli ktoś idzie odwiedzić znajomych i da Kikujusowi do potrzymania konia, to z jego twarzy może wyczytać, że tamten spodziewa się, iż wizyta potrwa bardzo długo. Kikujus nie stara się wtedy skrócić sobie czasu, lecz siada i czeka.

Również maszyny i mechanika nie znajdują uznania wśród mieszkańców Afryki. Część młodego pokolenia dzieli wprawdzie z Europejczykami entuzjazm dla samochodów, ale pewien stary Kikujus powiedział mi o tych zapaleńcach, że młodo umrą. Być może miał rację, renegaci zawsze rekrutują się ze słabszych odłamów narodu. Do podziwianych i uznawanych zdobywcy cywilizacji należą zapałki, rowery i broń palna, lecz i te rzeczy schodzą na drugi plan, gdy tylko jest mowa o krowach.

Frank Greswolde – Williams z Kedong Valley wziął ze sobą do Anglii młodego Masaja w

charakterze stajennego. Opowiadał mi potem, że tydzień po przybyciu ów Masaj jeździł po Hyde Parku jak rodowity londyńczyk. Gdy po powrocie tego młodego człowieka do Afryki spytałam go, co mu się najbardziej podobało w Anglii, długo z poważną miną dumał nad moim pytaniem, potem uprzejmie odpowiedział, że biali ludzie mają bardzo ładne mosty.

Nie spotkałam ani jednego starego Afrykanina, który nie wyrażałby braku zaufania i nie zdradzał pewnego zażenowania wobec rzeczy poruszających się o własnej sile, bez widocznego udziału człowieka lub sił natury. Umysł ludzi odwraca się od czarów jak czegoś niegodnego. Może być zmuszony do zainteresowania się skutkami tych czarów, lecz nie chce mieć nic wspólnego z wewnętrznym mechanizmem. Nikt przecież nie potrafił jeszcze wydusić z czarownicy dokładnego przepisu na jej mikstury.

Pewnego razu gdy wylądowaliśmy na równinie obok farmy, podszedł do nas stary Kikujus.

– Byliście dziś bardzo wysoko – powiedział. – Nie mogliśmy was dojrzeć, słyszeliśmy tylko aeroplan, który brzęczał jak pszczoła.

Przytaknąłem, że byliśmy wysoko.

– A widzieliście Boga? – zapytał stary.

– Nie, Ndwetti – odparłam – nie widzieliśmy Boga.

– O, w takim razie nie byliście dosyć wysoko – odparł Ndwetti. – Ale powiedz mi: czy myślisz, że możecie polecieć tak wysoko, aby go zobaczyć?

– Nie wiem, Ndwetti – przyznałam się otwarcie.

– A co myśli Bedar? – indagował stary dalej zwracając się do Denysa. – Czy polecisz kiedyś w swoim aeroplanie tak wysoko, żeby zobaczyć Boga?

– Doprawdy nie wiem – odrzekł Denys.

– W takim razie – zakończył rozmowę Ndwetti – w ogóle nie rozumiem, po co wy dwoje ciągle latacie.

Z NOTATNIKA EMIGRANTA

Dzikię pomaga dzikiemu

Mój administrator zajmował się w czasie wojny skupem wołów na potrzeby wojska. Opowiadał mi, że w rezerwacie Masajów kupił raz pewną liczbę młodych wołów, które stanowiły potomstwo domowego bydła Masajów i dzikich bawołów. Gorąco dyskutuje się na temat możliwości krzyżowania zwierząt domowych z dzikimi. Podobno usiłowano przez skrzyżowanie zebr z końmi wyhodować typ małego konia przystosowanego do afrykańskich warunków. Nigdy takiej krzyżówki nie widziałam. Mój administrator zapewniał mnie jednak, że te kupione woły były naprawdę półkrwi bawołami. Masaje powiedzieli mu, że dorastały znacznie dłużej niż zwykle bydło. Ci sami Masaje, chociaż z dumą mówili o swym sukcesie hodowlanym, chętnie pozbyli się owych wołów, bo okazały się bardzo dzikie.

Wkrótce potwierdziło się, że przyuczenie kupionych zwierząt do wozu lub pługą wymagało ciężkiej pracy. Szczególnie jeden młody wół sprawiał memu administratorowi i miejscowym poganiaczom nie kończące się kłopoty. Rzucił się na nich, zrywał jarzmo, pieniał się i ryczał. Przywiązany, wyrzucał kopytami chmury ziemi, oczy miał przekrwione i jak mówili świadkowie, krew ciekła mu z nozdrzy. Pod koniec zmagañ człowiek, podobnie jak wół, był śmiertelnie zmęczony i zlany potem.

– Aby go ostatecznie poskromić – opowiada administrator – kazałem go umieścić w zagrodzie dla byków z wszystkimi czterema nogami mocno związanymi razem i z pyskiem skrzepowanym rzemieniem. Ale nawet wtedy, gdy leżał obezwładniony na ziemi, z nozdrzy buchały mu kłęby pary, a z gardzieli wydobywało się przeraźliwe parskanie i sapanie. Spodziewałem się, że przez wiele lat wół pochodzi w jarzmie. Nawet w nocy śnił mi się ten czarny potwór. Obudziło mnie zamieszanie, ujadanie psów i wrzaski poganiaczy przy zagrodzie. Dwu trzęsących się ze strachu pastuchów wpadło do mego namiotu z wiadomością, że lew dostał się między woły. Pobiegliśmy tam z latarniami, a ja zabrałem sztucer. Gdy zbliżyliśmy się do zagrody dla byków, hałas uspokoił się nieco. W świetle latarni dojrzałem uciekający cętkowany kształt. To lampart był przy związanym zwierzęciu i obzarił mu prawą tylną nogę. Nadzieja ujrzenia wołu w jarzmie okazała się przedwczesna. Wobec tego – zakończył administrator – zrobiłem użytek ze sztucera i zastrzeliłem go.

Świetliki

Gdy w pierwszym tygodniu czerwca kończy się pora deszczowa, nastają chłodne noce, a w lasach na płaskowyżu pojawiają się świetliki.

Pewnego wieczora można zobaczyć dwa lub trzy, unoszące się w czystym powietrzu jak awanturnicze, samotne gwiazdki. Wzbijają się w górę i opadają – zda się, że unosi je fala lub że składają głębokie dworskie ukłony. W rytmie lotu zapalają i gaszą swe miniaturowe lampki. Można schwytać owada i trzymać na dłoni. Wydaje wtedy dziwne i tajemnicze światło, zabarwiające na bladozielono niewielki krąg skóry. Następnej nocy świetliki pojawiają się w lasach setkami.

Latają zawsze na jednakowej wysokości, nieco ponad metr nad ziemią. Trudno się wtedy

oprzeć wyobraźni, która chce widzieć gromadę sześć – lub siedmioletnich dzieci biegnących przez las ze świeczkami albo małymi patyczkami umaczanymi w magicznym ogniu. Dzieci wesoło podskakują w biegu, fikają, wymachują radośnie małymi pochodniami. Las wypełnia się dzikim figlarnym tańcem, a wszystko odbywa się w absolutnym milczeniu.

Drogi życia

Gdy byłam dzieckiem, pokazano mi kiedyś obrazek – ruchomy obrazek, ponieważ rysowano mi go przed oczyma, podczas gdy rysownik opowiadał historyjkę. Opowiadał ją zawsze tymi samymi słowami.

W małym okrągłym domku z okrągłym okienkiem i trójkątnym ogródkiem od frontu mieszkał pewien człowiek.

Nieopodal domku znajdował się staw z mnóstwem ryb.

Pewnej nocy człowieka obudził potworny hałas, wyruszył więc w ciemności, chcąc odkryć jego przyczynę. Udał się drogą w kierunku stawu.

W tym miejscu opowiadający zaczynał rysować, niczym ruchy wojsk na mapie, plan dróg, którymi poruszał się ten człowiek. Najpierw pobiegł na południe. Potknął się o duży kamień pośrodku drogi, a nieco dalej wpadł do rowu, podniósł się, wpadł do rowu, podniósł się, wpadł do trzeciego rowu i wydostał się z niego. Zorientował się wówczas, że był w błędzie, pobiegł więc z powrotem na północ. Tu znów wydało mu się, że hałas dobiega z południa, toteż znowu pobiegł w tym kierunku. Najpierw potknął się o duży kamień pośrodku drogi, a zaraz potem wpadł do rowu, podniósł się, wpadł do następnego rowu, podniósł się, wpadł do trzeciego i wydostał się z niego.

Usłyszał teraz wyraźnie, że hałas dobiega od krańca stawu. Pobiegł tam i spostrzegł, że w tamie powstała duża dziura, którą wypływała woda, a z nią ryby. Wziął się do pracy i zatkał dziurę. Dopiero gdy skończył, wrócił i położył się do łóżka.

Rano, gdy wyjrzał przez okrągłe okienko – tu opowieść kończyła się dramatycznym akcentem – cóż zobaczył? Bociana!

Cieszę się, że opowiedziano mi tę historyjkę, którą będę pamiętać w godzinie próby. Człowiek z opowieści został okrutnie oszukany, przeciwności piętrzyły się przed nim. Pomyślał zapewne: – Co za wzloty i upadki! Co za pech! – Dziwił się zapewne, co kryło się za tym wystawianiem go na próby, nie mógł bowiem wiedzieć, że bocian. Wszakże podczas tych prób stałe pamiętał o swym celu i nic nie mogło go zmusić, by zawrócił i poszedł do domu. Zakończył dzieło, zachował wiarę. Człowiek ten otrzymał nagrodę. Rano ujrzał bociana. Zapewne się wówczas głośno roześmiał.

To ciasne miejsce, ta ciemna studnia, w której się teraz znajduję – to szpon jakiego ptaka? Gdy wypełni się plan mojego życia, czy ujrzę, czy inni ludzie ujrzą bociana?

Infandum, regina, jubes renovare dolorem. Troja w płomieniach, siedem lat wygnania, trzynaście straconych okrętów. Co z tego wyniknie? „Niedościgną elegancja, majestatyczna okazałość i słodka czułość”.

Dziwicie się czytając drugi artykuł wiary Kościoła chrześcijańskiego: że był ukrzyżowany, umarł i został złożony w grobie, że zstąpił do piekła, a także powstał z martwych trzeciego dnia, że wstąpił do nieba, skąd znowu przyjdzie.

Co za wzloty i upadki, równie straszliwe jak tego człowieka z opowieści. Co z tego wynika? – Drugi artykuł wiary wyznawanej przez połowę świata.

Historia Ezy

Podczas wojny miałam kucharza imieniem Eza, starego człowieka, mądrego i łagodnego. Gdy raz załatwiałam sprawunki w sklepie Mackinnona w Nairobi, kupując herbatę i korzenie, podeszła do mnie jakaś starsza pani z ostrym wyrazem twarzy i oświadczyła:

– Wiem, że Eza pracuje u pani.

Odpowiedziałam, że rzeczywiście pracuje u mnie.

– Ale przedtem pracował u mnie – oświadczyła ta pani – i chcę go mieć z powrotem.

Odparłam, że bardzo mi przykro, ale to niemożliwe.

– O, nie jestem taka pewna, czy zupełnie niemożliwe – zaperzyła się ta pani. – Mój mąż jest na wysokim stanowisku. Gdy pani wróci do domu, proszę łaskawie powiedzieć Ezie, że chcę go mieć u siebie i jeżeli nie wróci, to zostanie wcielony do Korpusu Tragarzy. O ile wiem, pani ma dosyć służby poza Ezą.

Nie od razu powiedziałam Ezie o tym wydarzeniu. Dopiero następnego wieczora przypomniałam sobie rozmowę w sklepie, opowiedziałam mu więc o spotkaniu z jego dawną chlebodawczynią i powtórzyłam jej słowa. Ku memu zdziwieniu Eza wpadł w strach i skrajną rozpacz.

– O, dlaczego mi tego zaraz nie powiedziałaś, Memsahib? – narzekał. – Tamta pani zrobi to, co zapowiedziała, muszę zaraz odejść.

– To nonsens – uspokajałam go. – Przecież nie mogą cię zabrać w ten sposób.

– Niech mnie Bóg strzeże – zawodził dalej Eza – ale obawiam się, że jest już za późno.

– A kto będzie u mnie kucharzem? – spytałam.

– Nie będę tutaj kucharzem ani wtedy, kiedy się znajdę w Korpusie Tragarzy, ani wtedy, kiedy umrę, co na pewno szybko nastąpi.

Ludność tak panicznie obawiała się wtedy Korpusu Tragarzy, iż Eza nie chciał w ogóle słuchać moich słów. Poprosił mnie o pożyczanie latarni, spakował swe nieliczne rzeczy w tłumoczek i nocą ruszył do Nairobi.

Blisko rok nie było go na farmie. Przez ten czas widziałam go kilka razy w Nairobi, raz minęłam go na gościńcu. Postarzał się, twarz mu się ściągnęła, czubek okrągłej, czarnej głowy przyprószyła mu siwizna. W mieście nie przystanął, żeby ze mną rozmawiać, gdy go jednak zobaczyłam na drodze i zatrzymałam samochód, zdjął z głowy niesiony koszyk z drobiem i rozpoczął pogawędkę.

Miał ten sam łagodny sposób bycia co dawniej, mimo to jednak zmienił się i trudno mi przyszło nawiązać z nim kontakt. Podczas całej rozmowy sprawiał wrażenie człowieka nieobecnego duchem. Los dał mu się we znaki i napędził mu śmiertelnego strachu, musiał więc sięgnąć po nie znane mi środki i dzięki temu zdołał się oczyścić. Romowa z nim przypominała mi rozmowę ze starym znajomym, który rozpoczął nowicjat w klasztorze.

Wypytywał mnie o nowiny z farmy, przy czym w sposób typowy dla wszystkich miejscowych służących z góry zakładał, że podczas jego nieobecności wszyscy jego koledzy zachowywali się wobec mnie jak najgorzej.

– A kiedy skończy się wojna? – spytał później. Powiedziałam, że według krążących wiadomości nie po trwa już długo.

– Jeżeli potrwa jeszcze dziesięć lat – oświadczył mi poważnie – to musisz wiedzieć, że zapomnę, jak przyrządza się te potrawy, których mnie uczyłaś.

Myśli starego Kikujusa biegły tym samym torem, co żale Brillat-Savarina^[19], który powiedział, że jeżeli rewolucja potrwa jeszcze pięć lat, zaginie sztuka przyrządzania potrawki z kury.

Nie wątpiłam, że Eza smucił się tylko ze względu na mnie, aby więc zakończyć jego współczującą tyradę, zapytałam, jak mu się wiedzie. Stary dumał nad moim pytaniem całą minutę, widocznie musiał zebrać rozproszone myśli.

[19] Brillat-Savarin, francuski gastronom na przełomie XVIII i XIX w.

– Czy pamiętasz, Memsahib – odpowiedział w końcu – jak raz powiedziałaś, iż wołom hinduskich sprzedawców opaku jest bardzo ciężko, bo dzień w dzień chodzą w jarzmie i nigdy nie mają całodziennego wypoczynku jak woły na farmie? Teraz, u tej pani, ja jestem takim hinduskim wołem.

Eza patrzył w bok i mówił to takim tonem, jakby się usprawiedliwiał. Tubylcy mają niewiele uczucia dla zwierząt i prawdopodobnie moją uwagę o hinduskich wołach i on dawniej uważał za przesadę. Sam nie mógł teraz zrozumieć i nadziwić się, że stosuje moje słowa do siebie.

W czasie wojny bardzo się irytowałam, że mały i zawsze senny cenzor w Nairobi, Szwed z pochodzenia, otwierał wszystkie listy, które pisałam lub otrzymywałam. Nigdy nie mógł w nich znaleźć niczego podejrzanego, mam jednak wrażenie, że monotonne życie skłaniało go do interesowania się cudzymi sprawami, dlatego czytał moją korespondencję jak odcinki opowiadania w jakimś piśmie. Zamieszczałam zawsze w swoich listach kilka pogroźek pod adresem cenzora, które miały się spełnić po zakończeniu wojny. On je oczywiście czytał. Czy je zapamiętał, czy też ruszyło go sumienie i żałował swego postępowania, dość na tym, że przysłał na farmę specjalnego gońca z wiadomością o zawieszeniu broni. Gdy goniec przybył, byłam sama w domu; zaraz poszłam do lasu. Panowała tam cisza i dziwne uczucie wywoływała myśl, że teraz taka sama cisza jest na frontach we Francji i Flandrii, że tam umilkły działa. Cisza zbliżyła do siebie Europę i Afrykę; wydawało się, że leśną ścieżką można dojść wprost do wzgórza Vimy, gdzie jeszcze wczoraj szalała bitwa. Powróciwszy do domu zobaczyłam jakąś dziwną postać stojącą pod ścianą. Był to Eza z tobołkiem. Oświadczył, że wrócił i przyniósł mi prezent.

Prezent okazał się oprawionym obrazem, za szkłem, przedstawiającym bardzo dokładnie wyrysowane piórkiem drzewo z wyraźnie uwidocznionymi jaskrawozielonymi liśćmi. Na każdym liściu, a były ich setki, widniało słowo wypisane po arabsku czerwonym atramentem bardzo małutkimi literami. Przypuszczam, że słowa te pochodziły z Koranu, ale Eza nie potrafił mi ich objaśnić. Bez przerwy wycierał szkło rękawem i zapewniał mnie, że to jest bardzo dobry prezent. W czasie tego smutnego roku zamówił obraz u starego mahometańskiego duchownego w Nairobi, który na pewno stracił wiele czasu na jego wykonanie.

Eza pozostał u mnie aż do śmierci.

Legwan

W rezerwacie Kikujusów natknęłam się kilka razy na legwany, duże jaszczurki wylegające się na słońcu na płaskich kamieniach, w wyschłym korycie rzeki. Nie miały pięknych kształtów, lecz trudno wyobrazić sobie coś piękniejszego od ich zabarwienia. Błyszczą jak góra drogich kamieni albo witraż w starym kościele. Gdy uciekają przy zbliżaniu się człowieka, na kamieniach zjawiają się smugi lazuru, zieleni i purpury. Zda się, że barwy zostają w powietrzu jak świetlny ogon komety.

Pewnego razu zastrzeliłam legwana, bo myślałam, że ze skóry da się zrobić jakieś ładne drobiazgi. Wtedy zdarzyła się dziwna rzecz, której nigdy nie zapomnę. Gdy podchodziłam do martwego gada leżącego na kamieniu, a właściwie gdy robiłam kilka kroków w tym kierunku, legwan zbladł i wszystkie kolory znikły jakby za jednym wydechem. Kiedy go dotknęłam, był już szary i matowy niczym bryła betonu. To żywa krew pulsująca w ciele zwierzęcia emanowała ów żar i blask. Gdy ogień wygasł i dusza uleciała, legwan upodobił się do worka piasku.

Od tego czasu jeszcze kilkakrotnie polowałam na legwany i zawsze przypominałam sobie tego w rezerwacie. Raz zobaczyłam w Meru młodą dziewczynę z bransoletą, na ramieniu –

skórzanym paskiem szerokości pięciu centymetrów, gęsto wyszywanym turkusowymi koralikami, które mieniły się kilku odcieniami: zielonym, jasnoniebieskim i ultramaryną. Bransoleta zdawała się żyć i oddychać na ramieniu dziewczyny, zapragnęłam jej więc dla siebie i posłałam Faraha, aby mija kupił. Zaledwie jednak znalazła się na moim ramieniu, wyzionęła ducha. Stanowiła tylko małe, tanie, galanteryjne świecidełko. Swoje życie zawdzięczała bowiem grze kolorów, duetowi turkusa i żywej, ciepłej, brązowoczarnej skóry.

W Muzeum Zoologicznym w Pietermaritzburgu widziałam taką samą kombinację kolorów, która jednak przeżyła śmierć: na wypchanej rybie głębinowej znajdującej się w muzealnej gablotce. Zastanawiałam się, jakież to życie musi być w tej głębinie, jeżeli potrafi nam dostarczyć coś tak trwałego. Stojąc w Meru patrzyłam na swoje blade ramię i na martwą bransoletkę z takim uczuciem, jakby krzywdę wyrządzono czemuś szlachetnemu, jakby zatajono prawdę. Wydawało mi się to takie smutne, że przypominałam sobie powiedzenie bohatera pewnej książki, którą czytałam jako dziecko: „Pokonałem wszystkich, lecz stoję wśród grobów”.

W obcym kraju, w obliczu obcych form życia każdy musi starać się wy badać, czy różne rzeczy zachowują swoją wartość również po śmierci. Osadnikom w Afryce dają dobrą radę: ze względu na swe oczy i swe serca nie strzelajcie do legwanów.

Farah i „Kupiec wenecki”

Pewnego razu dostałam list od przyjaciela, który mi opisywał nową inscenizację *Kupca weneckiego*. Gdy wieczorem ponownie czytałam ten list, sztuka stanęła mi przed oczyma jak żywa i zdawała się wypełniać cały dom do tego stopnia, iż zawołałam Faraha, aby z nim o tym porozmawiać i zapoznać go z treścią komedii.

Jak wszyscy mieszkańcy Afryki, Farah lubił słuchać opowiadań, lecz tylko wtedy, gdy był pewien, że jesteśmy sami w domu. Skoro więc inni boye poszli już do swoich chat, a przypadkowy przechodzień, gdyby zajrzał w okno, byłby przekonany, że dyskutujemy o sprawach gospodarskich, opowiedziałam Farahowi sztukę. Słuchał stojąc nieruchomo przy drugim końcu stołu z oczyma utkwionymi w mojej twarzy.

Bardzo go interesowały sprawy Antonia, Bassania i Shylocka. Oto był wielki, zawiły interes na pograniczu prawa i bezprawia, coś bardzo przemawiającego do serca Somalijczyka. Zadał kilka pytań dotyczących klauzuli funta mięsa. Wydawało mu się to sprawą dość ekscentryczną, lecz wcale nie wykluczoną; mężczyźni miewają czasem takie pomysły. Ponieważ w tym miejscu historia zaczynała pachnąć krwią, zainteresowanie Faraha wzrosło. Gdy na scenę wyszła Porcja, nadstawił uszu; wyobrażałam sobie, że widział ją jako kobietę ze swego plemienia, jakąś przebiegłą Fatimę gotową przechytrzyć mężczyzn. Mieszkańcy Afryki nie stoją po stronie tych lub tamtych bohaterów opowiadania, interesuje ich głównie pomysłowość intrygi. Somalijczycy, którzy w prawdziwym życiu mają wysokie poczucie wartości i skłonność do moralizatorstwa, w swoich opowiadaniach nie trzymają się tych zasad. W tym jednak wypadku sympatia Faraha była po stronie Shylocka, który musiał wyłożyć gotowiznę. Nie mógł się pogodzić z jego porażką.

– Jakżeż to? – oponował. – Czy Żyd dał za wygraną? Nie powinien. Należało mu się mięso, wcale niewiele za taką masę pieniędzy.

– Ale cóż miał uczynić – spytałam – skoro nie wolno mu było wytoczyć ani kropli krwi?

– Memsahib – odpowiedział Farah – mógł użyć noża rozpalonego do czerwoności. Wtedy krew nie idzie.

– Lecz poza tym nie mógł wziąć ani więcej, ani mniej niż funt – przypominałam.

– A czy to aż takie trudne, żeby kogoś odstraszyć, w do datku Żyda? – upierał się Farah. Mógł krajać po kawałeczku, trzymając w drugiej ręce wagę, aż miałyby dokładnie funt. Czy

ten Żyd nie miał przyjaciół, którzy by mu doradzili?

Wszyscy Somalijscy mają w wyrazie twarzy coś bardzo dramatycznego. Zmieniając tylko trochę sposób zachowania się i postawę Farah przybrał groźną minę, jakby naprawdę był w weneckim trybunale i w obliczu tłumu przyjaciół Antonia dodawał ducha swemu przyjacielowi lub wspólnikowi Shylockowi. Jego oczy mierzyły od stóp do głów postać kupca stojącego przed nim z obnażoną piersią, gotową na uderzenie noża.

– Mógł odkrawać małe kawałeczki, bardzo małe – oświadczył. – Jeszcze zanimby uzbierał małą część ze swego funta mięsa, mógł temu człowiekowi dobrze dać się we znaki.

– Lecz w tej historii Żyd dał za wygraną – powie działam.

– Tak, ale to wielka szkoda, Memsahib – zakończył Farah.

Elita miasta Bournemouth

Pewien mój sąsiad praktykował w Anglii jako lekarz. Gdy raz żonie jednego z moich boyów groziła śmierć przy porodzie, a nie mogłam posłać do Nairobi z powodu uszkodzenia drogi przez deszcze, napisałam do tego sąsiada z prośbą o wyświadczenie mi tej wielkiej przysługi i odwiedzenie chorej. Sąsiad okazał się bardzo uprzejmy, przyjechał w ulewny deszcz i szalejącą burzę i dzięki swej biegłości uratował w ostatnim momencie życie kobiety i dziecka.

Później napisał mi list, aby mi zakomunikować, że chociaż na moją prośbę tym razem zajął się chorym tubylcem, muszę zrozumieć, iż takie rzeczy nie mogą się powtórzyć. Był przekonany, jak pisał, że sama najlepiej zrozumiem jego stanowisko, jeżeli mi wyjaśni, iż przed przybyciem do Kenii miał praktykę wśród elity miasta Bournemouth.

O dumie

Sąsiedztwo rezerwatu dzikich zwierząt i obecność dużych zwierząt tuż za granicami naszej farmy przydawały jej szczególnego charakteru, jak gdybyśmy byli sąsiadami wielkiego króla. Obok nas działały się dumne rzeczy i odczuwaliśmy ich bliskość.

Barbarzyńca kocha swą własną dumę i nienawidzi dumy innych lub jej nie dowierza. Chcę być osobą cywilizowaną, będę kochać dumę swoich przeciwników, moich służących i mojego kochanka. Mój dom będzie na pustkowiu, na skromną miarę, miejscem cywilizowanym.

Duma to wiara w myśl Boga w momencie, gdy nas stwarzał. Dumny człowiek ma jej świadomość i stara się ją wcielić w życie. Nie dąży do szczęścia czy wygody, które mogą nie mieć żadnego związku z myślą Boga jego dotyczącą. Jego sukcesem jest wypełnienie myśli Boga, kocha on swe przeznaczenie. O ile dobry obywatel znajduje szczęście w wypełnianiu obowiązku względem społeczności, o tyle dumny człowiek może znaleźć szczęście w wypełnianiu swego losu.

Ludzie pozbawieni dumy nie są świadomi myśli bożej, która ich stworzyła. Czasem może wątpią, czy w ogóle taka myśl kiedyś istniała. A może gdzieś się zgubiła? I czy ktoś ją teraz odnajdzie? Ludzie tacy muszą uznać za sukces to, co inni za sukces uważają, i brać swe szczęście, a nawet samych siebie, tak jak inni im dyktują. Całkiem słusznie zatem ich własny los napełnia ich lękiem.

Kochaj dumę Boga nade wszystko, a dumę twego sąsiada jak swoją własną. Dumę lwów – nie zamykaj ich w zoo. Dumę twoich psów – nie pozwalaj im się utuczyć.

Kochaj dumę twych stronników i nie pozwalaj im rozczulać się nad sobą.

Kochaj dumę podbitych narodów i daj im szanować ojca i matkę.

Woły

W sobotnie popołudnie na farmie nastawał błogosławiony czas. Po pierwsze nie spodziewaliśmy się poczty aż do popołudnia w poniedziałek, a więc do tego czasu byliśmy wolni od uprzykrzonej korespondencji w sprawach interesów. Już to samo zdawało się tworzyć z farmy fortecę. Po drugie wszyscy oczekiwali niedzieli, kiedy mogli odpoczywać lub bawić się przez cały dzień; skwaterzy mogli pracować na własnych polach. Mnie w sobotę najbardziej cieszyła myśl o wołach. O szóstej, kiedy wracały po dziennej pracy i kilkugodzinnym pobycie na pastwisku, chodziłam do ich zagrody. Myślałam o tym, że nazajutrz nie będą robić nic innego, tylko cały dzień szczypać trawę.

Mieliśmy na farmie sto trzydzieści dwa woły, to znaczy osiem zaprzęgów i kilka sztuk zapasowych. W złocistym pyłe zachodzącego słońca woły wracały do domu długim sznurem, krocząc spokojnie, bo wszystko robiły zawsze spokojnie. Ja też spokojnie siedziałam na ogrodzeniu paląc papierosa. Oto szły: Nyose, Nfugu i Faru, a za nimi Msungu, co znaczy „biały człowiek”. Poganiacze często nadają wołom imiona białych, na przykład Delamere jest pospolitym imieniem tych zwierząt. Oto szedł Malinda, wielki, żółtawy wół, którego najbardziej lubiłam z całego stada; miał skórę znaczoną dziwnymi figurami, jakby rozgwiazdami, i prawdopodobnie stąd wiodło się jego imię, gdyż malinda znaczy spódnica.

Jak w krajach cywilizowanych wszyscy mają nieczyste sumienie z powodu slumsów i na myśl o nich czują się nieswojo, tak w Afryce ma się nieczyste sumienie i odczuwa się jego wyrzuty na myśl o wołach. Mój stosunek do wołów na farmie układał się jednak tak, jak według mnie układa się stosunek króla do slumsów: „Ty jesteś mną, a ja jestem tobą”.

Woły niosły ciężki ładunek pochodzący europejskiej cywilizacji w Afryce. Gdziekolwiek zaorywano nowe pola, czyniły to woły słysząc nad sobą świst długich batów, grzęznąc po kolana w ziemi, po której ciągnęły pługi. Gdziekolwiek budowano drogi, budowały je woły. A zanim jeszcze przystąpiono do budowy drogi, woły mozoliły się nad przetransportowaniem żelaza i narzędzi po pyłach pokrytych szlakach i po trawiastych równinach; bezustannie słyszały pokrzykiwanie woźniców. Zaprzęgano je przed świtem, pociły się w jarzmach przez cały dzień, krocząc pod górę i z góry po długich wzniesieniach, przez bagna i koryta rzek. Razy batów poznały im boki, często też można było zobaczyć wołu z jednym lub obu oczyma wybitymi końcem rzemienia. U wielu hinduskich i białych przedsiębiorców woły pracowały dzień w dzień, przez całe swoje życie nie znając odpoczynku.

Dziwną rzecz zrobiliśmy z wołami. Byk jest ciągle w stanie furii, przewraca ślepiami, bije kopytami, drażni go wszystko, co znajdzie się w zasięgu jego wzroku – a jednak ma swe własne życie, ogień bucha mu z nozdrzy, a nowe życie rodzi się z jego lędźwi; ma dni wypełnione pożądaniem i jego zaspokajaniem. To wszystko odebraliśmy wołom, a w nagrodę dostosowaliśmy ich byt do własnych celów. Woły towarzyszą nam w życiu codziennym, bez przerwy ciężko pracując, stworzenia bez własnego życia, przedmioty na nasz użytek. Mają wilgotne, przezrocyste, fiołkowe oczy, miękkie pyski, jedwabiste uszy, są cierpliwe i zawsze łagodne. Czasami wyglądają tak, jakby myślały.

W moich czasach obowiązywał przepis zakazujący używania na drogach wozów bez hamulców. Woźnice mieli obowiązek zakładania hamulców na każdej drodze opadającej w dół. Nie przestrzegano jednak tego prawa; połowa „wozów kursujących po drogach nie miała żadnych hamulców; gdy zaś były hamulce, rzadko ich używano. Z tego powodu droga w dół strasznie dawała się wołom we znaki. Musiały własnymi ciałami podtrzymywać ciężar załadowanego wozu, z wysiłku tak przechylały łby do tyłu, że rogami dotykały garbów na grzbietach; boki rozdymały im się przy tym jak miechy. Wielokrotnie widywałam na drodze

do Nairobi całe karawany wozów handlarzy drzewa jadące jeden za drugim jak długie gąsienice. Na prowadzącym w dół stoku w rezerwacie leśnym wozy nabierały rozpędu, a woły biegły przed nimi w gwałtownych zygzakach. Widywałam też takie wypadki, gdy woły potykały się i padały pod ciężarem wozu.

Woły rozmyślały: Takie jest życie, takie są warunki na świecie. Ciężkie, bardzo ciężkie. Wszystko trzeba znieść, nie ma na to ratunku. Strasznie trudno sprowadzić wóz w dół drogi, jest to sprawa życia lub śmierci. Nic na to nie pomoże”.

Gdyby tłusty hinduski kupiec z Nairobi, właściciel wozu, odżałował dwie rupie i kazał naprawić hamulce albo gdyby ospały młody woźnica wpadł na pomysł zleczenia ze stosu ładunku i założenia hamulców, jeśli wóz je posiadał, byłby to ratunek i woły mogłyby spokojnie schodzić w dół po drodze. Ale woły o tym nie wiedziały i dalej, dzień po dniu, bohatercko i desperacko walczyły z warunkami życia.

Dwie rasy

Stosunki między rasą białą a czarną w Afryce pod wielu względami przypominają stosunki między płciami.

Gdyby jednej płci powiedzieć, że nie odgrywa w życiu drugiej płci większej roli niż ta druga płć w jej własnym życiu, to owa pierwsza płć czułaby się oburzona i dotknięta. Gdyby kochankowi lub mężowi powiedzieć, że w życiu żony lub kochanki nie odgrywa większej roli niż ona w jego własnym, byłby zaskoczony i oburzony. Gdyby żonie lub kochance powiedzieć, że w życiu męża lub kochanka nie odgrywa większej roli niż on w jej własnym życiu, byłaby zrozpaczona.

Tę teorię potwierdza stara, prawdziwie męska anegdota, ale przeznaczona dla kobiecych uszu. Gdy zaś zejda się kobiety i wiedzą, że żaden mężczyzna ich nie słyszy, ich rozmowa też potwierdza tę teorię.

Różne opowieści, które biali opowiadają o miejscowej służbie, rodzą się z tego samego ducha. Gdyby im powiedzieć, że w życiu tubylców odgrywają nie większą rolę niż tubylcy w ich własnym życiu, biali czuliby się obrażeni i speszeni.

Gdyby powiedzieć tubylcom, że w życiu białych nie odgrywają większej roli niż biali w ich własnym życiu, nie uwierzyliby i wyśmialiby głosiciela takiej teorii. Prawdopodobnie zaś w kotach tubylców krąży powtarzane z ust do ust historie, potwierdzające głębokie zainteresowanie białych Kikujusami i Kawirondo, jak również ich kompletną zależność od tychże Kikujusów i Kawirondo.

Safari podczas wojny

Po wybuchu wojny mój mąż i dwu Szwedów, którzy mu pomagali na farmie, zgłosili się jako ochotnicy i wyruszyli na granicę posiadłości niemieckich, gdzie lord Delamere organizował tymczasową służbę wywiadowczą. Zostałam sama na gospodarstwie. Wkrótce zaczęły krążyć pogłoski o stworzeniu obozu koncentracyjnego dla wszystkich białych kobiet, gdyż – jak sądzono – groziło im niebezpieczeństwo ze strony tubylców. Przeraziłam się na dobre i pomyślałam: „Jeżeli mam całe miesiące spędzić w obozie koncentracyjnym dla kobiet – a któż wie, jak długo potrwa wojna? – to umrę”. Kilka dni później udało mi się wyruszyć w towarzystwie pewnego młodego Szweda, naszego sąsiada, do Kijabe, stacji kolejowej na północy. Tam stanęłam na czele obozu, do którego gońcy znad granicy przynosili wiadomości przekazywane stąd telegraficznie do głównej kwatery w Nairobi.

Mój namiot stał w Kijabe blisko stacji, między stosami drzewa do lokomotyw. Ponieważ gońcy przybywali o różnych porach dnia i nocy, współpracowałam ściśle z naczelnikiem stacji, Hindusem z Goa. Był to mały, łagodny człowiek, niesłychanie spragniony wiedzy, obojętny wobec toczącej się wojny. Wypytywał mnie o mój kraj i namówił mnie do nauczania go trochę po duńsku, co w jego przekonaniu kiedyś mogło mu się bardzo przydać. Naczelnik miał dziesięcioletniego syna imieniem Wiktor. Gdy raz wchodziłam przez werandę do budynku stacyjnego, usłyszałam, jak ojciec uczył Wiktora gramatyki: „Wiktor, co to jest zaimek? Co to jest zaimek, Wiktor? Nie wiesz? Przecież mówiłem ci pięćset razy!”

Ludzie znad granicy ciągle domagali się przysłania amunicji i żywności. Od męża dostałam list z instrukcją, żeby załadować cztery wozy i posłać mu je jak najprędzej. Nie mogę jednak, ostrzegał mnie, wysyłać ich bez dozoru jakiegoś białego, bo nikt nie wie, gdzie są Niemcy, a Masaje są bardzo podnieceni wojną i w ciągłym ruchu na całym obszarze rezerwatu. Przypuszczano wówczas, że Niemcy są wszędzie, dlatego przy wielkim moście kolejowym w Kijabe trzymaliśmy posterunki w celu ochrony przed wysadzeniem w powietrze.

Do eskortowania wozów zaangażowałam młodego człowieka pochodzącego z Południowej Afryki, nazwiskiem Klapprott. Gdy jednak wozy zostały załadowane, w wigilię wyruszenia ekspedycji aresztowano go jako Niemca. Nie był Niemcem i mógł tego dowieść, wkrótce więc wyszedł z aresztu i zmienił nazwisko. Ale wówczas w tym aresztowaniu dostrzegłam palec boży, bo już nikt poza mną nie mógł eskortować wozów. Tak więc wczesnym rankiem, gdy jeszcze świeciły gwiazdy, ruszyliśmy w dół wzgórza Kijabe. Pod naszymi stopami rozpościerała się obszerna równina rezerwatu Masajów, stalowoszara w słabym świetle poranka. Lampy przyczepione do wozów kołysały się na wyboistej drodze i strzelanie z batów mąciło ciszę. Miałam cztery wozy, każdy z kompletnym zaprzęgiem szesnastu wołów, oraz pięć zapasowych zwierząt. Towarzyszyło mi dwudziestu jeden młodych Kikujusów i trzech Somalijczyków: Farah, Ismail, który nosił sztucer, i stary kucharz też imieniem Ismail pocziwy staruszek. Przy mojej nodze szedł Dusk.

Niestety, aresztując Klapprotta policja zatrzymała też jego muła. W okolicy Kijabe nie mogłam dostać innego wierzchowca, przez kilka dni musiałam więc iść piechotą po zakurzonym szlaku. Potem od człowieka spotkanego w rezerwacie kupiłam muła i siodło, a jeszcze później drugiego muła dla Faraha.

Cała wyprawa trwała trzy miesiące. Gdy przybyliśmy na miejsce przeznaczenia, wysłano nas w pobliże granicy w celu przywiezienia zapasów zostawionych przez wielką amerykańską ekspedycję myśliwską, która na wieść o wybuchu wojny porzuciła wszystko w pośpiechu. Stamtąd wozy miały pojechać na nowe miejsce. Nauczyłam się wyszukiwać brody i rozpoznawać głębie na rzekach w rezerwacie, a także mówić trochę po masajsku. Drogi były wszędzie niewiarygodnie złe, pokryte kurzem i usiane głazami większymi od wozów. Później podróżowaliśmy głównie stepem. Powietrze afrykańskiego płaskowyżu uderzało mi do głowy jak wino, zawsze byłam nim lekko odurzona. Nie potrafię opisać przyjemności, jaką mi dały te trzy miesiące. Brałam już poprzednio udział w myśliwskich safari, lecz dotąd nigdy nie byłam sama z Afrykanami.

Somalijczycy i ja, poczuwając się do odpowiedzialności za własność państwową, żyliśmy w ciągłym strachu przed atakiem lwów na nasze woły. Lwy włóczyły się po drogach w ślad trzód owiec i transportów żywności, które nieustannie ciągnęły w kierunku granicy. Co rana po ruszeniu w drogę mogliśmy na długich odcinkach obserwować świeże tropy odbite w kurzu na koleinach. W nocy, po wyprzęgnięciu wołów, zawsze istniała obawa, że lwy włóczące się wokół obozu rozgonią zwierzęta po całej równinie, tak że ich nie znajdziemy. Budowaliśmy więc wokół obozu i miejsca postoju wołów okrągłe ploty z kolczastych krzaków, sami zaś siadywaliśmy przy ogniu z bronią gotową do strzału.

Farah, Ismail, a nawet stary Ismail czuli się w tym otoczeniu tak daleko od cywilizacji, że

języki im się rozwiązały i opowiadali różne przygody ze swego ojczystego Somali, a także historie wyjęte z Koranu i z bajek *Tysiāca i jednej nocy*. Farah i Ismail pływali po morzu, bo Somalijczycy są narodem żeglarzy i w dawnych czasach, o ile wiem, uprawiali piractwo na Morzu Czerwonym. Tłumaczyli mi, że każde żywe stworzenie na lądzie ma swą replikę na dnie morza. Żyją tam konie, lwy, kobiety i żyrafy, marynarze widywali je od czasu do czasu. Opowiadali mi też bajki o żyjących na dnie somalijskich rzek koniach, które w księżycowe noce wychodzą na pastwiska i pokrywają pasące się tam klacze. Z tego rodzą się źrebięta wyjątkowo piękne i rączne. Gdy siedzieliśmy przy ognisku, nad naszymi głowami przesunęło się czarne sklepienie nieba i nowe konstelacje gwiazd ukazywały się na wschodzie. W chłodnym powietrzu wraz z dymem unosiły się długie iskry, świeże drzewo w ognisku wydzielalo kwaśną woń. Czasami któryś wół poruszył się, drepcząc i wierząc się na miejscu badał nozdrzami powietrze. Wtedy stary Ismail wdrapywał się na wierzch wyładowanego wozu i stamtąd wywijał latarnią, aby dojrzeć i odstraszyć to, co mogło być po drugiej stronie kolczastego ogrodzenia.

Z lwami mieliśmy wiele przygód. „Strzeżcie się Siawa – radził nam miejscowy kierownik napotkanego transportu idącego na północ. – Nie obozujcie tam. W Siawa jest dwieście lwów”. Staraliśmy się więc minąć Siawa przed nastaniem nocy, a to oznaczało pośpiech. Ale na safari bardziej niż gdziekolwiek indziej sprawdza się przysłowie, że co nagle to po diable. Już o zachodzie słońca koło jednego wozu uderzyło o kamień i wóz nie mógł jechać dalej. Gdy świeciłam lampą ludziom pracującym przy naprawie tego koła, lew rzucił się na jednego z zapasowych wołów i to o trzy metry ode mnie. Mój sztucer był przy pozostałych wozach, ale udało mi się odstraszyć lwa krzykami i strzelaniem z bata. Wół, który tymczasem odbiegł kawałek z lwem na grzbiecie, wrócił z powrotem, lecz tak pogryziony, że dwa dni później zdechł.

Mieliśmy też różne inne przygody. Raz jeden wół wypił cały nasz zapas nafty. Zdechł, rzecz oczywista, ale nas zostawił bez jakiegokolwiek źródła światła. Dopiero w opuszczonym hinduskim sklepie, gdzie dziwnym cudem niektóre towary pozostały nie naruszone, znaleźliśmy też naftę.

Przez cały tydzień obozowaliśmy w pobliżu koczowiska masajskich moranów. Młodzi wojownicy, w barwach wojennych i w czapkach z lwiej skóry, z dzidami i długimi tarczami, dzień i noc krążyli wokół mego namiotu, aby zbierać wiadomości o Niemcach i wojnie. Moi ludzie chwalili sobie ten obóz, bo mogli kupować mleko dostarczane przez bydło, które wiedli ze sobą morani. Bydłem zajmowali się chłopcy, zwani laioni, jeszcze za młodzi na to, aby być moranami. Odwiedzały mnie również młode dziewczęta, masajskie markietanki, bardzo ruchliwe i ładne. Zawsze prosiły o pożyczenie mego ręcznego lusterka, które sobie nawzajem trzymały. Gdy przeglądając się szczyrzyły rzędy błyszczących zębów, przypominały młode drapieżniki.

Wszystkie wiadomości o ruchach nieprzyjaciela musiały przejść przez kwaterę lorda Delamere. On jednak poruszał się po całym terenie tak szybkimi marszami, że nikt nigdy nie wiedział, gdzie szukać jego kwatery. Nie miałam nic wspólnego z wywiadem, interesowało mnie jednak, jak ludzie w nim pracują. Pewnego razu moja droga prowadziła blisko obozu lorda Delamere, wzięłam więc Faraha i pojechałam tam. Chociaż obóz miał być zwinięty na drugi dzień, był ruchliwy jak miasto i pełen Masajów. Delamere zawsze utrzymywał z nimi bardzo przyjazne stosunki, dlatego tak dobrze czuli się w jego obozie, że można by w tym wypadku zastosować bajkę o lwim gnieździe: wszystkie ślady prowadziły do środka, a żaden na zewnątrz. Jeżeli ktoś posłał tu Masaja jako gońca z wiadomością, ten nigdy nie wracał. W całym tym zamieszaniu lord Delamere, mały mężczyzna z długimi siwymi włosami, bardzo uprzejmy i zawsze szarmancki, czuł się w swoim żywiole. Opowiedział mi wszystko o wojnie i poczęstował mnie herbatą na sposób masajski z przypalonym mlekiem.

Moi ludzie okazali wielką wyrozumiałość wobec mojej nieznamości tego wszystkiego,

co dotyczyło wołów, uprzęży i sposobu zachowania się podczas safari. Prawdę powiedziawszy, jeszcze bardziej ode mnie starali się to ukrywać. Przez cały czas trwania safari pracowali z poświęceniem, nigdy nie sarkali, chociaż z braku doświadczenia wymagałam od ludzi i wołów więcej, niż można było od nich oczekiwać. Na własnych głowach nosili dla mnie wodę do kąpieli, gdy zaś przystawaliśmy w południe, z włócznie i koców urządzali zasłonę, żebym mogła pod nią wypocząć. Trochę się obawiali dzikich Masajów, bardzo zaś niepokoiła ich myśl o Niemcach, o których słyszeli najróżniejsze pogłoski. W tych warunkach, jak mi się zdaje, byłam dla naszej wyprawy czymś w rodzaju anioła stróża albo maskotki.

Do Afryki przybyłam sześć miesięcy przed wybuchem wojny i płynęłam wtedy na jednym statku z generałem von Lettow Vorbeck, który został naczelnym dowódcą niemieckich wojsk w Afryce Wschodniej. Nie wiedziałam wówczas, że zostanie tak wielkim wodzem, zaprzyjaźniliśmy się więc w czasie podróży. Gdy w Mombasie – zanim on wyruszył do Tanganiki, a ja na północ – jedliśmy razem obiad, dał mi swoją fotografię w mundurze i na koniu i napisał na niej:

*Das Paradies auf Erde
Ist auf dem Rücken des Pferdes
und die Gesundheit des Leibes
am Busen des Weibes.*

Farah, który wyjechał naprzeciw mnie do Adenu, widział Niemca i wiedział, że ten był ze mną zaprzyjaźniony. Wobec tego wziął fotografię na safari i trzymał ją razem z pieniędzmi i kluczami, aby pokazać niemieckim żołnierzom w wypadku, gdybyśmy dostali się do niewoli. Przywiązywał do niej wielkie znaczenie.

Jakże piękne były wieczory w rezerwacie Masajów, gdy długą kolumną zajeżdżaliśmy nad rzekę lub jezioro, gdzie mieliśmy nocować. Porosła czerniowcami równina kryła się już w mroku, ale przestrzeń podniebną napępiała jeszcze wspaniała jasność. Nad naszymi głowami, po zachodniej stronie, migotała już samotna gwiazda. Przez noc miała wzrósć i silnie rozblysnąć, na razie świeciła jak srebrny punkcik na tle cytrynowego topazu nieba. Płuca czuły chłodne powietrze, rosa osiadała na trawie, a rosnące w niej zioła wydawały mocny zapach. Za chwilę miały się wokół rozspiewać cykady. Trawa była mną, powietrze i dalekie góry były mną, zmęczone woły były mną. Oddychałam razem z wiatrem szumiącym w gałęziach drzew.

Po trzech miesiącach kazano mi nagle wracać do domu. Ponieważ wszystko zaczęto systematycznie organizować i z Europy przychodziły regularne wojska, moją ekspedycję uznano – jak sądzę – za imprezę trochę nieregularną. Wróciliśmy więc mijając z ciężkim sercem dawne obozowiska.

Długo jeszcze żyła ta safari w pamięci farmy. Później urządzałam wiele innych, ale z jakiegoś powodu – albo dlatego, że byliśmy wtedy w służbie rządowej, stanowiąc coś w rodzaju urzędników, albo dlatego, że wyprawę otaczała wojenna atmosfera – ta właśnie safari utkwiała głęboko w sercach wszystkich jej uczestników. Od tego czasu zawsze uważali się za arystokrację. Jeszcze wiele lat później przychodzili do mego domu porozmawiać o tej” safari, aby odświeżyć pamięć i jeszcze raz przeżyć tę lub inną wspólną przygodę.

System liczbowy suahili

Gdy byłam jeszcze nowicjuską w Afryce, pewien wstydlivy, młody Szwed, specjalista od nabiąlu, miał mnie uczyć liczb w języku suahili. Ponieważ słowo „dziewięć” w języku suahili

brzmi dla szwedzkiego ucha dwuznacznie, nie chciał mi tego słowa powiedzieć. Gdy więc licząc doszedł do „ośmiu”, stanął, odwrócił wzrok i oświadczył:

– W języku suahili nie używają liczby „dziewięć”.

– Czy to znaczy – spytałam – że liczą tylko do ośmiu?

– O, nie – odparł pośpiesznie. – Mają dziesięć, jedenaście, dwanaście i tak dalej. Ale nie mają dziewięciu.

– Czy taki system może działać – zdziwiłam się. – Co robią, gdy dojdą do dziewiętnastu?

– Dziewiętnastu też nie mają – odpowiedział pewnie, ale się zaczerwienił. – Ani dziewięćdziesięciu, ani dziewięćuset, bo te liczby zawierają w języku suahili rdzeń „dziewięć”, ale poza tym mają wszystkie liczby.

Przez długi czas frapował mnie ten system, a równocześnie sprawiał mi przyjemność. Myślałam, że oto istnieją ludzie o oryginalnych umysłach, posiadający dosyć odwagi do zerwania z pedanterią konwencjonalnych układów liczbowych.

Skoro jeden, dwa i trzy są jedynymi kolejnymi liczbami pierwszymi, to osiem i dziewięć mogą być jedynymi kolejnymi liczbami parzystymi. Ludzie mogliby próbować udowodnić istnienie liczby dziewięć argumentem, że można pomnożyć liczbę trzy przez siebie. Lecz po co? Jeżeli liczba dwa nie ma wymiernego pierwiastka, to liczba trzy może się równie dobrze obejść bez swego kwadratu. Jeżeli kolejno będziemy dodawać do siebie cyfry jakiejś liczby tak długo, aż w wyniku otrzymamy liczbę jednocyfrową, obojętne jest dla rezultatu, czy pierwotna liczba zawierała cyfrę dziewięć lub jakąś wielokrotność dziewięciu. Można więc twierdzić, że dziewięć w tym wypadku nie egzystuje, a to – rozumowałam – przemawia za systemem suahili.

Przypadkowo miałam wtedy wśród domowników boya imieniem Zacharias, któremu brakowało czwartego palca u lewej ręki. Pomyślałam, że to może jest przyjęte wśród krajowców w celu ułatwienia rachowania na palcach. Gdy jednak zaczęłam rozpowszechniać moją teorię wśród znajomych, przerwano mi i wyjaśniono istotę rzeczy. Mimo to dotychczas mam uczucie, iż wśród mieszkańców Afryki jest w użyciu system liczbowy bez cyfry dziewięć, który spełnia swoje zadanie i pozwala na dokonywanie wielu odkryć.

W związku z tą sprawą przypomniałam sobie pewnego starego duńskiego duchownego, który mi oświadczył, że nie wierzy, aby Bóg stworzył osiemnasty wiek.

„Nie pozwolę ci odejść, zanim mnie nie pobłogosławisz”

Gdy w marcu, po czterech miesiącach upałów i suszy, zaczyna się w Afryce pora deszczowa, wszędzie zjawia się bogactwo świeżej, bujnej zieleni. Lecz farmer nie daje się od razu unieść radości, nie śmie ufać wielkoduszności natury. Nasłuchuje z obawą, czy szum deszczu nie przycicha. Bo wody, którą teraz pije ziemia, musi starczyć dla ludzi, roślinności i zwierząt na cztery następne, bezdeszczowe miesiące.

Piękny to widok, gdy drogi na farmie zmieniają się w strumienie i gospodarz z radosnym sercem brodzi po błocie do obsypanej kwieciami plantacji drzew kawowych. Zdarza się wszakże, iż w pełni pory deszczowej gwiazdy ukazują się wieczorem przez rzędniejące chmury. Wtedy farmer staje przed domem i zadziera głowę, jakby chciał wydoić więcej deszczu. Wzywa niebo: „Daj mi dosyć deszczu, daj więcej niż dosyć. Moje serce jest teraz otwarte dla ciebie i nie pozwolę ci odejść, zanim mnie nie pobłogosławisz. Jeżeli chcesz, możesz mnie utopić, ale nie zabijaj mnie swymi kaprysami. Nie godzę się na *coitus interruptus*, niebo, niebo!”

Czasami chłodny, bezbarwny dzień, już po porze deszczowej, przynosi wspomnienie marka mbaya, złego roku, roku posuchy. W tym roku Kikujusi pasali bydło wokół mego domu, a któryś chłopiec miał fujarkę i od czasu do czasu na niej przygrywał. Ilekroć później

usłyszałam tę melodię, momentalnie wracało wspomnienie dni udęki i rozpacz. Miało słonawy posmak łez. Lecz równocześnie zupełnie niespodziewanie dosłuchałam się w tej melodii dziwnej słodyczy. Czy owe ciężkie czasy mogły naprawdę mieć z nimi coś wspólnego? Młodość w nas wtedy kipiała i nieokiełznana nadzieja. W te długie, ciężkie dni zespoliliśmy się w jedno, tak że mogliśmy się rozpoznać nawet na innej planecie; jedna rzecz wołałaby do drugiej, zegar z kukułką i moje książki do wychudłych krów i zmartwionych, starych Kikujusów: „Wy też tam byliście. Wy także stanowiliście część farmy Ngong”. Złe czasy pobłogosławiły nas i odeszły.

Przyjaciele farmy przychodzili do domu i znów odchodzili. Należeli też do ludzi, którzy nie potrafią zagrzać miejsca. Należeli też do ludzi, którzy się nie starzeją, umierali i nigdy nie wracali. Siedzieli jednak zadowoleni przy ogniu, a gdy dom wokół nich powiedział: „Nie pozwolę ci odejść, zanim mnie nie pobłogosławisz”, ze śmiechem udzielali swego błogosławieństwa i dom pozwalał im odejść.

Pewna stara pani opowiadała na jakimś przyjęciu o swoim życiu. Oświadczyła, że chciałaby przeżyć je raz jeszcze, co miało w jej przekonaniu stanowić dowód, że żyła rozsądnie. Pomyślałam wtedy: „Tak, jej życie musiało należeć do takich, które trzeba dwa razy przeżyć, aby móc powiedzieć, że się żyło”. *Da capo* można słuchać arietty, lecz nie całej kompozycji – symfonii lub pięcioaktowej tragedii. Jeżeli się je powtarza, to dlatego, że nie brzmią tak, jak należy.

Moje życie, nie pozwolę ci odejść, zanim mnie nie pobłogosławisz, ale wówczas pozwolę ci odejść.

Zaćmienie księżyca

Pewnego roku mieliśmy zaćmienie księżyca. Krótco przed tym wydarzeniem dostałam taki list od młodego Hindusa, naczelnika stacji kolejowej Kikuju:

Wielce Szanowna Pani

Poinformowano mnie uprzejmie, że światło słońca zostanie wyłączone na siedem kolejnych dni. Pomijając pociągi, uprzejmie proszę o informację, gdyż nie wierzę, aby kto inny zechciał mnie uprzejmie poinformować, czy w tym okresie mam zostawić swoje krowy na pastwisku, czy trzymać je w oborze? Mam zaszczyt pozostawać Pani unizonym sługą

Patel

Tubyłcy i wiersze

Tubyłcy, mając bardzo rozwinięte poczucie rytmu, nie wiedzą nic o rymach, a w każdym razie spotykają się z nimi dopiero w szkole, gdzie uczą się psalmów. Pewnego wieczora, gdy zbieraliśmy na polu kukurydzę, wyłamując kolby i rzucając je na wozy, dla zabawy przemówiłam wierszem w języku suahili do robotników, przeważnie bardzo młodych. Wiersz nie miał żadnego sensu, skleciłam go tylko dla rytmu:

Ngumbe

Na – penda chumbe

Malaya

Mbaia

Wakamba

Na – kula mamba

Oznaczało to: Woły lubią sól, prostytutki są złe, Wakamba naprawdę jedzą węże. Chłopcy zainteresowali się, otoczyli mnie. Szybko pojęli, że sens nie jest w poezji najważniejszy, nie kwestionowali treści, tylko ciekawie wyczekiwali rymu i hałaśliwie wyrażali uciechę. Staralam się ich namówić, aby sami szukali rymów i kończyli zaczęte przeze mnie zdania. Nie mogli jednak albo nie chcieli tego robić, na moje nalegania odwracali głowy. Ale po przyzwyczajeniu się do wierszy prosili mnie: „Mów jeszcze. Mów jak deszcz”. Nie wiem, dlaczego kojarzyli wiersz z deszczem. Oznaczało to chyba wielki entuzjazm, gdyż w Afryce deszcz jest zawsze utęskniony i radośnie witany.

Milenium

Gdy stało się pewne, że zbliża się czas powrotu Chrystusa na ziemię, powołano komitet, by ustalił, jakie przygotowania poczynić do Jego przyjęcia. Po dyskusji komitet rozesłał okólnik zabraniający wymachiwania rękami, ciskania gałązek palmowych oraz okrzyków „Hosanna”.

Gdy milenium trwało już jakiś czas i panowała powszechna radość, pewnego wieczoru Chrystus powiedział Piotrowi, iż chciałby, gdy już zapadnie wieczorna cisza, pójść z nim razem na krótką przechadzkę.

– Gdzie chciałbyś pójść, Panie? – zapytał Piotr.

– Chciałbym – odrzekł Pan – przejść się z pretorium tą długą drogą na wzgórze Kalwarii.

Historia Kitosza

Historia Kitosza była w gazetach. Powstała z niej sprawa sądowa i powołano sąd przysięgłych do szczegółowego jej rozpatrzenia i wyjaśnienia. Niektóre informacje można jeszcze znaleźć w starych dokumentach.

Kitosz był młodym tubylcem i służył u białego kolonisty w Molo. Pewnej czerwcowej środy kolonista pożyczył swoją gniadą klacz jakiemuś przyjacielowi, który udawał się na stację kolejową. Kitosza wysłał w celu przyprowadzenia klaczy z powrotem, przy czym oświadczył mu, żeby na nią nie wsiadał. Lecz Kitosz wskoczył na grzbiet klaczy i pojechał na niej do domu, a ktoś go zobaczył i powiedział o tym koloniście. W niedzielę po południu ten ukarał chłopca chłostą, a potem związanego zamknął w składzie. Późną nocą Kitosz umarł.

Sprawę rozpatrywał sąd, który zasiadł 1 sierpnia w lokalu Instytutu Kolejnictwa w Nakuru.

Tubylcy zebrani licznie wokół instytutu musieli się temu wszystkiemu dziwić. Dla nich sprawa była jasna, gdyż Kitosz umarł i ten fakt nie ulegał najmniejszej wątpliwości. Wobec tego, stosownie do miejscowych pojęć, krewni powinni otrzymać odszkodowanie za jego śmierć.

Lecz europejskie pojęcie sprawiedliwości różni się od afrykańskiego, zatem ława przysięgłych złożona z białych mężczyzn stanęła przed zagadnieniem: winny czy niewinny. Werdykt mógł uznać podsądnego winnym morderstwa, zabójstwa albo wreszcie ciężkiego uszkodzenia ciała. Sędzia, który przewodniczył rozprawie, wyjaśnił przysięgłym, że ocena stopnia przestępstwa musi się oprzeć na ocenie zamiaru sprawcy, a nie rezultatów jego czynu. Jakie więc były zamiary i nastawienie osób zamieszanych w sprawie Kitosza?

Aby ustalić sprawę zamiaru i nastawienia kolonisty, zasypywano go w sądzie krzyżowymi pytaniami po kilka godzin dziennie. Starano się odtworzyć przebieg wydarzeń i wydobyto na

jaw wszystkie szczegóły, jakie udało się zdobyć. Z protokołów można się dowiedzieć, że gdy kolonista wezwał do siebie Kitosza, chłopiec przyszedł i stanął w odległości trzech metrów. Ten drobny szczegół miał doniosłe następstwa. Oto na początku dramatu biały człowiek i czarny człowiek stoją od siebie o trzy metry.

W miarę jednak, jak historia się rozwija, równowaga tego obrazu znika, postać kolonisty staje się mglista i mniejsza. Na to nie ma ratunku. Ta postać zostaje tylko drugorzędny elementem obszernego krajobrazu, traci znaczenie, traci wagę, wygląda na sylwetkę wyciętą z papieru. Jak podmuch wiatru miota na nią nie znana jej samej swoboda robienia tego, co chce.

Kolonista oświadczył, że zaczął od zapytania Kitosza, kto pozwolił mu jechać na gniadej klaczy i że pytanie to powtórzył czterdzieści lub pięćdziesiąt razy. Równocześnie przyznał, że nikt nie mógł udzielić Kitoszowi takiego pozwolenia. Tu zaczyna się jego potępienie. W Anglii nie mógłby powtarzać pytania czterdzieści lub pięćdziesiąt razy, bo wkrótce powstrzymano by go od tego w taki czy inny sposób. W Afryce zaś byli ludzie, którym mógł wrzaskliwie powtarzać to sarno pytanie pięćdziesiąt razy. W końcu Kitosz odpowiedział, że nie jest złodziejem, a kolonista oświadczył w sądzie, że ukarał chłopca chłostą właśnie za tę bezczelną odpowiedź.

W tym miejscu sprawozdanie zawiera drugi mało ważny, lecz bogaty w następstwa szczegół. Wspomina mianowicie, że podczas chłosty przyszli odwiedzić kolonistę dwaj Europejczycy, nazwani jego przyjaciółmi. Obserwowali chłostę przez dziesięć lub piętnaście minut, potem odeszli.

Po chłości kolonista nie mógł puścić Kitosza wolno.

Późnym wieczorem przywiązał go w składzie rzemieniem z lejc i zamknął. Gdy z ławy przysięgłych padło pytanie, dlaczego to uczynił, kolonista udzielił odpowiedzi bez sensu. Oświadczył, że chciał przeszkodzić, aby taki krnąbrny chłopiec kręcił się po farmie. Po kolacji poszedł znów do składu i znalazł Kitosza leżącego bez przytomności opodal tego miejsca gdzie go przywiązał. Lejce były rozwiązane. Zawołał swego kucharza, krajowca z plemienia Baganda, i przy jego pomocy skrupował chłopca mocniej niż przedtem, przywiązując mu ręce do słupa z tyłu, a prawą nogę do słupa z przodu. Opuścił skład zamykając drzwi na klucz, lecz pół godziny później poszedł tam znowu. Zabrał ze sobą do środka kucharza i kuchennego toto. Potem położył się spać i następną rzeczą, którą pamięta – oświadczył – było przyjście toto z wiadomością, że Kitosz umarł.

Ława przysięgłych pamięta, że stopień przestępstwa zależy od zamiaru, toteż doszukała się zamiaru. Zadawano wiele szczegółowych pytań dotyczących chłosty i tego, co nastąpiło później. Gdy czyta się sprawozdania prasowe, widzi się niemal, jak przysięgli kiwają głowami.

Jakiż jednak był zamiar i nastawienie psychiczne Kitosza? Roztrząsnąwszy tę sprawę stwierdzono, że z nim rzecz miała się inaczej. Kitosz miał określony zamiar i ostatecznie ten właśnie zamiar zaważył na wyniku rozprawy. Można powiedzieć, że przez swój zamiar, przez swe nastawienie psychiczne Afrykanin z za grobu ocalił Europejczyka.

Kitosz nie miał okazji wyrażenia swego zamiaru. Ponieważ był zamknięty w składzie, jego oświadczenie jest bardzo proste i zawiera się w jednym geście. Stróż nocny zeznał, że chłopiec płakał całą noc. Tak jednak być nie mogło, bo o pierwszej rozmawiał z toto, który znajdował się z nim w składzie. Powiedział dziecku, żeby do niego krzyczało, bo po chłości ogłuchł. O pierwszej poprosił toto, aby mu zluzował pęta na nodze, tłumacząc, że w żadnym wypadku nie może uciec. Gdy toto spełnił jego prośbę, Kitosz powie dziecku, że chce umrzeć. O czwartej – zeznało dalej dziecko – jeszcze raz powtórzył, że chce umrzeć. Chwilę później zaczął się kołysać w obie strony, zawołał: „Umieram” – i umarł.

Trzej lekarze składali zeznania w tej sprawie.

Lekarz okręgowy, który przeprowadzał obdukcję zwłok, jako przyczynę śmierci podał rany i obrażenia wewnętrzne stwierdzone u zmarłego. Jego zdaniem nawet natychmiastowa

pomoc lekarska nie mogła uratować życia Kitosza.

Dwaj lekarze z Nairobi, powołani jako biegli przez obronę, byli jednak odmiennego zdania.

Sama chłosta, twierdzili, nie mogła stanowić przyczyny zgonu. W grę wchodzi ważny czynnik, którego nie należy pomijać: to znaczy pragnienie śmierci. Pierwszy lekarz oświadczył, że może o tym mówić z pełnym autorytetem, gdyż spędził w Kenii dwadzieścia pięć lat i zna psychikę krajowców. Wielu lekarzy mogłoby potwierdzić jego opinię, iż pragnienie śmierci rzeczywiście powodowało u krajowców śmierć. W tym wypadku sprawa jest specjalnie jasna, gdyż Kitosz sam powiedział, że chce umrzeć. Drugi lekarz w całości podtrzymał tę opinię.

Jest zupełnie prawdopodobne, oświadczył dalej pierwszy lekarz, że gdyby Kitosz nie miał tego nastawienia, nie umarłby. Jeżeliby, na przykład, zjadł coś, wówczas nie straciłby odwagi, gdyż głód, jak wiadomo, osłabia odwagę. Dodał też, że rana na wardze nie musiała pochodzić od kopnięcia, lecz że chłopiec mógł się w ataku bólu sam ugryźć w wargę.

Poza tym lekarz nie sądził, aby pragnienie śmierci powstało u Kitosza przed godziną dziewiątą, gdyż przed tą godziną, jak się zdaje, usiłował uciec. Nie umarł też do godziny dziewiątej. Gdy został schwytany na zamiarze ucieczki i ponownie związany, fakt ponownego uwięzienia mógł, zdaniem lekarza, zaciążyć na jego stanie psychicznym.

Obaj lekarze z Nairobi podsumowali swój punkt widzenia w tej sprawie następująco: śmierć Kitosza została spowodowana chłostą, głodem i pragnieniem śmierci, przy czym ten ostatni czynnik zasługuje na specjalne podkreślenie. Pragnienie śmierci powstało, ich zdaniem, jako następstwo chłosty.

Po opinii biegłych lekarzy sprawa oparła się na teorii, którą w sądzie nazywano „teorią pragnienia śmierci”. Lekarz okręgowy, jedyny, który widział zwłoki Kitosza, odrzucił tę teorię i z własnej praktyki podał przykłady pacjentów chorych na raka, którzy pragnęli śmierci, ale nie umierali. Okazało się jednak, że ci pacjenci byli Europejczykami.

W końcu ława przysięgłych wydała werdykt: winien ciężkiego uszkodzenia ciała. Ten sam werdykt odnosił się i do współoskarżonych krajowców, lecz w ich wypadku uznano, że działali na podstawie rozkazów swego pana, Europejczyka, wobec czego karanie ich więzieniem byłoby niesprawiedliwe. Sędzia skazał kolonistę na dwa lata więzienia poprawczego, a każdego krajowca na jeden dzień więzienia.

Niektóre ptaki Afryki

Tuż po nastaniu pory deszczowej, w ostatnim tygodniu marca lub pierwszym tygodniu kwietnia, słyszałam w afrykańskich lasach słowiki. Nie całą pieśń, tylko kilka tonów – początkowe takty koncertu, próbę przerywaną i znów podejmowaną. Zdawało się, że w samotności zroszonego deszczem lasu ktoś na jakimś drzewie stroił wiolonczelę. Była to jednak ta sama melodia pełna upojnej słodyczy, która miała wkrótce wypełniać łąsy Europy, od Sycylii po Helsingör.

Mieliśmy w Afryce czarno – białe bociany, te same, które budują gniazda na wiejskich strzechach w północnej Europie. W Afryce nie imponują tak jak w Europie, bo tu można je porównać z tak dużymi i niezgrabnymi ptakami jak marabuty i sekretarze. Bociany mają też w Afryce inne zwyczaje niż w Europie, gdzie żyją w stadłach i symbolizują szczęście ogniska domowego. Tutaj widzi się je w licznych stadach jak klubach. Nazywają się „ptakami szarańczy”, bo gdy przyleci szarańcza, ciągną za nią i używają sobie na tym smakołyku. Latają również tam, gdzie pali się trawa na stepach. Krążą wtedy tuż przed frontem pierwszej linii ognistych języków i szarego dymu, wypatrując myszy i węży, które uciekają przed ogniem. Dobrze się wiedzie bocianom w Afryce, ale nie tu jest ich prawdziwe życie. Gdy

wiosenne wiatry obudzą myśl o dobieraniu się par i budowaniu gniazd, ich serca zwracają się ku północy, przypominają sobie stare czasy i stare miejsca. Odlatują parami i wkrótce znów brodzą w chłodnych bagnach rodzinnych stron.

Z nastaniem pory deszczowej, gdy na ogromnych połaciach wypalanej trawy ukazują się świeże, zielone pędy, na step przylatują setki siewek. Krajobraz afrykańskich równin jest zawsze zbliżony do morskiego. Otwarty horyzont przywodzi na myśl morze i długie ławice nadbrzeżnego piasku, zmienny wiatr jest taki sam, zwęglona trawa ma słonawy zapach, a gdy na nowo wyrośnie, faluje jak powierzchnia morza. Gdy kwitną białe goździki, przypominają się krótkie fale z białymi grzywami, które spotykają żeglarze na Sundzie. Podobnie i siewki przybierają na stepie wygląd morskich ptaków, zachowują się też jak tamte na plaży. Przez chwilę drałują wśród gęstej trawy ile sił w nogach, by nagle poderwać się przed koniem z przenikliwym wrzaskiem, aż całe niebo ożywia się od trzepotu skrzydeł i ptasich głosów.

Czubate żurawie, które przylatują kraść ziarno na świeżo zasianych polach kukurydzy, w zamian za swe łotrostwa stanowią dobry omen, gdyż zapowiadają deszcz. Innym zadośćuczynieniem jest ich taniec. Gdy rosłe ptaki zgromadzą się w większej liczbie, warto widzieć, jak tańczą z rozpostartymi skrzydłami. W tym tańcu jest styl i uczucie. Musi być uczucie, bo po co by – mogąc latać – podskakiwały na miejscu, jakby przytrzymywane przez magnetyzm ziemski? Ich balet przypominał jakiś sakralny rytuał. Może żurawie próbują połączyć niebo i ziemię jak skrzydlaci anieli chodzący w górę i w dół po drabinie Jakuba. Delikatne, jasnoszare upierzenie, mała czarna mycka na głowie i wachlarzowaty czub nadają im charakter lekkiego i uduchowionego malowidła *al fresco*. Gdy po skończonym tańcu wznoszą się w powietrze i odlatują, biją skrzydłami i wydają wyraźnie dźwięczący ton – jakby dzwony kościelne gromadą wzbili się na skrzydłach. Można je słyszeć jeszcze wtedy, gdy są już daleko, nawet gdy zniknęły na niebie – melodia dzwonów dochodzi z chmur.

Innym gościem na farmie był dzioborożec olbrzymi, którego zwabiły owoce kasztanów. Dziwne to ptaki. Spotkanie ich należy do pamiętnych przygód, ale nie zawsze przyjemnych, gdyż dzioborożce sprawiają wrażenie wszystkowiedzących. Pewnego dnia jeszcze przed świtem zbudziło mnie głośnie trajkotanie tuż przy domu, a po wyjściu na taras zobaczyłam na otaczających drzewach czterdzieści jeden dzioborożców. Mniej przypominały ptaki, a bardziej jakieś, fantastyczne ozdoby rozmieszczone na drzewach przez dzieci. Wszystkie były czarne, a czerń ich piór, głęboka i szlachetna czerń Afryki, kondensowana przez wieki jak czerń starej sadzy, wywoływała wrażenie, że żaden kolor nie może się równać z czernią pod względem elegancji, siły i żywotności. Dzioborożce rozmawiały bardzo wesoło, lecz równocześnie z wyszukaną grzecznością, jak grono spadkobierców na pogrzebie. W kryształowym powietrzu ptasie towarzystwo kąpało się w świeżości i czystości, a za ptakami i drzewami wschodziła lekko przymglona czerwona kula słońca. Człowiek jest zawsze ciekawy, jaki dzień nastąpi po takim poranku.

Ze wszystkich afrykańskich ptaków najdelikatniejszą barwę mają flamingi. Są różowe i czerwone jak latająca kiść oleandru. Wyróżniają się też niesłychanie długimi nogami i cudacznymi łukami w budowie ciała z szyją włącznie, jakby tradycyjna, wytworna wstydlivość kazała im utrudniać sobie wszystkie funkcje życiowe.

Płynęłam raz z Port Saidu do Marsylii na francuskim statku, który wiozł transport stu pięćdziesięciu flamingów przeznaczonych do ogrodu aklimatyzacyjnego w Marsylii. Ptaki trzymano w wielkich brudnych klatkach z płóciennymi bokami, w każdej stało dziesięć ciasno zbitych sztuk. Dozorca, który opiekował się transportem, powiedział mi, że liczy się ze stratą dwudziestu procent. Ptaki nie były stworzone do takiego życia, w czasie burzy traciły równowagę i łamały nogi, a gdy upadały, inne je tratowały. Nocą, gdy przy silnym wietrze statek tańczył na falach, za każdym uderzeniem wichru słyszałam w ciemności krzyki flamingów. Co rano dozorca wyjmował z klatek martwe ptaki i wyrzucał je do morza. Szlachetny brodziec znad Nilu, brat kwiatu lotosu żeglujący nad krajobrazem na kształt

różowej chmury wieczornej, tutaj zmieniał się w bezkształtną kupę różowych i czerwonych piór, ze sterzczącymi patykami długich nóg. Martwy ptak przez chwilę pływał po powierzchni morza, podrzucany przez fale na kilwaterze, potem tonął.

Pania

Ponieważ charty żyły od niezliczonych pokoleń u boku ludzi, nabrały ludzkiego poczucia humoru i mogą się śmiać. Są pod tym względem podobne do krajowców, którzy bawią się, gdy coś jest nie w porządku.

Pania był synem Duska. Gdy raz szłam z nim obok kępy wysokich, niebieskich drzew gumowych rosnących przy stawie, podbiegł nagle do jednego drzewa i zaraz zawrócił do połowy drogi, dając mi tym znak, żebym poszła za nim. Podeszłam do drzewa i zobaczyłam serwala siedzącego wysoko na gałęzi. Serwale porywają kurczęta, zawołałam więc przechodzącego obok toto i posłałam go do domu po sztucer. Gdy mi go przyniesiono, zastrzeliłam serwala, który grzmotnął o ziemię z wielkiej wysokości.

W jednej sekundzie Pania rzucił się na zdobyc i tarosił ją bardzo zadowolony z zabawy.

Jakiś czas później przechodziłam tą samą drogą obok stawu. Polowałam na kuropatwy, ale nie zastrzeliłam ani jednej, więc oboje z Panią byliśmy w złym humorze. Nagle Pania podbiegł do najodleglejszego drzewa, obszczekał je w stanie wielkiego podniecenia, potem przybiegł do mnie i znów wrócił pod drzewo. Mając przy sobie sztucer cieszyłam się na myśl o drugim serwalu, bo mają one ładne, cętkowane futro. Podbiegłam pod drzewo, gdy jednak spojrzałam w górę, zobaczyłam zwykłego, czarnego kota domowego. Bardzo zły siedział na samym czubku. Opuściłam sztucer i powiedziałam do Pani: „Jesteś osioł, Pania, to zwykły kot”.

Odwrociłam się od psa, który siedział opodal i patrząc na mnie trząsł się ze śmiechu. Gdy nasze oczy spotkały się, podbiegł ku mnie i zaczął tańczyć. Wymachiwał ogonem, skomlał, skoczył mi łapami na ramiona i przytknął mi nos do twarzy, potem znów odskoczył, aby móc się swobodnie zaśmiewać.

Tą pantomimą chciał wyrazić: „Wiem, wiem doskonale. To był oswojony kot, wiedziałem od początku. Musisz mi wybaczyć. Ale gdybyś wiedziała, jak wyglądałaś biegnąc pod drzewo!”

Przez cały dzień ogarniało go co jakiś czas takie samo podniecenie. Powtarzał poprzednie wyczyny łasząc się do mnie bardzo serdecznie, a potem wycofywał się, aby naśmiać się do woli.

W jego serdeczności pojawił się teraz znaczący ton. „Wiesz chyba – zdał się mówić – że w tym domu śmieję się tylko z ciebie i z Faraha”.

Nawet wieczorem słyszałam, jak leżąc przed kominkiem przez sen krztusił się ze śmiechu. Jestem pewna, że przypominał sobie to wydarzenie za każdym razem, gdy mijaliśmy staw i kępę drzew.

Śmierć Ezy

Eza, którego zabrano mi w czasie wojny, wrócił po zawieszeniu broni i żył na farmie. Miał żonę imieniem Mariammo, szczupłą, czarną, spracowaną kobietę, która nosiła drzewo na opał. Eza był najłagodniejszym ze wszystkich moich domowników i z nikim się nie kłócił.

W czasie wygnania coś się z nim jednak stało, bo wrócił zmieniony. Chwilami obawiałam się, że może mi niezauważenie zgasnąć jak roślina z podciętymi korzeniami.

Eza był u mnie kucharzem, nie lubił jednak gotować, chciał być ogrodnikiem. Jedyne prawdziwe zainteresowanie okazywał dla roślin. Miałam już jednak innego ogrodnika, nie miałam natomiast kucharza, dlatego trzymałam Ezę w kuchni. Obiecałam mu wprawdzie, że wróci do swego ulubionego zajęcia, lecz odkładałam to z miesiąca na miesiąc. Aby mi zrobić niespodziankę. Eza w wolnych chwilach odgrodził kawał gruntu przy rzece tamą i posadził tam jarzyny. Ponieważ jednak robił to wszystko sam, a nie miał sił, tama nie wytrzymała naporu i woda zmyła ją w porze deszczowej.

Pierwsze naruszenie spokojnej vegetacji Ezy nastąpiło wówczas, gdy w rezerwacie Kikujusów umarł jego brat i zostawił mu czarną krowę. Wtedy okazało się wyraźnie, że Eza był bardzo wyczerpany życiem i nie potrafił znieść silniejszego wrażenia. Zdaje mi się, że specjalnie nie mógł znieść radosnego wydarzenia. Poprosił mnie o trzy dni urlopu, aby pójść i odebrać krowę. Po powrocie zdradzał podniecenie i wyczerpanie, objawy dające się zaobserwować u ludzi, którym członki zdrętwiały na zimnie, a potem wniesiono ich do ciepłego pomieszczenia.

Wszyscy Afrykanie są graczami. Znalazłszy się pod wpływem stworzonej przez czarną krowę iluzji, że teraz szczęście będzie się doń uśmiechać, Eza nabrał ogromnego zaufania do swego losu i oddał się marzeniom. Uwierzył, że życie jest jeszcze przed nim; zdecydował się wziąć sobie nową żonę. Powiedział mi o tym dopiero wtedy, gdy już toczyły się pertraktacje z przyszłym teściem, który mieszkał przy drodze do Nairobi i miał żonę z plemienia Saahili. Staralam się odwieść Ezę od tego zamiaru... Masz już bardzo dobrą żonę – tłumaczyłam – a włosy ci posiwiały i drugiej ci nie potrzeba. Siedź tu sobie spokojnie na miejscu”. Eza nie obraził się na mnie za te uwagi, ale trwał przy swym postanowieniu. Wkrótce przyprowadził na farmę nową żonę, Fatomę.

Musiał stracić rozum, jeżeli się spodziewał, że cokolwiek dobrego wyjdzie z nowego małżeństwa. Żona okazała się bardzo młoda, pyskata i zgryźliwa. Ubierała się wyzywająco według tradycji Suahili, nie posiadała jednak właściwej dla tego plemienia gracji i wesołości. Mimo to twarz Ezy promieniała triumfem i nowymi planami. W swej niewinności zachowywał się jak człowiek u progu ogólnego paraliżu. Mariammo, cierpliwa niewolnica, trzymała się na uboczu i wydawała się zupełnie zobojętniała.

Możliwe, że Eza przeżył krótki okres wielkości i radości. Nie trwało to jednak długo, a z powodu nowej żony załamała się jego spokojna egzystencja na farmie. Miesiąc po ślubie młoda kobieta uciekła i żyła z żołnierzami w koszarach w Nairobi. Eza przez dłuższy czas brał po jednym dniu urlopu, aby ją przyprowadzić z powrotem. Wieczorem wracał z oporną dziewczyną. Pierwszy raz wyruszył pełen animuszu i pewien, że ją odzyska – czyż nie była jego prawną żoną? Później był to tylko żaloszny pościg za jego marzeniami i uśmiechem szczęścia.

– Po co ci ona, Eza? – przemawiałam mu do rozumu. – Pozwól jej odejść. Ona nie chce tu być i nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Lecz Eza nie chciał pozwolić jej odejść. Wprawdzie w końcu zrezygnował z wielkich ambicji życiowych, ale chciał po prostu uratować to, co kobieta przedstawiała pod względem wartości pieniężnej. Boye śmieli się z niego, gdy wyruszał do miasta, wykpiwali go też żołnierze. Lecz Eza nigdy nie zwracał wielkiej uwagi na to, co o nim myślą inni, teraz zaś tym mniej go to obchodziło. Uparcie i z pełnym zaufaniem starał się o odzyskanie swej własności, tak jak szuka się zgubionej krowy.

Pewnego rana Fatoma zawiadomiła moich boyów, że Eza jest chory i nie będzie mógł tego dnia gotować, ale wstanie następnego dnia. Jednakże po południu boye powiedzieli mi, że Fatoma znikła, a Eza został otruty i leży umierający. Gdy tam poszłam, wynieśli go z łóżkiem na placik między chatami. Nie ulegało wątpliwości, że życie z niego uchodziło. Dano mu jakieś miejscowej trucizny podobnej do strychniny. Musiał okropnie cierpieć w chacie na oczach zbrodniczej młodej żony, zanim ta upewniła się, że z nim już koniec i ulotniła się do

miasta. Jeszcze kilka skurczów wstrząsnęło jego ciałem, potem leżał sztywny i zimny jak trup. Twarz mu się bardzo zmieniła, z kącików sinych warg ciekła piana zmieszana z krwią. Farah pojechał samochodem do Nairobi, nie mogłam więc zawieźć Ezy do szpitala, chociaż zdaje mi się, że i tak nie zrobiłabym tego, nie było już dla niego ratunku.

Zanim umarł, długo patrzył na mnie. Nie wiem jednak, czy mnie poznawał. Wraz z utratą świadomości zgasł w jego oczach przypominający arkę Noego obraz kraju, który zawsze pragnęłam zobaczyć: dzikie zwierzęta wokół małego chłopca pasącego na stepie ojcowskie kozy. Trzymałam jego rękę, ludzką rękę, silne i wymyślne narzędzie, które dzierżyło broń, sadziło jarzyny i kwiaty, pieściło, które ja uczyłam robić omlety. Co Eza powiedziałaby o swoim życiu: czy było sukcesem, czy fiaskiem? Trudno osądzić. Chodził swymi wąskimi poplątanymi ścieżkami i przeszedł wiele, zawsze pozostając spokojnym człowiekiem.

Gdy Farah powrócił, gorliwie zajął się urządzeniem dla Ezy uroczystego pogrzebu, gdyż zmarły był pobożnym mahometaninem. Ponieważ wezwany z Nairobi duchowny nie mógł przybyć przed następnym wieczorem, pogrzeb Ezy odbył się w nocy, gdy na niebie błyszczała mleczna droga towarzysząc lampom w żałobnym orszaku. Grób wymurowano, zgodnie z mahometańskim zwyczajem, pod wysokim drzewem w lesie. Między żałobnikami pojawiła się Mariammo głośno oplakując Ezę.

Naradzaliśmy się z Farahem, co należy uczynić w sprawie Fatomy. Zdecydowaliśmy, że nic. Podejmowanie kroków w celu ukarania kobiety przez prawo wyraźnie sprzeciwiało się pojęciom Faraha. Z jego słów wywnioskowałam, że prawo mahometańskie nie pociąga kobiet do odpowiedzialności. Za wszystko, co robi kobieta, odpowiedzialny jest mąż. On musi płacić grzywnę za jej sprawki, podobnie jak płaci karę za szkody wyrządzone przez konia. A jeżeli koń zrzuci właściciela i zabije go? To, zgodził się Farah, stanowi oczywiście smutny wypadek. W końcu Fatoma też miała powody do skargi na swój los, który wypełni się teraz, według jej własnego wyboru, w koszarach w Nairobi.

Afrykanie i historia

Ludzie oczekujący, że Afrykanie z radością przeskoczą z epoki kamiennej do epoki samochodów, zapominają, ile wysiłków kosztowało to naszych przodków, aby ludzkość mogła przebrnąć przez historię aż do naszych czasów.

Możemy fabrykować samochody i samoloty, możemy uczyć Afrykanów, jak ich używać. Lecz jeden ruch ręki nie potrafi wytworzyć w ludzkich sercach prawdziwego zamiłowania do samochodów. Takie zamiłowanie jest produktem wieków, prawdopodobnie do jego powstania potrzebny był i Sokrates, i wyprawy krzyżowe, i Rewolucja Francuska. My, współcześni ludzie kochający swe maszyny, nie możemy sobie wyobrazić, jak nasi bliźni w dawnych czasach mogli żyć bez nich. Za to my nie potrafilibyśmy stworzyć wyznania wiary Atanazjusza ani ceremoniału mszy, ani pięcioaktowej tragedii, a może nawet i sonetu. Gdybyśmy ich nie mieli gotowych do użytku, przyszłoby nam się bez nich obejść. Musimy sobie jednak wyobrazić, skoro te rzeczy zostały stworzone, że był taki okres, kiedy ludzkość wyciągała po nie ręce, kiedy ich powstanie zaspokoilo głęboką potrzebę.

Pewnego dnia ojciec Bernard przyjechał na motocyklu, aby zjeść ze mną śniadanie i podzielić się radosną nowiną. Jego brodata twarz promieniała niebiańskim triumfem. Poprzedniego dnia, powiedział, dziewięciu młodych Kikujusów z misji kościoła szkockiego przyszło z prośbą o przyjęcie ich na łono kościoła katolickiego, ponieważ po długich rozważaniach i dyskusjach opowiedzieli się za katolicką doktryną transsubstancjacji, czyli przeistoczenia.

Wszyscy znajomi, którym o tym opowiadałam, śmieli się z ojca Bernarda i tłumaczyli mi, że młodzi Kikujusi spodziewali się w misji francuskiej wyższego wynagrodzenia albo lepszej

pracy, albo rowerów i po to wymyślili nawrócenie na transsubstancjację. Jeżeli my, twierdzili, nie rozumiemy tych spraw i nawet nie lubimy o nich myśleć, to dla Kikujusów są to rzeczy w ogóle niedostępne. Ale nie byłam pewna, czy sprawa jest tak prosta i czy mieli zupełną rację. Ojciec Bernard dobrze znał krajowców. Umysły młodych Kikijusów mogły teraz kroczyć cienistymi ścieżkami naszych własnych przodków, którzy wysoko cenili doktrynę transsubstancjacji. Ludziom sprzed pięciuset lat też obiecywano wyższe zarobki, kariery, łatwiejsze życie, czasem nawet zachowanie życia, a jednak wyżej nad to wszystko stawiali swą wiarę w transsubstancjację. Prawda, nie ofiarowywano im rowerów. Ale sam ojciec Bernard, który miał motocykl, mniejszą wartość przykładał do tego wehikułu niż do nawrócenia dziesięciu Kikujusów.

Współcześni biali w Afryce wierzą w ewolucję, a nie w nagłe tworzenie. Chcieliby udzielić mieszkańcom Afryki krótkiej, praktycznej lekcji historii, aby ich w ten sposób doprowadzić do tego poziomu, na którym my stoimy. Opanowaliśmy te narody niecałe czterdzieści lat temu. Gdybyśmy przyrównywali ten moment do momentu narodzenia Chrystusa i dali Afrykanom na dogonienie nas trzy lata za każdą setkę lat naszej historii, to teraz chyba powinniśmy im posłać świętego Franciszka z Asyżu, a wkrótce Rabelais'go. Cieszyliby się obu wysłańcami i bardziej by ich szanowali niż my w naszym dwudziestym wieku. Gdy kilka lat temu próbowałam im przetłumaczyć dialog między ojcem i synem z *Chmur*, bardzo im się podobał Arystofanes. Za dwadzieścia lat mogą się okazać gotowi na przyjęcie encyklopedystów, a za dalsze dziesięć lat doszliby chyba do Kiplinga. Powinniśmy im dostarczać marzycieli, filozofów i poetów, a wszystko po to, aby ostatecznie przygotować pole dla Mr. Forda.

Jaki będzie wówczas stosunek między nimi a nami? Czy tymczasem złapiemy ich za ogon i będziemy się go mocno trzymać we własnej pogoni za cieniem i ciemnością, ucząc się bić w tam-tam? A czy wówczas będą mogli nabywać nasze samochody po cenie kosztów produkcji, jak teraz doktrynę o transsubstancjacji?

Trzęsienie ziemi

Pewnego roku w okresie Bożego Narodzenia przeżyliśmy trzęsienie ziemi. Było dosyć silne, aby powywracać chaty, to znaczy miało siłę rozgniewanego słonia. Przyszło w trzech falach, każdy wstrząs trwał kilka sekund, przerwy też liczyły po kilka sekund. Owe przerwy pozwoliły ludziom wyrobić sobie własną opinię o tym, co się dzieje.

Denys Finch-Hatton, który wtedy obozował w rezerwacie Masajów i właśnie spał w swojej ciężarówce, opowiedział mi po powrocie, że obudziwszy się pod wpływem wstrząsu pomyślał: „Nosorożec dostał się pod ciężarówkę”. Ja byłam w tym czasie w sypialni, właśnie kładłam się spać. Po pierwszym trzasku pomyślałam: „Lampart wlaź na dach”. Gdy nadszedł drugi wstrząs, przebiegło mi przez myśl: „Chyba umieram, takie jest uczucie umierania”. Ale w przerwie między drugim a trzecim uderzeniem zrozumiałam, że to trzęsienie ziemi, którego się nigdy nie spodziewałam. Przez chwilę nabrałam przekonania, że trzęsienie minęło. Gdy jednak nadszedł trzeci i ostatni wstrząs, przeżyłam taki przepływ radości, jakiego nie pamiętam w całym życiu.

Ciała niebieskie krążące po swoich torach są władne wynosić ludzki umysł na nie znane szczyty zachwyty. Nie zdajemy sobie z tego sprawy. Gdy jednak koncepcja ruchu ciał niebieskich znów dotrze do naszej świadomości, i to w zaktualizowanej postaci, otwiera ogromne perspektywy. Kepler pisze o tym, co czuł, gdy po wielu latach pracy odkrył trzy prawa ruchu planet:

„Dałem się unieść swemu szczęściu. Kości zostały rzucone. Nigdy przedtem czegoś podobnego nie odczuwałem. Drzę, krew mi się burzy. Bóg czekał sześć tysięcy lat na

obserwatora swej pracy. Jego mądrość jest nieskończona, zawiera to, czego nie znamy oraz tę niewielką część, którą znamy”.

Mnie w czasie trzęsienia ziemi ogarnęło takie samo uniesienie, równie głęboko to przeżywałam. Uczucie ogromnej przyjemności wynika głównie z uświadomienia sobie, że coś, co uważało się za niewzruszone, zaczyna się samo poruszać. Jest to prawdopodobnie jedno z najsilniejszych uczuć radości i nadziei na świecie. Ciężki glob, martwa masa, matka Ziemia uniosła się znów i ułożyła pod moimi stopami. Przysłała mi orędzie, wprowadzie wyrażone tylko delikatnym muśnięciem, lecz niezwykle ważne. Zaśmiała się tak, że tubylcze chaty runęły, i zawołała: *Eppur, si muove*.

Nazajutrz wczesnym rankiem Jurna przyniósł mi herbatę i oświadczył:

– Król angielski umarł.

Spytałam, skąd wie o tym.

– Czy nie czułaś, Memsahib – odparł – jak wczoraj, zatrzęsała się ziemia? To znaczy, że umarł król angielski.

Król angielski żył jednak przez wiele lat po tym trzęsieniu ziemi.

Jurek

Płynąc raz na statku handlowym do Afryki zaprzyjaźniłam się z małym chłopcem imieniem Jurek, który podróżował z matką i młodą ciotką. Pewnego dnia wyrwał się na pokładzie spod czulej opieki i odprowadzony wzrokiem matki i ciotki podszedł do mnie. Oświadczył, że nazajutrz przypadają jego urodziny, kończy sześć lat, wobec czego matka ma zamiar zaprosić na herbatę Anglików płynących na tym statku. Na końcu spytał, czy zechciałabym przyjść.

– Ale ja nie jestem Angielką, Jureczku – odpowie działałam.

– A kim jesteś? – zdziwił się ogromnie.

– Ja jestem Hotentotką – wymyśliłam.

– Nie szkodzi – odparł. – Mam nadzieję, że przyjdziesz.

Wrócił do matki i ciotki, którym oświadczył z lekką nonszalancją, lecz z miną wykluczającą wszelkie wątpliwości:

– To jest Hotentotka, ale ja chcę, żeby przyszła.

Kejiko

Miałam raz tłustą mulicę, którą nazywałam Molly. Ale chłopiec zajmujący się mułami nadał jej inne imię – Kejiko, co znaczy „łyżka”. Na moje pytanie, dlaczego ją tak nazwał” odpowiedział: „Bo wygląda jak łyżka”. Obeszłam mulicę dokoła, aby stwierdzić, co toto stajenny miał na myśli, lecz dla mnie z żadnej strony bynajmniej nie przypominała łyżki.

Nieco później powoziłam zaprzęgiem czterech mułów, wśród których była i Kejiko. Z wysokiego siedzenia woźnicy oglądałam muły prawie jak z lotu ptaka i wtedy spostrzegłam, że toto miał słuszność. Kejiko była niesłychanie cienka wzdłuż grzbietu, a przy tym miała tak szeroki i tłusty zad, że rzeczywiście przypominała łyżkę trzymaną wypukłą stroną do góry.

Gdyby Kamau, stajenny toto i ja, ale każde osobno” malowało portret Kejiko, obrazy różniłyby się diametralnie.

Żyrafy jadą do Hamburga

W Mombasie mieszkałam u bardzo gościnnego i szarmanckiego dżentelmena, szejka Ali bin Salima, który był liwali wybrzeża.

Mombasa wygląda zupełnie jak obraz raj u namalowany ręką dziecka. Głęboka odnoga morska otacza wyspę tworząc idealny port; na białawej, koralowej skale lądu rosną rozłożyste, zielone drzewa mango i fantastyczne łyse, szare baobaby. Morze ma chabrową barwę, a poza wejściem do portu długie fale Oceanu Indyjskiego kreślą białą linię, wydając przy tym głuchy ryk nawet przy bezwietrznej pogodzie. Mombasa, miasto o wąskich uliczkach, jest całe zbudowane z bloków koralowych o pięknych barwach – ciemnożółtej, różowej i ochry. Nad miastem wznosi się masywna forteca, w której trzysta lat temu bronili się na przemian Arabowie i Portugalczycy. Ma intensywniejszą barwę niż reszta budynków, jak gdyby na przestrzeni wieków zdołała dzięki górującemu położeniu wchłonąć w siebie więcej burzliwych zachodów słońca.

W ogrodach Mombasy kwitną przebogate czerwone akacje o niesłychanie intensywnej barwie i delikatnych listkach. Słońce pali i praży miasto. Powietrze jest słonawe, morska bryza co dzień przynosi ze wschodu świeży zapas solanki, ziemia zaś jest tak przesolona, iż rośnie na niej bardzo niewiele trawy, wygląda raczej na parkiet do tańca. Stare drzewa mają jednak gęste ciemnozielone listowie i użyczają łagodzącego cienia, tworząc okrągłe sadzawki czarnego chłodu. Bardziej od wszystkich znanych mi drzew zapraszają do siebie, są naturalnym centrum ludzkich stosunków, pod względem towarzyskim dorównują znaczeniem wiejskim studniom. Pod drzewami mango odbywają się jarmarki, ich pnie obłożone są klatkami z drobiem i stosami kawonów.

Ali bin Salim ma przyjemny biały dom naprzeciw wyspy przy łuku odnogi morskiej; długie kamienne schody prowadzą z domu aż na sam brzeg. Obok głównego budynku stoją mniejsze budynki gościnne, w największej zaś sali rezydencji szejka, za werandą, mieści się kolekcja pięknych rzeczy; zawiera wyroby z kości słoniowej i brązu, porcelanę z Łamu, pluszowe fotele, fotografie i wielki gramofon. W wykładanym satyną pudle spoczywają resztki serwisu do herbaty z wyborowej angielskiej porcelany z lat czterdziestych ubiegłego wieku; był to prezent ofiarowany przez młodą wówczas królową Wiktorię i jej księcia – małżonka synowi sułtana Zanzibaru z okazji jego ślubu z córką szacha perskiego. Królowa i jej małżonek życzyli młodej parze takiego szczęścia, jakim sami się cieszyli.

– A czy młodzi byli szczęśliwi? – spytałam szejka, gdy wyjmował z pudła filiżanki, aby mi je pokazać.

– Niestety, nie – brzmiała odpowiedź. – Młoda żona nie chciała zrezygnować z konnej jazdy. Na statku z wyprawą ślubną przywiozła swoje konie. Lecz mieszkańcy Zanzibaru niechętnie patrzyli na jeżdżące konno kobiety. To wywołało wiele kłopotów, a ponieważ księżniczka była bardziej skłon na do wyrzeczenia się męża niż koni, małżeństwo zostało w końcu rozwiązane i córka szacha wróciła do Persji.

W porcie stał zardzewiały niemiecki tramp zdążający do macierzystego portu w Hamburgu. Gdy udawałam się na wyspę łodzią szejka z załogą Suahili, przepływaliśmy obok tego statku. Na pokładzie stała wysoka drewniana skrzynia, a z niej wystawały łby dwu żyraf. Jak powiedział mi Farah, który był już wcześniej na pokładzie tego statku, zwierzęta pochodziły z Portugalskiej Afryki Wschodniej i były przeznaczone dla objazdowej menażerii w Niemczech.

Żyrafy kręciły na wszystkie strony małymi głowami jakby zaskoczone niespodzianką. Miały prawo, nigdy bowiem przedtem nie widziały morza. W klatce było tylko tyle miejsca, że mogły stać. Ich świat nagle się skurczył, zmienił i zamknął dokoła nich.

Nie mogły wiedzieć o czekającym je poniżeniu ani sobie tego wyobrazić. Były przecież stworzeniami dumnymi i niewinnymi, łagodnymi spacerowiczami po rozległych stepach. Nie

miały najslabszego pojęcia o niewoli, zimnie, smrodzie, dymie i parchach ani o straszliwej nudzie panującej w świecie, gdzie nic się nigdy nie dzieje.

Tłumy ludzi w silnie woniejącej odzieży będą przychodzić z błotnistych i wietrznych ulic, aby gapić się na żyrafy i uświadamiać sobie wyższość człowieka nad niemym światem zwierząt. Gdy spokojne zgrabne głowy wychylą się poza ogrodzenie klatki, ludzie będą sobie ze śmiechem pokazywać smukłe szyje, zbyt długie w tym otoczeniu. Dzieci będą na ich widok płakać ze strachu albo przeciwnie, zapalają miłością do żyraf i będą je karmić chlebem. Wówczas ojcowie i matki pomyślą, że to jednak miłe zwierzęta i jest im dobrze w tej menażerii.

Czy podczas wielu lat, które je czekają, pomyślą kiedyś żyrafy we śnie o swej utraconej ojczyźnie? Gdzież są teraz, gdzie podziały się soczyste łąki i drzewa cierniowe, gdzie rzeki i źródła, gdzie sinawe góry? Słodki powiew wiatru nad stepem uniósł się gdzieś i przepadł. Gdzie podziały się inne żyrafy, które zawsze towarzyszyły im w spacerach lub w galopie po falistej okolicy? Opuściły je, odeszły i zdaje się, że nigdy nie wrócą.

A gdzie jest noc z pełnią księżyca?

Żyrafy poruszają się i budzą w wozie menażerii, w swojej ciasnej klatce przesiąkniętej zapachem zgniłej trawy i piwa.

Żegnajcie, żegnajcie, życzę wam, abyście umarli w tej podróży obydwie, aby żadna z waszych szlachetnych główek teraz z takim zdziwieniem patrzących znad skrzyni pod niebieskim niebem Mombasy, nie musiała się odwracać na wszystkie strony w Hamburgu, gdzie nikt nic nie wie o Afryce.

A my? My musimy wpiery znaleźć kogoś, kto ciężko przeciw nam zgrzeszył, zanim będziemy mogli z otwartym czołem prosić żyrafy o wybaczenie nam naszych grzechów przeciw nim.

W menażerii

Około stu lat temu bawiący przejazdem w Hamburgu duński hrabia Schimmelmann trafił na małą menażerię objazdową i bardzo ją polubił. Przez cały czas pobytu w mieście dzień w dzień ją odwiedzał, chociaż sam nie potrafiłby wytłumaczyć, co go ciągnęło do brudnych i rozlatujących się wozów. W rzeczywistości menażeria wywoływała jakiś odzew w jego świadomości. Działo się to w zimie i na dworze trzymał mróz. W szopie dozorca dokładał do starego żelaznego pieca, aż ten rozgrzewał się do czerwoności i świecił w ciemnym korytarzu wzdłuż klatek ze zwierzętami; ale przeciąg robił swoje i chłód i tak przenikał ludzi do szpiku kości.

Hrabia Schimmelmann stał właśnie głęboko zamyślony przy klatce z hieną, gdy podszedł do niego właściciel menażerii. Był to mały, błydy człowieczek z wklęsłym nosem, niegdyś student teologii, który po jakimś skandalu musiał opuścić wydział i później staczał się coraz niżej.

– Wasza Ekscelencja słusznie czyni oglądając hienę – przemówił. – Jest to wielkie wydarzenie, że hiena trafiła do Hamburga, bo nigdy jej tu nie widziano. Wszystkie hieny, trzeba wiedzieć, są hermafrodytami i w Afryce, skąd pochodzą, zbierają się przy pełni księżyca i tworzą koło kopulacyjne, w którym każde zwierzę spełnia równocześnie rolę męską i żeńską. Czy pan o tym wiedział?

– Nie – odparł hrabia Schimmelmann z lekkim gestem niesmaku.

– A jak teraz Wasza Ekscelencja uważa – ciągnął dalej właściciel menażerii – czy z tego powodu hiena znosi zamknięcie w klatce trudniej niż jakiegokolwiek inne zwierzę? Czy odczuwa podwójne pożądanie, czy też, skoro łączy w sobie uzupełniające się zdolności tworzenia życia, odczuwa zaspokojenie i pełną harmonię w samej sobie? Innymi słowy,

ponieważ wszyscy jesteśmy w życiu więźniami, czy posiada nie większych zdolności czyni nas szczęśliwszymi czy nieszczęśliwszymi?

– Dziwne to uczucie – powiedział hrabia Schimmelmanna, który dążył torem swych własnych myśli i nie zwracał uwagi na słowa właściciela menażerii – uświadomić sobie, że tyle setek, a nawet tyle tysięcy hien żyło i umierało w tym celu, abyśmy w końcu mieli jeden okaz w Hamburgu, gdzie ludzie mogą się dowiedzieć, jak wygląda hiena, a przyrodnicy mogą wykorzystać tę okazję do studiów.

Przeszli do następnej klatki, w której mieściły się żyrafy.

– Dzikie zwierzęta – ciągnął dalej hrabia – żyjące na łonie natury w rzeczywistości nie egzystują. To tutaj istnieje, mamy dlań nazwę, wiemy jak wygląda. Inne mogły równie dobrze nigdy nie istnieć, stanowią jednakże ogromną większość. Natura jest ekstrawagancka.

Właściciel menażerii zsunął na tył głowy zniszczoną futrzaną czapkę, pod którą miał łąsą jak kolano czaszkę.

– One się widzą wzajemnie – zauważył.

– Nawet to można poddawać w wątpliwość – po chwili milczenia odparł hrabia Schimmelmanna. – Te żyrafy, na przykład, mają na skórze kwadratowe znaki. Nie znają się jednak na kwadratach, wobec czego nawzajem na siebie patrząc nie odróżniają kwadratów. Czy można więc w ogóle mówić, że one się nawzajem widzą?

Właściciel menażerii spoglądał jakiś czas na żyrafy, potem rzekł:

– Bóg je widzi.

Hrabia Schimmelmanna zaśmiał się.

– Żyrafy? – spytał.

– O, tak, Ekscelencjo! – pośpiesznie zapewnił właściciel menażerii. – Bóg widzi te żyrafy. Gdy biegały sobie po Afryce i bawiły się tam, Bóg spoglądał na nie i cieszył się ich widokiem. Stworzył je po to, aby mieć przyjemność. Tak mówi Biblia, Ekscelencjo. Bóg tak kochał żyrafę, iż ją stworzył. Sam Bóg wynalazł kwadrat jak również koło, temu Wasza Ekscelencja nie może zaprzeczyć. Widział kwadraty na skórze żyrafy i widział wszystko inne. Dzikie zwierzęta, Ekscelencjo, są być może dowodem istnienia Boga. Gdy jednak dostaną się do Hamburga – zakończył poprawiając znów czapkę – sprawa staje się problematyczna.

Hrabia Schimmelmanna, który w życiu kierował się zapatrywaniami innych, w milczeniu podszedł do stojącej bliżej pieca skrzyni z węzami. Aby go zabawić, właściciel menażerii otworzył skrzynię i usiłował zbudzić śpiącego w niej węza. W końcu gad owinął się powoli wokół jego ramienia. Hrabia Schimmelmanna patrzył na tę grupę.

– Doprawdy, mój drogi Kannegieter – powiedział z kwaśnym uśmiechem – gdyby pan był u mnie zatrudniony albo gdybym ja był królem, a pan moim ministrem, dostałby pan teraz dymisję.

Właściciel menażerii spojrzał na niego niespokojnie.

– Czy naprawdę, Ekscelencjo? – spytał chowając węza do skrzyni. – A jeżeli można zapytać, Ekscelencjo, to dlaczego?

– O, Kannegieter, pan nie jest takim niewiniątkiem, jakie pan udaje – odrzekł hrabia. – Dlaczego? Dlatego, mój przyjacielu, że zdrowym ludzkim instynktem jest awersja do węży. Ludzie, którzy ją posiadają, uchodzą z życiem. Wąż jest najgorszym ze wszystkich nieprzyjaciół człowieka, ale czy poza instynktem rozróżniania dobra od zła coś innego nam o tym mówi? Pazury lwa, wzrost i kły słonia, rogi bawołu, to wszystko rzuca się w oczy. Natomiast węże są pięknymi stworzeniami. Są okrągłe i gładkie jak rzeczy, do których się w życiu przywiązujemy, mają wytworne, delikatne zabarwienie i łagodne ruchy. Tylko dla bogobojnego człowieka to piękno i ta gracia są nienawistne, trącą potępieniem, przypominają o upadku pierwszych rodziców. Coś każe mu unikać węza jak diabła i to właśnie nazywane jest głosem sumienia. Człowiek zaś, który potrafi pieścić węza, zdolny jest do wszystkiego.

Hrabia Schimmelmanna uśmiechnął się do swych myśli, zapiął bogate futro i zwrócił się ku

wyjściu.

Właściciel menażerii stal w głębokiej zadumie.

– Ekscelencjo – powiedział w końcu – musimy kochać węże. Nie ma innego wyjścia. Mogę to Waszej Ekscelencji powiedzieć na podstawie własnego doświadczenia. Mogę też Waszej Ekscelencji udzielić najlepszej rady, na jaką mnie stać: należy kochać węże. Proszę pamiętać, Ekscelencjo, że często, proszę pamiętać, Ekscelencjo, że za każdym niemal razem, gdy prosimy Boga o rybę, daje nam węża.

Towarzysze podróży

W jadalni statku płynącego do Afryki siedziałam przy stole między Belgiem udającym się do Kongo, a pewnym Anglikiem, który był jedenaście razy w Meksyku, gdzie polował na specjalny gatunek owcy górskiej. Teraz jechał z zamiarem zapolowania na bongo. Prowadząc rozmowę z obu sąsiadami, myślałam się w językach i gdy chciałam dowiedzieć się od Belga, czy wiele w życiu podróżował, spytałam go:

– *Avez vous beaucoup travaillé dans votre vie?*^[20]

Belg nie obraził się i wyjmując wykałaczkę z zębów odparł poważnie:

– *Enormément, Madame.*

Od tej chwili uważał za punkt honoru opowiedzieć mi o wszystkich pracach dokonanych w życiu. Ciągłe powtarzał się w tym jeden zwrot: *Notre mission. Notre grande mission dans le Congo.*

Pewnego wieczora, gdy zasiedliśmy do kart, Anglik opowiadał nam o Meksyku. Między innymi przytoczył zabawną rozmowę z pewną starą Hiszpanką mieszkającą na samotnej farmie w górach, która na wiadomość o przybyciu cudzoziemca zaprosiła go do siebie i kazała mu opowiedzieć wszystkie nowości ze świata.

– Teraz proszę, proszę pani, ludzie latają – brzmiała jedna z nowin.

– Tak, słyszałam o tym – powiedziała staruszka – posprzeczałam się nawet na ten temat z naszym księdzem. Teraz pan nam wreszcie wyjaśni sprawę. Czy ludzie latają z nogami podciągniętymi pod siebie, jak wróble, czy wyciągniętymi do tyłu, jak bociany?

W dalszej rozmowie Anglik rzucił uwagę o ciemnocie panującej wśród meksykańskich Indian i niskim poziomie oświaty.

Belg, który właśnie rozdawał karty, zatrzymał się z ostatnią kartą w ręku i patrząc przenikliwie na Anglika powiedział:

– *Il faut enseigner aux nègres à être bonnêtes et à travailler. Rien de plus*^[21]. – Rzucając kartę z siłą na stół, powtórzył zapalczywie: – *Rien de plus. Rien. Rien. Rien.*

Przyrodnik i małpy

Pewien szwedzki profesor historii naturalnej przyjechał na farmę i prosił mnie o interwencję w wydziale łowiectwa. Powiedział mi, że przyjechał do Afryki po to, aby ustalić, w jakim stadium embrionalnym stopa małp, które mają wielki palec u nogi, zaczyna się różnić od stopy ludzkiej. W tym celu zamierzał polować na małpy gatunku colobus w okolicach Mount Elgon.

^[20] Autorka, mieszając angielskie słowo „travel” – podróżować z francuskim „travailler” – pracować, zadała pytanie, czy jej sąsiad dużo pracował w życiu.

^[21] Trzeba uczyć Murzynów uczciwości i pracy. Nic więcej.

– Nie stwierdzi pan tego na colobusach – oświadczyłam memu gościowi. – Żyją na wierzchołkach drzew cedrowych, są bardzo płochliwe i ogromnie trudno do nich strzelać. W dodatku musiałby pan mieć ogromne szczęście, aby trafić na potrzebny panu embrión.

Profesor był jednak najlepszej myśli i oświadczył mi, że zostanie tak długo, aż zdobędzie swoją stopę, choćby to miało trwać lata. Złożył podanie do wydziału łowiectwa o zezwolenie na odstrzał. Ze względu na naukowy cel swej wyprawy był pewien pozytywnego załatwienia próśby, dotąd jednak nie miał odpowiedzi.

– A ile małp wymienił pan w próbie o pozwolenie na odstrzał? – spytałam.

Odpowiedź brzmiała, że na początek prosił o prawo zastrzelenia tysiąca pięciuset małp.

Znałam kilku pracowników wydziału łowiectwa, pomogłam mu więc wysłać drugi list z prośbą o odwrotną odpowiedź, gdyż profesor chciałby bezzwłocznie przystąpić do badań naukowych. Raz chociaż odpowiedź z wydziału rzeczywiście nadeszła odwrotną pocztą. Wydział z przyjemnością informował profesora Landgreena, że z uwagi na naukowy charakter jego badań uznał możliwość dokonania wyjątku i podniesienia liczby małp na licencji łowieckiej z przewidzianych przepisami czterech sztuk na sześć sztuk.

List ten musiałam czytać profesorowi dwukrotnie. Gdy treść dotarła ostatecznie do jego świadomości, był tak przygnębiony, tak wstrząśnięty i śmiertelnie obrażony, że nie wyrzekł ani słowa. Nie odpowiedział na moje wyrazy ubolewania, lecz wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i odjechał.

Gdy nie miał głowy zaprzątniętej tego rodzaju kłopotami, profesor był interesującym i dowcipnym rozmówcą. W czasie pogawędek na temat małp wyjaśnił mi różne zjawiska i przytoczył swe własne hipotezy. Pewnego dnia powiedział:

– Powiem pani o własnym, niezwykle interesującym przeżyciu. Na Mount Elgon przez chwilę uznałem za możliwą wiarę w istnienie Boga. Co pani o tym sądzi?

Odpowiedziałam, że to bardzo interesujące, ale pomyślałam sobie: „Jest jeszcze jedno interesujące pytanie, które brzmi: czy Bóg na Mount Elgon mógł przez chwilę uwierzyć w istnienie profesora Landgreena?”

Karomenya

Mieliśmy na farmie dziewięcioletniego głuchoniemego chłopca imieniem Karomenya. Potrafił on wydawać głos tylko w postaci krótkiego ryku, lecz i to zdarzało się rzadko. Inne dzieci obawiały się go i skarżyły się, że je bije. Pierwszą znajomość z Karomenya zawarłam wówczas, gdy rówieśnicy pobili go raz gałęzią po głowie tak mocno, że prawy policzek miał bardzo obrzmiały i pełen drzazg, które musiałam usuwać za pomocą igły. Ta przygoda nie stanowiła dla Karomenyi takiej męczarni, jakby ktoś mógł przypuszczać. Chociaż go to bolało, z drugiej strony umożliwiło mu nawiązanie kontaktu z ludźmi.

Karomenya był bardzo ciemny, z ładnymi, wilgotnymi oczyma i długimi rzęsami. Miał poważny wyraz twarzy i rzadko się uśmiechał. Będąc z natury aktywny, a równocześnie pozbawiony możliwości porozumiewania się z otoczeniem ludzkim językiem, uznawał walkę za sposób demonstrowania swego istnienia. Doskonale rzucał kamieniami i zawsze trafiał tam, gdzie chciał. Jakiś czas strzelał z łuku, lecz to mu nie wychodziło – być może sztuka strzelania z łuku wymaga ucha zdolnego do uchwycenia dźwięku cięciwy. Odznaczał się krzepką budową i jak na swój wiek niezwykłą siłą. Tych zalet Karomenya nie zamieniłby z innymi chłopcami za ich słuch i mowę, które nie budziły w nim, jak mi się zdaje, specjalnego zachwyty.

Mimo wojowniczego usposobienia Karomenya potrafił być przyjacielski. Gdy spostrzegł, że ktoś do niego mówi, twarz mu się rozjaśniała, nie uśmiechem wprawdzie, lecz wyrazem czujności. Przy każdej okazji kradł cukier i papierosy, ale natychmiast rozdawał je innym

dzieciom. Raz zastałam go przy tym, jak otoczony kręgiem chłopców rozdawał im kradziony cukier. Nie zauważył mnie i był to jedyny wypadek, kiedy na jego twarzy widziałam grymas bardzo zbliżony do śmiechu.

Przez pewien czas próbowałam go zatrudnić w kuchni i w domu, ale nie wywiązywał się dobrze z tych obowiązków i sam zresztą znudził się wkrótce taką pracą. Jedyne, co lubił, to noszenie ciężkich przedmiotów z miejsca na miejsce. Przy podjeździe miałam rząd otoczków i pewnego dnia przy pomocy Karomenyi przesunęłam jeden z tych kamieni pod sam dom, aby uzyskać symetryczny układ. Nazajutrz, podczas mojej nieobecności, chłopiec zniósł wszystkie pozostałe kamienie na jedno miejsce pod domem i ułożył z nich całą górę. Nigdy bym nie mogła uwierzyć, że osoba tego wzrostu potrafiła dokonać takiej pracy, która wymagała ogromnego wysiłku. Widocznie Karomenya znalazł swoje miejsce na świecie i tego się trzymał. Był głuchy i niemy, ale bardzo silny.

Ze wszystkich rzeczy najbardziej pragnął posiadać nóż, lecz nie odważyłam się dać mu go z obawy, że uniesiony pragnieniem nawiązywania kontaktów z otoczeniem mógłby łatwo zabić nożem któreś dziecko. W późniejszym życiu na pewno jednak osiągnął swe marzenie i zrobił z niego użytek.

Najsilniejsze wrażenie zaobserwowałam na twarzy Karomenyi wtedy, gdy dałam mu w prezencie gwizdek, którym posługiwałam się przy zwoływaniu psów. Pokazałam mu najpierw ten gwizdek, lecz nie stwierdziłam większego zainteresowania. Dopiero gdy według moich wskazówek włożył gwizdek do ust i zagwizdał, a na ten znak ze wszystkich stron nadleciały psy, chłopiec przeżył wielkie wrażenie i aż twarz mu pociemniała ze zdumienia. Spróbował raz jeszcze z tym samym efektem, potem rzucił mi poważne, ale rozpromienione spojrzenie. Kiedy już się przyzwyczaił do używania gwizdka, zapragnął sprawdzić, jak on działa. Nie badał przy tym samego gwizdka, lecz zwoławszy psy oglądał je dokładnie ze zmarszczonymi brwiami, jakby chciał stwierdzić, gdzie zostały uderzone. Od tego czasu Karomenya bardzo polubił psy i często je „pożyczał” ode mnie i zabierał na spacer. Gdy wychodził ze sforą na smyczy, wskazywałam na zachodnią część nieba. Miał wrócić wtedy, gdy słońce znajdzie się w takim położeniu. On ze swej strony powtarzał ten sam ruch i zawsze wracał bardzo punktualnie.

Pojechawszy raz na konny spacer, zobaczyłam Karomenyę i psy daleko od domu, w rezerwacie Masajów. Nie widział mnie i sądził, że jest sam i nikt go nie obserwuje. Wypuścił psy, potem zawołał je gwizdkiem i powtarzał to kilka razy. Daleko od ludzi, przekonany, że nikt o tym nie wie, oddawał się nowemu zajęciu, które mu wypełniało życie.

Gwizdek nosił zawieszony na szyi, lecz pewnego dnia zjawił się bez niego. Na migi spytałam, co się stało, a on mi w ten sam sposób odpowiedział, że gwizdek zginął. Nigdy nie poprosił mnie o drugi. Albo był przeświadczony, że drugi gwizdek jest nieosiągalny, albo też może uznał za stosowne trzymać się z daleka od tego, co w gruncie rzeczy nie było jego sprawą. Nie jestem pewna, czy sam nie wyrzucił gwizdka dlatego, iż nie mógł pogodzić jego posiadania z innymi celami w życiu.

Za pięć lub sześć lat Karomenya albo przeżyje ogromne cierpienia, albo zostanie nagle uniesiony do nieba.

Pooran Singh

Mała kuźnia Poorana Singha, leżąca przy suszarni, odgrywała na farmie rolę miniaturowej piekarni z wszystkimi jego atrybutami. Była zbudowana z falistej blachy, gdy więc słońce świeciło na dach, a ogień palił się w środku, powietrze wewnątrz kuźni i wokół niej wydawało się rozżarzone do białości. Przez cały dzień rozlegał się tam ogłuszający dźwięk żelaza bijącego o żelazo, a wszędzie widniały siekiery i połamane koła, co nadawało kuźni

ponury wygląd miejsca średniowiecznej kuźni.

Mimo tego wszystkiego kuźnia zawsze wabiła do siebie siłą atrakcji. Gdy sama szłam przyrzeć się pracy Poorana Singha, zawsze zastawałam tłum ludzi w środku i wokół szopy. Pooran Singh pracował w nadludzkim tempie, jakby jego własne życie zależało od ukończenia danego przedmiotu w ciągu najbliższych pięciu minut. Skakał wokół kowadła i piskliwym głosem wrzeszczał na dwu młodych kikujuskich pomocników. Jednym słowem zachowywał się jak człowiek, którego palą na stosie, albo jak bardzo podenerwowany naczelny diabeł przy pracy. Pooran Singh nie był jednak wcale diabłem, ale osobą o najłagodniejszym na świecie usposobieniu; po godzinach pracy miał iście panięskie maniere, zdradzał dziewczęcą egzaltację. Na farmie sprawował funkcję fundee, to znaczy majstra do wszystkiego – cieśli, rymarza, stolarza, no i oczywiście kowala. Własnymi siłami skonstruował i zbudował dla farmy niejedną wóz. Najbardziej jednak lubił pracę w kuźni, a widok Poorana Singha zręcznie nabijającego obręcz na koło stanowił prawdziwą przyjemność.

Zewnętrznym wyglądem sprawiał Pooran Singh zupełnie fałszywe wrażenie. Gdy był ubrany w płaszcz i miał na głowie bogaty, biały turban, wyglądał z długą i czarną brodą na dostojnego i ciężkawego mężczyznę. W kuźni jednakże, nagi do pasa, z typowo hinduską budową ciała przypominającą klepsydę, okazywał się niewiarygodnie szczupły i zimny.

Lubiłam kuźnię Poorana Singha, a wśród Kikujusów też była ona popularna, i to z dwu powodów.

Po pierwsze ze względu na żelazo, najbardziej fascynujący surowiec, który pobudza wyobraźnię ludzką do odbywania dalekich podróży. Pług, miecz, działo i koło – cała cywilizacja ludzka, podbój natury przez człowieka wyrażony w kilku słowach, zrozumiały nawet dla prymitywnych ludzi – to rzeczy z żelaza, a Pooran Singh kuł żelazo.

Po drugie, kuźnia przyciągała ku sobie krajowców melodią. Wysoki i żywy, monotony, ale zaskakujący rytm pracy kowala jest przepojony jakąś mistyczną siłą. Jest tak męski, że miękna przy nim kobiece serca, jest prosty, bezpośredni, mówi prawdę i tylko prawdę. Czasami jest bardzo wymowny. Jest niezwykle mocny, lecz przy tym wesoły, jest usłużny i jak w zabawie chętnie dokonuje największych rzeczy. Zamiłowani w rytmie tubylcy zbierali się pod kuźnię Poorana Singha i tam czuli się dobrze. Staroskandynawskie prawo przewidywało, że człowiek nie mógł być pociągnięty do odpowiedzialności za to, co powiedział w kuźni. Mieszkańcom Afryki również rozwiązywały się w kuźni języki, rozmowy toczyły się bystro; dźwięk młota inspirował, towarzyszyły mu więc śmiałe uwagi.

Pooran Singh pracował u mnie wiele lat i pobierał bardzo dobre wynagrodzenie. Jego zarobki nie pozostawały jednak w żadnym stosunku do jego potrzeb, gdyż był ascetą pierwszej wody. Nie jadał mięsa, nie pił, nie palił ani nie grał, starą odzież donaszał do ostatniej nitki. Pieniądze posyłał do Indii na kształcenie dzieci. Jego syn Delip Singh, mały i milczący chłopiec, przyjechał raz z Bombaju w odwiedziny do ojca. Młody stracił już kontakt z żelazem. Jedynym metalem, jaki u niego zauważyłam, było wieczne pióro w kieszeni bluzy. Drugie pokolenie nie odziedziczyło mitycznych właściwości.

Za to sam Pooran Singh, szalejąc nad kowadłem, otoczony był nimbem przez cały czas pobytu na farmie, a mam też nadzieję, że do końca życia. Był sługą bogów, rozpalonym do białości, gorliwym nosicielem ich ducha. W kuźni Poorana Singha młot wyśpiewywał to, co człowiek chciał usłyszeć, młot był rzecznikiem serca. Dla mnie ten młot śpiewał starą grecką pieśń, którą jeden z przyjaciół przetłumaczył tak:

*Eros uderzył niby kowal młotem
Aż iskry poszły z mojej czupurności –
A potem serce mi we łzach ochłodził
Jak rozpalone żelaza w strumieniu.*

Dziwne zdarzenie

Gdy zajmując się transportem towarów w czasie wojny przebywałam w rezerwacie Masajów, pewnego dnia zobaczyłam dziwną rzecz, której nikt ze znanych mi ludzi nie widział. Działo się to w pełnym świetle dziennym, moje wozy ciągnęły wtedy po stepie.

W Afryce powietrze odgrywa większą rolę w całości krajobrazu niż w Europie. Jest pełne majaków i miraży, w pewien sposób stanowi scenę, na której toczą się wypadki. W południowym upale powietrze oscyluje i wibruje jak struna skrzypiec, podnosi do góry pasy stepu wraz z drzewami i pagórkami, a na suchej trawie tworzy rozległe zalewy wodne.

Podróżowaliśmy wówczas w takim właśnie rozpalonym powietrzu, wbrew zaś swemu zwyczajowi znajdowałam się daleko przed wozami. Towarzyszył mi Farah, Dusk i toto zajmujący się psem. Szliśmy w milczeniu, bo upał odbierał ochotę od rozmowy. Nagle równina na horyzoncie zaczęła się poruszać i galopować. Ale nie tylko powietrze ruszało się, to równocześnie z prawej strony w poprzek stepu zbliżało się ku nam wielkie stado dzikich zwierząt.

– Popatrz na te zwierzęta – powiedziałam do Faraha.

Po chwili nie byłam jednak pewna, czy to zwierzęta. Wyjęłam lornetkę i popatrzyłam przez nią, ale w południowym upale i szkła niewiele pomagają.

– Jak myślisz, Farah, czy to zwierzęta? – spytałam.

Wtedy spostrzegłam, że Dusk nastawił uszu i bystrymi oczyma śledził zbliżanie się stada. Często pozwalałam psu gonić za gazelami i antylopami, ten dzień wydał mi się jednak zbyt upalny, kazałam więc toto wziąć Duska na smycz. W tym momencie Dusk zaskowyczał krótko i dziko rzucając się naprzód z takim impetem, że przewrócił toto. Udało mi się chwycić za smycz i trzymałam ją z całej siły. Patrzyłam na zwierzynek.

– Co to jest? – zwróciłam się do Faraha.

Na stepie trudno jest ocenić odległość. Przyczyną tego jest ruszające się powietrze i monotonia krajobrazu, a także charakter rozrzuconych tu i tam cierniowców, które z daleka mają sylwetkę dokładnie taką jak wysokie i potężne drzewa w lesie, w rzeczywistości zaś liczą tylko trzy metry wysokości i sięgają żyrafie ledwie do nasady szyi. Na odległość zawsze popełnia się omyłki w ocenie wielkości zwierzyzny, w biały dzień można wziąć szakala za elanda i strusia za bawoła. Farah odpowiedział mi po minucie namysłu:

– Memsahib, to są dzikie psy.

Zwykle widzi się razem trzy lub cztery dzikie psy, zdarza się jednak i grupa złożona z dwunastu. Tubylcy bardzo się ich obawiają i twierdzą, że są to mordercze bestie. Jadąc raz po rezerwacie niedaleko farmy, natknęłam się na cztery dzikie psy, które biegły za mną w odległości piętnastu metrów. Towarzyszące mi dwa małe teriery trzymały się wtedy jak najbliżej konia, właściwie biegły pod jego brzuchem aż do samej farmy. Dzikie psy są mniejsze od hien, wielkości mniej więcej rosłego owczarka alzackiego. Są czarne, z pęczkami białych włosów na końcu ogona i na czubkach sterczących uszu. Skóry są do niczego, mają ostrą, nierówną sierść i okropnie śmierdzą.

Stado, które obserwowaliśmy, musiało liczyć z pięćset dzikich psów. Biegły wolnym galopem, w dosyć dziwny sposób, nie rozglądając się ani na prawo, ani na lewo, jakby czymś wystraszone albo spieszące się do ściśle określonego celu. Zbliżając się do nas, lekko zboczyły z drogi, chociaż nie zdawały się nas zauważać, i biegły dalej w tym samym tempie. Gdy były najbliżej nas, odległość wynosiła pięćdziesiąt metrów. Biegły długą kolumną, po trzy lub cztery w szeregu, a przejście całej procesji zabrało sporo czasu. Gdy mijała nas połowa kolumny, Farah oświadczył:

– Te psy są bardzo zmęczone, muszą mieć za sobą długą drogę.

Gdy już wszystkie przebiegły, obejrzeliliśmy się za naszymi wozami. Były jeszcze dość daleko, więc wyczerpani przeżyłym wrażeniem usiedliśmy na trawie w tym miejscu,

gdzieśmy stali. Dusk wyrywał się okropnie podniecony, chciał gonić dzikie psy. Objęłam go za szyję i pomyślałam, że gdybym go w porę nie kazała uwięzić, teraz byłby już pożarty.

Woźnice skoczyli naprzód i przybiegli do nas, aby zapytać, co to było. Ani im, ani sobie nie mogłam wytłumaczyć, dlaczego dzikie psy wędrowały w taki sposób i w takiej liczbie. Tubylcy wzięli to za zły omen, zapowiedź wojny, bo dzikie psy karmią się padliną. Później nie omawiali tego wypadku między sobą tak, jak omawiali wszystkie inne zdarzenia podczas safari.

Opowiadałam to wielu ludziom, ale nikt mi nie wierzył. A jednak wszystko jest prawdą, moi boye mogą poświadczyć..

Papuga

Pewien stary duński armator rozmyślał o swojej młodości i przypomniał sobie, jak mając szesnaście lat spędził noc w burdelu w Singapurze. Poszedł tam z marynarzami ze statku swego ojca, całą zaś noc przesiedział na rozmowie ze starą Chinką. Gdy ta dowiedziała się, że pochodził z dalekiego kraju, przyniosła starą papugę, którą hodowała. Bardzo, bardzo dawno, opowiedziała mu, dostała tę papugę od pewnego wysoko urodzonego Anglika, który był jej kochankiem. Chłopiec pomyślał, że ptak musi mieć ze sto kit. Umiał wymawiać zdania w różnych językach świata, uczył się tego w kosmopolitycznej atmosferze przybytku. Ale jednego wierszyka ów Anglik nauczył papugę jeszcze przed ofiarowaniem i tego nie rozumiała ani stara Chinka, ani nikt z gości nie potrafił jej przetłumaczyć. Od wielu więc lat przestała nawet prosić o przetłumaczenie. Skoro jednak chłopiec pochodzi z daleka, może ten wierszyk jest w jego języku; może więc on potrafi wyjaśnić znaczenie słów.

Propozycja zrobiła na chłopcu głębokie i dziwne wrażenie. Gdy popatrzył na papugę i pomyślał, że z obrzydliwego dzioba może usłyszeć duńską mowę,omal nie uciekł z tego domu. Został tylko po to, aby wyrządzić przysługę starej Chince. Ale gdy Chinka kazała papudze powiedzieć ów wiersz, okazało się, że to klasyczny język grecki.. Ptak wymawiał słowa bardzo powoli, chłopiec zaś znał grekę na tyle, aby rozpoznać źródło. Był to wierszyk Safony:

*Zaszedł już księżyc i zgasły
Plejady, północ mija,
godziny płyną wolno,
a ja spoczywam sama*^[22]

Gdy tłumaczył znaczenie tych słów starej kobiecie, ta oblizywała wargi i przewracała małymi, skośnymi oczyma. Poprosiła go o powtórzenie i słuchając kiwała głową.

[22] Przekład Janiny Brzostowskiej.

POŻEGNANIE Z FARMĄ

Ciężkie czasy

Moja farma leżała nieco za wysoko na uprawę kawy. W zimnych miesiącach zdarzały się nocne przymrozki, po nich zaś młode pędy drzew kawowych i rozwijające się na nich jagody więdły i żółkły. Wiatr wiał ze stepów i nawet w dobrych latach nie uzyskiwaliśmy takiego zbioru z hektara jak farmy w niżej położonych okręgach Tika i Kiambu, na wysokości tysiąca pięciuset metrów ponad poziomem morza.

W okręgu Ngong brakowało nam też deszczu, a trzy razy mieliśmy lata prawdziwej posuchy, która nas bardzo wyniszczyła. Gdy w jakimś roku opady wynosiły tysiąc dwieście pięćdziesiąt milimetrów, zbieraliśmy wtedy osiemdziesiąt ton kawy, gdy zaś w innym mieliśmy tysiąc czterysta milimetrów opadów, zebraliśmy blisko dziewięćdziesiąt ton. Były jednak dwa złe lata, w których opady wynosiły tylko sześćset dwadzieścia i pięćset milimetrów, a wtedy zdołaliśmy zebrać tylko szesnaście i piętnaście ton. Te dwa lata okazały się katastrofalne.

Równocześnie spadły ceny kawy; przedtem dostawaliśmy sto funtów za tonę, teraz zaś sześćdziesiąt, a najwyżej siedemdziesiąt. Nastaly ciężkie czasy. Nie mogliśmy płacić zobowiązań i nie mieliśmy pieniędzy na bieżące wydatki. Moi krewni w Danii, którzy mieli udziały w farmie, pisali mi, że muszę ją sprzedać.

Obmyślałam różne sposoby uratowania farmy. W jednym roku próbowałam uprawiać len na dotąd nie wykarczowanych polach. Jest to bardzo miłe zajęcie, wymagające jednak znajomości rzeczy i doświadczenia. Jako doradcę w tych sprawach miałam pewnego uchodźcę wojennego z Belgii. Gdy na jego pytanie, jaki obszar mam zamiar zasiać, odpowiedziałam, że sto dwadzieścia hektarów, natychmiast wykrzyknął: „To niemożliwe, proszę pani!” Jego zdaniem mogłam liczyć na powodzenie przy zasianiu dwu hektarów, a już najwyżej czterech. Ale cztery hektary nie mogły nas uratować i pomóc nam wyjść z kłopotów, zasialiśmy więc lnem sześćdziesiąt hektarów. Lazurowo kwitnące pole lnu przedstawia piękny widok, wydaje się niebem na ziemi. Nie ma też wdzięczniejszego produktu niż lniane włókno – mocne i połyskliwe, lekko tłustawe w dotyku. Myślamy odprowadza je człowiek daleko, wyobraża sobie, jak włókno przeradza się w pościel i nocną bieliznę. Ale trudno było za jednym zamachem nauczyć Kikujusów dokładności w zbieraniu, moczeniu i międleniu lnu. Dlatego nie powiodło się to przedsięwzięcie.

Większość farmerów w Kenii czyniła w tych latach próby podobnego rodzaju, niektórzy wpadli w końcu na jakiś zbawienny pomysł. Tak się właśnie udało Ingrid Lindström z Nioro. Przez dwanaście lat pracowała jak niewolnica przy swym ogrodzie warzywnym, hodowli świń i indyków, uprawie rycynusu i soi – wszystko zawodziło, wszystko oblewała rzewnymi łzami. Już po moim wyjeździe uratowała farmę dla siebie i rodziny tym, że zaczęła uprawiać złoczenie, które we Francji kupują do wyrobu perfum. W przeciwieństwie do Ingrid ja nie miałam szczęścia z moimi eksperymentami, a gdy zaczynał wiać suchy wiatr znad stepów Athi, liście drzew kawowych żółkły i opadały. W dodatku na część plantacji rzuciły się choroby drzew kawowych powodowane głównie przez dwa gatunki owadów.

Próbowaliśmy zastosować naturalny nawóz, aby uzyskać lepszy zbiór kawy. Ponieważ ja wyrosłam w europejskiej tradycji rolniczej, nie mogłam zrozumieć zbierania bez nawożenia. Gdy wiadomość o tym projekcie doszła do uszu skwaterów, pomogli nam w ten sposób, iż

dostarczyli nawozu zbieranego przez dziesiątki lat od krów i kóz. Przypominał on torf i łatwo dawał się stosować. Małymi pługami na jednego wołu, które kupiliśmy w Nairobi, robiliśmy bruzdy między drzewkami kawowymi. Ponieważ nie mógł tam dojechać wóz, kobiety nosiły worki z nawozem na plecach i rozrzucały w brzdach: jeden worek nawozu na jedno drzewko. Potem znów pługiem zakrywało się bruzdy. Przyjemnie było patrzeć na tę robotę i spodziewałam się po niej niezwykłych rzeczy. Niestety, nikt nie potrafił później stwierdzić jakichkolwiek korzyści z tego nawożenia.

Istotne trudności wynikały z braku kapitału obrotowego, który został zużyty, jeszcze zanim przejęłam zarząd farmy w swoje ręce. Nie mogliśmy wprowadzać żadnych radykalnych ulepszeń, żyliśmy tylko z dnia na dzień – w ostatnich latach w dosłownym znaczeniu tych słów.

Snułam w myślach plan, że gdybym dysponowała odpowiednim kapitałem, zrezygnowałabym z uprawy kawy, ścięłabym drzewka na plantacji i na ich miejscu posadziłabym inne drzewa. W Afryce drzewa rosną tak szybko, iż po dziesięciu latach spaceruje się w cieniu wysokich niebieskich drzew gumowych i akacji garbnikowych, tych samych, które w deszcz nosiło się ze szkółek po dwanaście sadzonek w skrzynce. Miałabym wówczas, marzyłam, dobry rynek w Nairobi zarówno na zbyt tarcicy, jak i drzewa opałowego. Sadzenie drzew jest szlachetnym zajęciem, sprawia zadowolenie jeszcze wiele lat później. Zanim objęłam zarząd farmy, były tu spore połacie naturalnego lasu. Sprzedano je jednak na wyrąb Hindusom, czego bardzo żałowałam. Sama zresztą musiałam w ciężkich czasach wyrąbywać drzewa wokół suszarni na paliwo do maszyny parowej. Długo mnie prześladowało wspomnienie wysokopiennego lasu i jego cienistej zieleni, niczego też w życiu tak nie żałowałam, jak konieczności wycięcia tych drzew. Od czasu do czasu, jeżeli mogłam sobie na to pozwolić, obsadzałam skrawki ziemi drzewami eukaliptusowymi, ale niewiele z tego wyszło. W tym tempie pięćdziesiąt lat musiałoby upłynąć, zanim zasadziłabym kilkaset hektarów i mogłabym zmienić farmę w racjonalnie prowadzone gospodarstwo leśne z tartakiem nad rzeką. Mimo to skwatterzy, u których pojęcie czasu jest inne niż u białych, z wielką nadzieją oczekiwali chwili, kiedy moje przyszłe lasy dostarczą każdemu dostateczną ilość drzewa na opał jak za dawnych dobrych dni.

Myślałam też o hodowli bydła i urzędzeniu na farmie mleczarni. Posiadłość leżała w „nieczystej strefie”, panowała tu bowiem bydłęca choroba zwana „gorączką wschodnio – afrykańską”. W tych warunkach hodowanie rasowego bydła wymagało specjalnych zabiegów w postaci odkażających kąpielii. To podrażało koszty hodowli i utrudniało konkurencję z hodowcami z czystych stref na północy kraju, ale z drugiej strony bliskość Nairobi stanowiła pomyślną okoliczność, gdyż mogłabym tam co rano posyłać mleko samochodem. Swego czasu mieliśmy stado rasowych krów i zbudowaliśmy dla nich bardzo dobry basen odkażający. Musieliśmy jednak sprzedać krowy, a nie używany basen zarósł trawą i przypominał ruiny zburzonego zamku. Gdy później odwiedzałam w porze dojenia krów bomy Maugi albo Kaninu i czułam słodkawy zapach bydła, znów wracała mi tęsknota za własną oborą i własną mleczarnią. Jeżdżąc konno po stepie widziałam w marzeniach pastwisko upstrzone krasulami jak kwiatami.

Z biegiem lat jednak wszystkie plany stawały się coraz odleglejsze, tak że w końcu sama widziałam tylko ich mgliste zarysy. Nie miałabym zresztą powodu do zajmowania się nimi, gdybym mogła jakoś osiągnąć dochód z plantacji kawy i w ten sposób utrzymać farmę.

Zarządzanie farmą oznacza dźwiganie wielkiego ciężaru. Tubylczy skwatterzy, a także moi biali pracownicy, przerzucali na mnie wszystkie troski i kłopoty. Czasami zdawało mi się, że naśladują ich w tym woły, a nawet drzewa kawowe. Wszystkie istoty, zarówno obdarzone mową, jak i nieme, zdawały się zgodnie sądzić, iż brak deszczu i zimne noce wynikały wyłącznie z mojej winy. Nie wolno mi było usiąść spokojnie wieczorem i poczytać książki. Obawa utraty domu wypędziła mnie z niego. Farah znał moje troski i niechętnie patrzył na

moje nocne wycieczki. Przypominał mi o lampartach, które przy zachodzie słońca widziano w pobliżu domu; zawsze też stał na werandzie, z daleka widoczny w białym stroju, i oczekiwał mego powrotu. Byłam jednak zbyt z troską i myśl o lampartach nie dochodziła do mojej świadomości. Wiedziałam wprawdzie, że niczego nie uzyskam nocnym obchodzeniem farmy, a jednak chodziłam jak duch skazany na błąkanie się, bez ścisłego określenia, dokąd i po co ma iść.

Dwa lata przed ostatecznym wyjazdem z Afryki odwiedziłam Europę. Droga powrotna wypadła mi akurat na okres zbioru kawy, więc dopiero w Mombasie mogłam się dowiedzieć, jak ten zbiór wypadł. Na statku cały czas moje myśli krążyły wokół tej sprawy. Gdy byłam w dobrym nastroju, przewidywałam zbiór na siedemdziesiąt pięć ton. Czując się gorzej, w nastroju zdenerwowania myślałam: W każdym razie musimy uzyskać sześćdziesiąt ton.

Farah przybył naprzeciw mnie do Mombasy, ale nie miałam odwagi zapytać go wprost o zbiór kawy; przez jakiś czas rozmawialiśmy o innych wydarzeniach na farmie. Wieczorem jednak, gdy już zamierałam położyć się spać, nie mogłam się dłużej powstrzymać i zapytałam go, ile ton kawy zebrali łącznie na farmie. Somalijczycy są na ogół zadowoleni, gdy mogą obwieścić jakieś nieszczęście. Lecz Farah nie był szczęśliwy; stał przy drzwiach z ponurą miną i z pół – przymkniętymi oczyma; przełykał żal odpowiadając: „Czterdzieści ton, Memsahib”. Po tych słowach wiedziałam, że nadszedł koniec. Z otaczającego mnie świata znikły wszystkie kolory życia. Hotelowy pokój z wyblakłymi ścianami i dławiącą atmosferą, z betonową podłogą, żelaznym łóżkiem i zniszczoną siatką przeciw moskitom, pozbawiony najmniejszego choćby szczegółu, który miałby upiększyć ludzkie życie, nabrał znaczenia jako symbol świata. Nie powiedziałam nic więcej do Faraha, on też już się nie odezwał i zaraz wyszedł. Zostałam sama w nieprzyjaznym otoczeniu.

A jednak natura ludzka ma wielkie zdolności czarcio – odradzania się, toteż w środku nocy pomyślałam, jakby mi to szeptał do ucha stary Knudsen, że czterdzieści ton też coś stanowi, że natomiast pesymizm, pesymizm – w nim tkwi najgorsze zło. W każdym razie byłam w drodze do domu, wkrótce miałam znaleźć się w bliskim sobie otoczeniu. Tam czekają moi ludzie, moi przyjaciele przyjdą w odwiedziny. Za dziesięć godzin miałam z okna wagonu kolejowego zobaczyć odcinający się na tle nieba, na południowym wschodzie, siny zarys gór Ngong.

W tym samym roku zjawiała się szarańcza. Mówiono, że przyleciała z Abisynii; po panującej tam dwuletniej suszy powędrowała na południe, zjadając po drodze całą roślinność. Zanim ujrzelśmy szarańczę, dochodziły nas wieści o czynionych przez nią spustoszeniach. Po jej przejściu pola kukurydzy i pszenicy na północy, a także sady owocowe zmieniały się w pustynie. Farmerzy wysyłali gońców do sąsiadów mieszkających na południu, aby ich zawiadomić o zbliżaniu się plagi. Mimo takiego uprzedzenia niewiele można było uczynić. Na wszystkich farmach przygotowywano stosy drzewa i kukurydzianych łodyg, aby podpalić je w chwili nadlatywania szarańczy. Wszystkich ludzi wysyłano w pole z pustymi puszkami i blachami, w które mieli uderzać krzycząc równocześnie na cały głos. W ten sposób usiłowano odstraszyć szarańczę, ale niewiele to pomagało, bo nie może ona wiecznie przebywać w powietrzu. Jedynym osiągnięciem farmera może być to, iż szarańcza odstraszona z jego pół polecą na pola sąsiada leżące jeszcze dalej na południe. Lecz im dłużej się szarańczę przepędza, tym głodniejsza jest, gdy w końcu osiadzie na polach. Na południe od mojej farmy ciągnął się rezerwat Masajów, mogłam więc żywić nadzieję, że uda mi się odstraszyć szarańczę i posłać ją nad rezerwat.

Miałam już u siebie trzech albo czterech gońców przysłanych przez sąsiadów z wiadomością o zbliżaniu się szarańczy. Ponieważ jednak nic po tym nie nastąpiło, skłonna byłam uważać alarm za fałszywy. Pewnego dnia pojechałam konno w stronę dhuka, sklepu z różnymi rzeczami dla skwaterów i robotników na farmie. Sklep, który prowadził młodszy brat

Faraha, Abdullah, leżał przy gościńcu. Gdy przejeżdżałam tamtędy, z wozu zaprzężonego w muła podniósł się jakiś Hindus i nie mogąc podjechać ku mnie, gestami prosił mnie o skierowanie się w jego stronę.

– Szarańcza zbliża się do pani pól, jeżeli mi wolno powiedzieć – oświadczył, gdy podjechałam blisko wozu.

– Już mi to kilkakrotnie powtarzano – odparłam – ale dotąd nie widziałam jej na oczy. Chyba nie jest aż tak źle, jak ludzie opowiadają.

– Może pani zechce się uprzejmie odwrócić – powie dział na to Hindus.

Odwróciłam się i wzdłuż horyzontu na północy zobaczyłam długie pasmo dymu jakby z palącego się miasta. „Milionowe miasto rzyga dymem w czyste powietrze” – pomyślałam. Mogła to być też chmura.

– Co to jest? – spytałam, aby się upewnić.

– Szarańcza, proszę pani – odpowiedział Hindus.

Wracając do domu na ścieżce prowadzącej przez równinę zobaczyłam kilka owadów, może w sumie dwadzieścia. Dojechałam do domu administratora i wydałam instrukcje, aby wszystko przygotować na przyjęcie szarańczy. Gdy razem z nim obserwowaliśmy niebo na północy, czarne pasmo dymu uniosło się nieco wyżej. Co jakiś czas nadlatywał samotny owad, bzykając nam koło uszu siadał na trawie i pełznął przed siebie.

Nazajutrz rano gdy otworzyłam okno i wyjrzałam przez nie, cała okolica zmieniła się nie do poznania. Drzewa, trawniki, grządki, wszystko w zasięgu oka było pokryte farbą, jakby w nocy upadła gruba warstwa śniegu koloru terakoty. To wszędzie siedziała szarańcza. Gdy patrzyłam na to zjawisko, sceneria zaczęła się ożywiać, szarańcza poruszyła się i uniosła w powietrze. W ciągu kilku minut zabręczały skrzydła, szarańcza odlatywała:

Tym razem owady nie wyrządziły na farmie wielkiej szkody, spędziły bowiem u nas tylko jedną noc. Mogliśmy się im przypatrzeć. Miały około pięciu centymetrów długości i były w kolorze brązowoszarym i różowym, lepkie w dotyku. Kilka drzew obok domu złamało się pod ciężarem owadów, które je obsiadły. Gdy człowiek sobie uświadomił, że jeden owad waży najwyżej kilka gramów, mógł sobie wyobrazić, ile było tych owadów.

Szarańcza zjawiała się ponownie; przez dwa lub trzy miesiące przeżywaliliśmy nieustanne ataki na farmę. Wkrótce zrezygnowaliśmy z prób jej odstraszenia, wysiłek był daremny i sprawiał wręcz tragikomiczne wrażenie. Czasami zjawiał się jakiś mały rój, który widocznie odłączył się na własną rękę od głównych sił i szybko nas mijał. Innym razem szarańcza nadlatywała w olbrzymiej ilości i przez kilka dni pod rząd dokonywała dwunastogodzinnych ataków z powietrza. Przy najgęstszym nalocie przypominała mi się burza śnieżna w Skandynawii, kiedy dookoła wyje i gwiżdże wiatr. Twarde rozszalałe skrzydełka brzęczały nam nieustannie nad głowami, w słońcu błyszcząły jak stalowe klingi, ale same zaciemniały słońce. Szarańcza lata pasem od ziemi po wierzchołki drzew, wyżej powietrze jest zupełnie czyste. Owady smagają ludzi po twarzy, włożą za kołnierze, do rękawów i do butów. Bezustanny ruch, lot i brzęk oszałamiają, wywołują desperacką wściekłość i strach przed latającą masą. Bo pojedynczy owad nie ma znaczenia, zabicie go nie robi najmniejszej różnicy. Gdy szarańcza już przeleciała i znikła na horyzoncie jak długa smuga rzadniejącego dymu, człowiek jeszcze długo potem brzydził się własnej twarzy i własnych rąk, po których laziły owady.

Za szarańczą podążały stada ptaków – bocianów i żurawi. Gdy owady siadały na polach, ptaki krążyły najpierw nad nimi, potem opuszczały się na ziemię i przystępowały do uczty.

Czasami szarańcza atakowała całą farmę. Nie wyrządziła większej szkody na plantacji kawy, bo liście drzew kawowych, przypominające liście laurowe, są dla owadów za grube do żucia. Tylko gdzieś tam drzewko łamało się pod ciężarem skrzydlatej masy.

Za to pola kukurydzy przedstawiały po odlocie szarańczy smutny widok. Nic na nich nie zostawało, tylko kilka strzępków zeschniętych liści wisiało na połamanym łodygach. Mój ogród

przy rzece, zawsze podlewany i dlatego zielony, zmienił się w wysypisko popiołu. Ani śladu nie zostało po kwiatkach, jarzynach i ziołach. Szamby skwaterów wyglądały jak kawałki świeżo wykarczowanej i wypalanej ziemi, wyrównanej jeszcze przez pełzającą masę. Walające się wśród kurzu zdechłe owady stanowiły jedyny owoc tej ziemi. Skwaterzy patrzyli na nie stojąc obok swych pól. Stare kobiety, które własną krwawicą uprawiały i zasiewały te szamby, teraz wygrażały pięściami za cieniem znikającym na horyzoncie.

Armia szarańczy wszędzie pozostawiała poległych. Na gościńcu, gdzie wozy jeździły po siedzących owadach, jak okiem sięgnąć ciągnęły się, niby szyny kolejowe, ślady kół na rozgniecionej szarańczy.

Szarańcza składała jajka w ziemi. W następnym roku po ustaniu pory deszczowej ukazywały się małe, czarnobrazowe owady – pierwsze stadium nowego pokolenia. Nie mogły jeszcze latać, lecz pełzając niszczyły wszystko po drodze.

Nie mając już więcej pieniędzy i nie mogąc doprowadzić gospodarki do opłacalności, musiałam farmę sprzedać. Kupiła ją wielka spółka w Nairobi. Nowi właściciele byli zdania, że ze względu na zbyt wysokie położenie ziemia nie nadaje się do uprawy kawy, nie mieli też zamiaru wprowadzać innych form gospodarki rolnej. Zamierzali wykarczować drzewka kawowe, poprzecinać posiadłość drogami i w swoim czasie, gdy Nairobi rozrośnie się w zachodnim kierunku, dzielić ziemię na parcele budowlane. Sprzedaż nastąpiła pod koniec roku.

Chociaż znajdowałam się w okropnym położeniu, nie zdobyłabym się jednak na sprzedaż farmy, gdyby nie jedna okoliczność. Niedojrzały jeszcze zbiór kawy na drzewach należał do poprzedniego właściciela, a więc do nas, poprawniej mówiąc do banku, który miał pierwszą hipotekę. Zbiór tej kawy, suszenie i wysyłka miały nastąpić najwcześniej w maju. Do tego czasu miałam pozostać na farmie i zarządzać nią, czyli na pozór wszystko pozostało bez zmiany. Tymczasem zaś, marzyłam, może coś nastąpi i wszystko się odmieni i będzie po dawnemu, bo ostatecznie na świecie nie wszystko dzieje się według obliczeń i paragrafów.

W ten sposób zaczął się szczególnie rozdział mego życia na farmie.

Fakt, że farma nie należała już do mnie, górował oczywiście nad wszystkim, lecz nie wszyscy zdawali sobie sprawę z jego znaczenia i wobec tego nie wpływał on na sprawy codzienne. Uczylałam się żyć chwilą bieżącą, czy raczej wiecznością, na którą aktualne wydarzenia nie mają większego wpływu.

Dziwna rzecz, ale sama wówczas nie wierzyłam, że ostatecznie przyjdzie mi się rozstać z farmą i opuścić Afrykę. Wszyscy wokół mnie, ludzie poważni, mówili, że to jest nieuniknione. Potwierdzały to listy od krewnych w Danii, potwierdzał również rozwój codziennych wydarzeń. Mimo to uparcie odrzucałam tę myśl i uporczywie wierzyłam, że złożę kości w Afryce. Ta wiara miała tylko jedną podstawę i jeden powód – moją absolutną niezdolność wyobrażenia sobie innego wyjścia.

W ciągu tych miesięcy obmyślałam własny program albo własny plan strategiczny skierowany przeciw losowi i tym ludziom z mego otoczenia, którzy byli sprzymierzeńcami losu. Postanowiłam, że będę się poddawać we wszystkich sprawach o mniejszym znaczeniu, aby oszczędzić sobie niepotrzebnych zmartwień. Będę z dnia na dzień ustępować moim adwersarzom. Bo na końcu i tak przecież wyjdę z tego zwycięsko i utrzymam farmę wraz ze wszystkimi ludźmi z nią związanymi. Nie mogę jej utracić, skoro zaś nie mogę sobie nawet wyobrazić takiej straty, to jak może do niej dojść?

W ten sposób byłam ostatnią osobą, która zdawała sobie sprawę z rzeczywistego stanu rzeczy. Gdy wracam myślami do tych ostatnich miesięcy w Afryce, wydaje mi się, że nawet bezduszne przedmioty dużo wcześniej ode mnie wiedziały, o moim nieuniknionym wyjeździe. Góry, lasy, stopy i rzeki, wiatr wreszcie – wszystko wiedziało, że nadchodzi chwila rozstania. Gdy zaczęły się pertraktacje o sprzedaż farmy i pierwszy raz pogodziłam się z losem, przyroda zmieniła swój stosunek do mnie. Dotąd stanowiłam część krajobrazu, susza

była moją własną gorączką, kwiecie stepowe moją własną suknią. Teraz ziemia zerwała ten intymny kontakt, odsunęła się nieco, abym mogła dokładnie na nią spojrzeć i tym spojrzeniem ogarnąć całość.

Tak zachowują się góry przed deszczem. Pewnego wieczoru, gdy się na nie patrzy, nagle poruszają się i jakby odsłaniają, stają się wyraźne, prawie namacalne w kształcie, intensywne w barwach, jakby chciały oddać się ze wszystkim, co posiadają, jakby jeden krok człowiekowi wystarczył, aby się znalazł na ich zielonym stoku. Człowiek myśli wtedy: „Gdyby teraz z zarośli wyszedł górski kozioł, widziałabym jego oczy, każdy ruch łba, strzyżenie uszama; gdyby mały ptaszek usiadł na krzaku, słyszałabym jego śpiew”. Gdy góry tak się zachowywały w marcu, zawsze oznaczało to bliski deszcz. Tym jednak razem oznaczało to dla mnie rozstanie.

W innych krajach przed ich opuszczeniem, też odnosiłam podobne wrażenia, lecz zapomniałam, co to oznaczało. Myślałam tylko, że nigdy nie widziałam kraju tak pięknego, że sama kontemplacja tej piękności potrafi człowieka uszczęśliwić na całe życie. Światło i cień dzieliły krajobraz między siebie, tęcze barwiły niebo.

Przebywając w towarzystwie adwokatów i przedsiębiorców z Nairobi albo przyjaciół udzielających mi rad co do przyszłej podróży, odczuwałam dzielącą mnie od nich przepaść. Czasami powodowało to jakby uczucie duszności. Uważałam siebie za jedyną rozsądną osobę wśród całego tego grona. Raz jednak czy dwa uderzyła mnie myśl, że gdybym była szalona wśród zdrowych ludzi, odczuwałabym wszystko dokładnie tak samo.

Tubylczy mieszkańcy farmy dzięki swemu najczystszyemu realizmowi tak dokładnie zdawali sobie sprawę z mego położenia i z mych uczuć, jakbym im zrobiła specjalny wykład albo napisała dla nich książkę na ten temat. Mimo to ciągle jeszcze szukali u mnie pomocy i opieki, ani w jednym przypadku nie próbowali sami zatroszczyć się o urządzenie swej przyszłości. Wszystkimi siłami starali się umożliwić moje pozostanie na farmie, wymyślali różne sposoby i wtajemniczali mnie w swoje pomysły. Gdy sprzedaż farmy stała się faktem dokonanym, od świtu do zmroku siadywali wokół mego domu; nie po to, aby ze mną rozmawiać, ale po to tylko, aby śledzić moje ruchy. W stosunku między przywódcą a ludźmi za nim idącymi istnieje pewien paradoksalny moment; widzą oni niezwykle wyraźnie każdą jego słabość; mogą go oceniać niezwykle obiektywnie i dokładnie, a jednak zawsze będą się do niego zwracać ze swymi sprawami, jakby obranie innej drogi stanowiło fizyczną niemożliwość. Podobny jest stosunek trzody owiec do pasterza; owce znają okolicę lepiej od niego, mają też lepsze od niego wyczucie zmian atmosferycznych, a jednak będą iść za nim nawet na kraj przepaści, jeżeli zajdzie potrzeba. Ze względu na wyższy stopień wtajemniczenia w sprawy Boga i Szatana Kikujusi lepiej ode mnie znosili położenie, siedzieli jednak pod moim domem i czekali na moje polecenia. Prawdopodobnie zaś przez cały ten czas szeroko rozwodzili się między sobą na temat mojej niezwyklej nieudolności.

Ktoś może pomyśleć, że z trudem znosiłam tę ich ciągłą obecność wokół mego domu, skoro wiedziałam, że nic im nie potrafię pomóc, i bardzo się martwiłam ich losem. Otóż nie. Do ostatniej chwili obie strony znajdowały dziwną ulgę w tym wzajemnym dotrzymywaniu sobie towarzystwa. Łączące nas nici wzajemnego zrozumienia były silniejsze od rozsądku. W czasie tych miesięcy często myślałam o Napoleonie cofającym się spod Moskwy. Według powszechnej opinii musiał przechodzić katusze na widok wielkiej armii, która cierpiała i umierała na jego oczach. Lecz możliwe jest również i to, że sam padłby trupem na miejscu, gdyby nie przechodził tych katuszy. Nocami liczyłam godziny dzielące mnie od tej chwili, kiedy Kikujusi znów zjawią się wokół mego domu.

Śmierć Kinaniu

W tym samym roku umarł naczelnik Kinaniui.

Pewnego wieczora jeden z jego synów przyszedł do mnie z prośbą, abym udała się do wsi ojca, bo on jest umierający. Na – taka kufa – chce umrzeć, jak brzmi miejscowy zwrot.

Kinaniui był teraz starym człowiekiem. W jego życiu zaszło ostatnio wielkie wydarzenie: zniesiono kwarantannę i związane z nią ograniczenia na obszarze rezerwatu Masajów. Skoro tylko o tym się dowiedział, stary naczelnik osobiście wyruszył w towarzystwie świty do południowej części rezerwatu, aby dokonać bardzo zawiłych rozliczeń z Masajami i przypędzić z powrotem należące do niego krowy wraz z cielętami urodzonymi na wygnaniu. Zachorował podczas załatwiania tych spraw w rezerwacie. O ile mogłam zrozumieć, jakaś krowa ubodła go w udo i w ranie powstała gangrena. A więc przyczyna śmierci rzeczywiście licowała ze stanowiskiem naczelnika Kikujusów. Kinaniui długo przeciągał swój pobyt u Masajów, może czuł się zbyt słaby do odbycia podróży powrotnej, w każdym razie wiele czasu upłynęło, zanim wyruszył do domu. Prawdopodobnie upierał się przy zabraniu ze sobą bydła i nie chciał wracać, dopóki nie spędzono wszystkich sztuk. Możliwe też, że pozwolił córce zamężnej z Masajem leczyć ranę tak długo, aż nabrał pewnych wątpliwości, czy córka naprawdę chciała go wyleczyć. Wreszcie wyruszył z powrotem, a w tej podróży jego świta musiała wykazać ogromne poświęcenie, gdyż; śmiertelnie chorego niesiono na noszach. Teraz leżał już w swojej chacie i stamtąd posłał po mnie.

Syn. Kinaniui dotarł do mnie po obiedzie. Gdy z nim i z Farahem wyruszyłam do wsi chorego, było już ciemno, tylko księżyc w pierwszej kwadrze świecił na niebie. W drodze Farah skierował rozmowę na to, kto będzie następcą Kinaniui na stanowisku naczelnika. Stary miał wielu synów, a wśród Kikujusów działały rozmaite wpływy. Jak powiedział mi Farah, dwu synów było chrześcijanami. Jeden należał do kościoła katolickiego, a drugi został nawrócony przez kościół szkocki. Można się więc spodziewać, że każda z tych dwu misji będzie się bardzo usilnie starać o proklamowanie jej kandydata. Sami zaś Kikujusi woleli podobno trzeciego syna, młodszego od tamtych i poganina.

Przez ostatnie półtora kilometra nie jechaliśmy już drogą, tylko ścieżką wydeptaną w murawie przez bydło. Trawa lśniła rosą. Tuż przed wjazdem do wsi musieliśmy się przeprawić przez łożysko rzeki, w środku którego wił się cienki, srebrzysty strumień; wisiała nad nim biała mgła. Gdy dotarliśmy do dużej maniatty Kinaniui, panowała tam cisza. Cały kompleks składał się z chat mieszkalnych, mniejszych budynków gospodarczych i zagród dla bydła. W świetle naszych reflektorów ujrzałam pod słomianym dachem samochód, który Kinaniui kupił od amerykańskiego konsula w tym czasie, gdy przyjechał na farmę osądzić sprawę Wanyangerii. Samochód stał zupełnie zapomniany i zardzewiał. Na pewno Kinaniui nie troszczył się teraz o pojazd, lecz zwyczajem ojców ostatnie myśli poświęcał swym kobietom i swemu bydłu.

Mimo panujących ciemności wioska nie spała. Usłyszawszy nasz samochód ludzie wyszli z chat i otoczyli nas. Rzuciła się jednak w oczy wyraźna zmiana. Maniatta Kinaniui kipiła zawsze życiem i gwarem jak źródło tryskające z ziemi i rozlewające się na wszystkie strony. Zawsze tu huczało od planów i najrozmaitszych projektów, a wszystkiemu patronowała pompatyczna i dobroduszna figura naczelnika. Teraz śmierć rozpostarła nad maniattą skrzydła i pod jej wpływem jak pod działaniem silnego magnesu zmienił się układ rzeczy, powstały nowe konstelacje i grupy. W grę wchodziły interesy każdego członka rodziny i plemienia. Wśród ostrej woni krów, w słabym świetle księżyca wyczuwało się, że maniatta jest sceną intryg, jakie rozgrywają się przy każdym królewskim łożu śmierci. Gdy wysiedliśmy z samochodu, jakiś chłopiec nadszedł z lampą i zaprowadził nas do chaty Kinaniui. Tłum ludzi poszedł za nami i stanął obok wejścia.

Nigdy dotąd nie byłam we wnętrzu domu Kinaniui. Rezydencja przewyższała rozmiarami chaty zwykłych Kikujusów, wewnątrz stwierdziłam jednak, że nie wyróżniała się bardziej luksusowym umeblowaniem. Znajdowało się tam łoże zrobione z drążków i rzemieni oraz

kilka drewnianych zydlu do siedzenia, a na ubitej z gliny podłodze paliły się dwa lub trzy ogniska. Gorąco wprost dusiło i dym był tak gęsty, że w pierwszej chwili nie odróżniałam obecnych, chociaż na ziemi stała latarnia. Przyzwyczajwszy się do otoczenia dostrzegłam trzech łysych starców, wujów lub doradców Kinaniui, bardzo starą kobietę wspartą na kiju tuż przy łożu chorego, jakąś ładną, młodą dziewczynę i trzynastoletniego chłopca. Cóż to za konstelacja ukształtowała się pod działaniem magnesu w izbie umierającego naczelnika?

Kinaniui leżał płasko na łożu. Umierał, jedną nogą przekroczył już próg zaświatów. Bil od niego tak straszny smród, że w pierwszej chwili bałam się mówić, aby przy otwarciu ust nie zwymiotować. Zupełnie nagi Kinaniui leżał na pledzie, który mu niegdyś podarowałam. Widocznie nie mógł znieść żadnego ciężaru na chorej nodze. Ta zaś przedstawiała okropny widok, była tak spuchnięta, że nie rozróżniało się kolana. W świetle latarni dojrzałam czarne i żółte pręgi biegnące od biodra aż do palców. Na pledzie pod nogą widniała ciemna, wilgotna plama, jakby bez przerwy sączyła się tam woda.

Syn Kinaniui, który przyszedł po mnie na farmę, wniósł jakieś stare europejskie krzesło z jedną krótszą nogą. Postawił je blisko łoża, abym tam usiadła.

Kinaniui miał tak wychudłą twarz i tułów, że wyraźnie rysował się kształt jego potężnego kośćca. Przypominał w tej chwili drewnianą figurę niezgrabnie wydłubaną nożem w drzewie. Między wargami ukazywały się zęby i język. Oczy miał na pół zamglone, jakby dwie mleczne plamy na ciemnej twarzy. Widział jeszcze, bo po moim podejściu do łóżka odwrócił ku mnie oczy i nie odrywał ich przez cały czas mego pobytu w chacie. Bardzo powoli przesunął ręką w poprzek ciała, aby dotknąć mojej dłoni. Cierpiał ogromnie, lecz ciągle był sobą i chociaż nagi na łożu śmierci, jeszcze dźwigał ciężar władzy. Sądząc po jego wyglądzie, mogłam się domyślić, że z podróży wrócił jako triumfator i mimo niechętnego stanowiska masajskich zięciów odzyskał swoje bydło. Siedząc przy nim przypominałam sobie, że miał jedną słabą stronę: obawiał się piorunów i gdy podczas jego pobytu u mnie nadchodziła burza z piorunami, Kinaniui zamieniał się w królika i szukał bezpiecznej nory. Teraz jednak nie obawiał się już ani piorunów, ani grzmotów, dokonał swego dzieła na ziemi. Gdyby miał jeszcze na tyle jasny umysł, aby spojrzeć wstecz na swe życie, dostrzegłby tylko nieliczne sprawy, z których nie wyszedł jako zwycięzca. Dobiegał kresu człowiek o wielkiej żywotności, zawsze wszechstronnie aktywny. „Spokojne wieczne mej odpoczywanie”^[23], Kinaniui – pomyślałam.

Trzej starcy stali milcząco, jakby stracili mowę. Natomiast chłopiec, którego wzięłam za najmłodszego syna Kinaniui, podszedł i zaczął do mnie mówić. Przyszło mi na myśl, że treść jego słów została uzgodniona jeszcze przed moim przybyciem.

Lekarz misji, wyjaśnił chłopiec, dowiedział się o chorobie Kinaniui i przyjechał go zobaczyć. Powiedział Kikujusom, że wróci, aby zabrać umierającego do szpitala misyjnego. Oczekiwali więc tej nocy misyjnej ciężarówce, która miała przewieźć Kinaniui. Ale Kinaniui nie, chciał jechać do szpitala. Dlatego posłał po mnie. Chciał, żebym go zabrała ze sobą do swego domu, i to teraz, przed powrotem ludzi z misji. Gdy chłopiec mówił, Kinaniui patrzył na mnie.

Z ciężkim sercem słuchałam tych słów.

Gdyby dawniej Kinaniui leżał umierający, rok temu albo nawet trzy miesiące temu, na każdą jego prośbę zabrałabym go do swego domu. Dziś jednak sprawy przedstawiały się inaczej. Wiodło mi się źle i obawiałam się, że będzie jeszcze gorzej. Całe dni spędzałam w różnych biurach w Nairobi na rozmowach z przedsiębiorcami i adwokatami albo na konferencjach z wierzycielami. Dom, który Kinaniui miał na myśli, nie należał już do mnie.

Siedząc obok łoża i patrząc na Kinaniui pomyślałam, że musi umrzeć, że nie ma dla niego ratunku. Umarłby po drodze w moim samochodzie albo zaraz po przybyciu na farmę. Ludzie

[23] W. Szekspir. *Cymbelin*. Akt. IV. scena 2. Przekład Zofii Siwickiej.

z misji obciążyliby mnie odpowiedzialnością za jego śmierć; wszyscy inni zgodziliby się z tą opinią.

Siedząc w chacie na połamanym krześle, zdawałam sobie sprawę z tego, że za wielki był ciężar, który miałabym wziąć na swoje barki. Brakowało mi sił i odwagi do występowania przeciw władzom tego świata. Nie miałam już sił do walki z nimi wszystkimi, z wszystkimi naraz.

Próbowałam przełamać się i zdecydować na zabranie Kinaniu do siebie, lecz nie starczyło mi odwagi. Pomyślałam, że muszę go opuścić.

Farah stał przy wejściu i słuchał słów chłopca. Widząc mnie siedzącą w milczeniu, podszedł i zaczął mi skwapliwie tłumaczyć, w jaki sposób najlepiej przenieść chorego do samochodu. Wstałam i poszłam z nim nieco w głąb chaty, dalej od wzroku Kinaniu i smrodu bijącego z jego rany. Oświadczyłam Farahowi, że nie zabiorę Kinaniu na farmę. Na taki obrót sprawy Farah był zupełnie nie przygotowany, oczy i twarz pociemniały mu z wrażenia.

Chętnie zostałabym jeszcze jakiś czas z Kinaniu, ale nie chciałam patrzeć, jak go będą zabierali ludzie z misji. Podeszłam do łoża i powiedziałam umierającemu, że nie mogę go wziąć do siebie. Tłumaczenie powodów było zbędne, przestaliśmy więc na tym. Gdy trzech starcy zrozumieli, że odmawiam, zebrali się wokół mnie bardzo niespokojni i zmieszani. Chłopiec cofnął się nieco i stał nieruchomo – nic więcej nie miał do roboty. Sam Kinaniu nie okazał żadnego podniecenia i nic się w jego zachowaniu nie zmieniło. Dalej miał wzrok utkwiony we mnie. Wyglądał na człowieka, którego już raz w życiu coś podobnego spotkało.

– Kwaheri, Kinaniu! – powiedziałam na pożegnanie.

Jego gorące palce lekko dotknęły mojej dłoni. Gdy przy wyjściu obejrzałam się raz jeszcze za siebie, dym i mrok przesłoniły jego potężną, wyciągniętą na łożu postać naczelnika Kikujusów. Na dworze poczułam przejmujący chłód. Księżyc dotykał już horyzontu, musiała więc minąć północ. Właśnie wtedy gdzieś na terenie maniaty dwukrotnie zapiał kogut.

Tej samej nocy Kinaniu umarł w szpitalu misyjnym. Nazajutrz po południu dwaj jego synowie przyszli na farmę, aby mnie o tym zawiadomić i równocześnie zaprosić na pogrzeb, który miał się odbyć następnego dnia w Dagoretti, niedaleko wsi naczelnika.

Jeżeli Kikujusi mogą postępować według własnych zwyczajów, nie grzebią zmarłych, lecz pozostawiają ich na wierzchu, aby hieny i sępy dokonały reszty. Zawsze podobał mi się ten zwyczaj. Uważam, że to przyjemne, jeżeli człowiek zostaje wystawiony na słońce i gwiazdy, a w ten sposób oczyszczony i usunięty szybko, składnie i otwarcie; jednoczy się wtedy z naturą, staje się składnikiem krajobrazu. Podczas epidemii hiszpanki często słyszałam nocami wycie hien na szambach otaczających farmę. W lesie albo na stepie znajdowałam później gładkie brązowe czaszki, jak orzechy porzucone wśród wysokiej trawy. Takie praktyki nie odpowiadają jednak wymogom cywilizacji. Rząd czynił wielkie wysiłki, aby nakłonić Kikujusów do porzucenia tych zwyczajów. Uczono ich grzebania zmarłych w ziemi, chociaż wcale im się to nie podobało.

Oświadczone mi, że Kinaniu ma być pogrzebany. Pomyślałam, że widocznie Kikujusi postanowili odstąpić od swych zwyczajów dlatego, że zmarły był naczelnikiem. A może chcieli wykorzystać okazję do urządzenia wielkiego zebrania i uroczystości. Nazajutrz po południu pojechałam do Dagoretti przygotowana na spotkanie wszystkich pomniejszych naczelników i oglądanie wielkiej uroczystości Kikujusów.

Pogrzeb Kinaniu okazał się jednak ceremonią o charakterze czysto europejskim i kościelnym. Zjawili się kilku oficjalnych przedstawicieli władz, komisarz okręgu i dwu wyższych urzędników z Nairobi. Główną jednak rolę odgrywało duchowieństwo, w popołudniowym słońcu aż czarno było od księży. Zarówno misja francuska, jak anglikańska i szkocka przysłały licznych przedstawicieli. Jeżeli duchowieństwo chciało wywrzeć na Kikujusach wrażenie tym, że położyło ręce na ich zmarłym naczelniku, to w pełni mu się powiodło. Władza duchownych wydawała się tak oczywista, że nikt nie mógł przypuścić, aby

Kinaniui potrafił im się wymknąć. To jest stary chwyt kościoła. Pierwszy raz zobaczyłam w tak okazałej liczbie „chłopców z misji”, nawróconych tubylców, przybranych w szaty na pół liturgiczne, widocznie związane z jakąś funkcją kościelną, młodych i tłustych Kikujusów w okularach i z rękoma złożonymi do modlitwy. Przypominali ponurych eunuchów. Dwaj synowie Kinaniui, którzy przyjęli chrześcijaństwo, prawdopodobnie też tam byli przerwawszy na ten dzień swe spory religijne. Nie znałam ich jednakże.

W pogrzebie uczestniczyło kilku starych naczelników. Był między innymi Keoy, z którym rozmawiałam o Kinaniui. Ale ci naczelnicy trzymali się na uboczu.

Grób Kinaniui wykopano w stepie pod dwoma wysokimi drzewami eukaliptusowymi i miejsce to odgrodzono dokoła sznurem. Przybyłam wcześniej i dlatego stałam blisko grobu, przy sznurze, skąd mogłam obserwować gromadzących się uczestników ceremonii. Mrowie obiegło grób niczym muchy.

Zwłoki przywieziono z misji na samochodzie ciężarowym i postawiono trumnę na ziemi obok grobu. Chyba nigdy w życiu nie odczułam takiego zdziwienia i przerażenia jak na widok tej trumny. Kinaniui był roslym mężczyzną, takim pamiętam go z czasów, gdy otoczony świętą zbliżał się do mego domu. Nawet na łożu śmierci, dwa dni przedtem wydawał mi się bardzo duży. Tymczasem trumna, w której go przywieziono, przypominała kształtem prawie kwadratowe pudło i nie miała więcej niż półtora metra długości. W pierwszej chwili ani przez myśl mi nie przeszło, że to jest trumna, wzięłam ten przedmiot za skrzynię na jakieś przybory potrzebne przy pogrzebie. A jednak to była trumna Kinaniui. Nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego użyto właśnie tej; może była jedyną, jaką posiadano w szkockiej misji? Jak jednak zmieścili w niej Kinaniui i jak on tam leżał? Trumnę postawiono na ziemi blisko miejsca, gdzie stałam. Widniała na niej wielka srebrna tablica, która – jak mnie potem poinformowano – głosiła, że trumnę ofiarowała naczelnikowi Kinaniui szkocka misja. Oprócz tego znajdował się na płycie jakiś tekst z Pisma Świętego.

Nastąpiła długa ceremonia pogrzebowa. Jeden za drugim występowali misjonarze i wygłaszali przemówienia. Przypuszczam, że zawierały one obok wyznań wiary mnóstwo przestróg i napomnień. Nie słuchałam jednak tego. Trzymałam kurczowo za sznur okalający grób Kinaniui. Niektórzy nawróceni krajowcy pilnie śledzili słowa duchownych rycząc tak głośno, że aż rozlegało się po zielonej równinie.

W końcu spuszczo Kinaniui w ziemię jego własnego kraju i tą ziemią go przykryto.

Przywiozłam ze sobą do Dagoretti kilku moich boyów, aby zobaczyli pogrzeb. Po jego zakończeniu chcieli zostać, porozmawiać z krewnymi i znajomymi. Mieli wrócić piechotą, wobec czego pojechałam do domu tylko z Farahem. Całą drogę Farah siedział milczący jak ten grób, któryśmy właśnie opuścili. Nie mógł się pogodzić z faktem, że nie wzięłam Kinaniui do swego domu, dwa dni chodził jak nieprzytomny, bardzo przygnębiony i miotany wątpliwościami.

Ale gdy zajechaliśmy przed drzwi domu, powiedział:

– Wszystko jedno, Memsahib.

Grób w górach

Denys Finch-Hatton wrócił z jednej ze swych safari i przez jakiś czas przebywał na farmie. Gdy jednak zaczęłam likwidować dom i pakować rzeczy, przeniósł się do Nairobi i zamieszkał w domu Hugh'a Martina. Stamtąd codziennie przyjeżdżał na farmę i jadł ze mną obiad. Pod koniec, gdy już sprzedałam meble, siadywaliśmy do obiadu na jednej pace, a druga służyła nam za stół. Rozmawialiśmy do późnej nocy.

Kilka razy nasza rozmowa brzmiała tak, jakbym rzeczywiście miała opuścić Kenię. Denys, który uważał Afrykę za swój kraj, rozumiał to doskonale i smucił się razem ze mną, chociaż

żartował z mej rozpacz na myśl o nadchodzącym rozstaniu z moimi ludźmi.

– Czy uważasz – pytał – że nie możesz żyć bez Sirungi?

– Tak – odpowiadałam.

Najczęściej jednak rozmawialiśmy i zachowywaliśmy się tak, jakby przyszłość nie istniała. On nigdy nie martwił się przyszłością, tak jakby wiedział, że w każdej chwili może sięgnąć po jakieś dotąd nie znane rezerwy. Świetnie się dopasował do mojej metody pozostawiania Spraw własnemu biegowi i pozwalania ludziom, aby myśleli i mówili, co im się żywnie podoba. Gdy Denys był w domu, siedzenie na skrzyni w pustym pokoju wydawało się rzeczą zupełnie normalną i zgodną z naszymi gestami. Deklamował zresztą taki wierszyk:

Musisz nastroić swą ponurą piosnkę

Na weselsze tony,

Z litości – nigdy, dla zabawy

Zawszeni się zjawić skłonny^[24]

W ciągu tych tygodni odbywaliśmy krótkie loty nad górami Ngong i rezerwatem zwierzęcym. Pewnego rana Denys przyjechał po mnie bardzo wcześnie, prawie ze świtem, i wtedy widzieliśmy lwa na równinie ciągnącej się na południe od gór Ngong.

Denys ciągle wspominał o pakowaniu swych książek, które od kilku lat trzymał w moim domu, ale nic w tym kierunku nie robił.

– Zatrzymaj je – mawiał – nie mam ich teraz gdzie podziąć.

Nie mógł się też zdecydować, co ma zrobić z sobą po ostatecznym zlikwidowaniu mego domu. Za usilną namową pewnego przyjaciela pojechał raz do Nairobi obejrzeć bungalowowy do wynajęcia. Wrócił tak rozczarowany, że nawet nie chciał mówić o tym, co widział. Gdy zaś później, przy obiedzie, zaczął mi opisywać obejrzone domy i ich umeblowanie, nagle przerwał i siedział w milczeniu, a na jego twarzy malował się niesmak i niezwykły dla niego wyraz smutku. Zetknął się z rodzajem egzystencji, o której nawet nie mógł myśleć bez oporu.

Była to jednak niechęć zupełnie obiektywna i bezosobowa, zapomniał widocznie, że sam zamierzał stać się częścią tej egzystencji. A gdy o tym wspomniałam, przerwał mi:

– O, jeżeli o mnie idzie, będę się czuł doskonale w namiocie na terenie rezerwatu Masajów albo zamieszkać w somalijskiej wiosce.

Przy tej jednak okazji po raz pierwszy poruszył temat mojego przyszłego życia w Europie. Uważał, że mogę się tam czuć szczęśliwsza niż na farmie, zdała od tej cywilizacji, która opanowuje Afrykę.

– Bo widzisz – ciągnął dalej – ten kontynent afrykański posiada silne poczucie sarkazmu.

Denys miał kawałek ziemi na wybrzeżu, pięćdziesiąt kilometrów na północ od Mombasy, nad zatoczką Takaunga. Znajdowały się tam ruiny starej osady arabskiej z bardzo skromnym minaretem i studnią – smagana wiatrem kupa szarych kamieni z kilku starymi drzewami mango pośrodku. Denys zbudował tam mały domek i mieszkał w nim. Na scenerię składała się owa boska, czysta wielkość, która wiąże się z morzem. Przed oczyma na wprost rozciągał się lazurowy Ocean Indyjski, na południu leżała głęboka zatoczka Takaunga, a jak okiem sięgnąć, widniała linia stromego brzegu z jasnoszarych i żółtawych skał koralowych.

Przy odpływie można było kilometrami spacerować po dnie oceanu jak po olbrzymim, miejscami dość nierówno wybrukowanym placu, zbierając dziwaczne, podłużne muszle i rozgwiazdy. Przychodzili tam rybacy Suahili, którzy w przepaskach na biodrach i czerwonych lub żółtych turbanach na głowach przypominali żeglarza Sindbada. Sprzedawali różnokolorowe ryby złowione na oścień, niektóre bardzo smaczne. W brzegu poniżej domu mieścił się szereg wypłukanych przez wodę jaskiń i grot, gdzie można było siedzieć w cieniu patrząc na lazurową toń błyszczącą w oddali. Przyptyw wypełniał jaskinie i dochodził prawie

[24] Trawestacja zwrotki z wiersza Shelleya Rarely, rarely comest thou, Spirit of Delight!

pod dom. Morze przedziwnie śpiewało i wzdychało w porowatych skałach koralowych, jakby grunt pod stopami żył. Długie fale niby atakująca armia nacierały na zatokę Takaunga.

Odwiedziłam tamte strony podczas pełni księżyca, aż serce miękło wtedy na widok skończonego piękna cichej, promiennej nocy. Spało się przy drzwiach otwartych na srebrzyste morze. Ciepła bryza z cichym szepczeniem podrzucała na kamienną podłogę kruszyny piasku. Jednej nocy niedaleko brzegu przepłynął rząd jednomasztowych arabskich dungii. Bezszelestnie posuwał się sznur pchanych monsunem brązowych żagli, które w świetle księżyca wyglądały na cienie.

Denys snuł czasami plany osiedlenia się na stałe w Takaunga i urządzenia tu bazy wypadowej do swych safari. Gdy zaczęłam mówić o opuszczeniu farmy, chciał mi oddać swój nadmorski dom do dyspozycji, tak jak rozporządzał moim pod górami. Biali mogą jednak mieszkać dłużej na wybrzeżu tylko pod tym warunkiem, że stać ich na korzystanie z różnych wygód. W Takaunga było dla mnie za nisko i za gorąco.

W maju tego roku, kiedy opuściłam Afrykę, Denys pojechał do Takaunga na cały tydzień. Zamierzał zbudować obszerniejszy dom i posadzić na swej posiadłości drzewa mango. Udał się tam samolotem, a w drodze powrotnej zamierzał wstąpić do Voi, aby zobaczyć czy jest tam dość słoni na urządzenie safari. Tubylcy mówili o jakimś stadzie, które miało przejść do Kenii z zachodu przez Voi, a szczególnie o jednym ogromnym samcu, dwa razy większym od normalnego słonia, który tam samotnie wędrował wśród buszu.

Denys, chociaż sam uważał się za wyjątkowego racjonalistę, ulegał specjalnym nastrojom i przecuciom. Pod ich wpływem zamykał się milcząco w sobie nawet przez cały tydzień, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy i zawsze był bardzo zaskoczony, gdy go pytałam, co mu jest.

Przez kilka ostatnich dni przed podróżą na wybrzeże był właśnie w takim ponurym nastroju, jakby pogrążony w głębokiej kontemplacji. Gdy jednak powiedziałam mu o tym, wyśmiał mnie.

Prosiłam go, żeby zabrał mnie ze sobą, bo myślałam, że wspaniale byłoby zobaczyć morze. Najpierw zgodził się, potem jednak zmienił zdanie i powiedział „nie”. Nie mógł mnie zabrać. Jego zdaniem podróż przez Voi mogła być bardzo uciążliwa; nie wykluczał konieczności lądowania i nocowania wśród buszu, musiał więc zabrać ze sobą miejscowego boya. Przypomniałam mu jego własne słowa, że po to przyleciał samolotem, aby mi pokazać Afrykę. Potwierdził to dodając, że jeżeli znajdzie w Voi słonie, polecimy tam razem, abym je zobaczyła. Ale dopiero wtedy, kiedy pozna już miejsce do lądowania i obozowania. To był jedyny wypadek, kiedy Denys odmówił prośbie o zabranie mnie samolotem.

Poleciał w piątek, ósmego maja.

– Oczekuj mnie w najbliższy czwartek – powiedział wsiadając do samolotu. – Wrócę tak, aby zdążyć na lunch.

Zaledwie w drodze na lotnisko w Nairobi okrążył trawnik przed domem, wrócił po tom poezji, który mi dał w prezencie, ale chciał teraz wziąć ze sobą w podróż. Stał jeszcze z nogą opartą na stopniu samolotu i trzymając palec między stronicami odczytał mi wiersz, na temat którego dyskutowaliśmy ostatnio.

– Oto twoja szara gęś! – powiedział i czytał:

*Widziałem szare gęsi w kluczach nad równiną,
Trzepoty dzikich gęsi w wysokim powietrzu...
Odpowiadały sobie od krańca do krańca
Z duszą jak gdyby uwięzłą w gardzielach –
Ich szara biel wstężyła olbrzymie niebios*

Potem odjechał na dobre, machając mi ręką na pożegnanie.

Lądując w Mombasie uszkodził śmigło. Zadepeszował do Nairobi po części zamienne i East Africa Airway Company posłała mu je przez specjalnego boya. Po naprawieniu samolotu Denys powiedział temu boyowi, że go zabierze ze sobą. Ale boy nie chciał z nim polecieć. Był to człowiek otrząskany z samolotami, latał z wielu ludźmi, latał również już przedtem z Denysem, który cieszył się wśród krajowców sławą doskonałego pilota. Lecz tym razem boy uparł się, że nie poleci.

Znacznie później, gdy spotkali się w Nairobi z Farahem i mówili o tej sprawie, powiedział: „Nawet za sto rupii nie poleciałbym wtedy z Bwana Bedarem”. Widocznie Afrykanin jeszcze wyraźniej widział cień przeznaczenia, które sam Denys przeczuwał w ostatnich dniach pobytu w Ngong.

Denys zabrał więc do Voi swego boya Kamau. Biedny Kamau bał się latania. Opowiadał mi na farmie, że taki strach go ogarniał, gdy spozierał poza burtę samolotu i widział z wysoka ziemię, iż zaraz po starcie wbijał wzrok w swoje własne stopy i aż do powrotu na ziemię nie odrywał go stamtąd.

W czwartek wypatrywałam powrotu Denysa. Obliczyłam, że z Voi wyleci o świcie i po dwu godzinach lotu przybędzie do Ngong. Ponieważ jednak nie zjawił się, a ja miałam różne rzeczy do załatwienia w Nairobi, pojechałam do miasta.

Ilekoć byłam w Afryce chora albo bardzo zmartwiona, cierpiałam na specjalny rodzaj manii prześladowczej. Zdawało mi się, że całe moje otoczenie znajduje się w niebezpieczeństwie lub przeżywa cierpienia i że pośród tego nieszczęścia ja stoję po złej stronie, wobec czego wszyscy patrzą na mnie nieufnie i z obawą.

Ta zmora stanowiła w gruncie rzeczy reminiscencję czasów wojny, bo wówczas przez dwa lata mieszkańcy kolonii podejrzewali mnie, że sercem jestem z Niemcami, i patrzyli na mnie z nieufnością. Ich zaś podejrzliwość powstała stąd, iż w pełnej naiwności krótko przed wybuchem wojny pojechałam do Naiwaszy kupować konie dla generała von Lettowa z Niemieckiej Afryki Wschodniej. Gdy sześć miesięcy wcześniej płynęliśmy na jednym statku z Europy, prosił mnie o kupienie dla niego sześciu abisyńskich kłaczy hodowlanych. W pierwszym okresie pobytu w Kenii miałam inne sprawy na głowie, zapomniałam więc o swej obietnicy. Dopiero później, ponieważ ciągle pisał do mnie o te kłaczki, zdecydowałam się w końcu pojechać do Naiwaszy i dokonać kupna. Wkrótce wybuchła wojna i kłaczki nigdy nie opuściły Kenii. Mimo to nie mogłam zaprzeczyć, że tuż przed wojną kupowałam konie dla armii niemieckiej. Podejrzenia w stosunku do mojej osoby nie trwały jednak aż do końca wojny, ustąpiły zaraz po tym, jak mój brat, który jako ochotnik walczył po stronie angielskiej, został odznaczony Krzyżem Wiktorii za ofensywę pod Amiens, na północ od Roye. Gazeta *East African Standart* doniosła o tym pod tytułem: „Wschodnioafrykański Krzyż Wiktorii”.

Wówczas znosiłam te podejrzlenia lekko, bo bynajmniej nie miałam proniemieckiego nastawienia i byłam pewna, że w razie potrzeby potrafię szybko sprawę wyjaśnić. Musiało to jednak utkwąć we mnie głębiej, niż sama zdawałam sobie sprawę, bo później przez wiele lat, gdy odczuwałam zmęczenie lub miałam wysoką gorączkę, to uczucie wracało – szczególnie w ostatnich miesiącach pobytu w Afryce, kiedy wszystko sprzysięgało się przeciw mnie. Bałam się też go tak, jak człowiek obawia się choroby umysłowej.

Tego czwartku, gdy byłam w Nairobi, zmora spadła na mnie tak niespodziewanie i z taką siłą, że zastanawiałam się, czy nie ogarnia mnie szaleństwo. Nad miastem unosił się jakiś dziwny smutek, również ludzie wyglądali na przygnębionych i na mój widok, jak mi się zdawało, odwracali głowy. Nikt nie zatrzymał się, aby ze mną porozmawiać, spotkani

²⁵ Ze zbioru wierszy Iris Tree.

znajomi zobaczywszy mnie wsiadali do samochodów i odjeżdżali. Nawet właściciel sklepu spożywczego, stary Szkot, pan Duncan, u którego zaopatrywałam się od wielu lat i z którym tańczyłam raz na balu, po moim wejściu do sklepu spojrzął z wyrazem przestrochu i prędko wyszedł. Poczułam się w Nairobi tak samotnie jak na bezludnej wyspie.

Zostawiłam Faraha na farmie, aby przyjął Denysa, nie miałam więc do kogo ust otworzyć. Kikujusi niewiele mogą w takich wypadkach pomóc, bo ich pojęcia, a także ich rzeczywistość, różnią się od naszych. Wybierałam się jednak na lunch do lady MacMillan w Chromo, tam więc spodziewałam się zastać ludzi, z którymi mogłabym porozmawiać i w ten sposób odzyskać równowagę.

Chiromo, jedna z najpiękniejszych starych rezydencji w Nairobi, leżała przy końcu długiej alei bambusowej. Przybywszy tam zastałam już innych gości zaproszonych na lunch, i znów powtórzyło się to samo co w mieście. Wszyscy mieli śmiertelnie smutny wygląd i gdy się zbliżałam, przerywali rozmowę. Przy stole siedziałam obok swego starego przyjaciela, pana Bulpetta, lecz on też trzymał wzrok wbity w talerz i odzywał się tylko monosylabami. Starłam się pozbyć przygnębiającego uczucia i zaczęłam rozmowę na temat jego wspinaczek wysokogórskich w Meksyku, ale mój sąsiad zachowywał się tak, jakby nie pamiętał swych własnych czynów.

Pomyślałam, że pobyt wśród tych ludzi nie przyniesie mi ulgi, lepiej więc wrócić na farmę, gdzie już zapewne jest Denys. Trzeźwa rozmowa z nim pozwoli mi wrócić do równowagi.

Zaraz jednak po wstaniu od stołu lady MacMillan poprosiła mnie do małego saloniku i tam powiedziała mi o katastrofie w Voi. Denys spadł z samolotem i zabił się.

A zatem tak, jak myślałam. Na sam dźwięk imienia Denysa poznałam prawdę i wszystko zrozumiałam.

Komisarz okręgu Voi przysłał mi później list z opisem katastrofy. Denys nocował u niego, rano zaś wystartował z lotniska wraz ze swoim boyem, kierując się na farmę. Niedługo po starcie zawrócił i szybko zdążył ku lotnisku lecąc nisko, na kilkudziesięciu metrach. Nagle maszyna przewróciła się na bok, wpadła w korkociąg i runęła na ziemię jak martwy ptak. Przy uderzeniu zapaliła się i ludzie biegnący na ratunek nie mogli podejść blisko z powodu buchającego żaru. Gdy gałęziami i ziemią zarzucono i ugaszono ogień, stwierdzono, że samolot roztrzaskał się przy upadku i obaj ludzie zginęli.

Przez wiele lat śmierć Denysa odczuwano w Kenii jako niepowetowaną stratę. W ustosunkowaniu się przeciętnego kolonisty do pamięci zmarłego ujawniał się piękny rys szacunek dla zalet, które nie każdy łatwo rozumiał. Najczęściej mówiono o nim jako o sportowcu. Wspominano jego sukcesy, w krykiecie i golfie, a ponieważ nie znałam tych spraw, dopiero teraz dowiadywałam się o jego sławie we wszystkich dziedzinach sportu. Wychwalając go jako sportowca ludzie dodawali, że oczywiście był niezwykle zdolny. Co zaś naprawdę pamiętali z cech jego charakteru, to absolutny brak zarozumiałstwa i egoizmu, bezwarunkową prawdomówność, jaką poza nim spotykałam tylko u idiotów. Tych zalet na ogół nie uważa się w koloniach za godne naśladowania, lecz po śmierci człowieka ocenia się je tam może wyżej niż gdzie indziej.

Tubylcy znali Denysa lepiej niż biali: dla nich jego śmierć stanowiła wielką stratę.

Dowiedziawszy się w Nairobi o śmierci Denysa próbowałam się dostać do Voi. Towarzystwo lotnicze wysłało tam Toma Blacka, który miał zbadać katastrofę. Pojechałam na lotnisko, aby go prosić o zabranie mnie z sobą, gdy jednak tam dojechałam, jego samolot właśnie wystartował.

Pozostawał jeszcze wyjazd samochodem, ale właśnie trwała pora deszczowa i musiałam wprawdzie zdobyć informacje o stanie dróg. Czekając na te informacje przypominałam sobie, iż Denys wyraził raz życzenie, że chciałby być pochowany w górach Ngong. Dziwne, że nie przypominałam sobie o tym wcześniej, ale myśl o jego pogrzebie długo nie docierała do mojej świadomości. Przyszła zupełnie nagle, jakby mi ktoś pokazał fotografię.

Jeszcze wtedy, gdy myślałam o dokonaniu życia w Afryce, wskazałam Denysowi pewne miejsce w górach, na pierwszym grzbiecie w obrębie rezerwatu zwierzęcego. Powiedziałam, że tam chciałabym leżeć po śmierci. Wieczorem siedzieliśmy przed domem patrząc na góry i Denys rzucił mimochodem, że również chciałby być pochowany w tym samym miejscu. Od tej chwili mawiał czasami, gdy wybieraliśmy się w góry: „Pojedziemy aż do naszych grobów”. Obozując raz w górach z zamiarem przyjrzenia się bawołom, poszliśmy po południu aż na stok, aby z bliska zobaczyć to miejsce. Rozległy widok otwierał się stamtąd. W świetle zachodzącego słońca widzieliśmy Mount Kenya i Kilimandżaro. Denys leżał na trawie i zjadał pomarańczę mówiąc, że chciałby tu zostać. Mój przyszły grób mieścił się nieco wyżej. Z obu miejsc widoczny był mój dom leżący wśród lasów daleko na wschodzie.. Pomyślałam wówczas, iż mimo rozpowszechnionej teorii, że wszystko musi umrzeć, nazajutrz wrócimy do tego domu na zawsze, jak mi się zdawało.

Gustaw Mohr, gdy tylko dowiedział się o śmierci Denysa, przybył na moją farmę. Nie zastawszy mnie tam, szukał mnie w Nairobi. Wkrótce przyłączył się do nas Hugh Martin. Powiedziałam im o miejscu na grób w górach i o życzeniu Denysa, oni zaś porozumieli się telegraficznie z Voi. Zanim odjechałam z powrotem na farmę, poinformowali mnie, że ciało Denysa zostanie przywiezione do Nairobi pociągiem przychodzącym nazajutrz rano, tak że pogrzeb w górach będzie mógł się odbyć w południe. Do tego czasu musiałam przygotować grób.

Gustaw Mohr pojechał ze mną. Miał przenocować na farmie i pomóc mi nazajutrz rano. Aby ostatecznie wybrać miejsce i na czas wykopać grób, musieliśmy być w górach już przed wschodem słońca.

Całą noc padał deszcz, a przed naszym wyruszeniem zmienił się w drobną mżawkę. Koleiny na drodze były pełne wody, w górach zaś jechało się jak w chmurach. Nie widzieliśmy ani równiny ciągnącej się po lewej stronie, ani szczytów górskich i zboczy po prawej. Znikała nam też z oczu ciężarówka, w której jechali za nami boye, chociaż dzieliła nas odległość dziesięciu metrów. Mgła gęstniała w miarę, jak droga pięła się w górę. Po drogowskazie zorientowaliśmy się, gdzie zaczynał się teren rezerwatu zwierzęcego, przejechawszy więc jeszcze kilkaset metrów wysiedliśmy z samochodu. Boyów i ciężarówkę zostawiliśmy na gościńcu do tego czasu, aż wybierzemy miejsce na grób. Panował taki chłód, że marzły nam palce.

Szukaliśmy miejsca niezbyt odległego od szosy i położonego nie na zboczu, gdyż inaczej ciężarówka nie mogłaby tam dojechać. Jakiś czas szliśmy razem rozmawiając o mgłę, potem poszliśmy różnymi ścieżkami i wkrótce straciliśmy się z oczu.

Górzysta kraina niechętnie otwierała się przede mną i zaraz się zamykała. Przypominał mi się deszczowy dzień w Skandynawii. Idąc ze mną Farah niósł mokry sztucer, gdyż jego zdaniem mogliśmy trafić na stado bawołów. Bliskie rzeczy, które nagle wynurzały się z mgły przed naszymi oczyma, sprawiały wrażenie fantastycznie ogromnych. Z szarych liści dzikich oliwek i z wyższej od nas trawy bił silny zapach i kapały krople wody. Chociaż miałam na sobie nieprzemakalny płaszcz i gumowe buty z cholewami, wkrótce byłam tak przemoczona, jakbym brodziła w strumieniu. Wszędzie panowała cisza, tylko mocniejsze uderzenia deszczu wywoływały jakby szept dokoła. W pewnej chwili mgła rozeszła się i wtedy zobaczyłam przed sobą i nad sobą teren barwy indygo, jakby sztorcem postawioną dachówkę. Musiał to być jeden z odległych szczytów, który zresztą już po kilku sekundach zniknął za ruchomą ścianą deszczu i mgły. Ciągle szłam przed siebie, wreszcie stanęłam bezradnie. Przed poprawieniem się pogody nic nie można było zrobić.

Gustaw Mohr krzyknął do mnie kilka razy, aby ustalić miejsce, gdzie stanęłam. Wkrótce przyszedł sam z mokra twarzą i rękami. Powiedział, że już godzinę błądzi wśród mgły i że jeżeli zaraz nie znajdziemy odpowiedniego miejsca, nie zdążymy z wykopaniem grobu na czas.

– Nie wiem przecież, gdzie jesteśmy – odpowiedziałam – a nie możemy pochować Denysa w takim miejscu, gdzie grzbiet zasłania widok. Zaczekajmy jeszcze trochę.

Zapaliłam papierosa i milcząco staliśmy w gęstej trawie. Właśnie miałam wyrzucić niedopałek, gdy mgła zaczęła trochę rzednąć i ustępować miejsca bladej, zimnej jasności. Za dziesięć minut mogliśmy się już zorientować, gdzie jesteśmy. Pod nami leżała równina i na niej widziałam drogę, którą tu przyjechaliśmy. Wiła się ona później po zboczach i pięta się w naszym kierunku. Daleko na południe, pod zmieniającymi się chmurami leżało poszarpane, ciemnoniebieskie podnóże Kilimandżaro. Gdy zwróciliśmy się ku północy, jasność wzmagala się, blade promienie na chwilę trysnęły z nieba i osrebrzyły grzbiet Mount Kenya. Poniżej nas, ale znacznie bliżej i nieco na wschód, ukazała się czerwona plamka na szarozielonym tle. Tym jedynym czerwonym punktem w całej okolicy był dach mego domu na leśnej polanie. Nie musieliśmy już szukać dalej, byliśmy na właściwym miejscu. Za chwilę znów zaczął padać deszcz.

Występ w zbczku około dwudziestu metrów wyżej od miejsca gdzie staliśmy, tworzył naturalny, wąski taras. Tam wyznaczaliśmy miejsce na grób, trzymając się ustalonej za pomocą kompasu linii wschód – zachód. Potem zawołaliśmy boyów; jedni zajęli się ścinaniem wysokiej trawy i kopaniem grobu, innych zabrał Mohr do przygotowania dojazdu dla ciężarówki od szosy w kierunku tarasu. Ponieważ grunt był śliski, po wyrównaniu go boye ścinali gałęzie i mościli nimi trasę dojazdu. Nie dało się zrobić drogi do samego grobu, bo ostatni odcinek okazał się zbyt stromy. Dotąd panowała cisza, gdy jednak boye wzięli się do pracy, usłyszałam w górach echo uderzeń łopat. Brzmiało to tak jak szczekanie pieska.

Od strony Nairobi nadjechały samochody, posłaliśmy więc boya, aby im pokazał drogę, bo na rozległym terenie nie dostrzeżeliby małej grupy ludzi przy grobie wśród buszu. Przyjechali też Somalijczycy z Nairobi. Wozy z mułami zostawili na szosie, sami zaś po dwu lub trzech powoli szli pod górę. Żałobę okazywali zgodnie z narodową tradycją, jakby owijali czymś głowy i zamykali się w sobie poza obrębem życia. Niektórzy przyjaciele Denysa, dowiedziawszy się o jego śmierci, przyjechali aż z Naiwaszy, Gil-Gif i Elmenteita. Ich samochody były po długiej podróży oblepione warstwą błota. Zaczęło się przejaśniać i na tle nieba ukazały się cztery wyniosłe szczyty górskie.

Wczesnym popołudniem przywieziono z Nairobi Denysa. Samochód jechał powoli po rozmokłej drodze, która wiodła szlakiem jego safari do Tanganiki. Przed ostatnim stromym wzniesieniem podniesiono z ciężarówki wąską, okrytą flagą trumnę i na ramionach zaniesiono ją na miejsce. Gdy znalazła się w grobie, otoczenie zmieniło się – milczące jak ta trumna, stworzyło dla niej oprawę. Z gór biła powaga, bo one wiedziały i rozumiały, co się wśród nich odbywa: po chwili też zaczęły nadawać ton ceremonii pogrzebowej. Odtąd wszystko stało się sprawą tylko między nimi a Denysem. Obecni ludzie zmienili się w grupę lilipucich widzów na tle masywu gór.

Denys zawsze śledził wszystkie dziedziny życia Afrykańskiego Płaskowyzu, sam w nich uczestniczył. Lepiej od wszystkich białych ludzi znał tutejszą glebę i warunki klimatyczne, roślinność i świat zwierzęcy, wiatry i wonie. Bacznie obserwował zmiany pogody, zmiany wśród ludzi, zmiany w chmurach i w gwiazdach. Jeszcze niedawno widziałam go w tych górach, jak z gołą głową stał w popołudniowym słońcu i przez lornetkę oglądał okolicę, ciekawy wszystkich szczegółów. Żył się z tym krajem i uważał, że zmienia się w oczach, że nabiera cech jego własnej indywidualności, że staje się jego częścią. Teraz Afryka przyjęła go, zmieni go, na zawsze ze sobą zespoli.

Powiedziano mi, że biskup z Nairobi nie chciał brać udziału w pogrzebie, ponieważ nie było czasu na konsekrację miejsca obranego na grób. Przyjechał natomiast jakiś inny duchowny i odprawił modlitwy żałobne, które słyszałam pierwszy raz w życiu. Na otwartej przestrzeni jego głos brzmiał cicho i wyraźnie jak głos ptaka w górach. Pomyślałam, że Denys chciałby wszystko jak najszybciej zakończyć. Pastor odczytał psalm: „Podniosę oczy

moje na góry”.

Gustaw Mohr i ja zostaliśmy jeszcze przez chwilę po odejściu innych białych. Mahometanie zaś czekali na nasze odejście, dopiero potem przystąpili do modłów nad grobem.

Przez szereg dni po śmierci Denysa zbierali się na farmie jego boye, którzy jeździli z nim na safari. Nie mówili, po co przychodzą, ani o nic nie prosili, siadywali tylko oparci plecami o ścianę domu i ramionami o płyty kamienne. Wbrew zwyczajom krajowców przeważnie milczeli. Przychodzili Malimu i Sar Sita, odważni nosiciele broni i zręczni tropiciele, którzy uczestniczyli we wszystkich safari Denysa. Towarzyszyli też wyprawie z udziałem księcia Walii, który wiele lat później pamiętał ich imiona i mawiał, że tych dwu niełatwo było przewyższyć. Ale wielcy tropiciele tym razem zgubili ślad i siedzieli bez ruchu. Przychodził też Kanutia, szofer Denysa, który przejechał wiele tysięcy kilometrów po wertepach i bezdrożach. Był to młody, szczupły Kikujus z oczyma tak czujnymi jak oczy małpy. Teraz siedział pod domem jak smutna i zmarznięta małpa w klatce.

Z Naiwaszy przyjechał na farmę Bilea Isa, dawny somalijski boy, który dwa razy jeździł z Denysem do Anglii, chodził tam do szkoły i mówił po angielsku jak gentleman. Przed kilku laty byliśmy z Denysem na jego weselu w Nairobi, wspaniałej uroczystości trwającej siedem dni. Wielki podróżnik i wielki uczony wrócił z okazji ślubu do tradycji przodków. Ubrany był w złocistą szatę, witał nas pokłonem do samej ziemi i odtańczył taniec miecza z piekielnym temperamentem syna pustyni. Bilea przyjechał po to, aby odwiedzić grób swego dawnego pana i położyć się na nim. Po jakimś czasie wrócił stamtąd milczący i razem z innymi usiadł z plecami opartymi o ścianę i ramionami na kamiennych płytach.

Farah wychodził z domu i rozmawiał z bojami Denysa. Sam też był bardzo smutny.

– Nie byłoby tak źle, że ty wyjeżdżasz, gdyby tylko Bedar tu był – oświadczył.

Boye Denysa przebywali na farmie około tygodnia, potem jeden po drugim odchodzili.

Często jeździłam na grób Denysa. Odległość w linii powietrznej wynosiła nie więcej niż osiem kilometrów, ale drogą jechało się dwadzieścia. Grób leżał trzysta metrów wyżej niż farma, toteż i powietrze było tam inne, czyste jak źródłana woda. Lekki wiaterek muskał włosy, chmury wędrujące ze wschodu nad górami rzucały cienie na falistą krainę i później znikwały rozpluwając się nad Rift Valley.

W Dhuka kupiłam metr białego płótna zwanego przez krajowców americani i przy pomocy Faraha umocowałam je do trzech palików wbitych tuż za grobem. Dzięki tej białej plamie na tle zielonego wzgórze mogłam z domu odróżnić dokładne miejsce położenia grobu. W porze deszczowej padało bardzo mocno, wskutek tego obawiałam się, że trawa wyrośnie tak wysoko, iż zakryje grób i uniemożliwi jego znalezienie. Pewnego więc dnia zebraliśmy wszystkie białe kamienie z podjazdu przed domem, te same, które Karomenya z takim trudem powyciągał i przetoczył na jedno miejsce: załadowaliśmy je na małą ciężarówkę i zawieźliśmy w góry. Po wycięciu trawy wokół mogiły ułożyliśmy z kamieni kwadrat, aby zawsze można było odnaleźć grób Denysa.

Miejsce to znały również dzieci z farmy, bo często zabierałam je z sobą. Mogły pokazać je każdemu, kto przyjeżdżał odwiedzić grób. Zbudowały też w pobliżu małą altankę z gałęzi. W lecie przyjechał z Mombasy Ali bin Salim, przyjaciel Denysa. Arabskim zwyczajem położył się na grobie i płakał.

Pewnego dnia zastałam przy grobie Hugh'a Martina, którego śmierć Denysa bardzo dotknęła. Długo siedzieliśmy tam rozmawiając. Jeżeli jakikolwiek człowiek liczył się w dziwnym bytowaniu Martina, był to Denys. Uznawanie jakiegoś ideału jest zawsze rzeczą bardzo trudną do zrozumienia, a nikt nigdy nie posądziłby Hugh'a Martina o to, że posiada własny ideał, ani też o to, że jego strata dotknie go tak mocno jak – można powiedzieć – strata jakiegoś istotnego organu. Ale od śmierci Denysa Hugh zmienił się i postarzał, twarz mu się skurczyła i pokryła plamami. Mimo to zachował podobieństwo do spokojnego,

uśmiechniętego bóstwa chińskiego, jakby wiedział o czymś niezwykle przyjemnym, a niedostępnym dla innych. Hugh Martin powiedział mi, że pewnej nocy nagle wymyślił odpowiedni napis na grób Denysa. Myślę, że wziął to z jakiegoś starogreckiego autora, bo przytoczył mi treść najpierw po grecku, potem przetłumaczył, abym zrozumiała. Brzmiało to tak: „Chociaż przez śmierć ogień zmiesza się z moimi prochami, nie dbam o to. Bo teraz mi dobrze”.

Brat Denysa, lord Winchilsea, wystawił później na jego grobie obelisk z napisem wziętym z *The Ancient Mariner*^[26], gdyż Denys bardzo lubił ten poemat. Ja go nie znałam, dopiero w drodze na wesele Bilei Denys deklamował mi go pierwszy raz. Nie widziałam obelisku, bo postawiono go już, po moim wyjeździe z Afryki.

W Anglii również znajduje się pomnik Denysa. Starzy koledzy szkolni zbudowali na jego cześć kamienny most nad strumieniem płynącym między dwoma boiskami w Eton. Na jednej balustradzie jest wyryte jego imię i daty pobytu w Eton, a na drugiej napis: „Wsławił się na tych boiskach i był bardzo kochany przez przyjaciół”.

Między strumieniem płynącym przez łagodny krajobraz Anglii a grzbietem afrykańskich gór biegła ścieżka jego życia. Jeżeli ktoś przypuszczałby, że ta ścieżka biegła kręto i zbaczała, popełniłby optyczną omyłkę – to otoczenie zbaczało. Ciężką wypuszczono na moście w Eton, strzała zatoczyła łuk na niebie i utkwiała w grobie w górach Ngonga.

Gdy już opuściłam Afrykę, Gustaw Mohr napisał mi o dziwnym zdarzeniu, które zaszło na grobie Denysa. Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym. „Masaje – pisał – donieśli komisarzowi okręgu Ngong, że wiele razy o wschodzie i zachodzie słońca widywali lwy na grobie Finch-Hattona w górach. Przychodziły tam lew i lwica, stawały przy grobie lub kładły się na nim, długo tam pozostając. Widzieli je również Hindusi przejeżdżający tą drogą samochodami do Kajado. Po Pani wyjeździe teren wokół grobu wyrównano tworząc obszerny taras. Zdaje mi się, że to miejsce przyciąga lwy, bo mogą stamtąd doskonale obserwować równinę, pasące się na niej bydło i dziką zwierzynę”.

Słuszne to i szlachetne, że lwy przychodziły na grób Denysa i obdarzały go pomnikiem godnym Afryki. „A dla mogiły twej poszanowanie”^[27].

Pomyślałam, że nawet Nelson ma przy swym pomniku na Trafalgar Square tylko lwy z kamienia.

Wyprzedaj

Zostałam więc sama na farmie. Nie należała już do mnie, ale nabywcy zaproponowali, że mogę na niej zostać, jak długo chcę. Formalnie, dla zadośćuczynienia wymogom prawa, dzierżawiłam ją za opłatą jednego szylinga dziennie.

Sprzedawałam meble, a Farah i ja mieliśmy z tym masę roboty. Musieliśmy wystawić całą porcelanę i szkło na stole w jadalni; po sprzedaniu stołu ustawiliśmy porcelanę i szkło w długich szeregach na podłodze. Kukułka z zegara arogancko wykukiwała godziny nad tymi szeregami, potem sama została sprzedana i wyfrunęła z domu. Pewnego dnia sprzedałam szkło stołowe. Ale potem w nocy rozmyślałam się, pojechałam rano do Nairobi i poprosiłam tę panią, która je kupiła, o unieważnienie transakcji. Nie miałam gdzie podziąć tego szkła, ale przecież dotykały go wargi i palce wielu moich przyjaciół, którzy nieraz przywozili w prezencie wspaniałe wino: w szkle dźwięczało jeszcze echo rozmów przy stole, nie chciałam się więc z nim rozstać. Pomyślałam sobie zresztą, że łatwo je w razie czego rozbić.

Opodal kominka stała zawsze stara drewniana skrzynia z malowanymi na ścianach

^[26] Poemat S.T. Coleridge’a (1772-1834).

^[27] W. Szekspir. *Cymbelin*. Akt IV, scena 2. Przekład Zofii Siwickiej.

postaciami Chińczyków, Sułtanów i Murzynów, a także psów na smyczy. Wieczorami, przy buzującym ogniu, postacie ożywały i służyły za ilustracje do bajek, które opowiadałam Denysowi. Długo patrzyłam na tę skrzynię, wreszcie rozebrałam ją i zapakowałam, dzięki czemu malowane figury mogły sobie trochę odpocząć.

Lady MacMillan wykańczała w tym czasie bibliotekę, którą zbudowała w celu uczczenia pamięci swego męża, sir Northrupa MacMillana. Przyjechała na farmę, ze smutkiem wspominała dawne czasy i kupiła dla biblioteki większą część moich duńskich mebli, które zabrałam jeszcze z domu. Cieszyłam się na myśl, że te wesołe, mądre i gościnne meble zostaną razem, w środowisku książek i uczonych. Książki zapakowałam do skrzyń, które potem służyły do siedzenia i w charakterze stołu. W odległej kolonii książki odgrywają w życiu człowieka inną rolę niż w Europie. Tam decydują o całej ważnej stronie życia. Z tego też powodu, stosownie do wartości książek, człowiek odczuwa wobec nich albo większą wdzięczność, albo większą złość, niż odczuwałby w kraju cywilizowanym.

Bohaterowie książek biegną obok konia w czasie przejażdżki po farmie, krocą po polach kukurydzy. Jak inteligentni żołnierze, na własną rękę znajdują sobie odpowiednie kwatery. Pewnego razu czytałam *Crome Yellow* do późnej nocy – nigdy nie słyszałam o autorze^[28], ale kupiłam książkę w Nairobi i tak byłam z niej zadowolona, jakbym odkryła nową zieloną wyspę na oceanie – i gdy rano jechałam konno przez rezerwat zwierzęcy, wyskoczyła przede mną mała antylopa i natychmiast w mojej wyobraźni zmieniła się w jelenia ściganego przez Herkulesa w towarzystwie żony i ze sforą trzydziestu czarnych i płowych mopsów. Wszyscy bohaterowie Waltera Scotta czuli się na farmie jak u siebie w domu i można ich było wszędzie spotkać. Podobnie Odyseusza z jego towarzyszami i – co dziwniejsze – wiele postaci z Racine’a. Peter Schlemihl^[29] kroczył po górach w siedmiomilowych butach, kłown Agheb, miodna pszczoła, mieszkał w ogrodzie nad rzeką.

Inne rzeczy też zostały sprzedane, zapakowane odesłane. W ciągu tych miesięcy dom stał się pusty jak czerep czaszki, chłodne i przestronne miejsce do mieszkania. W pustych pokojach dźwięczało echo, a trawa rosła sobie bujnie tuż u progu. W końcu nic już nie zostało i wtedy zdawało mi się, że w tym stanie dom nadawał się do zamieszkania bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Powiedziałam nawet do Faraha: „Tak powinniśmy byli utrzymywać dom przez cały czas”.

Farah mnie rozumiał, bo wszyscy Somalijczycy mają w sobie coś z ascetów. W tym okresie bardzo się troszczył o to, aby mi we wszystkim pomóc. Coraz bardziej jednak wychodził z niego prawdziwy Somalijczyk, taki, jakiego poznałam w Adenie, dokąd wyjechał mi na spotkanie, gdy pierwszy raz przyjechałam do Afryki. Bardzo się martwił moimi starymi butami i zwierzył mi się, że zamierza modlić się codziennie do Boga, aby dotrwały do Paryża.

W tym też okresie na co dzień nosił najlepszą odzież. Miał wiele pięknych strojów: wyszywaną złotem arabską kamizelkę, którą mu dałam w prezencie, bardzo elegancki szkarłatny mundur ze złotymi wypustkami od Berkeleya Cole’a, a także jedwabne turbany w ślicznych kolorach. Zwykle trzymał je w skrzyni i ubierał się w nie tylko na specjalne okazje. Teraz jednak wkładał wszystko, co miał najlepszego. Po ulicach Nairobi chodził o krok za mną albo czekał na brudnych schodach biur rządowych i kancelarii adwokackich, zawsze przybrany jak Salomon w pełni chwały. Trzeba być Somalijczykiem, aby tak postępować.

Musiałam zająć się również losem moich koni i psów. Cały czas myślałam o tym, aby je zastrzelić, ale wielu przyjaciół pisało do mnie listy z prośbą, żebym im je ofiarowała. Wobec tego, ilekroć wyjeżdżałam konno w towarzystwie psów, dochodziłam do wniosku, że niegodziwie byłoby je zastrzelić, miały przecież w sobie jeszcze tyle życia. Bardzo wiele czasu zajęło mi powzięcie decyzji, chyba nigdy w życiu tak często nie zmieniałam zdania w

[28] Jest to jedna z pierwszych powieści Aldousa Huxleya, napisana w r. 1921.

[29] Bohater fantastycznego opowiadania Adalberta von Chamisso (1781-1838), niemieckiego poety i przyrodnika.

jakiejs sprawie. W końcu zdecydowałam się porozdawać zwierzęta przyjaciołom.

Pojechałam do Nairobi na moim ulubionym koniu imieniem Rouge. Jechałam bardzo powoli, rozglądając się na północ i na południe. Pomyślałam, że Rouge przyjmie to z wielkim zdziwieniem, że odbył drogę do Nairobi, ale nią nie wraca. Z pewnymi trudnościami umieściłam konia w wagonie kolejowym, potem stałam, po raz ostatni pieszcząc jego aksamitny pysk dłonią i twarzą. „Nie pozwolę ci wyjechać, Rouge, zanim mnie nie pobłogosławisz”. Razem znaleźliśmy ścieżkę prowadzącą między szambami ku rzece, na stromym i śliskim brzegu on niósł mnie z delikatnością muła, nasze głowy odbijały się blisko w mętnej wodzie...

Dwa młode charty, Davida i Dinah, potomstwo Pani, podarowałam pewnemu przyjacielowi mającemu farmę w pobliżu Gil-Gif, gdzie psy miały dobre tereny łowieckie. Silne i wesołe były te psy, a gdy je uroczyście wywożono z farmy w samochodzie, wystawiały łby i dyszały z wywieszonymi jęzorami, jakby się gotowały do jakiegoś wspaniałego polowania. Bystre oczy, śmigłe nogi i żywe serca opuściły dom i jego otoczenie, aby biegać, dyszeć i węszyć na innych polach.

Opuszczali też teraz farmę ludzie, którzy u mnie pracowali. Ponieważ likwidowało się plantację kawy i suszarnię, Pooran Singh znalazł się bez pracy. Nie chciał jednak szukać nowej posady w Afryce i w końcu zdecydował się na powrót do Indii.

Mistrz w obróbce metali, Pooran Singh był poza kuźnią małym dzieckiem. Nie mógł sobie w żaden sposób uzmysłowić, że nadszedł koniec farmy. Rozpaczał nad tym, płakał rzewnymi łzami, które mu kapały na czarną brodę, przez długi czas nie dawał mi spokoju próbując mnie nakłonić do pozostania na farmie i wymyślając różne sposoby na jej opłacalność. Był bardzo dumny z naszej maszynierii i przez jakiś czas nie odrywał się od maszyny parowej i urządzenia suszarni. Pałającymi czarnymi oczyma pieścił każdą śrubkę z osobna. Potem, gdy się przekonał o beznadziejności naszego położenia, nagle wszystko porzucił. Nadal chodził bardzo smutny, lecz zachowywał się zupełnie biernie i czasami przy spotkaniu rozwijał przede mną plany podróży. Wyruszając w drogę nie zabrał ze sobą żadnego bagażu oprócz małej skrzynki z narzędziami i przyborami do lutowania. Widocznie jego serce i dusza znajdowały się po drugiej stronie oceanu, a teraz miała się do nich dołączyć jego skromniutka, brązowa postać wraz z lutownicą.

Chciałam dać Pooranowi Singhowi jakiś prezent na pamiątkę i miałam nadzieję, że wśród swoich rzeczy znajdzie coś, co pragnąłby mieć. Powiedziałam mu to, on zaś natychmiast z wielką radością oświadczył, że chciałby dostać pierścień. Nie posiadałam jednak pierścienia ani pieniędzy na kupno nowego. Działo się to jeszcze kilka miesięcy wcześniej, gdy Denys przyjeżdżał na farmę, więc przy obiedzie opowiedziałam mu o tej sprawie. Denys podarował mi swego czasu abisyński pierścień z miękkiego złota, który dawał się tak dokręcać, że pasował na każdy palec. Pomyślał tedy, iż patrzę na ten pierścień z zamiarem ofiarowania go Pooranowi Singhowi, bo zawsze się skarżył, że ilekroć dostałam od niego jakiś prezent, zaraz dawałam go swoim miejscowym przyjaciołom. Aby temu zapobiec, zdjął pierścień z mojej ręki i włożył sobie na palec mówiąc, że odda mi go dopiero po wyjeździe Poorana Singha. To działo się kilka dni przed jego podróżą do Mombasy i w ten sposób pierścień został pochowany wraz z Denysem. Zanim Pooran Singh opuścił farmę, zdobyłam dosyć pieniędzy ze sprzedaży mebli, aby mu kupić w Nairobi upragniony pierścień. Był z ciężkiego złota z dużym, czerwonym kamieniem, który wyglądał na szkło. Hindus był tak szczęśliwy, że jeszcze raz uronił kilka łez. Jestem pewna, że pierścień zmniejszył żal ostatecznego rozstania z farmą i maszynierią. Cały ostatni tydzień nosił go dzień w dzień, a za każdym pobytem w domu pokazywał mi rękę z radosnym, błogim uśmiechem. Również na stacji w Nairobi ostatnie, co widziałam z Poorana Singha, była jego ciemna dłoń, która pracowała w kuźni w tak szaleńczym tempie. Sterczała z okna przepełnionego i rozgrzanego wagonu dla tubylców, gdzie Pooran Singh usadowił się na swej skrzynce z narzędziami. Gdy dłoń wymachiwała mi

na znak pożegnania, kamień w pierścieniu błyszczał jak mała czerwona gwiazda.

Pooran Singh wrócił do Pendżabu, do swej rodziny. Nie widział ich przez wiele lat, ale rodzina utrzymywała z nim kontakt przysyłając fotografie, które on pieczołowicie przechowywał w swoim domku przy suszarni i pokazywał mi z wielką dumą. Już ze statku płynącego do Indii dostałam kilka listów. Wszystkie zaczynały się tak samo: „Droga Pani, Żegnaj się...” i zawierały sprawozdanie z podróży.

Tydzień po śmierci Denysa zdarzyła mi się dziwna rzecz.

Leżałam w łóżku rozmyślając nad wydarzeniami ostatnich miesięcy i starając się zrozumieć, co rzeczywiście zaszło. Odczuwałam takie wrażenie, jakbym w jakiś sposób zesła z drogi normalnego ludzkiego bytu w wir, w którym nigdy nie powinnam się być znaleźć. Gdziekolwiek stąpnęłam, ziemia zapadała się podę mną i gwiazdy spadały z nieba. Przypomniałam sobie poemat o Ragnarök^[30], gdzie opisane jest takie spadanie gwiazd, a także wierszyki o karzełkach, które ciężko wzdychają w swoich górskich pieczarach i umierają ze strachu. To wszystko, rozmyślałam, nie może być tylko zbiegiem okoliczności, tak zwanym przez ludzi brakiem szczęścia, to musi się opierać na jakiejś ogólnej zasadzie. Gdybym mogła ją odkryć, byłabym uratowana. Jeżeli spojrzę na właściwe miejsce, to może mi się wyjaśni logiczny związek rzeczy i spraw. Muszę wstać i szukać znaku.

Wiele ludzi uważa szukanie znaku za rzecz bez sensu. Tak jest dlatego, że można to robić tylko w specjalnym nastroju, a niewielu ludzi odczuwa taki nastrój. Jeżeli zaś w odpowiednim nastroju ktoś prosi o znak, na pewno otrzyma odpowiedź, gdyż jest ona naturalną konsekwencją samej potrzeby. W ten sam sposób gracz w brydża podnosi ze stołu trzynaście przypadkowo rozdanych kart i trzyma w ręku wielkiego szlema, podczas gdy inni nie mogą nawet zacząć licytacji. Czy istnieje w kartach wielki szlem? Istnieje, ale dla właściwego gracza.

Wysłałam z domu w poszukiwaniu znaku i na chybił trafił udałam się w stronę chat boyów. Tam wypuszczono właśnie kury, które zaczęły biegać między chatami. Przystanąłam na chwilę i przyglądałam się im.

Majestatycznym krokiem przemaszerował obok mnie potężny, biały kogut Fatimy. Nagle stanął, przechylił głowę na jedną, potem na drugą stronę i postawił grzebień na sztorc. Z trawy po drugiej stronie ścieżki wylazł mały, szary kameleon, który podobnie jak kogut wyruszył na poranny rekonesans. Ponieważ drób zjada takie rzeczy, kogut ruszył wprost na kameleona z radosnym gdakaniem. Ten zaś na widok koguta stanął jak wryty. Bał się, ale też był bardzo dzielny. Zaparł się łapkami o ziemię, otworzył pyszczek tak szeroko, jak potrafił, i w celu odstraszenia nieprzyjaciela wyciągnął ku niemu długi zakrzywiony język. Przez sekundę kogut stał jak oszołomiony, potem zdecydowanym ruchem uderzył dziobem jak młotkiem i oderwał kameleonowi język.

Spotkanie tych dwojga trwało dziesięć sekund. Odpędziłam koguta Fatimy, znalazłam duży kamień i zabijam nim kameleona. Bez języka skazany był na śmierć głodową, bo nim chwyta owady stanowiące jego pożywienie.

Byłam tak przerażona zdarzeniem – bo przecież stanowiło potworną i odrażającą tragedię przedstawioną w miniaturze – że wróciłam do domu i usiadłam na kamiennej ławce pod ścianą. Długo tak siedziałam, także po tym, jak Farah przyniósł mi herbatę. Wbiłam wzrok w kamienie i nie śmiałam spojrzeć na świat, taki mi się wydał niebezpieczny.

Bardzo powoli w ciągu następnych kilku dni zaczęło mi przychodzić na myśl, że otrzymałam metafizyczną odpowiedź na moje wezwanie. Zostałam nawet w dziwny sposób zaszczycona i wyróżniona. Te siły, do których zwracałam się z płaczem, bardziej ode mnie samej dbały o moją godność, jakiejże innej odpowiedzi mogły mi udzielić? To nie była pora

[30] W mitologii skandynawskiej dzień walki między bogami a siłami zła, w której obie strony wyginęły, po czym nastał nowy, lepszy porządek.

na pieśczenie się, zdecydowały więc przymknąć oczy na moją słabość. Potężne moce śmiały się do mnie tak, że aż echo niosło się między górami. Ha, ha, ha! – brzmiało wśród dźwięków trąb, między kogutami i kameleonami.

Zadowolona też byłam z tego, iż zdążyłam uchronić kameleona od męki powolnej śmierci głodowej.

Mniej więcej w tym samym czasie – ale jeszcze przed wysłaniem koni – Ingrid Lindström przyjechała ze swej farmy w Nioro, aby pobyć trochę ze mną. To był niezwykle miły i przyjacielski gest z jej strony, bo niełatwo przychodziło jej oderwać się od gospodarstwa. Jej mąż wziął posadę w wielkiej spółce eksploatacji włókna sizalowego, aby zarobić na spłatę rat ciążących na farmie. Pocił się teraz gdzieś w Tanganice, w nisko położonej okolicy. Ktoś mógł powiedzieć, że Ingrid oddała męża w niewolę dla dobra farmy. Tymczasem więc prowadziła farmę sama. Rozszerzyła hodowlę drobiu i ogród warzywny, miała hodowlę świń i stada młodych indyków, które wymagały ciągłej opieki. Zdobyła się jednak na to, że zostawiła wszystko pod opieką Kemosy i pospieszyła do mnie tak, jakby pośpieszyła na pomoc przyjacielowi, którego dom stanął w ogniu. Przybyła tym razem, rzecz oczywista, bez Kemosy, co w tych warunkach bardzo ucieszyło Faraha. Ingrid doskonale rozumiała i całym sercem, całą głębią kobiecego serca odczuwała, co naprawdę znaczy, gdy kobieta musi zrezygnować z farmy i opuścić ją na zawsze.

Podczas pobytu Ingrid nie rozmawiałyśmy ani o przeszłości, ani o przyszłości, nie wspominałyśmy też przyjaciół i znajomych, skupiłyśmy się obie na aktualnym nieszczęściu. Razem chodziłyśmy od jednej rzeczy do drugiej wyliczając je tak, jak byśmy sporządzały pamięciowy inwentarz moich strat albo jakby Ingrid w moim imieniu zbierała materiał do książki zażaleń, którą miała przedłożyć losowi. Ingrid wiedziała doskonale z własnego doświadczenia, że taka książka nie istnieje, lecz mimo to myśl o niej jest nieodłączną częścią życia każdej kobiety.

Poszłyśmy do zagrody wołów i siadłyśmy na płocie, licząc zwierzęta wracające z pastwiska. Bez słowa wskazałam je Ingrid, a mój ruch oznaczał: „Te woły”. Ona podobnie odpowiedziała: „Tak, te woły” i wciągnęła je do swej księgi. Poszłyśmy do stajen i karmiłyśmy konie cukrem, potem lepką i oślinioną dłonią wskazałam z płaczem na konie, co znaczyło: „Te konie”. „Tak, te konie” z westchnieniem, ale bez słów odpowiedziała Ingrid notując znów w księdze. Gdy znalazłyśmy się w ogrodzie nad rzeką, nie mogła się pogodzić z myślą, że mam zostawić wszystkie rośliny sprowadzone z Europy. Z rozpaczą załamywała ręce nad lawendą, szałwią i miętą i potem ciągle wracała do tego tematu, jakby obmyślała dla mnie plan zabrania roślin ze sobą.

Popołudnia spędzałyśmy na kontemplacji niewielkiego stada miejscowych krów, które pasło się na trawniku przed domem. Informowałam Ingrid o wieku i mleczości każdej z nich, ona zaś wzdychała słysząc te cyfry, jakby sprawiały jej fizyczny ból. Oglądała wszystkie krowy dokładnie, nie pod względem wartości handlowej, bo były przeznaczone dla moich boyów, lecz w celu ustalenia jakości i wielkości mojej straty. Nie mogła się też oderwać od cieląt słodko pachnących mlekiem. Po bardzo wielkich wysiłkach miała na swojej farmie kilka krów z cielętami i teraz, bez rozsądnego powodu i wbrew własnej woli, gromiła mnie wzrokiem za opuszczanie mego przychówku.

Jeżeli jakiś mężczyzna kroczy obok przyjaciela wuzutego z wszystkiego, co posiadał, i co chwila powtarza sobie w myśli słowa: „Dzięki Bogu, że to mnie nie spotkało”, musi odczuwać z tego powodu wyrzuty sumienia i stara się myśleć o czym innym. Między dwiema kobietami, dwiema przyjaciółkami, z których jedna otwarcie wyraża współczucie dla drugiej, rzecz ma się zgoła inaczej. Jest zupełnie oczywiste, że szczęśliwsza przyjaciółka będzie w myślach powtarzać te same słowa: „Dzięki Bogu, że to mnie nie spotkało”, lecz to nie powoduje rozdźwięku, a wprost przeciwnie, jeszcze bardziej zbliża do siebie przyjaciółki, podkreśla ich osobisty kontakt. Zdaje mi się, że mężczyźni nie potrafią łatwo i gładko

zazdrościć jeden drugiemu lub triumfować jeden nad drugim. Jest natomiast rzeczą naturalną, że panna młoda triumfuje nad druhnami, a przy odwiedzinach po porodzie inne kobiety zazdroszczą młodej matce: nikt nie ma jednak nikomu tego za złe. Kobieta, która straciła dziecko, pokazuje jego koszulki przyjaciółce, w pełni zdając sobie sprawę z tego, iż ta przyjaciółka powtarza w myśli: „Chwała Bogu, że to nie mnie spotkało”. Lecz obie uważają to za naturalne i zupełnie na miejscu.

Tak samo było między mną a Ingrid. Wiedziałam, że chodząc po mojej farmie, myślami przebywała na swojej, podziwiała własne szczęście, że jeszcze ją ma, tym bardziej się do niej przywiązywała. Dobrze nam z tym było. Chociaż ubrane w stare spodnie khaki i zniszczone płaszcze deszczowe, stanowiłyśmy w rzeczywistości parę mitycznych kobiet spowitych jedna w biel, druga w czerń: parę geniuszów życia farmerów w Afryce.

Po kilku dniach Ingrid pożegnała się i kolejną wróciła do Nioro.

Nie mogłam już jeździć konno, bez psów zaś spacerowały milczące i smutne. Na szczęście miałam jeszcze samochód i bardzo byłam z tego zadowolona, bo waliło się na mnie mnóstwo roboty.

Przygnębiała mnie myśl o przyszłości moich skwaterów. Nabywcy farmy zamierzali wykarczować drzewa kawowe, podzielić ziemię na kawałki i sprzedawać je jako parcele budowlane. Nie potrzebowali więc skwaterów, toteż zaraz po podpisaniu kontraktu dali wszystkim sześciomiesięczne wypowiedzenie. To stanowiło w oczach skwaterów krok zupełnie nie przewidziany i oszałamiający, ponieważ żyli iluzją, że ziemia należała do nich. Wielu urodziło się na farmie, inni przybyli na nią z rodzicami jako małe dzieci.

Skwaterzy wiedzieli, że aby pozostawać na swoim kawałku ziemi, musieli odpracować sto osiemdziesiąt dni w każdym roku, za co otrzymywali zapłatę w stosunku dwunastu szylingów za każde trzydzieści dni: w biurze farmy prowadzone były dokładne rozliczenia. Wiedzieli również, że musieli płacić rządowi tytułem podatku dwanaście szylingów od każdej chaty. Stanowiło to wielkie obciążenie dla mężczyzny, który niewiele poza tym posiadając był właścicielem dwu lub trzech chat zależnie od liczby żon, bo Kikujus musiał dać każdej swojej żonie osobną chatę. Czasami groziło się któremuś ze skwaterów wydaleniem z farmy za jakieś przewinienie, musieli więc w jakimś stopniu zdawać sobie sprawę z tego, że ich położenie miało swoje słabe strony. Bardzo nie lubili podatku od chat, gdy go więc zbierałam na farmie dla rządu, miałam masę do roboty i musiałam wiele wysłuchać. Zawsze jednak traktowali te wszystkie rzeczy jako normalny objaw zmienionych kolei życia, nigdy nie tracili nadziei, że uda się je jakoś obejść. Nie wyobrażali sobie, że w stosunku do nich wszystkich może działać jakaś ogólna zasada, która kiedyś objawi się w sposób fatalny i niszczący. Przez jakiś czas woleli uważać postanowienie nowych właścicieli farmy za straszak, który mogli odważnie ignorować.

W końcu skwaterzy zrozumieli znaczenie tego, że mają opuścić farmę, a wtedy zaczęli się zbierać przed moim domem. Swoje własne nieszczęście uważali za następstwo mojego nieszczęścia – mój wyjazd z farmy zmuszał i ich do opuszczenia jej. Nie mieli o to pretensji do mnie, bo już poprzednio wszystko zostało omówione: przychodzili tylko zapytać, dokąd mają się udać.

Pod każdym względem było mi trudno udzielić odpowiedzi na to pytanie. Według prawa tubylcy nie mogą sami nabywać ziemi, nie słyszałam zaś o żadnej dużej farmie, na której mogliby osiąść jako skwaterzy. Powtórzyłam im to, co mi odpowiedziano na moje własne pytania w tej sprawie, że muszą się przenieść do rezerwatu Kikujusów i tam poszukać sobie ziemi. Na to znów oni zapytali z ponurymi minami, czy w rezerwacie znajdzie się dosyć ziemi, aby mogli zabrać ze sobą całe swoje bydło? Poza tym, czy na pewno znajdą ziemię w jednym miejscu, aby wszyscy mogli się osiedlić tak jak na farmie, bo nie chcą się rozdzielać.

Zdziwiłam się, że chcą być razem, bo na farmie często z trudnością mogli się pogodzić i jeden na drugiego wygadywał, ile wlaźło. A jednak teraz przychodzili wszyscy razem: pewni

siebie, wielcy właściciele bydła, jak Kathegu. Kaninu i Mauge, ręka w rękę niemal ze skromnymi wyrobnikami, jak Waweru i Chotha, którzy nie posiadali nawet jednej kozy. Wszystkich ogarniał – ten sam nastrój, byli zdecydowani trzymać się siebie nawzajem tak jak swoich krów. Odnosiłam wrażenie, że nie tylko prosili mnie o miejsce do życia, ale żądali ode mnie tego życia.

Jeżeli zabiera się ludziom ich rodzinną ziemię, zabiera się im więcej niż ziemię. Bo w tej ziemi tkwi ich przeszłość, ich korzenie, ich prawdziwe jestestwo. Jeżeli zabiera się im rzeczy, które przywykli widzieć i które zawsze spodziewają się zobaczyć, można im równie dobrze zabrać oczy. To w znacznie wyższym stopniu odnosi się do ludzi prymitywnych niż cywilizowanych. A zwierzęta, jak wiemy, potrafią odbyć długą drogę powrotną, narażać się na niebezpieczeństwa i cierpienia, byle tylko odzyskać swe utracone jestestwo w znanym sobie otoczeniu.

Gdy Masajów przeniesiono do ich obecnego rezerwatu z ich dawnych dziedzin leżących na północ do linii kolejowej, zabrali ze sobą nazwy wzgórz, równin i rzek nadając je wzgórzom, równinom i rzekom na nowym terenie. Próbowali w ten sposób utrzymać więź z przeszłością.

Ten sam instynkt samozachowawczy kierował moimi skwaterami, którzy teraz lgnęli nawzajem do siebie. Jeżeli mieli opuścić swoją ziemię, musieli przebywać w otoczeniu ludzi, którzy ich znali i mogli świadczyć o ich jestestwie. Będąc razem mogli przez wiele lat gwarzyć o farmie, jej położeniu i historii; co by jeden zapomniał, drugi by pamiętał. Odczuwali poniekąd obawę przed hańbą unicestwienia.

„Idź, Msabu – prosili mnie – idź w naszej sprawie do selikali i uzyskaj od nich, abyśmy mogli zabrać na nowe miejsce całe nasze bydło i abyśmy wszyscy mogli razem zostać tam, gdzie pójdziemy”.

W ten sposób zaczęła się żebracza pielgrzymka, która trwała przez ostatnie miesiące mego pobytu w Afryce.

Załatwiając sprawę Kikujusów udałam się najpierw do komisarzy okręgowych w Nairobi i Kiambu, potem do wydziału spraw tubylców i urzędu ziemskiego, wreszcie do gubernatora, sir Josepha Byrnese, którego nie znałam, bo niedawno przybył z Anglii. W końcu sama zapomniałam, o co chodziło, dawałam się unosić przyływowi i odpływowi. Czasami spędzałam cały dzień w Nairobi albo musiałam tam jechać kilka razy tego samego dnia. Gdy wracałam, pod domem zawsze czekała grupa skwaterów, ale nigdy nie wypytywali mnie o nowiny. Chcieli tylko za pomocą jakiejś własnej magii dodać mi sił i otuchy.

Urzednicy państwowi okazali się ludźmi cierpliwymi i uprzejmymi. Trudności w załatwieniu sprawy wynikały nie z ich winy; znalezienie w rezerwacie Kikujusów odpowiednio dużego terenu, na którym zmieściliby się wszyscy moi ludzie razem z bydłem, stanowiło poważny problem.

Większość urzędników przebywała w Kenii dłuższy czas i dobrze znała tubylców. Tylko ostrożnie i mimochodem sugerowali sposób wyjścia polegający na tym, aby nakłonić Kikujusów do sprzedaży części bydła. Wiedzieli bowiem, że ci nie zrobią tego pod żadnym warunkiem i po przeniesieniu się na zbyt ciasny teren spowodują w najbliższych latach nie kończące się spory z sąsiadami w rezerwacie, które inni komisarze będą musieli rozstrzygać.

Gdy omawialiśmy drugą prośbę skwaterów, aby mogli trzymać się razem, przedstawiciele władz byli zdania, że nie jest to naprawdę potrzebne.

„*O, nie rozumuj o ścisłej potrzebie – pomyślałam. – Ostatni żebrak ma jeszcze w swej nędzy coś zbyt kownego*”^[31].

Przez całe życie byłam zdania, że ludzi można klasyfikować zależnie od tego, jak można sobie wyobrazić ich zachowanie wobec króla Leara. Nie można by odwoływać się do rozsądku wobec króla Leara podobnie jak wobec starego Kikujusa, gdyż od pierwszej chwili

[31] W. Szekspir. *Król Lear*. Akt II. Przekład Józefa Paszkowskiego.

żądał on od każdego zbyt wiele, lecz był królem. Jest prawdą, że mieszkaniec Afryki nie oddał wspaniałym gestem swego kraju białemu człowiekowi, wypadek różni się więc w pewnym stopniu od sprawy starego króla i jego córek. Biały człowiek zagarnął kraj jako swój protektorat. Wiedziałałam przecież, że nie tak dawno, jeszcze za ludzkiej pamięci, nikt nie kwestionował posiadania ziemi przez tubylców, ci zaś nie słyszeli o białym człowieku i jego prawach. Chociaż cały ich byt opierał się na niepewności, ziemia była czymś stałym. Część mieszkańców Afryki uprowadzili handlarze niewolników, ale część zostawała. Niewolnicy rozproszeni po całym Wschodzie tęsknili za swym płaskowyżem, bo to był ich kraj, ich własna ziemia. Stary, ciemny, bystrooki mieszkaniec Afryki i stary, ciemny, bystrooki słoń – są tacy sami. Widzi się ich stojących na ziemi, pełnych takich wrażeń o świecie, jakie długo i powoli gromadziły się w ich duszach: sami stanowią część tej ziemi. Każdy z nich może czuć się zaskoczony wielkimi zmianami, które zachodzą wokół niego, i może zapytać, gdzie jest. A wtedy jedyną właściwą odpowiedzią byłyby słowa Kenta:

„*W własnym królestwie swoim*”^[32].

Gdy sądziłam, że już do końca życia skazana jestem na ciągłe jazdy do Nairobi i z powrotem i na bezustanne konferencje w różnych urzędach, nagle otrzymałam zawiadomienie o uwzględnieniu mojej prośby. Rząd zgodził się na wydzielenie dla skwatterów z mojej farmy części rezerwatu leśnego Dagoretti. Tam mogli się osiedlić wszyscy razem, a nowe miejsce leżało niedaleko farmy. Po jej ostatecznej likwidacji mogli, jako zbiorowość, przechować swe twarze i swe imiona.

Wiadomość o decyzji władz została na farmie przyjęta milcząco, lecz z ogromnym napięciem. Z twarzy Kikujusów nie dało się wyczytać, czy cały czas wierzyli w pomyślny wynik starań, czy też rozpaczali. Natychmiast po załatwieniu sprawy zaczęli występować z najrozmaitszymi skomplikowanymi prośbami i propozycjami, ale nie chciałam już o niczym słyszeć. Skwatterzy nie rozchodzili się spod mego domu i patrzyli na mnie innymi oczyma. Sposób odczuwania szczęścia przez tubylców i ich wiara w nie są tego rodzaju, że po jednym powodzeniu mogli nabrać przekonania, iż odtąd wszystko dobrze się ułoży i ja zostaną na farmie.

Co do mnie, załatwienie przyszłego losu skwatterów przyniosło mi ogromną satysfakcję. Nieczęsto bywałam tak zadowolona.

Po dwu zaś lub trzech dniach zaczęłam odczuwać, że moja praca w Kenii dobiegła kresu i że teraz mogę wyjechać. Zbiór kawy na farmie był już ukończony, suszarnia unieruchomiona, domy puste, a skwatterzy dostali nowe siedziby i ziemię. Deszcze ustały, na równinach i w górach wyrosła już wysoka młoda trawa.

Nie udało się mój początkowy plan, aby rezygnować z mniejszych spraw w celu uratowania ważniejszych. Zgodziłam się oddawać jedno po drugim wszystko, co posiadałam, jako coś w rodzaju okupu za własne życie, gdy jednak nic mi już nie zostało, czułam się sama najlżejszą rzeczą, której los mógł się łatwo pozbyć.

Księżyc był właśnie w pełni i świecił do pustego pokoju odbijając na podłodze rysunek okna. Pomyślałam, że zaglądnący tu księżyc dziwi się, iż tak długo jeszcze pozostaje w domu, z którego już wszystko zniknęło. „O, nie – odpowiedział księżyc – u mnie czas się nie liczy”.

Chętnie zostałabym tak długo, aż skwatterzy osiedliliby się na nowym miejscu. Lecz pomiary terenu przez geometrów wymagały czasu i trudno było przewidzieć, kiedy ludzie będą mogli się przenieść.

[32] W. Szekspir. *Król Lear*. Akt IV. Przekład Józefa Paszkowskiego.

Pożegnanie

Starcy z całej okolicy postanowili urządzić ngomę na moją cześć.

Ngomy starców uważano niegdyś za wielkie wydarzenia, teraz jednak odbywały się bardzo rzadko i podczas mego pobytu w Afryce nie widziałam dotąd ani jednej. Chciałam zobaczyć, bo sami Kikujusi bardzo wysoko cenili tradycję. Fakt, że taniec starców miał się odbyć na farmie, przynosił jej zaszczyt, moi ludzie mówili o tej sprawie długo przed ngomą.

Nawet Farah, który na ogół patrzył z góry na ngomy tubylców, tym razem był pod wrażeniem postanowienia starców.

– To są bardzo starzy ludzie, Memsahib – oświadczył mi – bardzo, bardzo starzy.

Dziwnie to brzmiało, gdy młodzi, silni jak lwy Kikujusi z ogromnym szacunkiem mówili o tańcu staruszków.

Nie wiedziałam jednak o jednej rzeczy: – tego mianowicie, że te ngomy zostały zakazane przez rząd. Nie znam powodu tego zakazu. Kikujusi o nim wiedzieli, lecz zdecydowali się na to nie zważać. Albo sądzili, że w czasach wielkiego poruszenia można robić rzeczy, których się nie robi normalnie, albo pod wpływem wielkiej emocji tańcem zapomnieli o zakazie. Nawet to im nie przyszło do głowy, aby nie rozpowiadać o zamierzonej ngomie.

Gdy starzy tancerze przybyli na farmę, tworzyli niezwykły, wzniosły widok. Było ich razem ze stu, a ponieważ zjawili się równocześnie, musieli zebrać się gdzieś opodal domu. Miejscowi starcy zwykle odczuwają chłód i otulają się futrami i kocami, tym razem jednak wszyscy byli nadzy, jakby uroczyście wyrażali okropną prawdę. Ozdoby i malowidła wojenne mieli raczej dyskretne, lecz niektórzy nosili na łysych czaszkach przybrania z piór czarnego orła używane przez młodszych tancerzy. Nie potrzebowali zresztą żadnych strojów i tak wyglądali imponująco. W przeciwieństwie do starych lowelasów z europejskich sal balowych nie starali się o przybranie młodzieńczego wyglądu. Sens i znaczenie tańca, zarówno dla nich jak i dla widzów, polegały na podeszłym wieku wykonawców. Mieli dziwne znaki, jakich nigdy przedtem nie widziałam, mianowicie pasy namalowane kredą wzdłuż starych nóg i ramion, jakby chcieli w przyływie szczerości podkreślić sztywność i kruchość kości pod pomarszczoną skórą. Gdy zbliżali się w powolnym pochodzie, mieli tak dziwne ruchy, że zastanawiałam się, co to za taniec teraz zademonstrują.

Gdy patrzyłam na ten widok, znów wpadła mi do głowy fantastyczna myśl, która kiełkowała już przedtem: To nie ja wyjeżdżałam, bo ja nie miałam siły opuścić Afryki, to Afryka powoli odsuwała się ode mnie jak morze przy odpływie. Ta procesja przede mną – to w rzeczywistości moi wczorajsi i przedwczorajsi tancerze, młodzi i prężni, którzy wędli w moich oczach, odchodzili na zawsze. Szli własnym stylem, delikatnie, tanecznym krokiem. Moi ludzie byli ze mną, a ja z nimi, bardzo zadowolona.

Staruszkowie milczeli, nie rozmawiali nawet między sobą, oszczędzali sił na czekający ich znój.

Zaledwie tancerze uszykowali się do tańca, z Nairobi przyjechał askaris z adresowanym do mnie listem zakazującym odbycia ngomy.

Byłam tak zaskoczona niespodziewanym zwrotem, że z początku nic nie rozumiałam i musiałam przeczytać list kilka razy. Nawet askaris, który przywiózł list, był do tego stopnia przejęty wagą uroczystości, którą zakłóciło jego przybycie, że nie odzywał się ani do starców, ani do moich boyów, ani też nie puszył się zwyczajem żołnierzy, którzy chętnie pyszną się swoją wyższością przed resztą tubylców.

Przez cały czas mego pobytu w Afryce nie przeżyłam podobnej chwili rozgoryczenia. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek serce moje się tak buntowało. Nie przyszło mi nawet na myśl, aby coś powiedzieć: zdawałam sobie sprawę z tego, że żadne przemówienie nie miałoby najmniejszego znaczenia.

Starzy Kikujusi stali jak stado baranów. Ich oczy spod pomarszczonych powiek wbijały się

w moją twarz. Nie mogli rozstać się w jednej sekundzie z tym, w co włożyli tyle serca. Niektórzy przebierali nogami ze zdenerwowania: przyszli tu tańczyć i muszą tańczyć. W końcu przemogłam się i oświadczyłam, że ngoma zostaje odwołana.

Wiedziałam, że ta wiadomość wywoła u nich rozmaite reakcje, chociaż nie mogłam odgadnąć, jakie. Może uświadomili sobie nagle, że nie było dla kogo urządzać ngomy, bo ja już nie istniałam. Może wyobrażali sobie, że ngoma już się odbyła, wspaniała, niezrównana ngoma, która zaćmiła wszystko – i gdy się skończyła, wszystko też się skończyło.

Jakiś mały piesek skorzystał z ciszy, aby głośno zaszczekać, mnie zaś przez myśl przeleciało echo:

*„Nawet maleńkie pieski, mops, szpic, daksik,
Szczekają na mnie”^[33].*

Kamante, któremu poruczyłam rozdawanie starcom tytoniu po tańcu, swoim zwyczajem poszedł po rozum do głowy i uznał chwilę za odpowiednią: wystąpił z tykwą pełną tabaki. Farah zaczął na niego wymachiwać, aby wrócił, ale Kamante był Kikujusem, rozumiał starych tancerzy i uparł się przy swoim. Tabaka była rzeczywistością. Rozdawaliśmy ją między staruszków. Wkrótce wszyscy się rozeszli.

Ze wszystkich mieszkańców farmy najbardziej nad moim wyjazdem bolały stare kobiety. Stare Kikujuski mają ciężkie życie i pod jego wpływem stają się twarde jak krzemień. Są jak stare muły, które umieją gryźć, jeżeli trafi się okazja. Zajmując się leczeniem przekonałam się, że były odporniejsze na choroby niż mężczyźni, a także dziksze od mężczyzn i w większym niż oni stopniu pozbawione zdolności zachwycania się czymkolwiek. Rodziły mnóstwo dzieci i patrzyły na to, jak wiele z nich umierało. Nie obawiały się niczego. Wiążąc sobie rzemień na czole w celu utrzymania równowagi, taszczyły na plecach ładunki drzewa o wadze stu pięćdziesięciu kilogramów. Zataczały się pod tym ciężarem, ale nie dawały za wygraną. Od wczesnego rana do późnego wieczora harowały na szambach.

Stamtąd upatruje pokarm, a z daleka oczy jej widzą. Serce jej twarde jak kamień, tak twarde, jako sztuka spodniego kamienia młyńskiego. Gardzi strachem. Gdy czas przyjdzie, skrzydła ku górze podnosi: Śmieje się z konia i jeźdźca jego. Izali rozmnoży do ciebie prośby: albo będzie z tobą mówić łagodnie?^[34]

Miały niewyczerpany zapas energii, biła od nich żywotna siła. Stare kobiety żywo interesowały się wszystkimi wypadkami na farmie, potrafiły wędrować dziesiątki kilometrów, aby zobaczyć ngomę urządzaną przez młodzież. Żart albo kubek tembu wywoływał uśmiech na bezżębnych twarzach. Tę siłę i radość życia uważałam nie tylko za rzecz godną szacunku, lecz wspaniałą i urzekającą.

Stare kobiety na farmie przyjaźniły się ze mną. To one nazywały mnie Dżeri, podczas gdy nikt z mężczyzn i dzieci.

Teraz kobiety żałowały, że je opuszczam. Z tego ostatniego okresu mam w oczach obraz pewnej Kikujuski. Nie znam jej imienia, zdaje mi się tylko, że należała do maniaty Kathegu i była żoną jednego z jego wielu synów albo wdową po którymś synu. Szła ścieżką naprzeciw mnie dźwigając na plecach wiązkę ciężkich żerdzi, jakich Kikujusi używają do robienia dachów w chatach – u nich jest to praca dla kobiet. Żerdzie miały chyba po pięć metrów długości. Do transportu kobiety wiążą taki ładunek na obu końcach, a wrzcionowaty kształt na plecach sprawia, że idąc równiną przypominają jakieś prehistoryczne zwierzęta albo

^[33] W. Szekspir. *Król Lear*. Akt VI, 4. Przekład Józefa Paszkowskiego.

^[34] Stary Testament. Księga Joba. Tekst według przekładu ks. Wujka i tłumaczenia „Gdańskiego” z r. 1632. z wyjątkiem bardzo małych, nigdy nie używał tego imienia. Dżeri jest u Kikujusów żeńskim imieniem, ale ma specjalną wymowę. Gdy w kikujuskiej rodzinie urodzi się dziewczynka znacznie młodsza od reszty rodzeństwa, wołają na nią Dżeri. Ma to, jak sądzę, znaczenie pieszczotliwe.

żyrafy. Żerdzie, które dźwigała ta kobieta, były osmalone przez dym i prawie zwęglone. Oznaczało to, że rozebrała starą chatę i przenosiła materiał na nowe miejsce. Gdyśmy się spotkały, stanęła jak wryta zagradzając mi drogę. Patrzyła na mnie wzrokiem spotkanej na stepie żyrafy, która żyje, odczuwa i myśli w sposób nam zupełnie nie znany. Po chwili wybuchła płaczem, aż łzy lały się jej strumieniem po twarzy. Ani ona, ani ja nie powiedziałyśmy ani słowa. Po kilku minutach ustąpiła mi z drogi i rozeszłyśmy się w przeciwne strony. Pomyślałam, że mimo wszystko ona posiada chociaż trochę materiału do budowy nowego domu. Wyobrażałam też sobie, jak przystąpi do pracy, jak zwiąże te żerdzie i zbuduje sobie dach nad głową.

Wśród małych pastuszków, którzy przez całe życie byli przyzwyczajeni do mojej obecności na farmie, zbliżająca się zmiana wywoływała wielkie podniecenie. Może zbyt trudno by im przyszło wyobrazić sobie świat bez mnie, może nawet nie śmieliby o tym myśleć, jak nie myśli się o abdykacji Opatrzności. Gdy szłam przez pastwisko, wystawiali głowiny z wysokiej trawy i wołali:

– Kiedy wyjeżdżasz, Msabu? Msabu, ile jeszcze dni tu będziesz?

Gdy nadszedł wreszcie dzień wyjazdu, doznałam dziwnego uczucia, że mogą zdarzyć się rzeczy, których istnienia nie potrafimy sobie uzmysłowić ani przedtem, ani wtedy, gdy zachodzą, ani nawet później, gdy je wspominamy. Okoliczności tworzą siłę, która może wywoływać coś niezależnego od ludzkiej wyobraźni i ludzkich pojęć. W takim wypadku człowiek ma z tym, co się dzieje, kontakt polegający na śledzeniu wypadków z napiętą uwagą jak ślepiec przez kogoś prowadzony, który ostrożnie, chociaż nieświadomie, stawia jedną stopę przed drugą. Coś się z człowiekiem dzieje i on czuje, że coś się dzieje, lecz poza tym uczuciem nie ma żadnego związku z wydarzeniami ani klucza do wytłumaczenia ich przyczyny i ich znaczenia. Zdaje mi się, że w ten sam sposób wykonują swój program zwierzęta w cyrku. Ludzie, którzy tego doświadczyli, mogą powiedzieć, że w pewien sposób otarli się o śmierć – przyszli przez coś poza zasięgiem wyobraźni, lecz w zasięgu doświadczenia.

Wczesnym rankiem przyjechał samochodem Gustaw Mohr, aby mnie odwiedzić na stację. Dzień był chłodny i krajobraz nie jaśniał wielu kolorami. Na widok bladego i mrugającego Gustawa przypomniałam sobie powiedzenie pewnego kapitana norweskiego statku wielorybniczego, którego spotkałam w Durbanie, że Norwedzy nie przejmują się żadnym sztormem, ich system nerwowy nie potrafi natomiast znieść ciszy na morzu. Wypiliśmy herbatę na kamiennym stole jak wiele razy przedtem. Przed nami, w zachodnim kierunku, leżały góry. W żłobach kłębiły się tam płyty mgły. Dla gór była to tylko jedna chwila w ich istnieniu, które trwało wiele, wiele tysięcy lat. Poczułam zimno, jakbym znajdowała się na ich szczycie.

Po pustym domu błakali się jeszcze boye, ale swą egzystencję przenieśli już – można powiedzieć – w inne miejsce. Wysłali już swe rodziny i dobytek. Kobiety Faraha pojechały poprzedniego dnia ciężarówką do dzielnicy Somali w Nairobi. Farah miał mi towarzyszyć aż do Mombasy. Podobnie Tumbo, syn Jurny, który pragnął tego najbardziej w świecie. Gdy jako prezent na pożegnanie miał do wyboru krowę albo podróż do Mombasy, wybrał podróż.

Pożegnałam się z boyami, z każdym osobno. Mieli poleczone zamknąć dokładnie drzwi domu, ale po moim wyjeździe zostawili je szeroko otwarte. Był to typowy gest tubylców: albo chcieli pokazać, że znów tu wrócę, albo zademonstrować, że po moim odejściu nic ma po co zamykać drzwi i równie dobrze można wszystko zostawić otwarte, aby wiatr sobie hulał. Farah prowadził samochód powoli, w tempie wielbłąda. Objechał trawnik przed domem i skierował się na szosę. Dom zniknął mi z oczu.

Gdy dojechaliśmy do stawu, spytałam Gustawa Mohra, czy nie mamy trochę czasu, aby się na chwilę zatrzymać. Wysiedliśmy i zapaliliśmy papierosy nad brzegiem stawu. W wodzie

widzieliśmy pływające ryby. Odtąd mieli je łowić i zjadać ludzie, którzy nie znali starego Knudsena i nie zdawali sobie sprawy ze znaczenia tych ryb. Sirunga, mały wnuczek Kaninu cierpiący na epilepsję, przyszedł jeszcze raz pożegnać się ze mną, chociaż powtarzał to przez kilka ostatnich dni. Gdy znów wsiedliśmy do samochodów i ruszyliśmy, Sirunga biegł za nami, ile mu sił starczyło. Zdawało mi się, że wiatr kręci nim razem z kurzem, taki był mały jak ostatnia iskra z mego ogniska. Biegł za nami aż do miejsca, gdzie droga z farmy łączyła się z szosą. Obawiałam się, że pobiegnie aż na szosę: robiło to takie wrażenie, jakby cała farma rozpadła się i zdana była na łaskę wiatru miotającego suchymi łuskami. Lecz Sirunga zatrzymał się na rozstaju, mimo wszystko należał do farmy stał tam i patrzył za nami. Znikł mi z oczu razem z rozgałęzieniem drogi prowadzącej na farmę.

Jadąc do Nairobi widzieliśmy na szosie i w trawie szarańczę: kilka owadów wpadło nawet do samochodu. Wyglądało na to, że skrzydlata plaga jeszcze raz groziła okolicy.

Wiele przyjaciół przyszło na dworzec kolejowy, aby mnie pożegnać. Był Hugh Martin, ciężki i nonszalancki. Gdy się żegnał, zobaczyłam mego doktora Panglossa z farmy jako bardzo samotną postać, bohaterską postać, która wszystko zamieniła na samotność, stała się symbolem Afryki. Pożegnaliśmy się bardzo przyjaźnie: spędziliśmy razem wiele miłych chwil, przeprowadziliśmy wiele mądrych rozmów Lord Delamere postarzał się nieco. Włosy miał bielsze i rzadsze niż wtedy, gdy na początku wojny, podczas mej wyprawy karawaną wozów zaprzężonych w woły, częstował mnie herbatą w rezerwacie Masajów. Pozostał jednak zawsze tak samo uprzejmy i szarmancki. Na peronie znalazłam większość Somalijczyków mieszkających w Nairobi. Abdullah, stary handlarz bydlęm, dał mi na szczęście srebrny pierścień z turkusem. Bilea, dawny boy Denysa, z powagą prosił o przekazanie wyrazów szacunku bratu swego pana, u którego bawił w dawnych czasach. Farah powiedział mi już w pociągu, że również kobiety somalijskie przyjechały na dworzec, gdy jednak zobaczyły tak wielu zgromadzonych mężczyzn ze swego plemienia straciły odwagę i wróciły do domów.

Stojąc już w oknie wagonu wymieniłam uścisk dłoni z Gustawem Mohrem. Gdy pociąg miał ruszyć, gdy już ruszył. Gustaw odzyskał równowagę. Tak bardzo chciał mnie podtrzymać na duchu, że aż się zaczerwienił: twarz mu pałała i jasne oczy błyszczały.

Na stacji Samburu, gdzie nabierano wody do lokomotywy, wysiadłam i spacerowałam z Farahem po peronie.

Na południowym zachodzie widniały góry Ngong. Ich szlachetna sylwetka wznosiła się nad niebieskawym, nizinnym krajobrazem. Były jednak tak odległe, że cztery szczyty niemal zlewały się z całym masywem i wyglądały inaczej niż z farmy. Później zarys gór powoli zniknął, dal równała je z otoczeniem.

POSŁOWIE

Jeszcze do niedawna, jeszcze w oczach naszego pokolenia, głównym elementem obrazu Czarnej Afryki była egzotyka – lew polujący na stepie, długa szyja żyrafy, sznur półnagich tragarzy towarzyszących białym myśliwym i podróżnikom. Dopiero w ostatnich kilkunastu latach na pierwszy plan wysunął się człowiek. Jesteśmy dziś świadkami formowania się w Afryce społeczeństw i narodów, powstawania niepodległych państw, rosnącego znaczenia wybitnych afrykańskich mężów stanu na arenie międzynarodowej.

Żywiotowe przebudzenie się Afryki podkreśla kontrast między dawnym obrazem a dzisiejszą rzeczywistością. Niejeden też z nas może ze zdziwieniem pyta, dlaczego tak stosunkowo długo literatura na temat Afryki przekazywała nam tylko jednostronny obraz egzotyki i myśliwskich przygód, nie dawała natomiast wglądu w ludzkie sprawy mieszkańców Czarnego Łądu. Odpowiedź wydaje się prosta. Ci, którzy opisywali nam Afrykę, sami byli w niej tylko gośćmi; przekazywali więc wrażenia często powierzchowne, nierzadko ujęte ramami wąskich zainteresowań. Choć relacje pochodziły nawet od takich autorytetów jak Ernest Hemingway, opisywane sprawy działy się tylko w Afryce, ale nie dotyczyły Afryki.

Istniał jednakże wyjątek. W roku 1937 na anglosaskim rynku księgarskim ukazała się książka „Out of Africa”, która zafascynowała czytelników i krytyków mistrzostwem pióra i odmiennym od utartego spojrzeniem na Afrykę. Nie była to książka podróżnicza, przykuwała jednak bardziej od opisów przygód. Stanowiła zbiór wspomnień o tym wszystkim, co składa się na Afrykę: o ludziach, zwierzętach, stepach, górach i lasach. Zawierała rysowane ręką wrażliwego artysty portrety ludzi – od murzyńskiego chłopca do angielskiego dżentelmena, subtelne szkice zwierząt – od małej antylopy do roboczego wołu i słoni kroczących „na umówione spotkanie gdzieś na końcu świata”, wiernie zapamiętane szczegóły krajobrazu – wyniosłych gór Ngong i spalonego słońcem stepu.

Isak Dinesen, autor tej książki, mający już na swym koncie wydany w roku 1934 zbiór opowiadań „Seven Gothic Tales”, „Siedem niesamowitych opowieści”, okazał się kobietą. Mało tego, owa pisząca po angielsku kobieta, baronowa Karen Blixen-Finecke, była Dunką. Mieszkała w rodzinnej posiadłości w Danii i – według własnych słów – pisała dlatego, że miała „dość czasu, a bardzo mało pieniędzy”.

Karen Blixen (pseudonim Dinesen jest jej panieńskim nazwiskiem) urodziła się w roku 1885. Tuż przed pierwszą wojną światową wyszła za mąż za szwedzkiego barona Blixen-Finecke i razem z nim wyjechała do Kenii. Tam młoda para przy pomocy rodziny z Danii nabyła dużą farmę przeznaczoną głównie pod uprawę kawy. Pobyt Karen Blixen w Afryce trwał blisko dwadzieścia lat. Był to pobyt przeważnie samotny po rozejściu się z mężem, który wkrótce po wojnie wrócił na stałe do Europy. Dwadzieścia lat borykania się z kłopotami finansowymi skończyło się niepowodzeniem: po spadku cen kawy na rynku światowym i w następstwie tego ostatecznym bankructwie farmy Karen Blixen opuściła Afrykę i wróciła do rodzinnej Danii. Dziwne zrządzenie losu sprawiło, że katastrofa gospodarki na podzwrotnikowej farmie otworzyła jej drogę do światowego rozgłosu w literaturze.

Oprócz „Seven Gothic Tales” i „Out of Africa” – „Pożegnania z Afryką” – Karen Blixen wydała jeszcze trzy zbiory opowiadań („Winter’s Tales”, „Last Tales” i „Anecdotes of Destiny”) oraz opublikowany w roku 1961 dalszy ciąg szkiców afrykańskich „Shadows on the Grass” – „Cienie na trawie”. Wszystkie książki Karen Blixen, z wyjątkiem napisanych po

duńsku „Opowieści zimowych”, pojawiły się pierwotnie w języku angielskim.

Paradoks losu sięga jednak dalej. Karen Blixen, przedstawicielka skandynawskich arystokratycznych tradycji, gospodarująca na feudalnej posiadłości w Afryce, stała się pierwszym światowej skali pisarzem, który wśród afrykańskiego krajobrazu i poprzez afrykańską egzotykę dostrzegł w pierwotnym mieszkańcu Czarnego Lądu – człowieka. „Odkrycie ludzi o ciemnej skórze – mówi autorka «Pożegnania z Afryką» – wspaniale powiększyło mój własny świat”. A po tym odkryciu przedstawicielka białej rasy, rasy kolonizatorów, zdała sobie jasno sprawę z tego, kto jest w Afryce przybyszem, a kto gospodarzem.

Serce dyktowało Karen Blixen stosunek do Afryki i jej mieszkańców. Niezwykły talent pisarski pozwolił jej wyrazić te uczucia pod takimi skrótami, jak przytoczenie pod adresem mieszkańca Afryki słów Kenta z „Króla Leara”, że jest „we własnym królestwie swoim”. Rzadko spotyka się podobny kunszt pisarski, prozę tak powściągliwą, a równocześnie tak poetycką, pozbawioną nawet śladu ckliwości, a przepojoną głębokim, racjonalnym humanizmem, dającą człowiekowi wiele do myślenia.

J. D. Salinger, jeden z najpoczytniejszych współczesnych pisarzy amerykańskich, włożył w usta siedemnastoletniego bohatera swej powieści „Buszujący w zbożu” bardzo ciekawą charakterystykę „Pożegnania z Afryką”.

„Dopiero wtedy wiem, że mnie książka naprawdę zachwycała, jeżeli po przeczytaniu myślę o jej autorze, że chciałbym się z nim zaprzyjaźnić i móc po prostu telefonować do niego, ile razy przyjdzie mi ochota. A do tego Isaka Dinesena mógłbym zatelefonować, owszem”.

Łatwo też zrozumieć słowa Ernesta Hemingwaya, który po otrzymaniu w roku 1954 wiadomości o przyznaniu mu nagrody literackiej Nobla oświadczył, że „czułby się szczęśliwy – szczęśliwszy gdyby nagroda przypadła Isakowi Dinesenowi” („to that beautiful writer Isak Dinesen”).

Sam będąc niezwykle wrażliwym pisarzem, Hemingway niewątpliwie odczuwał, że Karen Blixen osiągnęła to, co daje twórcy prawdziwe natchnienie: zespoliła się z ziemią i światem, o którym pisała.

Gdy człowiek raz uchwyci rytm Afryki, stwierdza potem, że powtarza się on w całej muzyce kontynentu. To, czego nauczyłam się od zwierząt, przydało mi się także wtedy, gdy miałam do czynienia z miejscowymi ludźmi... Po zetknięciu się z rodowitymi mieszkańcami Afryki dostosowałam rytm swego codziennego życia do taktu afrykańskiej orkiestry” – czytamy w „Pożegnaniu z Afryką”. Takie zestrojenie, które jest udziałem tylko wybranych jednostek, pozwoliło autorce spojrzeć głębiej i z większym niż u przypadkowego przybysza zrozumieniem zarówno na przeszłość, jak i na przyszłość Afryki i jej mieszkańców.

W najnowszej książce, „Cienie na trawie”, Karen Blixen mówi w pewnym miejscu: „My biali ludzie, popełnialiśmy błąd w tym, iż w naszych stosunkach z mieszkańcami prastarego kontynentu zapominaliśmy albo udawaliśmy, że zapominamy o ich przeszłości i nie chcieliśmy uznać tego, iż oni istnieli jeszcze przed spotkaniem z nami. Świadomie pozbawialiśmy się proporcji spojrzenia, wskutek czego obraz, który mieliśmy przed oczyma, był wypaczony, a nasze błędne pojęcia powodowały głębokie i żałosne nieporozumienia między nami”.

Amerykański krytyk Charles Poore dopatrywał się w tych na pierwszy rzut oka łagodnych słowach druzgocącej i niezwykle trafnej krytyki postępowania „białego człowieka”. Słusznie, bo rzeczywiście dopiero wypadki ostatnich lat przekonały wielu ludzi o tym, jak błędne było wywyższanie się „białej rasy” nad rodowitymi mieszkańcami Afryki. Jak pisze Basil Davidson w słowie wstępnym do swej (wydanej w r. 1961 przez PIW) książki „Stara Afryka na nowo odkryta”, dopiero ostatnie dwadzieścia lat przyniosło poważne badania historii Czarnego Lądu i „ponowne odkrycie człowieczeństwa Afryki”. Karen Blixen dostrzegła te sprawy lepiej i wcześniej od innych, potwierdzając w ten sposób, że do właściwej oceny

Afryki zdolny był jedynie ten, kto w Afryce nie tylko mieszkał, lecz żył w niej pełnią ludzkiej świadomości.

Gdy piszę to posłowie, Kenia stoi u progu niepodległości. Być może, gdy książka dotrze do rąk czytelników, wśród państw świata pojawi się nowe – Kenia. Jakżeż różna będzie od tej Kenii, którą Karen Blixen opuściła blisko trzydzieści lat temu, od tej Afryki, w której niepodzielnie rządził tylko biały człowiek. Autorka „Pożegnania z Afryką” też wie o tym.

„W Kenii wszystko się zmienia i wiele zmieniło się od tego czasu, kiedy tam mieszkałam. Spisując teraz możliwie dokładnie swe wspomnienia z życia na farmie, notując z pamięci obraz kraju i mieszkańców tamtejszych pól i lasów, robię to z myślą, że mogą one posłużyć jako przyczynek do historii minionych czasów”.

Karen Blixen zrobiła jednak więcej. Stworzyła nie tylko przyczynek do historii minionych czasów Czarnego Lądu, ale również wielkie dzieło literackie.

Nowe wydanie pozwala mi uzupełnić to posłowie następująco:

Karen Blixen zmarła w Danii 7 września 1962 roku. Już po śmierci pisarki ukazała się (w roku 1963) jej ostatnia książka, „Ehregard”, napisana po angielsku jeszcze jedna „niesamowita opowieść”.

W 1963 roku Kenia uzyskała niepodległość, jej mieszkańiec znalazł się więc „we własnym królestwie swoim”.

Rząd duński postanowił kupić dawny dom Karen Blixen na farmie u stóp gór Ngong i urządzić tam szkołę dla afrykańskich kobiet – jako pomnik wielkiej pisarki.

Józef Giebułtowicz

(1962 r.)